

Krentz Jayne Ann

Nie wszystko jest pozorem

## *Prolog*

### *Sześć miesięcy wcześniej...*

Pojawiła się jak wcielenie mściwej wojowniczej księżniczki, w nieskazitelnej czerni kostiumu o powściągliwym kroju, stosownym dla kobiety interesu, w czółenkach na wysokim obcasie. Ciemne włosy ściągnęła z tyłu głowy w purytański węzeł, na szyi związała apaszkę dobraną odcieniem do błękitno-szmaragdowych ogników w roziskrzonych oczach. Kelnerzy w białych frakach uskakiwali jej skwapliwie z drogi, gdy zdecydowanym krokiem przemierzała labirynt między stolikami nakrytymi lnianymi obrusami i zastawionymi eleganckimi kryształami. Ani na chwilę nie oderwała wzroku od celu.

Zgromadzone na sali grube ryby i pomniejsze płotki biznesu Seattle poczuły, że niebawem staną się świadkami dramatu... a przynajmniej wydarzenia, które posłuży za wyśmienity żer dla plotkarzy. W wielkiej klubowej jadalni zapadła cisza.

Jack skulił się na wyściełanej skórą kanapce. Patrzył, jak zbliża się zdecydowanym, miarowym krokiem.

- O, kurczę... - mruknął pod nosem. Na modlitwy było już za późno. Wystarczyło jedno spojrzenie na zastygłe w wyrazie zimnej wściekłości rysy inteligentnej twarzy Elizabeth Cabot, by zrozumiał, że przegrał. Oczywiście rano dowiedziała się wszystkiego, a to, co zaszło między nimi poprzedniej nocy, w najmniejszym stopniu nie zaważy na jej decyzjach. Przybrał maskę niewzruszonego sloicyzmu i czekał cierpliwie jak ktoś, kto uznaje nieuchronność losu.

Zbliżała się coraz bardziej. Był zgubiony! Mimo przygnębiającej świadomości końca, przed jego oczami nie przesuwało się całe minione życie, lecz obrazy z jednej tylko - wczorajszej - nocy. Przypomniawszy sobie, jak słodki i gorący był dreszcz oczekiwania i jak potężny zew pragnienia, które ogarnęło ich oboje. Niestety to było wszystko, co ich połączyło. Gdy nadeszła chwila wybuchu, jego potęga zaskoczyła nawet Jacka, gdyż wiedział, jak usilnie starał się przez ostatni miesiąc trzymać w ryzach podniecenie. Przypłył zerwał tamę samokontroli - na przekór ostrzeżeniom płynącym z doświadczenia, naturalnego u mężczyzny w jego wieku. Doskonale zdawał sobie sprawę ze swoich niedociągnięć - Elizabeth nie należała do kobiet, które udają orgazm, by podbehtać męską próżność.

Owszem, zeszłej nocy zachowała się bardzo mile, była diabelnie grzeczna, jakby to tylko ona ponosiła odpowiedzialność za to, że nie udało jej się dojść do szczytu. Właściwie nie wyglądała nawet na zaskoczoną! Jakby nie oczekiwała niczego ponad powierzchowną przyjemność i dzięki temu zaoszczędziła sobie rozczarowania. Oczywiście przeproszała i przysięgała, że się poprawi - gdy tylko fizjologia mu na to pozwoli. Ale ona wyjaśniła, że nie ma czasu, musi wracać do domu, mgliście tłumacząc się czekającą ją z samego rana konferencją, do której musi się przygotować.

Nie bardzo mu się to podobało, lecz musiał odwieźć ją na Wzgórze Królowej Anny, do tej pseudogotyckiej potworności, którą zwała swoim domem. Jeszcze kiedy w drzwiach rezydencji całowała ją na dobranoc, był pewien, że będzie miał kolejną szansę i tym razem wszystko załatwi, jak należy. Teraz wiedział już, że drugiego razu nie będzie.

Elizabeth dotarła do jego stolika, dygocąc na całym ciele

z pasji, której tak jawnie i boleśnie zabrakło w finale zesłanego dramatu.

- Ty dwulicowy, fałszywy, podstępny sukinsynu! Nie jesteś lepszy od padalca, który wysysa cudze jaja! - syknęła spomiędzy mocno zaciśniętych szczęk. - Myślałeś, że ci to ujdzie płazem, tak?

- Nie krępuj się, Elizabeth, rąb prosto w oczy, co o mnie myślisz!

- Czy naprawdę sądziłeś, że nie dowiem się, kim jesteś? Że możesz traktować mnie jak pieczarkę: trzymać w mroku niewiedzy i karmić kłamiwym gównem?

Nie miał nic na swoją obronę, ale musiał spróbować.

- Ani razu cię nie okłamałem!

- Aha! Do cholery, ani razu nie powiedziałaś mi prawdy! W ciągu całego minionego miesiąca ani jednym słówkiem nie zdradziłaś, że to ty jesteś tym gnojkiem, który zorganizował przejście Gallowaya!

- Tamten interes ubiłem dwa lata leniu... to nie ma nic wspólnego z naszymi sprawami.

- Ma mnóstwo wspólnego, i ty dobrze o tym wiesz! Dlatego mnie oszukałaś...

Narastała w nim wściekłość - mimo beznadziejnej sytuacji, w jakiej się znalazł, a może właśnie dlatego?

- Nie moja wina, że nigdy nie mieliśmy okazji porozmawiać o fuzji Galiowaya. Nie zapytałaś mnie o to!

- A czemu miałabym cię o to pytać? - Podniosła głos. - Skąd miałam niby wiedzieć, że byłeś w nią zamieszany?

- Nie byłaś oficjalnie zatrudniona w Gallowayu, więc jak mogłem przypuszczać, że miałaś jakieś związki z tą firmą? - odparował hardo.

- Nie o to chodzi. Nie rozumiesz? Przejście Galiowaya było najbardziej bezlitosnym, zimmokrwistym zamachem, jakie widział tutejszy świat interesu. A ty byłeś łajdakiem, którego wynajęto, żeby rozszarpał firmę na strzępy...

- Elizabeth...

- Przez tę fuzję ucierpieli ludzie! - Zacisnęła kurczowo dłonie na skórzanym pasku eleganckiej torebki, która zwisała jej z ramienia. - I to bardzo! Z takimi typami jak ty nie robię interesów.

Jack kątem oka dostrzegł zmieszanego kierownika sali, Hu-

gona, który dreptał w pobliżu sąsiedniego stolika i najwyraźniej nie miał pojęcia, jak załagodzić zajście, które zaczynało grozić skandalem. Kelner, zmierzający w kierunku stolika Jacka z tacą, na której stał dzbanek wody z lodem i koszyk z pieczywem, zatrzymał się jak wryty nieopodal. W obszernej jadalni nie było człowieka, który nie wsłuchiwałby się łakomie w gwałtowną wymianę zdań, ale Elizabeth wydawała się nie zauważać, że nie są sami. Jack tymczasem dał się porwać fascynacji, choć w jego sytuacji była to reakcja raczej samobójcza. Mimo wszystko nie podejrzewał, że ta kobieta jest zdolna odegrać takie przedstawienie! W ciągu miesięcy ich znajomości zawsze wydawała mu się osobą opanowaną i zrównoważoną.

- Uspokój się lepiej - powiedział przyciszonym głosem.  
- Niby dlaczego? Wymień choć jeden powód!  
- Nawet dwa... po pierwsze nie jesteśmy sami. Po drugie, kiedy się wreszcie opanujesz, pożałujesz sceny, którą urządziłaś. Myślę, że będziesz żałować dużo bardziej niż ja.

Rozchyliła wargi w grymasie pogardy tak lodowatej, że powinna zamienić kosmyki jej włosów w sople. Zatoczyła dłonią niedbały łuk, wskazując na całą jadalnię. Jack uznał to za bardzo zły znak.

- Cholernie mało mnie obchodzi, że nie jesteśmy sami. - Słowa, wypowiedziane dobitnym głosem, z pewnością dotarły aż do klubowej kuchni. - Według mnie działam dla dobra ogółu, gdy ujawniam przed wszystkimi, jakim jesteś gnojkiem i kłamliwym sukinsynem. I nie pożałuję ani jednej chwili!

- Owszem... kiedy sobie przypomnisz, że mamy podpisany, zapięty na ostatni guzik kontrakt dotyczący Excalibura. Czy ci się to podoba, czy nie, jedziemy na jednym wózku.

Widział, jak drgają jej powieki, a w żrenicach pojawia się wyraz zaskoczenia. Z wściekłości zapomniała o kontrakcie, który podpisali wczorajszego ranka. Szybko jednak odzyskała równowagę.

- Gdy tylko wrócę do biura, zadzwonię do radców Fundacji. Możesz uznać naszą umowę za niebyłą.

- Nie wysilaj się i nie udawaj! Nie zdołasz się wykręcić z umowy tylko dlatego, że nagle uznałaś mnie za sukinsyna. Podpisałaś ten cholerny kontrakt i teraz zamierzam cię zmusić, byś dotrzymała zobowiązań.

- Jeszcze zobaczymy!

Jack wzruszył ramionami.

- Jeśli chcesz, żebyśmy następne dziesięć czy dwanaście miesięcy przesiedzieli na sali sądowej, proszę bardzo. Ani na krok ci nie ustąpię i wiesz, że w końcu wygram na całej linii. Oboje wiemy o tym doskonale!

Była w potrzasku. Jack wiedział, że osoba o jej inteligencji musi zdawać sobie sprawę z tego prostego faktu. Mijały pełne napięcia sekundy; patrzył, z jakim wysiłkiem jego przeciwniczka godzi się z przegraną. Na jej twarzy pojawił się wyraz bezsilnej wściekłości.

- Zapłacisz mi za to. - Elizabeth sięgnęła ku tacy w dłoni wciąż zastygłego w bezruchu kelnera i chwyciła dzbanek z wodą. - Wcześniej czy później zapłacisz za to, co zrobięś! - Cisnęła Jackowi w twarz zawartość naczynia, a on nawet nie próbował się uchylić. Mógł jedynie schować się pod stół, ale byłaby to sromotna ucieczka, wołał więc siedzieć prosto.

Lodowata woda na policzkach obudziła w nim temperament, który dotychczas z takim wysiłkiem usiłował utrzymać na wodzy. Spojrzał prosto w twarz Elizabeth, która gapiła się na niego szeroko otwartymi oczami, i dojrzał w nich pierwsze oznaki świadomości, że zrobiła z siebie niezłe widowisko.

- Nie chodzi ci o sprawę Gallowaya, prawda? - spytał cicho, - Chodzi ci o wczorajszą noc!

Kurczowo ścisnęła torebkę i cofnęła się o krok, jakby ją uderzył.

- Nie waż się wspominać wczorajszej nocy! I wcale nie o nią chodzi, niech cię wszyscy diabli!

- Oczywiście, że o nią. - Jack strząsnął z ramienia kawałeczek lodu, który przyczepił się do marynarki. - Rzecz jasna, biorę na siebie całkowitą odpowiedzialność. Tylko tak może postąpić dżentelmen, prawda?

Nabrała ze świstem powietrza, jakby jego słowa uraziły ją do żywego.

- Nie próbuj wszystkiego sprowadzać do kwestii seksu. To, co zaszło minionej nocy, to tylko niesłychanie drobna cząstka sprawy... właściwie tak nieważna i niegodna wzmianki, że nie ma żadnego znaczenia w całokształcie wydarzeń!

A więc ostatnia noc nic dla niej nie znaczyła... Jack utracił

resztkę siły woli, którą dotychczas powściągał gniew. Zacisnął palce na krawędzi stołu i z wolna, groźnie podniósł się na nogi, niepomny strumyczków wody ściekających po jego twarzy i ramionach. Rozchylił wargi w drapieżnym uśmiechu i rzekł z wyrachowaną grzecznością;

- Ze swej strony chciałbym oświadczyć, że nie miałem pojęcia, iż jesteś bryłą lodu. Powinnaś była mnie ostrzec, że masz niejakie problemy w tym zakresie... Kto wie? Gdybym się nieco bardziej przyłożył i poświęcił więcej czasu, może udałoby mi się stopić lodowatą barierę twojej, hm, obojętności.

Pożałował tych słów, ledwie wymknęły mu się z ust, ale było za późno: ich znaczenie zawisło nad dzielącym ich klubowym stolikiem jak zastygłe w mroźnym powietrzu roziskrzone okruchy lodu. Jack pojął, że teraz już nie pomogą żadne ugodowe gesty. Elizabeth, z zarumienioną twarzą, cofnęła się jeszcze o krok i zwięzła oczy w szparki.

- Naprawdę kawał z ciebie sukinsyna, wiesz? - wyszczała cichym, złowieszczo opanowanym głosem. - Nie obchodzi cię ani trochę skutki fuzji Gallowaya, prawda?

Przczesał palcami włosy, próbując strząsnąć ostatnie krople wody.

- Nie, ani trochę. To były tylko interesy i nic więcej, - w każdym razie jeśli o mnie chodzi. Nie uznaję zaangażowania emocjonalnego w takich sytuacjach.

- Rozumiem - odparowała. - Dokładnie tak samo traktuję wydarzenia minionej nocy.

Obróciła się na obcasie i wymaszerowała z restauracji, nie poświęcając już Jackowi ani jednego spojrzenia. Patrzył, jak odchodzi; nie spuścił oczu, aż zniknęła za drzwiami.

Przczucie nieuchronności tego, co ma nadejść, które po raz pierwszy drgnęło w jego duszy na widok kobiety wchodzącej do jadalni, okrzepło teraz w pewność. Wiedział, że to samo czuje Elizabeth; oboje znali prawdę.

Mogła uciekać od tego, co zaszło między nimi ostatniej nocy, ale nie ucieknie od zobowiązań wynikających z umowy, którą oboje podpisali. Ten kontrakt wiązał ich ze sobą na dobre i złe skuteczniej niż przysięga małżeńska.

## Rozdział pierwszy

*Seattle, środa, między północą a świtem*

Czekał na nią w głębi parkingu, przytulony do cegieł wysokiego muru. Dygotał na całym ciele, bo cienka wiatrówka nie zapewniała ochrony przed dokuczliwym chłodem. Pobliska lampa uliczna nie funkcjonowała prawidłowo; niepewne, przygasające raz po raz światło przegrywało z gęstym cieniem nocy. Na prawie pustym placu zostało zaledwie kilka samochodów, gdyż o tej porze niewiele osób przebywało w pobliżu Pioneer Square. Nocne kluby i spelunki dawno już zamknęły podwoje, więc jedyną osobą, jaką spotkał, był pijak, o którego potknął się, przechodząc wzdłuż ciemnego zaułka. Pustka na ulicy sprawiła mu ulgę, gdyż w tej części miasta przechodnie o takiej porze nocy należą do ludzi, których trzeba się raczej obawiać.

Poranny chłód pogłębiała jeszcze uparta mżawka. Wiedział jednak, że nie tylko zła pogoda jest powodem dokuczliwego zimna, które przenikało go aż do szpiku kości. Nade wszystko chodziło o to, że po-

przedniego wieczoru nie spotkał się z madame Koka, choć zazwyczaj czynił to dwa razy dziennie. Owszem, miał ochotę, ale po prostu nie było go na nią stać, a teraz za to płacił dygotaniem całego ciała.

Po raz pierwszy zetknął się z madame Koka na uniwerku, gdy przygotowywał się do licencjatu z inżynierii chemicznej. Był dobrym studentem i przepowiadano mu świetlaną przyszłość. Gdyby nie owa niefortunna znajomość z madame Koka, zgłosiłby już pewnie kilka patentów! To dziewczyna, koleżanka z ćwiczeń, zapoznała go z Koka i zapewniła, że wystarczy jedna mała dawka, a seks przyniesie mu oszałamiającą rozkosz. Oczywiście miała rację, niebawem jednak stracił pociąg do seksu na rzecz Koki, a nie trwało długo, by stała się również ważniejsza od dyplomu i błyskotliwej przyszłości, jaką niegdyś planował.

Koka zawładnęła całym jego życiem, a była surową panią, która wymagała absolutnego posłuszeństwa. Musiał spotykać się z nią dwa razy dziennie, a jeśli przepuścił choć jedną randkę, czuł się jak to gówno, w które wdepnął kilka minut temu na skraju parkingu..., i trząsał się z zimna. Wszechogarniającego zimna!

Ale niebawem nadejdzie ona i przyniesie obiecaną zapłatę. Wtedy będzie w stanie kupić sobie trochę czasu z madame Koka i wszystko znów będzie dobrze. Dopóki przestrzegał reżimu codziennych dwukrotnych randek, dopóty radził sobie w życiu całkiem nieźle, potrafił nawet utrzymać się w pracy... przynajmniej przez jakiś czas. Niełatwo jest lawirować między wymaganiami madame Koki i normalnego zajęcia. Zazwyczaj udawało mu się to przez kilka miesięcy, potem szczęście nieodmiennie odwracało się od niego: raz wpadł na badaniach antynarkotykowych, następnym razem zbyt wiele dni przebywał na zwolnieniach lekarskich, potem z kolei zdarzyło się coś innego... W obecnej pracy miał nadzieję zaczepić się na dłużej. Właściwie nawet podobało mu się nowe zajęcie. Pracując w Excaliburze, lubił czasami stwarzać pozory, że ma tytuł doktorski i jest poważanym członkiem wyśmienitego zespołu badawczego, jak doktor Page, a nie jakimś tam nieliczącym się technikiem laboratoryjnym. Dzisiaj trapiły go wyrzuty sumienia z powodu tego, co zrobił,

ale naprawdę nie miał wyboru! W Excaliburze zarabiał co prawda nie najgorzej, ale wciąż za mało, by opłacić tyle czasu z Koka, ile potrzebował, by czuć się jak człowiek. Potrafił na szczęście znaleźć sobie innych pracodawców, którzy byli hojniejsi. O wiele hojniejsi...

Niebawem już pojawi się ona - i przyniesie mnóstwo forsy, którą będzie mógł wydać na Kokę.

Najpierw usłyszał odgłos szpilek, wystukujących lekki rytm po płytach chodnika. Oderwał się od wilgotnych cegieł. Dreszcz podniecenia rozgonił nieco chłód przenikający kości. Jeszcze chwila i zdobędzie to, czego mu potrzeba, by znowu się rozgrzać!

- Cześć, Ryan.

- Najwyższy czas! - mruknął.

Jej twarz okrywał kaptur długiego czarnego deszczowca.

- Domyślam się, że poszło ci dobrze? - powiedziała.

- Spoko. Zostawiłem taki pieprznik w laboratorium, że minie kupa czasu, zanim doprowadzą je do porządku.

- Znakomicie! Choć może niepotrzebnie. To tylko zabezpieczenie na wypadek, gdyby Fairfax czy faceci od ochrony z Excalibura zawiadomili policję, co jest wysoce nieprawdopodobne. Gdyby jednak tak się stało, pójdą fałszywym śladem.

- W takich przypadkach kierownictwo firmy nigdy nie decyduje się zawiadamiać glin, chyba że nie mają wyjścia. Obawiają się rozgłosu, niekorzystnych komentarzy w mediach, no i wycofania inwestorów i klientów.

- No tak... tego zaś Excalibur nie może obecnie ryzykować. - Kobieta włożyła dłoń do torebki. - Cóż, zdaje się, że wszystko gra. Doskonale się spisałeś, Ryanie. Przykro mi będzie rozstać się z tobą.

- Jak to?

- Obawiam się, że już nie będziesz mi potrzebny. W gruncie rzeczy stałeś się ciężarem.

W mdłym świetle ulicznej lampy dojrzał metaliczny pobłysk między stulonymi palcami dłoni, która wysunęła się z torebki. Pistolet! Zanim w pełni do niego dotarło znaczenie tego gestu, było już za późno. Zdążył jeszcze pomyśleć, że los postawił mu

na drodze jedną z tych babek z biało-czarnych filmów, jakie uwielbiał oglądać doktor Page: kobieta fatalna...

Dwa razy pociągnęła za spust; ten drugi strzał był właściwie zbyteczny, ale ona zawsze lubiła się zabezpieczyć. Takie miała motto. Dbłość o szczegóły - oto jej filozofia życiowa.

Kobieta z przeszłością nie ma nic do stracenia, ale kobieta z przyszłością nie może być za ostrożna.

## *Rozdział drugi*

### *I szefowie miewają złe dni*

Czasem takie dni potrafią rozciągnąć się w całe tygodnie złej passy, spychając człowieka tak daleko z wytyczonego szlaku, że potrzebuje kompasu i mapy, by ominąć złowieszcze głębie.

Jack z markotną miną pomyślał, że właśnie znalazł się w szeregach tych niefortunnych sterników przedsiębiorstw, których los rzucił na niepewne wody. Widział oczami wyobraźni drobne literki ostrzegawczej inskrypcji na brzeżku mapy: Za tymi brzegami leży kraina smoków.

Jeszcze trochę, a stanie się przesądny. Ostatnie wydarzenia dowiodły, że nieszczęścia chodzą nawet nie parami, ale trójkami!

- Musimy błyskawicznie oszacować straty - oświadczył szorstko. - Ł to dokładnie!

Smętnym spojrzeniem ogarnął ruinę, która jeszcze wczoraj stanowiła laboratorium 2B. Stoły zaśmieczone były odłamkami szkła i zniszczonym sprzętem, po podłodze walała się cenna aparatura, roztrzaskana

na drobne kawałki. Jeden z wandalów poczynił użytek z puszki krwistoczerwonej farby w rozpylaczu, by wypisać na wschodniej ścianie olbrzymie hasło: „Straż Przednia Jutra”. Milo jęknął rozpaczliwie:

- Tego już za wiele! Jakby nam było mało innych kłopotów... Excalibura czeka ruina!

Monotonna litania skarg zaczęła działać Jackowi na nerwy, tym bardziej że wydarzenia bezpośrednio poprzedzające wiadomość o włamaniu i tak już poważnie nadszarpnęły zasoby jego cierpliwości. Akt wandalizmu w laboratorium 2B był bowiem jedynie ostatnim ogniwem w łańcuchu złowróżbnych kłesk, które w ciągu kilku zaledwie godzin spotkały niewielkie przedsiębiorstwo Excalibur - Zaawansowana Technologia Materiałowa, zajmujące się badaniami struktur cząsteczkowych. Właściciel na tle innych wydarzeń chuligański wybrzyk nie zajmował pierwszego miejsca; na szczycie listy królowało morderstwo technika.

- Jakoś się wykaraskamy, Milo - mruknął pocieszająco, przypominając sobie, że płacą mu, by mówił właśnie takie rzeczy. Dziś bez wątplenia zapracuje na każdy grosz pensji!

- Wykaraskamy? - Milo zerwał się gniewnie i spojrzał wprost w oczy Jacka. Pociągłe policzki aż dygotały, a w rozgorączkowanych źrenicach błyszczała rozpacz. - Jak to sobie wyobrażasz, skoro przepało wszystko, o co tak długo walczyliśmy? Jak wykaraskasz się z takiej kłęski? Nikt nie da nam drugiej szansy, a nie możemy już odwołać prezentacji dla Veltrana, przecież wiesz!

- Powiedziałem, że sobie poradzę!

- Jak, z łaski twojej? - Milo aż podskoczył z podniecenia. - I tak mieliśmy niesamowite szczęście, że Grady Veltran zainteresował się nami. Wiesz, co o nim mówią. Jeśli teraz zaczniemy się wykręcać i zechcemy przesunąć prezentację choćby o mamy dziesięć, skreśli nas, i tyle!

Jack stłumił jęk rezygnacji. Biadanie Mila w niczym mu nie pomagało, a i tak zbyt wiele miał spraw na głowie. Ale nie wolno mu było zapominać, że w osobie Mila Ingersolla ma do czynienia z klientem, a z tą kategorią ludzi trzeba się obchodzić jak z jajkiem. To też stanowiło część jego obowiązków.

Milo niedawno dopiero skończył dwadzieścia pięć lat, lecz

jako jedyny członek rozgałęzionej rodziny Ingersollów, który przejawiał jakiegokolwiek uzdolnienia w kierunku zarządzania i żyłkę przywódczą, wziął na swe barki wielki ciężar odpowiedzialności, gdy po śmierci ciotecznej babki, Patrycji Ingersoll, założycielki Excalibura, rzucił politechnikę, by stanąć u steru niewielkiej rodzinnej firmy. Już po kilku dniach uświadomił sobie, że wpadł po uszy w kłopoty. W ostatnich latach życia choroba przykuła Patrycję do łóżka, bez jej dozoru przedsiębiorstwo zbaczało coraz dalej na mieliznę, a gdy Milo przejął rządzą, znajdowało się właściwie na skraju bankructwa. Na szczęście zdał sobie sprawę, że nie wystarczy mu doświadczenia w zarządzaniu i umiejętności przywódczych, by samodzielnie wprowadzić firmę na szerokie wody. Zorientował się, że potrzebuje pomocy i że musi ją znaleźć niezwłocznie. Młodzieniec postanowił bez zwłoki wyszukać specjalistę od ratowania poć upadających przedsiębiorstw, konsultanta, który pomoże utrzymać przy życiu niewielką firmę, prowadząca badania w dziedzinie zaawansowanych technologii przemysłowych. Wykazał przy tym przezorność, determinację i pasję, czyli cechy, które - według Jacka - uczynią go w przyszłości znakomitym dyrektorem. Pomyślał, że nigdy nie zapomni dnia, w którym do jego biura wpadł jak burza młodziak o płonących oczach i słowami na przemian błałnymi i rozkazującymi zwrócił się o pomoc. W gorące kruczaj gotów był uczynić i podpisać wszystko, obiecać złote góry i jeszcze więcej, byle uratować rodzinną firmę.

Sytuacja, w jakiej znalazł się w owych czasach Excalibur, zbudziła zainteresowanie Jacka, który chłubił się tym, że jego specjalnością jest ratowanie niewielkich rodzinnych firm, zarządzanych przez nieliczną kadre kierowniczą i również skromnie liczebnie rady nadzorcze. Jeden z punktów umowy zobowiązywał go do przygotowania następcy - w tym przypadku był nim Milo. Jack już dawno pojął, że kluczem do sukcesu jest zapewnienie odpowiedniego wykształcenia młodemu pokoleniu i umiejętność nadzorowania przyszłego dyrektora, zanim ten okrzepnie na kierowniczym stanowisku. Niewiele byłoby sensu w zabiegach ratowniczych, skoro firma, której poświęcił wysiłki, miałaby paść nazajutrz po jego odejściu, gdyż nie zostawił nikogo, kto przejąłby jego robotę. Milo miał wszelkie cechy predysponujące



go do jego przyszłego zajęcia: entuzjazm, inteligencję, pracowitość i - a to było najważniejsze - całkowite poświęcenie interesom Excalibura. W ciągu minionych sześciu miesięcy zaczął naśladować Jacka, i to na rozmaite sposoby: jednym z nich, bynajmniej nie najmniej ważnym, był dobór garderoby. Porzucił panującą w kręgach technologów przemysłowych modę na niedbały wygląd na korzyść nieskazitelnych garniturów i krawatów. Niestety, wciąż skłaniał się ku mało wyszukany odzieniom zieleni i brązu. Jack zanotował sobie w pamięci, by przed odejściem z Excalibura zabrać Milo do dobrego krawca.

Tego ranka młodzieniec nie był w nastroju do rozważań o zaletach konserwatywnego stylu ubioru kadr kierowniczych. Jack wyciągnął go z łóżka, dzwoniąc i informując o przypadku wandalizmu w laboratorium, a Milo tak pospiesznie wybiegł z domu, że nawet nie skończył się ubierać. Co prawda wciągnął na nogi dżinsy, ale plecy okrywało mu coś, co podejrzanie przypominało niesłychanie starą, wypłowiałą i rozczłapaną pantofle. Głowę zdobiły mu nastroszone kępki rudych włosów, a orzechowe oczy za grubymi soczewkami okularów w masywnej czarnej oprawce błyszczały z wściekłości i bezbrzeżnej rozpacz.

Jack poczuł litość.

- Milo, uwierz mi, to naprawdę nie jest koniec świata - zapewnił spokojnym głosem. - Owszem, to poważny cios, ale nie ostateczna klęska.

- Nie widzę różnicy!

- Zaufaj mi ja widzę. - Jack zerknął na grubasa sterczącego z zafasowaną miną przy drzwiach. - Ron, niechże się pan zabierze do roboty! Trzeba posprzątać ten bałagan.

- Oczywiście, proszę pana. - Ron Atwell, który nosił szumny tytuł komendanta niezbyt licznej służby bezpieczeństwa, pocił się obficie. Pod pachami koszuli w kolorze khaki ciemniały coraz bardziej poszerzające się półkola, a czoło zrosiły perliste paciorki. Jack nie miał mu tego za złe, gdyż i jemu nie było specjalnie chłodno, choć system klimatyzacyjny, jak wszystko inne w laboratorium 2B, przedstawiał najnowszy poziom technologii i był jedynym urządzeniem w zdewastowanym pomieszczeniu, które nadal sprawnie działało.

Milo miał rację: zniszczenie laboratorium oznaczało nieszczęście, ale Jack wiedział, że prędzej go szlag trafi, niż przyzna to głośno i publicznie. Stał u steru tego okrętu i jego zadaniem było stwarzanie pozorów, że nie ma takich problemów, z którymi Excalibur sobie nie poradzi. Kontynuował więc spokojnym głosem:

- Ma pan utrzymywać stan ostrego alarmu, pełne zabezpieczenie. Do robót porządkowych wykorzystajcie tylko tych pracowników, którzy zostali upoważnieni do przebywania na terenie działu laboratoryjnego. Niech się pan upewni, że nikt niczego nie wyrzuci, nawet odłamka szkła, zanim ktoś z zespołu Soczewki nie rzuci na to okiem. Jasne?

- Tak, proszę pana.

Milo wykręcał smukłe palce w geście, który niechybnie przysporzyłby chwały odtwórcy roli zdesperowanego kochanka w ostatnim akcie *Carmen*.

- Czy wdrożenie procedury alarmowej ma jakikolwiek sens? Teraz? To jak ryglowanie drzwi stajni po koniokradach!

- Milo... - wycedził Jack znaczącym głosem.

Młodzieniec podskoczył nerwowo, zamrugnął i urwał tyradę. Jack wytrzymał pytające spojrzenie Rona.

- Poukładajcie wszystkie odłamki w skrzyniach i zostawcie je w laboratorium. Proszę dopilnować, żeby nic nie przeciekło na zewnątrz!

- Oczywiście, proszę pana, zaraz się tym zajmę.- Ron otarł pot z czoła zielonkawoszarą rękawem.

- Niech pan zobowiąże wszystkich sprzątających do zachowania bezwzględnej milczenia. Jasne?

- Tak, proszę pana.

- Ktokolwiek piśnie słówko poza firmą, wylatuje na łeb, i to bez odprawy, zrozumiał pan?

- Tak, proszę pana. - Ron wygrzebał z kieszeni notes i zaczął szukać długopisu. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, proszę pana, ale sam pan wie, jak szybko w tym światku rozchodzą się plotki.

- Owszem - przyznał Jack. - Mimo to utrzymujemy oficjalne stanowisko: żadnych poważnych zniszczeń.

Milo skrzywił się i unióśł brwi.

- I dlatego nie zamierzasz zawiadomić policji?
- Właśnie!
- Ale... czemu utrzymywać to w takim sekrecie? Nie jesteśmy jedynymi, którym złożyli wizytę ci przekłęci wariaci ze Straży Przedniej Jutra! W zeszłym miesiącu włamali się do laboratorium uniwersyteckiego, był komunikat w prasie...
- A kilka tygodni temu doszczętnie zdewastowali przedsiębiorstwo produkujące oprogramowania komputerowe - włączył się Ron. - Podpalili ich pracownie i biura!
- Jack zmierzył ich kolejno długim, wymownym spojrzeniem.
- Nie potrzebujemy tego rodzaju rozgłosu. To by się nam nie przysłużyło. Powinniśmy raczej ukrywać wady systemu ochrony w Excaliburze!
- Ron zbladł jak ściana.
- Tak, proszę pana.
- Ale Milo nie rozchmurzył czoła.
- Nie myśl, że usiłuję...
- Jack puścił do niego oko, zezując w stronę zajętego notowaniem szefa ochrony, który nie dostrzegł tego gestu, ale Milo połapał się w intencjach kolegi, zamilkł niechętnie i mocno zacisnął wargi. Jack, którego cierpliwość powoli się wyczerpywała, tłumaczył dalej:
- Najmniejsze pogłoski o niewydolnym systemie zabezpieczeń i ochrony wewnętrznej szkodzą każdej firmie, bo potencjalni klienci i kupcy robią się bardzo nerwowi. Oczywiście wątpię, czy zdołamy utrzymać wszystko w tajemnicy. Ci rozrabiacze ze Straży Przedniej pewnie już kontaktują się z facetami z mediów, żeby zaliczyć kolejny punkt, ale spróbujmy z naszej strony przynajmniej zminimalizować całą sprawę. Jasne?
- Tak, proszę pana! - Ron z trzaskiem zamknął notes.
- Pana zadaniem jest ograniczenie ewentualności przecieków z wewnątrz - przypomniał mu z naciskiem Jack. - Langley z biura prasowego zajmie się kontaktami z dziennikarzami.
- W porządku. - Attwell przeczesał palcami rzadkie siwiejące kosmyki włosów, z widocznym wysiłkiem wyprostował plecy i dziarską postawą usiłował zamarkować przypływ energii. - Przepraszam pana... do tego nie powinno w ogóle dojść! Nie powinienem być dopuścić, by tacy chuligani dostali się do

- laboratorium. - Odchrząknął z niesmakiem. - Dotychczas nic takiego nam się nie przytrafiło. Kto mógł się spodziewać?
- Tak, ktoś by się spodziewał? - przytaknął Jack, dodając sarkastycznie w myślach: oczywiście nikt z zardzewiałego, przestaizałego działu ochrony Excalibura. Powstrzymał się jednak od głośniejszych uwag na ten temat, choć zmodernizowanie służb wartowniczych i systemów zabezpieczeń w firmie znalazło się na liście zmian, jaką sporządził sześć miesięcy temu, gdy zgodził się objąć stanowisko dyrektora. Niestety, przekształcenie zbieraniny uzbrojonych jak amatorzy nocnych wartowników, przeważnie starszawych gości zbliżających się do emerytury, w nowoczesny oddział ochrony wymagało nie tylko pieniędzy, lecz również czasu. Miał tyle innych - ważniejszych - spraw na głowie i wszystkie oznaczały znaczne koszty, a finanse Excalibura były w najlepszym razie ograniczone. On sam zresztą postanowił wszystko, co się dało, włączyć w prace nad projektem Soczewka- Tyle że w ciągu ostatniej doby stojący na czele zespołu Tyler Page, naukowiec, któremu udało się wreszcie zakończyć badawczą część projektu, zniknął wraz z jedynym egzemplarzem nowo wyprodukowanego kryształu - prawdziwej nadziei na przełom technologiczny w tej dziedzinie. Nawet najzdrowszy psychicznie, logicznie rozumujący i opanowany dyrektor byłby w takich okolicznościach usprawiedliwiony, doznając ostrego napadu kierowniczej paranoi.
- Jack obrócił się na pięcie i podszedł do wahadłowych drzwi.
- Wracam do biura. Ron, niech pan pamięta, by trzymać z daleka od laboratorium wszystkich pracowników, którzy nie mają zezwolenia na przebywanie w pomieszczeniach badawczych. Proszę mnie powiadomić, kiedy zakończycie prace.
- Attwell ponownie odchrząknął.
- Tak jest, proszę pana, strasznie mi przykro, że to się wydarzyło, niech mi pan wierzy!
- Jeszcze jedne przeprosiny, a wywalę pana na zbity pysk - ostrzegł Jack.
- Szef ochrony drgnął nerwowo.
- Tak, proszę pana.
- Jack pchnął ciężkie skrzydło drzwi rozpostartą płasko dłońią i wyszedł na korytarz.

- Zaczekaj chwilę, Jack! - zawołał za nim Milo. - Muszę zamienić z tobą jeszcze słówko!

- Milo, czy to nie może zaczekać? Chciałbym jak najszybciej złapać Langleya i pouczyć go, jak ma gadać z prasą.

- Tak, tak... - Milo dreptał korytarzem tuż za jego plecami. - Ale musimy omówić sytuację!

- Później! - Jego doradca przyspieszył kroku, kierując się w stronę wind.

- Nie, teraz! - upierał się Milo. - Czy nie pomyślałeś, że to morderstwo i włamanie do laboratorium ściagnie nam na głowę tę... tę kobietę? Zacznie wścibiać tu nos i zadawać pytania...

- Nie martw się, jeśli Elizabeth Cabot się tu pokaże, zajmę się nią należycie! - Niech żyją obietnice bez pokrycia. Sądząc po ich wzajemnych stosunkach ostatnimi czasy, powinien uważać się za szczęściarza, jeśli uniknie nadziania na jeden z ostrych jak szpila obcasów jej eleganckich czółenek, sprowadzanych z najdroższej włoskiej firmy obuwniczej!

Milo parsknął wymownie.

- Przecież sam wiesz, jak się szarogęsi na comiesięcznych zebraniach rady nadzorczej. Zawsze dopytuje się o szczegóły i żąda więcej informacji. Nie wiadomo, jaki wykreśliłby numer, gdyby wywęszyła prawdę o zniknięciu Page' a i próbek kryształu.

- Ja wiem.

W oczach Mila zalśniła nadzieja.

- Naprawdę?

Jack uśmiechnął się ponuro.

- Jasne! Wiem dokładnie! Odciełaby nam fundusze, zanim Ron skończyłby zamiatać laboratorium 2B.

Był pewien, że Elizabeth od sześciu miesięcy nieustannie szuka pretekstu do zerwania kontraktu. Zniszczenie laboratorium dałoby prawnikom Fundacji Aurory aż nadto wystarczające podstawy do stwierdzenia, że Excalibur nie rokuje nadziei na osiągnięcie trwałej wypłacalności finansowej i jako przedstawiciele głównego kredytodawcy zmusiliby firmę do ogłoszenia upadłości.

- I ja to wiem... nawet cud by nas nie uratował - szepnął Milo, oglądając się nerwowo.

- Weź się w garść! Jeśli Elizabeth Cabot dowie się o tym

akcie wandalizmu, poradzę sobie z nią. Nie dam jej żadnego powodu do podejrzeń, że coś poszło nie tak z projektem Soczewka.

- A jeśli mimo wszystko coś zwęszy? - Milo zadygotał w panicznym lęku. - Jeśli zacznie wtykać wszędzie nos i zadawać kłopotliwe pytania? Sam wiesz, jaka potrafi być wścibska!

- Jeżeli zacznie zadawać pytania, udzielę na nie odpowiedzi.

- Ale jakiej, na litość boską?

- Jeszcze nie wiem... Może podrzucę jej jakieś niewinne, gładkie kłamstewko.

Milo gapił się w osłupieniu na swego doradcę.

- Kpiny sobie urządzasz? W takiej chwili?

- Żadne kpiny! Powiedziałem, że biorę ją na siebie. Poradzę sobie z Elizabeth Cabot, a ty zajmij się swoją rodziną. Oni też nie powinni się dowiedzieć, jak sprawy stoją.

Milo zamrugał i westchnął.

- Ciotka Dolores dostałaby napadu hysterii, wuj Ivo pewnie by zemdlał, a Bóg jeden wie, jak zareagowałoby drogie kuzynostwo, szczególnie Angela.

- Co do Angeli nie ma wątpliwości: zażądałaby, byśmy sprzedali Excalibura albo poszukali większej firmy i zaproponowali im fuzję! Od śmierci twojej ciotecznej babki o niczym innym nie mówi.

Milo zacisnął dłoń w pięści i wysunął wojowniczo podbródek.

- Nigdy! To moja firma, babka Patrycja zapisała ją mnie, bo wiedziała, że będę ze wszystkich sił starał się utrzymać ją w rodzinie.

Mimo ponurego nastroju Jack musiał się uśmiechnąć.

- Tak trzymać, Milo! Nie martw się, odzyskam Soczewkę.

- Ale jak tego dokonasz? ,

- Zostaw to mnie. - Jack zatrzymał się przed windą i nacisnął guzik. - Odzyskam kryształ, choć zabierze mi to trochę czasu. Muszę na najbliższe dziesięć dni powierzyć ci wszystko inne.., może na trochę dłużej.

- Dziesięć dni? Ale prezentacja dla Veltrana ma się odbyć już za dwa tygodnie! Musimy do tego czasu mieć kryształ z powrotem w laboratorium albo wszystko przepaść!

- Jak słusznie zauważyłeś, mamy jeszcze dwa tygodnie. - Jack nie stracił opanowania. - Jeszcze brak ci mojego doświadczenia, ale w tej sytuacji nie ma innego wyjścia: musisz pod moją nieobecność zająć się swoją rodziną, stawiać czoło prasie i kierować wszystkimi innymi sprawami firmy, Jak myślisz, dasz sobie radę?

- Oczywiście, że dam sobie radę. Tu nie chodzi o mnie, ale o kryształ.

- Zdam sobie z tego sprawę.

Drzwi windy rozsunęły się wreszcie. Przynajmniej tu wszystko działało jak należy. Jack wszedł do kabiny i przycisnął guzik trzeciego piętra. Zerknął jeszcze raz na zniekane oblicze Mıla i ostatkiem sił zdobył się na słowa otuchy:

- Znajdę ten kryształ. Mילו, nie martw się.

Młodzienciek jęknął żałośnie:

- Jak masz zamiar tego dokonać?

Jack rozciągnął policzki w uśmiechu, w którym trudno byłoby doszukać się radości.

- Na początek wezmę chyba urlop!

Drzwi windy zasunęły się bezszelestnie i oburzony skrzek, którym wydobył się z ust Mıla, uciął jak ucięty nożem.

Nareszcie sam, Jack oparł się o wyłożoną boazerią ścianę windy i zamknął oczy. Oczywiście Mילו dotknął sedna sprawy: utrata Soczewki oznaczała dla Excalibura klęskę niemalże ostateczną.

Wyhodowany w laboratoriach firmy hybrydowy kryształ koloidalny odznaczał się unikatowymi właściwościami, dzięki którym mógł odegrać kluczową rolę w tworzeniu kolejnej generacji urządzeń komputerowych, opartych na technologii światłowodowej. Zasadą działania komputerów optycznych było kodowanie informacji w impulsy świetlne, a kryształ, nazwany z powodu swych właściwości Soczewką, miał być wykorzystany do kontrolowania procesu powstawania sygnału i nadzorowania wysoce specyficznej metody przesyłania go na poziomie mikroskopowym. Autorką podstawowej koncepcji była Patrycja Ingersoll, znakomita uczona, mająca na swoim koncie niejedną patent przemysłowy. Niestety, zanim mogła zabrać się do badań nad praktycznym zastosowaniem pomysłu, ciężka choroba unie-

możliwiła jej pracę w laboratorium. Jej najbliższym wieloletnim współpracownikiem w zespole badawczo-wdrożeniowym firmy Excalibur był Tyler Page, geniusz równie błyskotliwy, co ekscentryczny. Uczony nie miał wątpliwości, że uda mu się doprowadzić do końca prace Patrycji nad kryształem.

Gdy Jack podjął się dzieła ratowania Excalibura, postanowił oprzeć przyszłość firmy na rozwoju programu badawczego kryształu, oznaczonego kryptonimem Soczewka. Spoglądając wstecz, można było krytykować jego decyzję jako straszliwy błąd. Ta przygnębiająca myśl przemknęła mu przez głowę, gdy opuszczał kabinę windy. Ale w gruncie rzeczy była to przecież i wtedy, i teraz jedyna możliwa droga ocalenia przedsięwzięcia. Kiedy szukał funduszy na dalsze prowadzenie prac - mimo doskonałej opinii człowieka sukcesu, jaką Jack cieszył się w kręgach finansistów wspierających badania naukowe - nie chciano z nim rozmawiać. Prawda była prosta: po śmierci Patrycji Ingersoll nikt nie miał ochoty inwestować w działalność Excalibura. Dopiero pewnej nocy, gdy sącząc lekarstwo w postaci dobrej whisky, grzebał w starych archiwach finansowych firmy, dokonał niespodziewanego odkrycia - dawno, dawno temu Fundacja Aurory wsparła prace Excalibura. Z urywkowych zapisków w dokumentacji rozmów wynikało, że kontrakt został podpisany wskutek osobistej umowy między Patrycją Ingersoll a poprzednim prezesem Fundacji, panią Sybil Cabot. Sam kontrakt był niebywale zwięzły: zaledwie jeden akapit, który w sądzie nie oparłby się atakowi wyspecjalizowanych prawników.

Jack bez trudu dowiedział się, że Sybil Cabot zmarła dwa lata wcześniej, pozostawiając kierowanie Fundacją w rękach swojej siostrzenicy. Bez większych nadziei, lecz pozbawiony praktycznej alternatywy, skontaktował się z nowym prezesem, Elizabeth Cabot, proponując jej odnowienie ugody o finansowym wspieraniu prac Excalibura, i - ku swemu zaskoczeniu - usłyszał, że rozmówczyni zgadza się przedyskutować sprawę.

Gdy tylko wkroczył do biura mieszczącego się na piętrze starej obszernej rezydencji, zorientował się, że wpadł w nie lada tarapaty. Spędziwszy godzinę w towarzystwie Elizabeth, wiedział już, że tym razem ciśnie w diabły swoje zasady o rozgraniczaniu interesów i przyjemności.

Elizabeth dała się przekonać jego wywodom o potencjalnym sukcesie Excalibura; przyjęła również zaproszenie na kolację.

Dwa tygodnie później odkrył jej wcześniejsze powiązania z firmą Galloway i pojął, iż stapa po kruchym lodzie.

Odsunął od siebie myśli o burzliwych wydarzeniach z przeszłości i skierował się w głąb wysłanego miękkim dywanem korytarza, który wiódł do jego biura. O tak rannej godzinie - nie minęła jeszcze ósma - na całym piętrze panowała niezmacona cisza. Idąc, układał sobie w myśli listę spraw do załatwienia: w pierwszej kolejności trzeba zlecić sekretarce odszukanie numeru telefonu do krewnych Ryana Kendle'a. Co prawda Durand, oficer prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa technika, obiecał powiadomić rodzinę ofiary, ale jako dyrektor Excalibura, ostatni pracodawca Ryana, Jack uważał, że należy to do jego obowiązków. Myślał jednak z obawą o czekającej go rozmowie.

Z kartoteki personalnej Kencie<sup>1</sup> a wynikało, że nie ma rodziny w okolicy Seattle. Przyjęto go do pracy w laboratorium niedawno, kilka miesięcy temu. Był typem samotnika i w Excaliburze nie nawiązał żadnych bliższych znajomości. A teraz był już tylko trupem. Durand podejrzewał, że Kendle miał kontakty w kręgach handlarzy narkotyków i zastrzelono go na opustoszałym parkingu na Pioneer Square w trakcie niefortunnej transakcji.

Jack wszedł do sekretariatu swojego biura i odczuł ulgę na widok asystentki, która mimo wczesnej pory stawiła się do pracy. Marion stała za biurkiem, zajęta przygotowaniem kawy. Słyszac skrzypnięcie drzwi, odwróciła się do szefa. Jej twarz była ściągnięta ze zmartwienia. Widział rozszerzone obawą źrenice za soczewkami zbyt dużych okularów. Łyżeczka do kawy upadła z brzękiem na tackę.

- Panie Fairfax!

- Nie potrafisz nawet wyrazić, jak się cieszę, że już jesteś, Marion, czeka nas diabelnie ciężki dzień. Przypomnij mi o tej gorliwości, gdy nadejdzie czas na wypłatę premii.

- Panie Fairfax, powinien pan coś...

- Nie, nie teraz. Jedyne sposoby na przetrwanie tego ranka to podążanie wyznaczonym szlakiem, krok za krokiem. Wszystko w swojej kolejności!

Powiesił czarną wiatrówkę na pamiętającym poprzednie stu-

lecie mosiężnym wieszaku, który stał w rogu biura. Kiedy pół roku temu przyjął stanowisko szefa w Excaliburze, odkrył, że pracownicy firmy wyznają filozofię „luźnych piątków”, kiedy to tradycyjnie nie trzeba było przychodzić do pracy w formalnym ubiorze, a nawet rozciągają ją na wszystkie pozostałe dni tygodnia. Na korytarzach i w pracowniach tego przedsiębiorstwa normą były flanelowe koszule, dżinsy i tenisówki. On jednak od samego początku pojawiał się w firmie w garniturze i krawacie - nawet w przysłowiowe „luźne piątki”. W pewnych dziedzinach był bowiem niebywale konserwatywny. Gdy jednak odebrał o trzeciej w nocy alarmujący telefon o najnowszym nieszczęściu w Excaliburze, w pośpiechu narzucił na siebie pierwsze ubrania, która nawinęły mu się pod rękę: czarny sweter i parę dżinsów.

Telefon o tak nieoczekiwanej godzinie bynajmniej go nie obudził; siedział w ciemności saloniku ze szklanką whisky, wpatrzony w światła uliczne na Wzgórzu Królowej Anny, dumając nad zagadkowym zniknięciem kryształu z laboratoryjnego sejfów, które odkrył kilka godzin wcześniej.

Podchodząc do drzwi swojego gabinetu, zerknął przelotnie na Marion.

- Rozumiem, że wiesz już o wandalizmie w laboratorium 2B.

- Tak, proszę pana, powiedział mi o tym wartownik przy wejściu.

- Niebawem możemy oczekiwać telefonów z prasy i telewizji. Te rozrabiaki ze Straży Przedniej Jutra zaczną się przechwalać, jak to dokonali kolejnego udanego zamachu na szatańskie siły najnowszej technologii. - Jack urwał i sięgnął do klamki. - Zadzwoń do Langleya. Chcę go tu mieć natychmiast!

- Tak, proszę pana.

- Nikomu poza nim nie wolno rozmawiać z prasą. Jasne?

- Oczywiście, proszę pana. - Marion z dziwnym wyrazem twarzy wpatrywała się w szefa. Zniżyła głos: - Ale ja chciałam panu powiedzieć... kiedy przyszłam, już zastałam kogoś, kto na pana czekał w pana gabinecie.

- Durand, ten oficer śledczy? Wrócił? - Jack, który już odwrócił się do drzwi, zerknął na asystentkę przez ramię. - A czego jeszcze chce? Personalny dostał instrukcje, by dać mu kopie wszystkich dokumentów z teczek Kendle'a.

- Nie, proszę pana... - Marion odchrząknęła porozumiewawczo. - To nie oficer policji.

- Więc kto, u diabła, ma czelność wchodzić do mojego biura bez... - Urwał, bo właśnie ujrzał sylwetkę kobiety stojącej na tle wielkiego okna. A niech to szlag! Jednak mylił się co do nieszczęść; nie chodzą parami ani nawet trójkami, ale czwórkami!

## *Rozdział trzeci*

Przez całą noc męczyła się wyobrazeniami o nadchodzącej konfrontacji, a gdy wreszcie wybiła nieunikniona godzina, zadziwiła samą siebie; zachowała całkowity, niewzruszony spokój!

Rzecz jasna czuła zdradzieckie mrowienie na karku, ale tak było zawsze, kiedy znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie Jacka. Oczywiście nie sposób zaprzeczyć, że była odrobinę spięta... no dobrze, cholernie spięta. Ale z tym umiała sobie poradzić; przyzwyczała się do wewnętrznego napięcia, którym okupywała comiesięczne zebranie rady nadzorczej Excalibura.

Najważniejsze, że umiała się opanować i kontrolować swoje reakcje. Nie gestykulowała nerwowo i nie trzęsła się z gniewu. Odwrócona plecami, udawała, że przygląda się parkingowi przed budynkiem Excalibura i podziwia toń Jeziora Waszyngtona, rozciągającego się na horyzoncie.

Tak jest, zachowała zimną krew i opanowanie!

Rano starannie wybrała garderobę na czekającą ją bitwę i ściągnęła włosy w surowy gładki węzeł. Srebrnoszary kostium z kosztownej tkaniny w wążki, subtelne paski miał właściwy krój: poduszki w rękawach żakietu sprawiały, że linia ramion nabierała stanowczości, a mankiety spodni załamywały się przepisowo na klamerkach skórzanych czółenek na wysokim obcasie. W uszach połyskiwało dyskretne złoto eleganckich klipsów. Do kompletnego przebrania zwycięskiej amazonki brakowało jedynie łuku... Cóż za przynębiająca myśl!

- Dzień dobry, Elizabeth. Twoja wizyta to prawdziwa przyjemność!

Nie straci opanowania, niech się dzieje co chce! Nie zaczniesz wrzeszczeć na niego jak pierwsza lepsza jędrza, zachowa zimną krew. Całe szczęście, że to potrafi, bo wściekłość na Jacka bynajmniej nie osłabła od czasu tamtego niefortunnego incydentu w jadalni klubu Pacific Rim, tylko dołączył do niej lęk, że pewnego dnia znowu utraci kontrolę nad swoimi odruchami wobec tego mężczyzny i po raz drugi zrobi z siebie idiotkę.

Powoli odwróciła się od widoku spowitego mgłą jeziora i widmowych monolitów biurowców w centrum Seattle na drugim brzegu. Upewniła się, że na twarzy ma przyklejony najchłodniejszy uśmiezek, świadczący o idealnym opanowaniu. Nie było łatwo przywołać go na oblicze i nie była pewna, jak długo zdoła wytrzymać spojrzenie przeciwnika, zanim rodzący się w niej dreszcz podniecenia nie sprawi, że żołądek podejdzie pod samo serce, a gardło ściśnie odbierający mowę skurcz. Minęło już pół roku, a jej reakcje wcale nie słabły. Czym prędzej uczepliła się deski ratunku, czyli sprawy, która ją tu przywiodła.

- Dzień dobry - rzuciła twardym, rzeczowym tonem. - Jak rozumiesz, macie tu w Excaliburze pewien problem?

- Nic, z czym nie umielibyśmy sobie poradzić... - zamknął drzwi i gestem zaprosił Elizabeth, by usiadła w fotelu. - Proszę, Marion zaraz przyniesie nam kawę.

- Dziękuję. - Podeszła do najbliższego z kilku miękkich skórzanych foteli i osunęła się na siedzenie. Powolnym, wystudiowanym ruchem podciągnęła nieco nogawki wyśmienicie skrojonych spodni i skrzyżowała nogi w kostkach. Zachowywała zimną krew i panowała nad sytuacją, owszem, ale oddech

miała nieco przyspieszony i wyraźnie czuła pulsowanie krwi w żyłach biegnących wzdłuż nadgarstków. Przecież nie zaszło nic poza tym, iż w odpowiedzi na jego zaproszenie przeszła przez niewielką przestrzeń gabinetu, a jej ciało reagowało tak, jak gdyby mijała właśnie czterdziesta minuta codziennej godziny intensywnej zaprawy kondycyjnej.

Jack podszedł do biurka i usiadł na krześle wyściełanym czarną skórą, pochylił się do przodu i nacisnąwszy guzik interkomu, wydał sekretarce zwięzłe polecenie. Elizabeth przyjrzała mu się bacznie i drgnęła lekko, dostrzegłszy nieład bujnej czupryny, jak gdyby wstając z łóżka, przeczesał ją palcami, zamiast użyć grzebienia. A może to czyjeś palce niedawno przebiegały przez gęste fale w zmysłowej pieszczocie? Elizabeth wzięła się w garść, tłumiąc odruch serca, które drgnęło w mimowolnym bólu.

Nie umknęło jednak jej uciąż, że - jak na jego zwyczaj - jest ubrany niezwykłe niedbale. W czasie tych nielicznych okazji w ciągu minionych sześciu miesięcy, gdy się z nim stykała, zawsze miał na sobie pełną zbroję menedżera korporacji: surowo skrojony garnitur, wykrochmaloną koszulę i krawat w stonowanym odcieniu, dobranym do kolorystyki całego ubioru. Dzisiaj zaś czarny sweter i dżinsy sprawiały, że wyglądał jeszcze bardziej niebezpiecznie; dzianina ciasno opinała barki i pierś, nie pozostawiając wątpliwości co do siły drzemającej w tych szerokich ramionach i podkreślając pełną gracji, elastyczną sylwetkę, która bez wątpienia była zasługą nie dobrego kroju, lecz doskonałej budowy fizycznej.

Podczas pierwszej, upajająco zmysłowej fazy ich znajomości, która trwała zaledwie kilka tygodni, Elizabeth odkryła, że Jack regularnie trenuje, choć zamiast uprawiać popularne ćwiczenia wyrabiające mięśnie w swoim klubie odnowy fizycznej, studiuje jakąś szczególnie mało znaną wschodnią sztukę walki. Wtedy uznała jego zainteresowanie egzotycznym reżimem ćwiczeń i związaną z nimi filozofią za dowód szczególnej głębi duszy i skrywanej starannie skłonności do romantyzmu. Później śmiała się z tych interpretacji: oto, jak żądza potrafi zaślepić człowieka, upośledzić jego zdolności analitycznego postrzegania rzeczywistości! Poniewczasie stało się dla niej jasne, że upo-

dobanie, z jakim Jack zagłębia się w studia nad archaicznymi teoriami strategii i obrony, zdradzają nie romantyczną stronę jego osobowości, lecz drzemiące w nim okrucieństwo. Ten łądak był po prostu urodzonym drapieżką!

Otworzyły się drzwi i pojawiła się Marion z dwiema filiżankami kawy. Spojrzała kątem oka na Jacka, jak gdyby szukając wskazówek, jak ma się zachować; potem rozciągnęła wargi w uśmiechu i podała jedną z filiżanek Elizabeth.

- Dziękuję.

- Nie ma za co, panno Cabot. - Marion postawiła drugą kawę na biurku szefa i pospieszenie wysunęła się z gabinetu.

Elizabeth postanowiła udawać, że nie zauważyła zmieszania dziewczyny. Doskonale wiedziała, że wszyscy w Excaliburze będą ją traktować nieufnie, wiedząc, że to ona, zarządzając Fundacją Aurory, kontroluje kurek, z którego płynie forsa niezbędna dla dalszej egzystencji firmy. Nie byłaby też zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że pracownicy Excalibura słyszeli o incydencie w jadalni klubu Pacific Rim. Tego rodzaju plotki błyskawicznie rozchodzą się po mieście.

Jack przechylił filiżankę do ust i oparł się wygodniej na wyściełanym krześle, spoglądając spod oka na gościa.

- A więc słyszałeś o naszym małym kłopotcie, co? Zdumiewa mnie szybkość, z jaką dotarły do ciebie nowiny.

Elizabeth podniosła brwi.

- Oczywiście wiem, że jesteś zaskoczony. Jak długo zamie-  
rzałeś ukrywać przede mną prawdę?

Wzruszył ramionami.

- Sam dopiero co się dowiedziałem, kilka godzin temu. Nawet prasa nie zdążyła się jeszcze dostać do Excalibura.

- Chyba nie zamierzasz komentować tego w mediach? - spytała Elizabeth, unosząc brwi.

- Nie bardzo wiem, jak mógłbym tego uniknąć.

- Rozumiem. A czy już postanowiłeś, co właściwie zamierzasz powiedzieć reporterom, gdy w końcu się do was dobiórą<sup>0</sup>

- Cóż, niewiele jest do powiedzenia. - Jack wziął do ust kolejny łyk kawy i odstawił filiżankę. - Załatwiła nas ta sama banda chuliganów, która zdewastowała laboratorium uniwersyteckie i podpaliła Ecto-Design. Kilka dni zabierze nam usu-

wanie zniszczeń, ale w połowie przyszłego tygodnia 2B powinno wrócić do stanu pełnej użyteczności. Tymczasem zastosowaliśmy wzmoczone środki ochrony.

Elizabeth gapiła się na swego rozmówcę zbita z tropu.

- O czym ty mówisz, u licha?

Odparł jej spojrzenie szeroko otwartymi oczami niewiniątka.

- Przepraszam panią, panno Cabot, sądziłem, że roztrząsamy ubolewania godny przypadek wandalizmu, który odkryliśmy dzisiaj rano w firmie Excalibur.

- Jaki znowu wandalizm?

- W nocy grupa oprychów ze Straży Przedniej Jutra wdarła się do jednego z laboratoriów. Nie słyszałeś o tych oszołomach?

- Oczywiście, że słyszałam! - Elizabeth miała ochotę cisnąć mu w twarz zawartością naczynia, tak ją rozwścieczył tą swoją grzeczną, niemal uniozoną cierpliwością. W ostatniej chwili przypomniała sobie, co się stało poprzednim razem, gdy dała upust wzburzeniu i chęci rzucania w Jacka Fairfaksa czym popadnie. - To banda niedowarzonych narwańców, sprzeciwiających się postępowi technologicznemu. Czy wyrządzili poważne szkody?

Jack machnął lekceważąco ręką.

- Zdewastowali pomieszczenie, a część cennej elektronicznej aparatury jest bezpowrotnie zniszczona, ale ubezpieczenie powinno pokryć straty w całości. Jak mówiłem, za kilka dni wszystko wróci do normy!

- Ach, tak... - Elizabeth bębniła palcami po oparciu fotela. - Jak to się dziwnie składa, że Excalibur przesładuje ostatnio zła passa!

Brwi Jacka powędrowały do góry w wyrazie zdziwienia.

- A więc wiesz także o Kendle'u?

- O Kendle'u?

- Technik laboratoryjny, którego zabito nad ranem na Pioneer Square. Gliny przypuszczają, że ępał. Ktoś strzelił do niego na parkingu.

- Nie, nie słyszałam o śmierci pana Kendle'a. Strasznie mi przykro.

- Wszystkim nam jest przykro, panno Cabot. - Jack pochylił się i zacisnął palce na krawędzi biurka. - Żaden z tych in-



cydentów nie będzie jednak miał najmniejszego wpływu na postępy projektu Soczewka, a prezentacja dla Veltrana odbędzie się w wyznaczonym terminie. Niepotrzebnie pędziłaś do nas na złamanie karku z drugiego końca Seattle, by skontrolować sytuację w firmie, w którą twoja fundacja zainwestowała trochę szmalu.

Cóż za czelność! - pomyślała. Teraz usiłuje zrobić ze mnie zimmokrwistego chciwca. Przecież nie chodziło jej wcale o niebagatelne - nawiasem mówiąc - kwoty, które Fundacja Aurory utopiła w badaniach, sponsorując działalność Excalibura! Spojrzała mu prosto w oczy.

- Doceniam twoje wysiłki, by mnie uspokoić, i wierzę ci, gdy twierdzisz, że ani zdewastowanie laboratorium, ani śmierć technika nie zaszkodzą projektowi Soczewka.

- To świetnie! Jeśli więc rozwiązałem twoje niepokoje, sama rozumiesz... mam dziś mnóstwo pracy, pełen terminarz spotkań, więc nie obrazisz się, gdy cię poproszę, byś pozwoliła mi wrócić do pracy?

- Ależ nie rozwiązałeś moich niepokojów! - zaprotestowała Elizabeth łagodnie, jakby przemawiała do dziecka. — Powiedzia-łam tylko, że rozumiem, iż morderstwo i włamanie nie wpłyną na postępy w pracach nad projektem. - Zawiesiła głos w pełnej napięcia pauzie. - Zgodnie z moimi źródłami informacji, zniknął kryształ.

Musiała mu przyznać punkty za opanowanie; nawet nie drgnął, nie zmrużył oczu.

- A o tym skąd wiesz, u diabła?

Elizabeth rozmyślnie powoli zmieniła układ nóg: wyprostowała je, po czym skrzyżowała w drugą stronę.

- Jadłam wczoraj kolację z Haydenem Shawem.

- Ach, jak przyjemnie. - W oczach Jacka wyczytała zaledwie zdawkowe zaciekawienie. - Jego rozwód wreszcie się uprawomocnił, co?

Zesztywniała.

- Nie mam pojęcia. To było spotkanie wyłącznie w interesach.

- Ach, tak. Służbowe zaproszenie na kolację. Shaw podlizuje się inwestorom, by dali mu szmal na prace nad nową generacją sieci światłowodowej, tak? Cały czas byłem ciekaw, kiedy

wreszcie ruszy z miejsca. Kokosi się z tym projektem już prawie rok!

Hayden oniemiały ze zdumienia, słysząc, iż jego główny rywal wie o pilnie strzeżonej tajemnicy badawczej - pomyślała Elizabeth. Znowu uświadomiła sobie, że musi zachować czujność. Między Jackiem i Haydenem trwał jakiś zadawniony konflikt; nie znała jego historii i nie orientowała się, o co wtedy poszło, ale nie miała wątpliwości, że wzajemna wrogość obu panów wykracza daleko poza granice zwykłej rywalizacji w interesach.

- Wiesz zatem o projekcie Biegacz?

- Jasne! Shaw utopi mnóstwo forsy w tej mrzonce, zanim dojdzie do czegoś solidnego, ale to nie mój problem, tylko jego.

Elizabeth postanowiła zignorować pogardliwe rozbawienie w głosie rozmówcy.

- Hayden twierdzi, że krąży pogłoski, jakoby wasz bezcenny kryształ... jedyny istniejący egzemplarz... wyparował z laboratoriów Excalibura. Skradziony?

Jack złączył palce obu dłoni w kunsztowną wieżyczkę.

- Dam pani darmową poradę, panno Cabot.

- Cóż za szczodrość! Jednak nie przyszedłam tu po radę.

- Wiem o tym, ale z wrodzonej dobroci serca i tak ją pani dam. Proszę nie ufać Haydenowi Shawowi nawet za ten grosz, jakiego wart jest jego tak zwany geniusz!

- Jakie to zabawne. On dał mi dokładnie taką samą radę co do pańskiej osoby!

- Założę się, że tak właśnie zrobił!

Elizabeth podniosła do ust filiżankę.

- Może byśmy tak wrócili do tematu? Jak skomentujesz pogłoski, o których wspomniałam?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że w naszych kręgach plotki mnożą się szybciej niż nowo powstające przedsiębiorstwa, i są równie mało wiarygodne.

- Sugerujesz, że Hayden powtarza zmyślenia bez pokrycia? Czy kryształ jest bezpieczny?

- Powtarzam, że w Excaliburze wszystko jest pod kontrolą.

A jednak straciła panowanie nad sobą, mimo wszystkich postanowień, z jakimi wybrała się tu tego ranka.

- Do cholery, Jack! Nie próbuj mnie okłamać! Utopiłam już

kilkset tysięcy dolarów z konta Fundacji Aurory w tym przedsięwzięciu! Jestem członkiem rady nadzorczej!

Jej rozmówca skrzywił się niemal niedostrzegalnie.

- Nie musisz mi przypominać o swojej nadrzędnej pozycji.

- Mam prawo być o wszystkim informowana!

Jack przez chwilę milczał, patrząc na nią badawczo, jak gdyby była interesującą próbką laboratoryjną, potem wzruszył ramionami.

- Co ci właściwie powiedział Shaw?

Z wysiłkiem powściągnęła wzburzenie.

- Mówiłam ci, że słyszał, jakoby z waszego laboratorium skradziono nowy eksperymentalny materiał, a oboje wiemy, że w Excaliburze jest tylko jedna pilnie strzeżona tajemnica, prawda? Jack. powiedz mi wreszcie! Czy kryształ zniknął? Żądam prawdy! Tak czy nie?

Długo wpatrywał się w nią miodowozłotymi oczami, które pomrocniły złowróbnie, aż Elizabeth poczuła paniczne bicie serca. To na nic, i tak mnie okłamał - pomyślała. Czemu właściwie spodziewała się, że Jack zdobędzie się na wyznanie prawdy? Miał swoją listę priorytetów, a jeśli nawet jej osoba się na niej znalazła, to z pewnością niedaleko końca, z krótką notatką przy nazwisku: „Cabot - ignorować, kiedy się da; oszukać, jeśli zapędzi w kozi róg”. Wreszcie usłyszała:

- To prawda. Kryształ zniknął, a wraz z nim Tyler Page.

Elizabeth wlepiła w niego niedowierzający wzrok, bardziej oszołomiona nieoczekiwaną szczerością niż potwierdzeniem nowiny o zniknięciu Soczewki. Wreszcie wzięła się w garść i zamknęła usta, które same się rozchyliły pod wpływem zaskoczenia. Ruszyła do ataku.

- Wcale nie miałeś zamiaru mnie informować.

- Chciałem tego za wszelką cenę uniknąć. - Jack oderwał dłoń od krawędzi biurka i położył je płasko na blacie. - Widzisz, miałem pewien plan...

- Oczywiście! Jakżeby nie! Zawsze' umączysz, że masz jakiś plan. Ale czy nie jest już ociupinę za p(żno, Jack? Jako członek zarządu firmy uważam, że byłoby przty zorniej wzmoc ochronę projektu, zanim kryształ zniknął.

- Panno Cabot, plan dotyczył odnalezienia Tylera Page'a

i kryształ, zanim pani czy ktokolwiek inny z rady zdążyłby się dowiedzieć o ich zniknięciu!

- Nawiasem mówiąc, kiedy właściwie to się stało?

- Sam nie wiem. Wczoraj pracowałem do późna w nocy. Jakiś impuls pchnął mnie do tego, by koło dziewiątej przeprowadzić niezapowiedzianą kontrolę zabezpieczeń, i wtedy stwierdziłem zniknięcie kryształ. Na jego miejscu zostawiono pusty pojemnik, dokładną kopię oryginalnego. Gdybym nie sprawdził zawartości, wciąż nie wiedzielibyśmy, że Soczewka wymknęła nam się z rąk.

Elizabeth zmarszczyła czoło.

- Ach, podstawiono pojemnik będący kopią oryginału?

- Tak... wciąż trzymamy go w sejfie, bo o swoim odkryciu nie powiedziałem nikomu z wyjątkiem Mila. Wszyscy inni sądzą w dalszym ciągu, że kryształ leży sobie bezpiecznie w laboratorium. Zespół badawczy otrzymał polecenie, by nie zaglądać do niego aż do powrotu doktora Page'a.

- Ale pewnie masz jakąś hipotezę dotyczącą tego, kiedy kryształ zniknął?

Jack ledwie dostrzegalnie wykrzywił wargi.

- Wczoraj po południu Tyler Page wyszedł wcześniej do domu, tłumacząc się chorobą. Zakładam, że wziął kryształ ze sobą.

- Chcesz powiedzieć, że tak sobie po prostu wyszedł z Soczewką w kieszeni?

- Tyler Page to najbardziej szanowany członek ekipy badawczej, strażnikom nic przyszło więc do głowy, by go rewidować.

Elizabeth zalała nowa fala wzburzenia.

- Czemu nie doniesiono mi niezwłocznie o tym zniknięciu?

- Przede wszystkim dlatego, że znając twoją bojowość, przewidziałem, iż wytoczysz ciężkie armaty i zagroźisz wycofaniem poparcia finansowego.

Uśmiechnęła się ozięble.

- Myliłeś się.

- Czyżby?

- Co najmniej w jednym względzie. - Poderwała się na nogi. - Nie zamierzam wytaczać armat, choć przedyskutuję sprawę z moimi prawnikami, jak tylko wrócę do biura. Po-

zbawiony kryształ Excalibur nie ma szans, oboje doskonale o tym wiemy! Fundacja ma w takich okolicznościach prawo wycofać się ze swoich zobowiązań.

- To chyba nieco krótkowzroczna polityka, nie sądzisz? Ty i twoja ukochana Fundacja możecie stracić fortunę w przyszłych zyskach. Soczewka jest warta miliony, jeśli się spojrzy perspektywnie!

- Najpierw jednak musiałbyś odzyskać kryształ, prawda?

- Odnajdę go, panno Cabot. - Oczy Jacka lśniły wojowniczym wyzwaniem, gdy bez mrugnięcia powiek wpatrywał się w rozmówczynię. - Nawet przez chwilę w to nie wątpiłem i proponuję, by i pani w to uwierzyła.

Na dźwięk niezachwianej pewności w jego głosie Elizabeth poczuła dreszcz, jakby końcówki nerwów drażniono delikatnymi wstrząsami elektrycznymi. Wierzył w każde swoje słowo. On uczyni wszystko, co konieczne, by odnaleźć kryształ! Powoli osunęła się z powrotem na fotel.

- Jaki masz więc plan?

Jack wpatrywał się w nią przez długą chwilę, po czym wstał z za biurka i wyciągnął z kieszeni džinsów pęk kluczy.

- Chodź ze mną. Chcę ci coś pokazać.

Kiedy Elizabeth się zaważała, zerknął na nią przez ramię.

- Nie martw się! Nie zamierzam znowu cię zapraszać, byś podziwiała moje zbiory miedziorytów. Nie zapomniałem nauczki sprzed pół roku!

## Rozdział czwarty

Piętnaście minut później, gdy Jack zatrzymał samochód przed niepozornym domkiem, wciąż kipiła z tłumionej wściekłości. Goryczą przepełniał ją fakt, że tak łatwo dała się zepchnąć do defensywy. Wystarczyła czytelna aluzja do ich jednonocnej przygody! Jak to możliwe, by tamto wspomnienie nadal wywierało na nią taki wpływ? To on powinien rumienić się z zakłopotania na wzmiankę o ich krótkotrwałym romansie, nie ona!

Przyjrzała się bacznie brudnym szybom w oknach, ogarnęła spojrzeniem zachwaszczony i zaniedbany trawnik, odrapane balustradki ganku, z których oblażyła farba.

- To ma być dom doktora Page'a?

- Nie inaczej. Jak widzisz, gość nie przywiązuje wagi do szczegółów życia codziennego. - Jack wyłączył silnik, wyjął kluczyki ze stacyjki i wysiadł. Pochylił się i wsunął głowę przez uchyloną szybę. -

Szukałem go tu wczorajszej nocy, gdy tylko połapałem się, że kryształ zniknął, ale już go nie było.

Elizabeth powoli wysiadła z samochodu, Jack obszedł maskę i ruszyli w stronę ganku. Wyjął z portfela klucz.

- Skąd go masz? - zapytała Elizabeth stanowczo.

- Podejrzliwa z pani kobietka, panno Cabot!

- Uczę się na własnych błędach, choć bywają bolesne. Na przykład dawno temu zorientowałam się, że gdy chodzi o ciebie, opłaca się zadawać pytania, zanim się podejmie decyzję.

Skwitował ten niezbyt subtelny wyrzut lekkim skinieniem głowy.

- Rozumiem, co masz na myśli, mówiąc o uczeniu się na błędach. Ja na przykład już od pół roku nie zamówiłem w restauracji wody z lodem!

Obrzuciła go spojrzeniem bazyliuszka. Już drugi raz zrobił uszczypliwą aluzję do bolesnej nauzki sprzed sześciu miesięcy. Czyżby uważał się w tamtej aferze za pokrzywdzoną stronę? Cóż za bezczelność!

- Widocznie cierpisz na jakąś fobię - odparowała głosem ociekającym fałszywą słodyczą. - Powinieneś zwrócić się po radę do specjalisty. Jakiś dobry psychiatra...

- Nie mam na to czasu. - Przekręcił klucz w zamku i nacisnął klamkę. - Poza tym butelkowana woda mineralna wychodzi w sumie taniej niż kuracja u psychoterapeuty!

- Czy powiesz mi wreszcie, jak wszedłeś w posiadanie klucza do domu Page'a? - Elizabeth wzdrygnęła się, słysząc w swoim głosie ton pruderyjnej skromności. Cóż za potwór z tego Jacka, że zawsze budzi w niej najmniej chwalebne cechy charakteru! Wzruszył ramionami i otworzył drzwi.

- Page trzyma zapasowy klucz w szufladzie biurka. To klasyczny przykład roztargnionego uczonego, który ciągle zatrzaskuje dom i samochód, zostawiając klucze w środku.

- Aha, a ty po prostu pozwoliłeś sobie wziąć zapasowy klucz z jego biurka?

- Tak, psze pani. W duchu wolnomyślności, z jaką on pozwolił sobie zabrać próbkę mojego kryształu!

- Naszego kryształu - poprawiła go odruchowo. - Zakładasz więc, że to Page ukradł Soczewkę?

~ Robocza hipoteza w braku lepszej. - Jack przepuścił ją przed sobą. - Wziąwszy pod uwagę jego zniknięcie i to, że był jedyną osobą mającą nie tylko motyw i sposobność, lecz również wiedzę technologiczną, jakiej wymagało wykradzenie kryształu z laboratorium, zdecydowałem się oprzeć rozumowanie na tej przesłance, przynajmniej na razie. Może podsuniesz mi lepszy pomysł?

- Nie. nie potrafię. - Wzrok Elizabeth oswoił się z półmrokiem panującym we wnętrzu pomieszczenia. Nagle się zatrzymała. - Dobry Boże! Masz rację, z Page'a był kiepski gospodarz!

Pokój był zagracony i zaniedbany. Widać było, że dawno nikt nie ruszył palcem, by choć powierzchownie go ogarnąć: na zapadniętej kanapie, przykrytej tandetną pomarańczową narzutą, poniewierały się wyblakłe poduszki, wszystkie sprzęty pokrywała gruba warstwa kurzu, a wytarty dywan od co najmniej dziesięciu lat nic zaznał pieścioty odkurzacza. Na talerzu utrzymującym chwiejną równowagę na poręczu kanapy, gdzie ktoś go w roztargnieniu zostawił, zaskorupiały resztki posiłku, a na niskim stoliku obok stała filiżanka z zaschniętą na dnie brunatną garstką fusów, porośniętych czymś zielonkawym. Elizabeth pomyślała, że trudno by nawet było nazwać ten pokój „zagraconym”; pomieszczenie tchnęło duchem starości, jak gdyby wchodząc do niego, przenieśli się w przeszłość. Sceneria była w nieuchwytny sposób znajoma: smugi promieni słonecznych przedzierały się przez żaluzje i tworzyły na zakurzonej podłodze regularny wzór, jak w starym filmie. Elizabeth wreszcie skojarzyła: niechlujne biuro prywatnego detektywa... za chwilę przez oszklone drzwi wkroczy tajemnicza klientka.

! wtedy zauważyła na ścianach plakaty z filmów - rewolwerowcy o chłodnych oczach, kobiety fatalne, kuszące nadaśanym pięknem, plamy krzykliwej żółci i czerwonego atramentu i kontrastujące z nimi posępne strefy cienia. Zerknęła na tytuły: *Błękitna dalia*, *Mildred Pierce*, *Obcy na trzecim piętrze*...

- Page jest amatorem czarnego kryminału... - stwierdziła.

- To jeszcze nie wszystko. - Jack zamknął za nimi drzwi.

Elizabeth powoli przemierzała pokój.

- Wygląda na to, że po prostu wyszedł i w każdej chwili można spodziewać się jego powrotu.

- Nie sędę. Szafa na ubrania jest pusta, z łazienki zniknęły przybory toaletowe. Nie, on się wyniósł, zabierając ze sobą kryształ. Mogę się założyć!

- Ale czemu miałyby go kraść? Co może zdziać z nim na własną rękę?

- Może go sprzedać - ponuro oświadczył Jack.

- Ale Excalibur opatentował kryształ, i to na kilka sposobów! Żaden rywal nie kupi tego, bo przez wiele lat nie wytknąłby nosa z sali sądowej!

Wargi Jacka skrzywiły się w gorzkim uśmiechu.

- Wyłączywszy rywali na naszym rynku, mamy jeszcze mnóstwo potencjalnych kupców, zagraniczne spółki i kilka obcych rządów, które nie będą się przejmować taką drobnostką jak prawo autorskie.

Elizabeth westchnęła.

- Oczywiście masz rację.

- No i, rzecz jasna, zostajemy jeszcze my - dodał pod nosem Jack.

- Co?! - Okręciła się na pięcie. - Czemu Tyler Page miałyby próbować sprzedać kryształ z powrotem Excaliburowi?

- A czemu nie? Wie, że od tego kryształu zależy przyszłość firmy i że jesteśmy pod presją terminów. Jeśli nie zdołamy przedstawić Soczewki w umówionym czasie Veltranowi", leżymy. Wyprodukowanie próbki dostatecznie dużej, by nadawała się do demonstracji, zajęłoby długie miesiące.

- Ależ to tak, jakby wziął zakładnika i żądał okupu! - wykrzyknęła.

- Otóż to.

- To drań... - Urwała, gdyż uderzyła ją jeszcze czarniejsza myśl. - Nie wierzę, że spróbuje nam sprzedać kryształ. Excalibur nie ma gotówki na zbyciu, a nawet gdybym sięgnęła do rezerw Fundacji Aurory, nie będziemy w stanie zapłacić tyle co zagraniczne konsorcja czy rządy obcych państw. Tyler Page na pewno dobrze o tym wie.

- Jasne, ale z dwóch powodów skłonny jestem sądzić, że da nam prawo pierwokupu.

- Z jakich?

- Po pierwsze Page to błyskotliwy naukowiec, ale w innych

dziejzinach facet jest dość ograniczony. Większość życia spędził w laboratorium i wątpię, by wiedział, jak skontaktować się z zagranicznymi biznesmenami, a co dopiero z agendami obcych rządów. Do tego trzeba pewnego obycia i doświadczenia...

- A może jakiś zagraniczny klient skontaktował się z nim z własnej inicjatywy?

- Możliwe, ale sędę, że gdyby już ubił interes, byłby na tyle sprytny, by zwać z kraju. Musi przecież wiedzieć, że nie spoczne, póki go nie wygrzebie choćby spod ziemi!

Elizabeth zmarszczyła czoło, słysząc w głosie rozmówcy chłodną zawziętość.

- Szukałbyś go za własne pieniądze, marnując swój czas, nawet gdyby było już za późno, by ocalić Excalibura?

- Nie miałbym wyboru - oświadczył Jack.

- Jak to, nie miałbyś wyboru? Oczywiście miałbyś wybór! Możesz zawsze odejść z Excalibura, machnąć ręką na straty i znaleźć sobie następnego klienta.

- To nie w moim stylu - wyjaśnił i rozejrzał się po salonie, jak gdyby znudzony kierunkiem, jaki przybrała rozmowa.

- Chwileczkę! Czy mam rozumieć, że to kwestia twojej reputacji?

- Elizabeth, pomyśl trochę. Jestem konsultantem i reputacja to jedyne, co mam do zaoferowania, Zawsze dotrzymuję ducha, a nie litery kontraktu. Żaden klient jeszcze nie zatonął, póki byłem u steru. Nie zamierzam tworzyć precedensu w tej sprawie z Excaliburem.

- Na litość boską, przemawiasz jak płatny zabójca, który zarabia na życie, sprząając wrogów swoich klientów!

Jack wzruszył ramionami.

- Niech ci będzie.

- To, co planujesz, to zemsta. To nie ma nic wspólnego z zawodową reputacją!

Przybrał jeszcze bardziej znudzony wyraz twarzy.

- Nazywaj to, jak chcesz. Sedno sprawy polega na tym, że nie spoczne, póki nie znajdę Page'a. I mam przecucie, że on o tym wie.

Elizabeth przyjrzała mu się czujnie.

- W porządku, pojęłam. Chcesz powiedzieć, że pierwszym

powodem, dla którego Page jest jeszcze w kraju, jest brak doświadczenia w nawiązywaniu kontaktu z zagranicznymi nabywcami kryształu. A drugi powód, dla którego jeszcze się tu kręci?

Kiwnął głową, wskazując plakat na ścianie.

- Oto on.
- Nie chwytam...
- Poznaj namiętność człowieka, a poznasz jego słabość.

Elizabeth, oszołomiona, przyjrzała się bliżej sylwetkom zagadkowo uśmiechniętego Humphreya Bogarta i uwodzicielskiej Lauren Bacall, wpatrzonym w siebie z wyrazem napięcia w oczach. Tytuł filmu brzmiał: *Mroczne przejście*.

- No dobra, Page kocha czarne kryminały. I to ma ci pomóc go znaleźć?

- On nie ogranicza się do oglądania starych filmów. Sam jest producentem!

- Nie rozumiem...

Jack podszedł do stolika i podniósł jedną z książek rzuconych w nieporządnym stos. Na biało-czarnej okładce Elizabeth zauważyła słowo *noir*, stanowiące część tytułu. Jack otworzył książkę i wyjął z niej broszurkę wydrukowaną na lśniąącym papierze.

- Znalazłem to wczoraj w nocy, gdy szukałem jakichś śladów - wyjaśnił i wyciągnął w jej stronę zadrukowane kartki. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie prywatnego detektywa o niechlujnym wyglądzie, ubranego w charakterystyczny prochowiec i trzymającego pistolet. Stał w ciemnym zaułku, a blask neonu nad wejściem do pobliskiej knajpy rzucał ostry cień jego profilu na bruk. Pod zdjęciem żółtą czcionką wydrukowano napis: „Doroczny Festiwal Filmów Czarnego Kryminału w Mirror Springs”. Elizabeth podniosła wzrok na swego towarzysza.

- O co tu chodzi!'

- Już ci powiedziałem, Tyler Page wyprodukował film. - Jack wskazał kciukiem jeden z plakatów z wystawy na ścianie. - Konkretnie ten.

- Zartujesz! - Elizabeth podeszła bliżej. Liternictwo i grafika naśladowały stare wzory, niewątpliwie w hołdzie minionym arcydziełom, ale po dokładnym obejrzeniu okazało się, że zdjęcie jest całkowicie współczesne. Widniała na nim blondynka o uwo-

dzielskiej urodzie, posagowych rysach twarzy i oczach, w których kryły się miocne tajemnice zbrodni. Suknia obcisła jak druga skóra eksponowała wspaniałą figurę. Aktorka trzymała pistolet z niedbałą zręcznością, jak gdyby była przyzwyczajona do jego ciężaru. U góry przez całą szerokość plakatu biegł napis wydrukowany krzykliwie szkarłatną farbą: „Gdy raz zwiążesz się z zakazaną ferajną, jesteś uwiązany na fest!”.

Elizabeth prześlizgnęła się wzrokiem po reszcie plakatu: „*Zakazana ferajna* - w roli głównej Victoria Bellamy. Producent - Tyler Page”. Podniosła wzrok.

- I co z tego?

- Zajrzyj do tej broszurki. To właśnie jeden z filmów, jakie będą wyświetlane w czasie festiwalu w Mirror Springs.

Przekartkowała informator, aż znalazła w katalogu pozycję „*Zakazana ferajna*, producent: Tyler Page”. Spojrzała Jackowi w oczy.

- Wyprodukowanie nawet takiego krótkiego, niezależnego filmu jak ten kosztuje kupę forsy. Skąd Page miałby ją wziąć?

- Dobre pytanie. - Uśmiechnął się ciepło. - Przypadkiem znam kogoś, kto jest za pan brat z komputerami, więc poprosiłem go, żeby zajrzał za kulisy konta bankowego Page'a i zrobił mi wydruk obrotów za cały miniony rok.

- To chyba nie jest zgodne z prawem?

- Kradzieży owocu tajnych badań naukowych pracodawcy też nie sposób zaliczyć do działań zgodnych z prawem, nie sądzisz? Tak czy inaczej w ciągu ostatnich kilku miesięcy Page wydał kupę forsy, głównie na wydatki związane z produkcją filmu, ale suma wszystkich wypłaconych kwot i tak nie dorównuje nawet najskromniejszemu budżetowi filmowemu, więc domyślam się, że musiał mieć innych inwestorów.

Elizabeth ściągnęła brwi w zamyśleniu.

- Ale tylko jego wymienia się jako producenta?

- No właśnie. Kto wie? Może wniósł największy wkład. Mój geniusz komputerowy powiadomił mnie jeszcze, że dwa dni temu Page wyczerpał konto do ostatniego centa, a poza tym od tamtej chwili, gdziekolwiek się podziewa, ani razu nie skorzystał z karty kredytowej.

- Ach, więc twój haker sprawdził też karty kredytowe Page'a?

- Uważam, że skrupulatność to dobra dewiza życiowa. Elizabeth uśmiechnęła się kwaśno.
- Cóż, zostawmy na razie kwestię legalności metod. Przyznaję, że wszystko wskazuje na to, iż Page od dawna planował swoje zniknięcie.
- Dam sobie rękę uciąć, że lak było! Ale drugą możesz mi odciąć, jeśli nasz milutki uczonek nie wypłynie tam, gdzie się go spodziewam. - Oczy Jacka zalśniły satysfakcją.
- Masz na myśli ten festiwal? - spytała Elizabeth, zerkając na broszurkę.
- Tak! Wszystko, co miał, wladował w ten film. Nawiasem mówiąc, wątpię, by to była profesjonalna produkcja. To raczej taki sobie niezależny filmik, żaden hollywoodzki przebój kasowy. Prawdopodobnie jedyny raz pojawi się na ekranie właśnie na tym festiwalu. Ale zgodnie z informacjami, jakie w ciągu minionych godzin zebrałem na temat Tylera Page'a, a zapewniam cię, że wykonałem staranną robotę, jedno jest jasne jak słońce.
- Co mianowicie?
- Choćby się paliło i waliło, Page znajdzie sposób, by być obecnym na premierze *Zakazanej ferajny*, bo wyprodukowanie tego filmu stanowiło ukoronowanie jego marzeń. On postrzega siebie jako potentata filmowego. Przez ten jeden tydzień festiwalu jego sen się spełni. Kto potrafiłby się oprzeć takiej pokusie?
- Elizabeth, pojąwszy wszystko, pospiesznie sprawdziła datę podaną na pierwszej stronie informatora.
- Festiwal zaczyna się w sobotę, dziś mamy środę.
- W piątek rano lecę do Mirror Springs. Założę się, że ten nędzny sukinsyn też się tam zjawi. Czuję to w kościach. A ja będę na niego czekał.
- Ponura groźba w głosie Jacka obudziła niepokój Elizabeth. Poczwała dreszcz przebiegający po krzyżu.
- Może powinniśmy zawiadomić policję.
- Wiesz równie dobrze jak ja, że gliny nic by nam nie pomogły. To typowa „zbrodnia w białej rękawiczce”, występ popełniony w zamkniętym świecie korporacji i biznesu, a w tego rodzaju sprawach policji się po prostu nie wzywa. Chodzi nam o odzyskanie kryształu, a nie posłanie Page'a do ciupy. Gdyby tylko zwęszył, z<sup>1</sup> policja myszkuje za nim, nie

odnaleźlibyśmy go na czas, by przeprowadzić w terminie prezentację dla Veltrana.

- Niechętnie, ale muszę ci przyznać rację.
- Doskonale się orientowała, że w tego rodzaju kłopotach w dziewięciu przypadkach na dziesięć firmy nie zawiadamiają policji - obawiając się złej reklamy, paniki klientów i potencjalnych inwestorów. Każda rada nadzorcza przy odrobinie zdrowego rozsądku glosuje przeciw zgłoszeniu przestępstwa organom ścigania.
- Mamy dwie szanse na odnalezienie Page'a - ciągnął Jack. - Albo skontaktuje się ze mną w sprawie odkupienia kryształu, albo pokaże się na festiwalu. Osobiście stawiam na obie ewentualności.
- Ja nie byłabym taka pewna. Na litość boską, jesteś menedżerem, a nie prywatnym detektywem. Skąd ta pewność, że potrafisz go odnaleźć?
- Ach, cóż za bezprzykładne zaufanie! Oszczędź mi dalszych zachwyków i tej bezbrzeżnej admiracji. Nie jestem pewien, jak zniósłbym tyle komplementów od największego sponsora mojego aktualnego klienta!
- Elizabeth postanowiła nie odpowiadać na zaczepkę. Nienawidziła, gdy mówił o niej tak, jakby była kimś w rodzaju potężnej walkirii w masywnym napierśniku! Zawsze w towarzystwie Jacka dotkliwie odczuwała swoją kobiecość, ale jego kąśliwe uwagi dawały wszem i wobec do zrozumienia, że jej subtelny wdzięk potrafiłby zatopić *Titanica*. Zamknęła broszurę i powoli, wystudiowanym gestem włożyła ją do torebki, po czym posłała swemu rozmówcy twardy uśmiech:
- Trafiłeś w sedno, Jack. Jestem największym inwestorem, wobec tego odzyskanie próbki kryształu jest i moją sprawą. Jadę z tobą do Mirror Springs!
- Jego oczy zwięzły się w złowróżbne szparki.
- Nic z tego!
- Jeśli Page proponuje ci wykupienie kryształu, będziesz potrzebował gotówki, i to dużej. Żaden bank nie da ci tego rodzaju sumy na piękne oczy. Excalibur nie ma rezerw, a wątpię, byś miał odpowiednią kwotę na swoim prywatnym koncie. Spójrz prawdzie w oczy! Potrzebujesz Fundacji Aurory...

~ Sam potrafię ubić interes z Pagedem.  
- Możliwe, ale nie zamierzam do tego dopuścić. Traktuj mnie jak kartę kredytową: nigdzie się beze mnie nie ruszysz!

Jack przez chwilę mierzył ją badawczym spojrzeniem.

- Będę się ociera! o granice prawa...

Demostracyjna protekcyjność przepełniła czarę jej rozgoryczenia.

- Na przykład?

- Mirror Springs to osada w Kolorado, u podnóża Gór Skalistych, wiesz, jedna z tych ekskluzywnych miasteczek pełnych drogich pensjonatów, z butikami na każdym rogu. Jestem pewien, że już od miesiąca wszystkie miejsca w hotelach i zajazdach zostały wykupione przez miłośników, w czarnego kryminała. Nie zdołasz znaleźć pokoju na poczekaniu.

Elizabeth uśmiechnęła się szyderczo.

- A tobie jak się udał ten cud?

Machnął niedbale ręką:

- Zadzwoiłem do przyjaciela, który jest wiceprezesem rady nadzorczej jednego z większych hoteli tu w Seattle, a on skontaktował się ze swoją drugą ekszoną, która ma znajomości w tamtych okolicach, bo prowadzi hotel w Denver. Znalazła dojsie do recepcjonisty w przybytku zwanym Zajazd w Mirror Springs. Mimo to musiałem zapłacić potrójną cenę.

- Jestem pewna, że i mnie uda się podobna sztuczka.

Jack obnażył zęby w drapieżnym uśmiechu, na widok którego dreszcz przebiegł jej po karku.

- Skoro nalegasz na towarzyszenie mi do Mirror Springs, może uda mi się namówić cię, byś skorzystała z gościny w moim pokoju - zaproponował zbyt grzecznie, by nie wzbudzić podejrzeń. Oczy zapłonęły mu wyzywająco. - Musiałabyś co prawda bardzo grzecznie mnie poprosić...

- Dziękuję, twoja cena jest odrobinę zbyt wysoka. - Z wysiłkiem utrzymała na twarzy maskę zdawkowego uśmiechu. - Na pewno zdołam znaleźć coś tańszego.

Odwróciła się na pięcie i pomaszerowała do drzwi.

Ojej, ależ się popisałam! Dojrzała, doświadczona kobieta, co? Och, Elizabeth, czy nigdy nie nauczysz się postępować z mężczyznami?

## Rozdział piąty

Jack wyężonych słuchem uchwycił stłumiony wydech i poczuł na policzku delikatne muśnięcie powietrza, które zwiastowało potężnego kopniaka, wymierzonego wprawną stopą. Zręcznie uchylił się na bok, a stopa przeciwnika śmignęła o kilka centymetrów od jego twarzy. Gdyby cios był celny, powaliłby go nieprzytomnego na ziemię. Szybciej niż błyskawica odwrócił się twarzą do napastnika, chcąc wykorzystać ten ułamek chwili, zanim tamten odzyska równowagę po gwałtownym wymachu. Złapał go za ramię i pociągnął do siebie. Przeciwnik nie zdołał wyhamować pędu, z jakim przed chwilą zadał kopniaka, i poleciał do przodu.

Larry, przyrodni brat Jacka, stracił równowagę, zręcznie przeturlał się po macie i uniósł się, wykrzywiając twarz w grymasie rezygnacji. Sprężyste podskoczył na nogi i odpowiedział na formalny ukłon Jacka.

- Trzy razy z rzędu położyłeś mnie na matę -



poskarżył się, gdy wychodzili z sali. - Za wiele ćwiczysz! To nie fair...

Jack zdał sobie sprawę, że brat ma rację - ostatnio większość wolnego czasu spędzał, trenując w dojo, pomieszczeniu specjalnie przeznaczonym do tego rodzaju walk. Potrzebował wysiłku fizycznego i treningu opanowania umysłu, jakich wymagała ta sztuka walki. Niewiele miał innych sposobów na rozładowanie stresu: na przykład seks. Od pół roku żył w celibacie godnym mnicha.

- Ostatnie kopnięcie o włos mnie załatwiło - pocieszył brata.

- Bzdura! - Larry ściągnął ciemne brwi. - Wiesz co, Jack? Jeśli będę wciąż przegrywał ze starszym bratem, moje poczucie godności własnej bardzo na tym ucierpi.

- Ojej, naprawdę? Kto ci to powiedział? - Jack przyglądał się parze studentów, ćwiczących na drugim końcu dojo.

- Zdaje się, że wyczytałem to w jakimś czasopiśmie.

- Larry! Ostrzegłem cię przed tymi szmatławcami dla prawdziwych mężczyzn!

- Ja tylko czytam artykuły - zastrzegł brat ze świętoszkowatym grymasem.

- Właśnie w tym cały problem...

Larry wyszczerzył zęby.

- Sądzisz, że powinienem skoncentrować się raczej na zdjęciach?

- Eee, oszczędzaj siły. Osobiście próbowałem wczuwać się w te fotki, ale trudno między nimi znaleźć coś choćby odrobinę podniecającego.

- Rzecz jasna nie zastąpią autentycznego życia towarzyskiego, braciszku. Domyślam się, że przez ostatnie pół roku usiłowałaś je wykorzystać właśnie w tym celu.

- Miałem kupę roboty. - Jack zorientował się, że zaczyna się tłumaczyć, i to go rozczłóściło. Dlaczego szukał wymówek?

Poza tym i tak wiedział, że nie nabierze Larry'ego, bo choć młodszy brat umiejętnie stwarzał pozory zagubionego w świecie nauk ścisłych studenta politechniki, w stosunkach z innymi ludźmi zdradzał niebывałą intuicję.

Wychowywali się oddzielnie i z wyjątkiem ojca nie mieli właściwie ze sobą wiele wspólnego. Fizycznie też nie łączyło

ich nic poza kolorem oczu: Lany był dziesięć centymetrów wyższy, miał jasne włosy i twarz przystojniaka ze srebrnego ekranu. Znali się dopiero od kilku lat, ale szybko połączyła ich więź wzajemnej sympatii, która okazała się trwała i głęboka. Dzięki Larry'emu, jego żonie Megan i ich niedawno urodzonej córeczce Jack po raz pierwszy - i na razie jedyny - zaznał odrobiny życia rodzinnego.

Larry rzucił mu wszystkowiedzące spojrzenie.

- Ile miałeś randek, trzy? W tym jedną z Sandrą, która jest kuzynką Megan, więc się nie liczy.

- Czemu się nie liczy? - Jack zmarszczył czoło, usiłując przypomnieć sobie szczegóły wieczoru spędzonego w towarzystwie krewnej szwagierki. Niewiele utkwiło mu w pamięci. Miała chyba milutką buzię i pulchną figurkę, zaokrągloną, gdzie trzeba, i zdaje się, że zanudził ją prawie na śmierć. Sam przynajmniej śmiertelnie się nudził i właściwie przez cały czas krążył myślami wokół innych tematów. W gruncie rzeczy wokół jednego: zastanawiał się, czy Elizabeth też ma tego wieczoru randkę.

- Nie liczy się - ciągnął niewzruszenie Larry - bo Megan powiedziała mi później, że przy kolacji przez dwie godziny gadałeś wyłącznie o stanie gospodarki w północno-zachodnich stanach, a po tym frapującym wykładzie odwozłeś jej kuzynkę do domu i nigdy więcej do niej nie zadzwoniłeś.

- Miałem kupę roboty. - Jack zastosował niezbyt błyskotliwy wykręt.

- Gówno prawda! Cały czas zadrezczasz się myślami o tamtej babce z Fundacji Aurory.

- Larry, nowoczesny mężczyzna nie zadrezcza się myślami. Pamiętaj, bo to ważne. Zadrezczanie się wspomnieniami po nieudanych romansach to przeżytek z innej epoki, z czasów gdy ludzie popełniali rozmaite szaleństwa i nie ponosili konsekwencji, bo się tłumaczyli, że to miłość ich do nich popchnęła. Dziś nie zajdziesz daleko taką wymówką.

- Wiesz co? Przyjdzie dzień, kiedy położę kres twoim pouczeniom! Oczywiście zdaję sobie sprawę, że musisz nadrobić stracone lata, ale mnie naprawdę nie potrzeba twoich kazań - Larry spiorunował brata wzrokiem. - O czym chciałeś ze mną pogadać?

- Słuchaj, czy mógłbyś znowu zabawić się w czarodzieja i zdobyć kilka informacji o stanie finansów faceta o nazwisku Dawson Holland?

Ciemne oczy Lany'ego zapłonęły dobrze znaną Jackowi ciekawością komputerowego maniaka.

- Niewykluczone. Czemu się nim interesujesz?

- Jeszcze nie jestem pewien, czy w ogóle się nim interesuję. Ale od czegoś trzeba zacząć. Znasz to powiedzonko: „idź tropem forsy”? Holland zajmował się tworzeniem pakietu finansowego na realizację małej niezależnej produkcji filmowej pod tytułem *Zakazana ferajna*, ja zaś szukam wszystkich informacji na temat tego filmu, a co za tym idzie, jestem zainteresowany postacią Hollanda.

- Nie muszę włączać komputera, żeby powiedzieć ci już jedno. Kimkolwiek jest ten typ, to skoro organizował fundusze na produkcję filmu, z pewnością sam nie wyłożył ani grosza. Za to będzie jedynym, który ma szansę coś na nim zarobić. Prawdziwi sponsorzy nie zobaczą złamanego centa z forsy, jaką w nim utopili. Tak już jest w filmowym biznesie: zarabiają na nim tylko ci goście, którzy obracają cudzymi pieniędzmi.

- Wiem o tym nie od dziś. - Jack pomyślał o świątyni ku chwale sztuki filmowej, jaką urządził w swoim domu Page. - Mimo to wciąż od nowa znajdują się naiwniacy, gotowi włożyć kupę szmalu w produkcję nowego, potencjalnego kasowego przeboju.

Lany wzruszył ramionami.

- Zaślepia ich blask srebrnego ekranu. Wszyscy chcą udawać, że są wielkimi rybami w filmowym światku, wałęsać się po wyciwni, ocierać o gwiazdy, uczestniczyć w pokazach premierowych, być na ty z reżyserami i zobaczyć swoje nazwisko w czołówce. Wiesz, przemysł filmowy to najekskluzywniejszy klub świata: masa ludzi gotowa jest wyłożyć górę szmalu, byle do niego należeć.

- Wiem. Wyszukaj wszystko, co się da o Hollandzie i samym filmie. Dzwon do mnie na komórkę, wyjeżdżam na jakiś czas.

Oczy Larry'ego załśniły rozbawieniem.

- Nie mów, że bierzesz urlop?

- Niezupelnie. Co wiesz na temat czarnych kryminałów?

- Co, te czarno-białe filmy z lat czterdziestych? Gangsterzy i ich cizie, i nieogoleni prywatni detektywi? Żyj szybko, umieraj w cierpieniach, takie kryminalno-filozoficzne kawałki? Oczywiście oglądałem w nocnej telewizji kilka klasyków. Niektóre miały świetne dialogi.

- Wiesz więcej ode mnie, ale mam zamiar podszkolić się w tej dziedzinie. Jadę na festiwal czarnych kryminałów.

Lany przyglądał się bratu badawczo.

- Sam?

- Właściwie będę w towarzystwie współnika w interesach.

- Ach, cóż za niebywale frapująca wyprawa! Kim jest ten „wspólnik”?

- To Elizabeth Cabot.

Larry zawył ze śmiechu, aż brat zmrużył groźnie oczy.

- Co cię tak śmieszy?

- Ty, braciszku f - Wycie stopniowo ucichło i przeszło w złośliwy chichot, - Jedziesz na festiwal czarnego kryminału, zabierając ze sobą *osobistą femme fatale!*

## *Rozdział szósty*

Kiedy zaczęłaś się pasjonować czarnym kryminałem? - Louise rzuciła jej podejrzliwe spojrzenie znad szkielec okularów, których zawsze używała do czytania. - Jasna cholera, przecież ty nawet nie lubisz chodzić do kina. Założę się, że nie potrafiłabyś wymienić tytułu filmu, który zdobył w tym roku Oscara.

Elizabeth przystanęła przed biurkiem swojej asystentki.

- Wiercisz mi dziurę w brzuchu, że powinnam zażywać więcej rozrywek, że pracuję zbyt często i pora na mały urlop. No, więc zaczęłam się rozglądać za czymś i wpadła mi w oko reklama tego festiwalu. Pomyślałam, że to niezła odmiana.

- Odmiana, akurat! Prędeż mi kaktus wyrośnie, niż uda ci się mnie nabrać. Pamiętaj, z kim rozmawiasz. Sama ciągle powtarzasz, że Louise wyczuje łgarstwo na kilometr.

Elizabeth nie zdołała powściągnąć uśmiechu.

- Przepraszam, czasami zapominam o twoim niebywałym doświadczeniu w tej dziedzinie.

Cały personel Fundacji Aurory składał się z Louise Lutrell i, oczywiście, Elizabeth, która odziedziczyła asystentkę wraz ze stanowiskiem prezeski. Kilka oprawionych w ramki pożółkłych wycinków z rozmaitych brukowców na biurku panny Lutrell upamiętniało jej karierę dziennikarską: „Kobieta uprowadzona przez UFO poślubia swoich porywaczy”, „Żaba zjadła mężczyznę”, „Przebudzenie starożytnej mumii”... Pod każdym artykułem widniało nazwisko Louise.

Była gwiazda reportażu liczyła sobie nieco ponad sześćdziesiąt lat, miała obfite loki, pełną figurę i skłonność do stanowczych opinii, a w biurze pełniła funkcje sekretarki, recepcjonistki, doradcy i zausznika. Codziennie z wybiciem dziewiątej rano otwierała drzwi rezydencji i przejmowała w swe wyłączne władanie skrzydło przeznaczone na siedzibę Fundacji. Elizabeth skłonna była uznać, że gdyby zabrakło Louise, organizacja zawaliłaby się z wielkim hukiem.

- No widzisz? Jestem zawodowym wykrywaczem kłamstw! - Louise przewróciła oczami i zerknęła badawczo na Elizabeth. - No, więc zacznij wreszcie mówić do rzeczy! Co tu się dzieje? Nie zamierzasz czasami strzelić jakiejś piramidalnej gafy?

Powinna była przewidzieć, że nie nabierze Louise!

- Może rzeczywiście ładuję się w kłopoty, ale nie mam wielkiego wyboru.

- Wal śmiało, zniosę wszystko. Do cholery, przecież bez zmruczenia oka przysłuchiwałam się opowieściom o mumiach kosmitów. Cokolwiek trzymasz w zanadrzu, trudno ci będzie zbić mnie z tropu.

Elizabeth przemierzyła całą szerokość wspaniałego antycznego dywanu, tkanego w purpurowo-złoto-czarne wzory i podeszła do okna. Nad Seattle rozciągało się pogodne, wczesnojesienne niebo. W dzień taki jak ten dziesiątki zawodowych fotografów wyprawiało się poza miasto, by cyknąć sielankowy widoczek góry Mount Rainier czy obelisku Space Needle, stosowny na okładki kalendarzy i pocztówki.

Z okna rezydencji rozciągał się widok na skupiska wieżowców mieszkalnych na przedmieściach metropolii. W jednym z tych

osiedli miał swój apartament Jack. Wiele nocy spędziła, wpatrując się w strzelisty budynek z betonu i stali, a raz czy dwa wygrzebała nawet z szuflady przepaścistego biurka, odziedziczonego po ciotce Sybil, lornetkę, której starsza pani używała do obserwacji ptaków, by sprawdzić, czy uda jej się dojrzeć, co dzieje się na trzydziestym piętrze. Niestety przyciemnione szyby w oknach udaremniały wszelkie próby podglądactwa.

Skupiła uwagę na poszarpanej linii wieżowców w centrum miasta, usiłując zebrać myśli.

- Zniknął Tyler Page. naukowiec stojący na czele projektu Soczewka. Zdaje się, że wziął ze sobą próbkę nowego kryształu.

Zapadła cisza. Wreszcie Louise odchrząknęła.

- Cholera jasna...

- Właśnie.

- A lak z czystej ciekawości: z jakimi stratami należy się liczyć?

- Gdyby prezentacja kryształu przebiegła pomyślnie i Gary Veltran podpisał umowę licencyjną? - Elizabeth spojrzała prosto w oczy asystentki. - Nie da się tego oszacować. Potencjalne zyski Excalibura można by liczyć w milionach dolarów.

- A Fundacja Aurory miałaby w nich niebagatelny udział - dokończyła Louise z miną kota stojącego nad miseczką mleka. Sama była współudziałowcem Fundacji.

- Ale jeśli nie odzyskamy kryształu albo gdyby się okazało, że nie sprawdza się w praktycznym zastosowaniu, Fundacja będzie narażona na poważne straty.

- Ale nie na bankructwo?

- Nie, potrafimy przetrwać utratę Soczewki. Z drugiej strony dla Excalibura rzeczywiście oznaczałoby to ostateczną klęskę. W tej chwili naszym najgorszym wrogiem są plotki. Już krążą rozmaite pogłoski. Gdyby ktoś zadzwonił i poprosił o komentarz na temat stanowiska, jakie zajęła Fundacja Aurory w stosunku do klienta, firmy Excalibur, to oficjalnie nie wyrażamy żadnych niepokojów. Nic złego się nie dzieje.

- Oczywiście. Nie martwimy się i nic złego się nie dzieje. - Louise zmrugała oczy. - Innymi słowy, portki nam się trzęsą jak jasna cholera. A jak się ma ten festiwal czarnego kryminału w Mirror Springs do próby odzyskania kryształu?

- Jack Fairfax uważa, że Page się tam pokaże.

- Zaraz, zaraz... jak proszę? - Krzesło sekretarki zaskrzypiało, gdy w oszołomieniu osunęła się na nie całym ciężarem. Odchrząknęła i podjęła zapalczywie: - O co tu chodzi? Ten nędzny wyrutek społeczeństwa, podstępny padalec, dwulicowy łajdak też jedzie na ten festiwal?

W uśmiechu Elizabeth trudno byłoby dopatrzeć się radości.

- Nie mogę pojąć, kto ci przekazał tak niepochlebą opinię o Jacku Fairfaksie.

- Ty sama, nie udawaj niewiniątka! - Louise zacięła usta i zamyśliła się. - Choć w gruncie rzeczy czuję dla tego sukinsyna pewnego rodzaju podziw. Musi w nim być coś, czego próżno by szukać w twoich poprzednich amantach.

Na obliczu Elizabeth pojawiło się gniewne zaskoczenie.

- Co masz na myśli?

- To, przez co oblałaś go wodą z lodem przed publicznością złożoną z najgrubszych ryb naszego miasteczka, - Louise ochotczo wyszczerzyła zęby. - Znam cię od małej dziewczynki i wiem, że w tej knajpie pierwszy raz w życiu straciłaś panowanie nad sobą i urządziłaś prawdziwą scenę na oczach innych. Szkoda, że Sybil nie mogła tego widzieć. Uwielbiała, gdy przedstawicielki rodzaju żeńskiego czynnie dowodziły swej równości z mężczyznami.

- O, gdyby znała przyczyny mojego popisu, nie byłaby chyba zadowolona - ucięła Elizabeth i z odrobiną zażenowania zerknęła na portret wiszący na wyłożonej boazerią ścianie naprzeciw biurka. Sybil Cabot patrzyła z niego na siostrzenicę surowymi, aczkolwiek nie pozbawionymi błysku humoru oczami, zdradzającymi niepospolitą inteligencję, która była za życia jej znakiem firmowym. Elizabeth doskonale pamiętała dzień, w którym ciotka przywołała ją do tego biura i oznajmiła, że chce przekazać w jej ręce Fundację.

„Jesteś jedyną osobą w rodzinie, która z dwóch powodów potrafi sprawić, by Fundacja osiągnęła pełen potencjał swoich możliwości: znasz się na finansach i zarządzaniu i masz instynkt hazardzisty. W głębi duszy odczuwasz pragnienie, by od czasu do czasu pójść na ryzyko, a tego właśnie potrzeba Fundacji Aurory, by rozwinęła skrzydła”.

Ilekróć ryzykowała w interesach, dopisywało jej szczęście, ale w życiu prywatnym niezmiennie stawiała na złego konia. Nie wiedzieć czemu, łatwiej jej przychodziło wybrać obiecujący pakiet akcyjny niż odpowiedniego mężczyznę.

Louise przechyliła głowę i mrugnęła filuternie:

- Jedziesz do Mirror Springs w towarzystwie Jacka Fairfaksa? To znaczy dosłownie w jego towarzystwie?

- Nie, nie będziemy się o siebie ocierać ani w samolocie, ani w hotelowym holu - oświadczyła Elizabeth wyniośle. - Pódróżujemy oddzielnie i... ach, właśnie! - Urwała. - Muszę zarezerwować jakiś pokój, a podobno miasteczko jest zapchane do granic możliwości przez uczestników festiwalu. Jak myślisz, uda ci się coś wyczarować?

- Chyba tak. - Louise wyprostowała się i sięgnęła po skorowidz. - Mirror Springs to popularny ośrodek sportów zimowych, a Bóg mi świadkiem, że wśród naszych obecnych i byłych klientów aż się roi od zapaleńców narciarskich rozkoszy. No i zostały mi jeszcze kontakty z dziennikarskich czasów. Pódrzonię tu i tam. Zdaje się, że jeden z wydawców, z którymi kiedyś pracowałam, ma tam chatę.

Elizabeth wbrew woli zerknęła na krzykliwe nagłówki w oprawnych w ramki szpaltach.

- Ale to nie jest żadna mumia ani kosmita, co?

- No, jeśli będziesz wybrzydząć...

- Nie, masz rację, wezmę, cokolwiek uda ci się znaleźć.

Louise przeglądała fiszki.

- Tak więc ty i Jack Fairfax macie zamiar zabawiać się w detektywów. To może być interesujące...

- Proponowałam, byśmy powiadomili policję, ale sama wiesz, jak reaguje świat interesów na wszelkie pogłoski o oficjalnych dochodzeniach.

Louise parsknęła z pogardą.

- Nikt nie wzywa glin w sprawach przekrętów gospodarczych!

- I to z niebagatelnych powodów. - Elizabeth skierowała się do swojego gabinetu. - Daj mi znać, kiedy znajdziesz pokój w Mirror Springs, dobrze? Ach, i nie zapomnij o rezerwacji na lot do Denver i wynajęciu samochodu na tamtejszym lotnisku.

- Aha. - Louise uderzyła się w czoło. - Byłabym zapomniała, znowu dzwonił twój szwagier.

Elizabeth ponuro jęknęła.

- Merrick? Co mu powiedziałaś?

- To samo co za każdym razem: że jesteś zajęta.

- Co jest zresztą świętą prawdą!

- Ale nie możesz wiecznie go unikać.

- Wiem. Przynajmniej przez kilka dni, zanim nie wrócę z Kolorado.

W oczach Louise pojawił się badawczy błysk.

- A tak z czysto prywatnej ciekawości., kto wpadł na pomysł wspólnej wyprawy do Mirror Springs: ty czy Fairfax?

- Nie kpj sobie ze mnie. Naturalnie, że ja. On oczywiście chciałby działać samodzielnie, ale kazałam mu wybić sobie to z głowy. Czy mu się to podoba, czy nie, jadę z nim!

Louise zagrzebała nos w pliku kartek z adresami.

- Tego się właśnie obawiałam...

zwariowałeś! - Milo, podrygując i podskakując, przemierzał salon w apartamencie Jacka. - Teraz nie możesz wyjechać! Toniemy po uszy w kłopotach!

- A jedyny sposób, by je rozwiązać, to znaleźć Page'a i ten cholerny kryształ. - Jack pojawił się w drzwiach sypialni, walcząc ze spinkami do mankietów. - Mirror Spnngs to pewny ślad.

- Nie podoba mi się to, ani trochę.

- Mnie również, ale nie wydaje się, żebyśmy mieli wybór. Pamiętaj, że w czasie mojej nieobecności masz zadanie tłumić plotki i zapobiegać panice. Oficjalnie wszystko jest pod kontrolą, dobra?

- Wiem, wiem. Dobrze, jakoś sobie poradzę, choć kuzynka Angela już się ciska. - Twarz Mila stężała w wyrazie niesmaku. - Wczoraj znowu poleciała do tej panny Cabot.

Jack przeszył go badawczym spojrzeniem.

- Znasz powód tej wizyty?

- Pojęcia nie mam! - Milo rozłożył bezradnie dłonie. - Może to zwykła próba, jaką podejmuje przy okazji każdego spotkania

rady, próbując odwieść pannę Cabot od poparcia dla twojej dyrektorskiej strategii. Angela wykombinowała sobie, że jeśli zdoła przeciągnąć ją na swoją stronę, zdobędzie wystarczającą liczbę głosów, by się ciebie pozbyć.

Jack usławił sobie, że dotychczas Elizabeth popierała go na każdym kroku, ale sojusz z Angelą mógłby się źle skończyć dla jego planów. Milo tymczasem patrzył na niego w osłupieniu.

- Włożyłeś frak!

- Bystre oko, stary! - Jack wyjrzał przez okno i zdjął z wieszaka płaszcz. Z okien salonu miał doskonały widok na Wzgórze Królowej Anny. Wyteżywszy oczy, mógł nawet dojrzeć migotanie świateł w pałacyku Elizabeth. W minionym półroczu spędził niejedną noc, siedząc samotnie, jedynie w towarzystwie szklaneczki whisky, wpatrzony w daleką poświatę. I powtarzając surowo, że zakup teleskopu byłby postępkiem idiotycznym i kiczowatym - wprost z popołudniowego serialu.

A do tego bezcelowym...

Przeprowadził - dla celów czysto naukowych - eksperyment z lornetką i przekonał się, że taras biegnący wzdłuż okien jej sypialni jest tak gęsto zastawiony ozdobnymi krzewami i drzewkami, że nie sposób zajrzeć do środka pomieszczenia.

Ciekawe, czy w tej chwili Elizabeth też ubiera się na przyjęcie?

Już od kilku dni - zanim jego uwagę oderwało zniknięcie kryształ - szykował się na doroczny bal dobroczynny z uczestnictwem wielu prominentów biznesu, bo choć zazwyczaj wykręcał się od tego rodzaju imprez, tej oczekiwał z mieszaniną podniecenia i przeczucia, że może stać się punktem zwrotnym. Takie same uczucia towarzyszyły mu w dniach poprzedzających każde kolejne zebranie rady nadzorczej: sposobność, by ujrzeć Elizabeth, okazja, by się dręczyć rozważaniami o tym, co mogło być i co się nie stało, by snuć beznadziejne marzenia o tym, jak los daje mu nową szansę.

I wtem los rzucił mu w dłoń tykającą bombę zegarową! Dobrą stroną sytuacji była okazja, by spędzić kilka dni w bliskości Elizabeth, ściśle z nią współpracując. Oczywiście była i zła strona: oboje będą się znajdować pod nie lada presją. Powtarzał sobie, że tylko łut szczęścia pozwoli mu przetrwać tę epopeję przy zdrowych zmysłach. Tymczasem Milo żądał wyjaśnień:

- Czemu, u licha, włożyłeś frak? Chyba nie wybierasz się dziś na przyjęcie? Przecież rano wylatujesz do Mirror Springs!

- Już ci kiedyś mówiłem o balu dobroczynnym.

- Nadal chcesz tam iść? Po tym wszystkim, co nas spotkało? - Milo aż otworzył usta ze zdziwienia.

Jack zerknął niecierpliwie na zegarek.

- Właśnie dlatego powinienem się tam pojawić. Gdybym teraz odrzucił zaproszenie, dopiero zaczęłyby krążyć plotki nie z tej ziemi! Nie możemy sobie na to pozwolić. Pamiętaj, Milo: w kręgach biznesu przyjęcia stanowią zaczyn każdego działania.

- Do diabła z tym! - Milo skrzywił się. - Bardzo chciałbym wiedzieć, kto w ogóle zapoczątkował te pogłoski!

- Ja też, ale teraz nie ma czasu na tropienie przecieków. Zajmiemy się tym, gdy już odzyskamy kryształ. - Jack wyciągnął klucze.

Milo posłusznie podreptał za nim do wyjścia.

- Powiedz mi prawdę, Jack, czy wierzysz, że uda ci się odnaleźć Page'a?

Jack spojrzał na niego przez ramię, otwierając drzwi. Jakże doskonale rozumiał jego troskę! Młode, niedoświadczone ramiona Mila musiały unieść ciężar niemal ponad jego siły.

- Znajdę go, Milo. Naprawdę!

## *Rozdział siódmy*

Wzrok Haydena Shawa przykuła nowa sylwetka w drzwiach migotliwej sali bankietowej.

- Właśnie przyszedł Jack Fairfax. To może oznaczać jedną z dwóch możliwości: albo pogłoski o tarapatach Excalibura są fałszywe, albo...

Elizabeth podniosła brew.

- Albo?

- Są absolutnie wiarygodne, a wy oboje robicie dobrą minę do złej gry, żeby wszyscy sądzili, że nic się nie stało.

Sama się zdziwiła, jak autentycznie zabrzmiał jej swobodny chichot.

- Mogę ci powiedzieć tylko tyle: Jack Fairfax to zimnokrwisty facet i potrafiłby słać się na balu nawet wtedy, gdyby palił mu się pokład pod nogami, ale mnie nie byłoby na to stać, żeby w obliczu poważnych problemów w mojej Fundacji popijać sobie szampana na jakimś przyjęciu. Siedziałabym

w swoim biurze, skulona nad komputerem, krzepiąc się mocną kawą i wydzierając sobie włosy z głowy!

Rzeczywiście z wielkimi oporami zgodziła się uczestniczyć w dzisiejszym balu na cele dobroczynne. Tylko myśl, że rezygnując z uczestnictwa, wysłała bardzo klarowny sygnał do wszystkich, którzy usłyszeli coś o kłopotach Excalibura - na przykład do Haydena - przekonała ją ostatecznie. Jack kierował się tym samym rozumowaniem, ale mocno wątpiła, by bawił się lepiej niż ona, stojąc tu jak na rozżarzonych węglach. Ciekawa była, czy ją zauważył w towarzystwie Haydena i czy jej widok w przyjacielskich stosunkach z jego wrogiem zdenerwował go choć trochę. Wiedziała, że nawet jeżeli tak było, nie zdradzi rozdrażnienia. Mógłby z samym diabłem grać w pokera! Ale właściwie czemu miałoby ją w ogóle obchodzić jego zdenerwowanie? Głupie pytanie! Znowu naszedł ją ten dziwny nastrój, który towarzyszył jej przed spotkaniem z Jackiem. Równie łatwo mogła przewidzieć dokuczliwą mieszaninę emocji, którym ulegała w dni poprzedzające posiedzenia rady nadzorczej w Excaliburze, co nieuniknione z punktu widzenia biologii comiesięczne przypadłości kobiece. Ciekawe, co by powiedział Jack Fairfax na wiadomość, że perspektywa jego bliskości wywołuje w niej ostry stres, przypominający zespół napięcia przedmiesiączkowego!

A teraz czekał ich cały tydzień razem. Dobry Boże, jak przetrwa tę męczarnię? Szacowanie prawdopodobieństw było u Elizabeth niemal automatycznym nawykiem, ale w tym przypadku nie umiała przewidzieć, jak rozwiną się ich wzajemne stosunki i czy się nie pomordują, zanim jeszcze zdążą odnaleźć Tylera Page'a.

Hayden zmierzył pełnym podziwu wzrokiem misterną fryzurę Elizabeth.

- Wyglądasz dziś przeuroczo.

- Dziękuję.

Zniżył głos do gardłowego szeptu.

- W tej sukni jest ci cholernie do twarzy...

Udawała, że nie dostrzega pożądanego spojrzenia ześlizgującego się aż po brzeg nisko wyciętego dekoltu. Hayden był interesującym mężczyzną. Odnosił niebagatelne sukcesy w życiu, a harmonijne rysy twarzy, ciemne włosy i ciepłe orzechowe oczy

czyniły go dziesięć razy bardziej przystojnym od Jacka Fairfaksa. Poza tym był od niego kilka lat młodszy - mimo to flirtowanie z nim tego wieczoru byłoby ostatnią rzeczą, na jaką miałyby ochotę. Wczorajsze zdawkowe pytanie Jacka o stan cywilny Haydena wprawiło ją w zażenowanie. I o to przecież chodziło temu podstępemu łajdakowi! Już zaczęła sobie wyobrażać, że mogłaby szczerze zainteresować się Haydenem.... Oczywiście powiedziała sobie stanowczo, że puści w niepamięć komentarz o rozwodzie, ale wiedziała, że jej się to nie uda. Jak większość znajomych pozostawała w przekonaniu, że rozwód Haydena to sprawa ostateczna i dokonana, aż do chwili, gdy Jack zadał niewinne, zdawałoby się, pytanie.

No i rzeczywiście: poprosiła swego radcę prawnego, by dyskretnie zasięgnął informacji i okazało się, że rozwód jest jeszcze w toku. Małżeństwo było bezdzietne, lecz najwidoczniej para nie mogła dojść do porozumienia w sprawie podziału majątku. W tej sytuacji Elizabeth postanowiła trzymać się z daleka od ewentualnych komplikacji. Co prawda trudno by jej było zarzucić Haydenowi otwarte kłamstwo, ponieważ nigdy się na to nie zdobyła, by zadać wprost to raczej niedyskretne pytanie. Jakże miałyby wypytwać bez ogródek, czy już ma w ręku rozwód - zwłaszcza że właściwie jeszcze nie zaprosił jej nawet na prawdziwą randkę? Dotychczas wszystkie spotkania z Shawem można było na upartego zaliczyć do rozmów o interesach. Ostatnio w ich wzajemnych stosunkach zaszła pewna bardzo subtelna zmiana. Trudno byłoby uchwycić dokładnie chwilę, w której Hayden zaczął wysyłać sygnały świadczące o czymś więcej niż służbowym zainteresowaniu jej osobą. Były one zresztą nadal tak ulotne, że nie mogła stwierdzić z całą pewnością, że odczytuje je właściwie, przede wszystkim dlatego, że wciąż uchylała się od refleksji nad swoim niewesołym życiem intymnym. Rany zadane przez Jacka jeszcze się nie zablizniły.

Pomyślała ze smutkiem, że bardzo długo już czeka, aż się zagoją, co więcej, bolały coraz bardziej. Stawała się nadmiernie wrażliwa w jego obecności. Choćby dzisiaj: Hayden nie musiał jej informować o przybyciu Jacka, po prostu to poczuła. Te niesamowite doznania były widocznie jakąś prymitywną pozostałością z czasów jaskiniowych, która poprzedzała u praprzodków reakcję ucieczki lub walki.

Skoro nie potrafiła oderwać od Jacka oczu, starała się przynajmniej śledzić go w możliwie dyskretny sposób.

Frak nie tuszował charakterystycznej drapieżności ruchów. Chyba nawet podkreślał ledwie kontrolowaną zmysłowość, którą Jack roztaczał wszędzie, gdzie się znalazł. Na jego widok znowu poczuła w okolicy żołądka ciepło. Jak zawsze, osobliwa reakcja fizjologiczna przyprawiła ją o zmieszanie, ale uparcie patrzyła, jak zbliża się do gromadki mężczyzn, stojących nieopodal bufetu. Wydało jej się, że demonstracyjnie pokazuje obojętność dla jej obecności na przyjęciu. Tymczasem Hayden zamruczał jej do ucha:

- Wiesz co? To, że spotkaliśmy się na służbowym przyjęciu, nie oznacza, że musimy rozmawiać o aktualnych zagadnieniach gospodarki.

Rzuciła mu roztargnione spojrzenie.

- Nie zauważyłam, byśmy o nich dyskutowali.

- Masz rację. Próbowałem po prostu przyciągnąć twoją uwagę, którą lak mocno skupiłaś na Fairfaksie. - Uśmiechnął się nieco smętnie.

- A czemuż nie miałabym go zauważać? Ostatecznie mam spory udział w akcjach Excalibura. a kieruję się zasadą, by zawsze śledzić losy moich inwestycji.

Hayden parsknął śmiechem, który zaskoczył ją szorstkim, prawie napastliwym brzmieniem.

- Gdyby jakaś kobieta gapiła się na mnie takim maślanym wzrokiem jak ty na Fairfaksa, pomyślałbym raczej, że rozważa coś innego niż wysokość zysków, jakie mogę dla niej wypracować!

Elizabeth uśmiechnęła się grzecznie i odstawiła kieliszek.

- Cóż, wreszcie domyśliłeś się strasznego sekretu mojej zachłanności. Mam chrapkę na wszystko!

- Może tak, a może nie... -Przyglądał jej się w zamyśleniu. - Nie jest łatwo cię rozgryźć, Elizabeth, ale skoro już wspomniałaś Excalibura, czy sprawdziłaś pogłoski, o których ci wspomniałem?

- Oczywiście. Wszystko tam jest w doskonałym porządku.

- Cieszę się... Cóż, może namówię cię na jeden taniec?

- Innym razem, dobrze? W gruncie rzeczy mam tu pewne sprawy do załatwienia.



- Znasz to powiedzenie: nadmiar pracy zamienia człowieka w nudziarza?

- Obawiam się, że za późno na ostrzeżenia! Nadmiar pracy już zrobił ze mnie bardzo nudnego dyrektora...

Hayden błysnął urokliwymi oczami.

- Założę się, że rozwiązałbym ten mały problem w czasie miłego przedłużonego weekendu nad morzem. Co powiesz na taką propozycję: wylecimy w piątek rano i wrócimy w poniedziałek, bardzo, bardzo późno?

Jednak nie myliła się co do jego sygnałów! W duszy jęknęła z rozpaczą, oderwała wzrok od Jacka i posłała Haydenowi błady uśmiech.

- Cóż za zbieg okoliczności, że wspomniałeś o weekendzie. Rzeczywiście wyjeżdżam z miasta na mały urlop. Moja sekretarka twierdzi, że bardzo tego potrzebuję.

- Może więc przydałaby się odrobina stymulującego towarzyswa w czasie tego urlopu? - podjął Hayden z nadzieją. I ja marzę o chwili odpoczynku.

Elizabeth uświadomiła sobie, że ten człowiek nie odpuści. Lepiej będzie załatwić to raz na zawsze. Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zdaje się, że jeszcze nie zapadł wyrok w twojej sprawie rozwodowej. Mam taką zasadę: nie spędzam weekendów z żonaty mi.

Hayden skrzywił się boleśnie.

- Aj! Rozumiem twoją aluzję. A gdybym ci powiedział, że ten przeklęty proces powinien się skończyć już kilka miesięcy temu, a sprawa się wlecze, bo Gillian to szczególnie wredna i mściwa baba?

- Nic z tego, dla mnie to żadna różnica. - Przełożyła do drugiej dłoni miniaturową torebkę ze złotego brokatu i zrobiła krok do przodu. - Wybacz, ale muszę cię zostawić. Widzę kilku klientów Fundacji. Powinnam się z nimi przywitać.

- Jasne, jasne! - W oczach Haydena mignęła wrogość, lecz już po chwili stężyła w wymuszonym grymasie naśladowującym uśmiech. - Wiesz, lada dzień uporam się z tym cholernym procesem. Nawet ci przebiegli prawnicy Ringsteada nie mogą wiecznie przewlekać sprawy. Wtedy pogadamy o naszym długim weekendzie.

- Zobaczmy. - Elizabeth celowo uchyliła się od konkretnych obietnic. Coś jej mówiło, że nie spędzi z tym mężczyzną żadnego weekendu. Odeszła, aby odbyć obowiązkową rundę po sali, witając klientów i potencjalnych inwestorów Fundacji. Cały czas czujnie uważała na ekran niewidzialnego dla innych wewnętrznego radaru, ale ani razu nie ostrzegła ją o bliskości Jacka, choć co jakiś czas jego sylwetka migała w tłumie. W pewnej chwili ujrzała, że stoi oparty niedbale o bar, ze szklanką w dłoni, pograżony w rozmowie z prawnikiem, którego nazwisko znała. W tej samej chwili odwrócił głowę i ich spojrzenia się spotkały - jakby czuł, że na niego patrzy. Uniósł nieco szklaneczkę w żartobliwym pozdrowieniu i z powrotem skupił uwagę na rozmówcy. Przez następne czterdzieści minut jednak udawało mu się trzymać z daleka od jej linii spojrzenia. Elizabeth przyszło do głowy, że pewnie celowo robi wszystko, by jej unikać.

Kilka minut po jedenastej powiedziała sobie, że odrobiła obowiązki towarzyskie, jakich wymagała obecność na tego rodzaju imprezie. Przed lotem do Mirror Springs chciała się trochę przespać. Rzuciła więc ostatni uśmiech przysadzistemu emerytowanemu bankierowi, przerywając mu entuzjastyczne wywody o zaletach nowego jachtu, w którym grubasek był najwyraźniej po uszy zakochany, życzyła mu wielu upojnych chwil na wymarzonych rejsach i wyslizgnęła się z sali po płaszcz. Po wyjściu z szatni skierowała się w stronę bocznego korytarza, wyłożonego tłumiącym kroki chodnikiem, aby uniknąć zatłoczonych i hałaśliwych przejść prowadzących do sali bankietowej. Nagle poczuła za sobą czyjąś obecność i prawie jednocześnie usłyszała kobiecy głos:

- Gdyby pani była rozsądna, trzymałaby się od niego z daleka...

Elizabeth zamarła, słysząc w głosie nieznamomej nutę nieskrywanej, jadowitej wrogości, i powoli odwróciła się. Ujrzała niewysoką kobietę w szykownym, niewątpliwie szalenie drogim kostiumie z czerwonego jedwabiu i dobranych odcieniem szpilek. Mogła mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Jasne lśniące włosy, obcięte na pazia, podkreślały trójkątny kształt twarzy, z której niewesoło uśmiechały się usta o kącikach ściągniętych do dołu ledwie dostrzegalnymi zmarszczkami goryczy.

- Czy my się znamy? - zapytała Elizabeth, ostrożnie dobierając słowa.

- Przepraszam., jestem Gillian, ta „wredna baba”.
- Obawiam się, że nie rozumiem...
- Nie kojarzy pani? Jestem zaskoczona! Podobno Hayden nie mówi o mnie inaczej. Jestem jego żoną. - Uśmiech spęłzył kobiecie z twarzy.
- Aha! - Tylko tego brakowało do ukoronowania nieudanego wieczoru.
- Cokolwiek twierdzi Hayden, nie jestem jego byłą żoną, w każdym razie jeszcze nie w tej chwili. I nie dam mu tej satysfakcji, dopóki prawnicy tatusia nie odbiorą temu łachudrze wszystkiego, co mi zabrał.
- Ależ to nie moja sprawa. - Elizabeth wymownie zerknęła na zegarek. - Właśnie wychodzę, więc jeśli pani pozwoli...  
Oczy Gillian związiły się w szparki.
- Mój tatuś to Oswald Ringstead!
- To wystarczyło, by Elizabeth zrozumiała całą sytuację. Oswald Ringstead, prezes korporacji Ring, był miliarderem, prawdziwym gigantem rynku i człowiekiem o licznych powiązaniach w kręgach polityków, a przy tym miał opinię niezwyklego odludka, który nie wytykając nosa z włości rodu Ringsteadów, kierował ze swej rezydencji rozległym i doskonale zorganizowanym imperium holdingów i korporacji. Krążyły pogłoski, jakoby rozważał ewentualność ubiegania się o jakiś polityczny urząd. Nic dziwnego, że Hayden miał kłopoty ze sfinalizowaniem rozwodu na swoich warunkach! Niewielu ludzi mogłoby stawić czoło władzy Ringsteada z choćby wątplą nadzieją na wygraną.
- No dobrze, wywarła pani na mnie odpowiednie wrażenie - powiedziała Elizabeth. - Czy pozwoli mi pani teraz odejść?
- Widziałam, że Hayden kręci się koło pani. Wiem, co znaczą te jego lisie miny. Zaprosił panią na długi weekend nad morzem, prawda? - Gillian nadal świdrowała ją martwym wzrokiem.
- Elizabeth zdołała ukryć zaskoczenie.
- Nie mam pojęcia, o czym pan' mówi, pani Shaw, ale zapewniam panią, że nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowana pani mężem... na płaszczyźnie osobistej.
- Dla pani dobra mam nadzieję, że to prawda, bo kiedy z nim skończę, straci każdy grosz. Zabiorę mu wszystko. Wszystko! Tak mi przyrzekł tatuś.

- Elizabeth uświadomiła sobie, że prócz zawziętości w głosie Gillian kryje się coś więcej - ból zranionej kobiety. Nagle w jej sercu zrodziło się współczucie.
- Proszę mi wierzyć, za nic nie chciałabym mieszać się do pani osobistych spraw, pani Shaw!
- Zniszczę Haydena, przysięgam! Nie uda mu się zostawić mnie na lodzie!
- Już pani powiedziałam, że to naprawdę nie moja sprawa. Proszę mnie przepuścić, chcę iść do domu.
- Okłamała mnie. - Oczy Gillian wezbrały gniewnymi Izami, które zaczęły jedna po drugiej spływać po policzkach. - Ten drań łągał od pierwszego dnia naszej znajomości! Nigdy nie powinnam mu być zaufała, ale go kochałam. Tatuś też go polubił. Cóż, Haydenowi chodziło tylko o pieniądze i znajomości taty. Wykorzystał mnie!
- Elizabeth gorąco pragnęła odwrócić się i uciekać ile sił w nogach, ale nie mogła zostawić nieszczęsnej kobiety, łkającej samotnie w korytarzu. Wyciągnęła z kieszeni paczkę chusteczek do nosa i podeszła do Gillian.
- Proszę to wziąć. - Wcisnęła je w dłoń płaczącej. - Tu za rogiem jest mały salonik dla pań. Kiedy przed chwilą stamtąd wychodziłam, był pusty. Może tam wejdziemy?
- Wystrychnął mnie na dudka! - zawodziła Gillian w miękkie płatki chusteczki.
- Znam to uczucie. - Elizabeth nie miała pojęcia, jak jeszcze może pomóc, więc łagodnie poklepała kobietę po ramieniu. - Może napije się pani wody?
- Niech się pani trzyma od niego z daleka, bo i panią wykorzysta!
- Nie jestem zainteresowana pani mężem, pani Shaw.
- Widziałam, jak na panią patrzy. - Gillian otarła zapłakane oczy i siąknęła nosem. - Wiem, że on pani chce.
- Aleja go nie chcę - wyjaśniła grzecznie Elizabeth.
- Nie wierzę pani! - Gillian wyjęła nos z wilgotnej chusteczki i podniosła drżący głos. - Naturalnie, że go pani chce! Tak jak ja... to znaczy, dopóki się nie zorientowałam, jaki jest naprawdę!
- Elizabeth zamierzała ponownie zaprzeczyć, ale raptem uświadomiła sobie, że na karku czuje znajome swędzenie; w cieniu

korytarza za plecami Gillian pojawiła się smukła męska sylwetka. Jack podszedł do nich i z nonszalancką pewnością siebie ujął ją pod ramię.

- Gotowa? Możemy wracać do domu? - W uwodzicielskim głosie zadźwięczała nuta nieskrywanej zaborczości. - Już późno, a nas czeka jutro długa podróż.

Gillian szybko wytarła resztkę łez z policzków.

- O, cholera, ale się wygłupiłam!

Elizabeth spojrzała ponad jej głową prosto w oczy Jacka. Korzystając z tego, że odwrócona plecami Gillian nie może dostrzec wyrazu jego twarzy, znacząco unióśł brwi, a jego wargi wygięły się w szyderczym, wszystkowiedzącym uśmiechu. Dawał jej do rozumienia, że ratuje ją z opresji i że o tym wie, jednocześnie doskonale się orientując, jak bardzo nie w smak jej będzie jego rycerskość. Ale przecież nie mogła odrzucić pomocy...

- Owszem, Jack, jestem gotowa. - Przywołała na twarz błądy uśmiech. - Właśnie gawędziłyśmy z panią Shaw. Czy się znacie? Gillian, to jest Jack Fairfax.

- Znam Gillian - powiedział zdumiewająco łagodnie.

- Witaj, Jack... - Gillian mrugnięciem powiek strzepnęła łzę wiszącą jeszcze u rzęs. - Przepraszam za tę scenę.

- Nic się nie stało.

- Słyszałam, że kilka miesięcy temu stanąłeś na czele Excalibura. Jak idą interesy?

- Ożywione, nie mogę narzekać. - Jack położył rękę na dłoni Elizabeth w zażyłym, choć nie demonstracyjnym geście. - Dzięki Bogu Elizabeth i ja zdołaliśmy jednak jednocześnie zaplanować sobie wolny tydzień. Jutro wyjeżdżamy na mały urlop. Oboje bardzo go potrzebujemy, prawda, skarbie?

Elizabeth z wysiłkiem utrzymała uśmiech na twarzy.

- Całkowicie się z tobą zgadzam.

- Nie rozumiem... - W wilgotnych oczach Gillian pojawiło się zaskoczenie. Przeniosła wzrok z Jacka na Elizabeth i z powrotem. - Wyjeżdżacie razem?

- Uhm! - potwierdził Jack. - Już od dawna to planowaliśmy.

- Ach, tak. - Wydawało się, że ten prosty fakt z trudem do niej dociera. - Nie miałam pojęcia, że się spotykacie.

Elizabeth posłała Jackowi ostrzegawczy uśmiech.

- Usiłujemy zachować dyskrecję, interesy, rozumie pani!

- Jedziecie nad morze?

- Nie. - Jack zacisnął pałce na ramieniu Elizabeth. - Lecimy do takiej niewielkiej dziury w Górach Skalistych, żadnych faksów, telefonów ani poczty elektronicznej. Tylko my dwoje i lasy. Ale niestety nasz samolot odlatuje o świcie, więc musimy się pożegnać.

- Ależ oczywiście - wymamrotała Gillian, jeszcze raz przetarła oczy i na jej obliczu pojawił się ciepły, choć drżący uśmiech. - Bawcie się dobrze!

- Dziękujemy, taki właśnie mamy zamiar. - Jack delikatnie pociągnął Elizabeth w stronę hallu. Oboje milczeli aż do chwili, gdy wyszli na ulicę i przystanęli pod jaskrawymi neonami oświetlającymi fronton hotelu. - Nie oglądaj się, poszła za nami aż do hallu.

- Nie dziwię się. Jest szalenie zdenerwowana!

- Lepiej będzie, jeśli weźmiemy wspólną taksówkę - zaproponował.

Elizabeth bez słowa skinęła głową na zgodę. Miał rację - jeśli Gillian nadal ich śledzi, powinni odjechać razem.

Jack skinął na portiera, a ten włożył do ust gwizdek i przywołał pierwszą z długiego szeregu taksówek czekających na gości. Elizabeth wsunęła się na tylne siedzenie, Jack podążył za nią, a portier zamknął za nimi drzwi. Nagle wydało jej się, że taksówka jest szalenie ciasna i narzuca pasażerom niesłychanie intymną atmosferę. Uparcie patrzyła przez okno, a Jackowi rzuciła oschłym tonem:

- Chyba powinnam ci podziękować.

- Nie przejmuj się, nie oczekuję, że mnie zarzucisz wyrazami wdzięczności!

Jęknęła z pełnym rezygnacji znużeniem i wtuliła się w oparcie obite śliską skórą.

- Dziękuję, naprawdę...

- Nie ma za co.

- To było dość żenujące, wiesz?

- Takie odniosłem wrażenie. - Pokiwał głową.

- Miałeś w każdym razie rację, on jeszcze nie dostał rozwodu. Jack rzucił jej zagadkowe spojrzenie.

- Mówiłem...

Elizabeth wysiłkiem woli opanowała rozdrażnienie.

- No, tak. Mówiłeś, i co z tego?

Nie odpowiedział od razu, a gdy spojrzała na niego spod rzęs, zobaczyła, że odwrócił głowę i utkwiał wzrok w ciemności za szybą. W mdłym świetle ulicznych lamp ostrym konturem odcinał się wyrazisty profil i zdecydowana linia szczęki. Oczy ginęły w głębokim cieniu. Wreszcie Jack się odezwał:

- Podobno była u ciebie Angela.

Zmiana tematu zmieszała ją i zaskoczyła.

- Odwiedza mnie regularnie co miesiąc, punktualnie jak w zegarku. I co z tego?

- Czego chciała tym razem?

Elizabeth wróciła pamięcią do nieprzyjemnej sceny sprzed trzech dni, Angela Ingersoll Burrows była kobietą o imponującym wzroście, wyrazistych rysach i wyniosłym obejściu, której małżeństwo rozpadło się błyskawicznie, gdy po piętnastu latach potulnego pożycia jej pięćdziesięcioletni mąż pantoflarz nieoczekiwanie zbiegł z dwudziestodwuletnią sekretarką, wprawiając w oszołomienie całe Seattle. Angela poświęciła się wychowaniu nastoletniego jedynaka i oddała się bez reszty misji zapewnienia synowi tego, co uznała za należną mu część rodzinnej schedy, składającej się właściwie prawie wyłącznie z zysków pochodzących z ewentualnej sprzedaży Excalibura. Elizabeth próbowała dyplomatycznie wyjaśnić Jackowi sedno jej wizyt:

- Rozmawialiśmy o tym co zawsze. Chciałaby przeprowadzić sprzedaż Excalibura lub jego fuzję z większą korporacją, bo uważa, że tylko w ten sposób zabezpieczy synowi jakieś konkretne pieniądze.

- A co ty jej powiedziałaś?

- To samo co zawsze, gdy do mnie przychodzi...

- To znaczy? - Jack skrywał oczy w głębokim cieniu w kącie taksówki, ale czuła, że nie spuszcza z niej wzroku. Zacisnęła palce na zamku wieczorowej terebki, rozluźniła je i odpowiedziała spokojnym głosem:

- Ze twoje zaangażowanie to największa szansa dla Excalibura, a co za tym idzie, również dla przyszłego spadku jej potomka.

Ponownie zapadła brzemienna cisza. Jack poprawił się na siedzeniu. kryjąc twarz jeszcze głębiej w cieniu.

- Popierasz mnie. - Bardziej stwierdził, niż spytał.

- Tak.

- Zawsze mnie popierasz, nie tylko w rozmowie z Angela, ale w czasie posiedzeń rady - zauważył tonem tak zdawkowym, jakby czynił uwagę o deszczowym klimacie Seattle, czymś łatwo przewidywalnym, oczywistym, zwykłym, a jednocześnie zasługującym na komentarz. - Czemu?

To pytanie niemal ją rozbawiło.

- Mimo nieporozumień między nami nigdy nie zaprzeczałam, że w tym, co robisz, jesteś bardzo dobry. Jeśli Excalibur ma jakąś szansę, to tylko pod twoim kierownictwem.

- Innymi słowy twoje poparcie dla moich ustaleń jako dyrektora firmy jest też obiektywną decyzją podjętą przez człowieka interesów - podsumował obojętnie.

- A czym innym miałoby być?

- Nie wiem, do cholery. - Spojrzał na nią. - Mamy wspólny interes w odzyskaniu kryształu. Skoro nalegasz, by się zabrać ze mną...

- Nie zabieram się z tobą - oświadczyła Elizabeth surowym głosem. - Jestem pełnoprawnym partnerem w tym przedsięwzięciu.

- No dobrze, partnerze, co ty na to, byśmy spróbowali żyć w zgodzie do chwili, gdy położymy łapki na tym nieszczęsnym kryształce?

- Zdefiniuj „życie w zgodzie”.

Jack zadumał się głęboko.

- To chyba tak jak z pornografą. Kiedy to widzisz, wiesz, że to właśnie to!

## Rozdział ósmy

„Chata” okazała się domkiem z masywnych bali, zaprojektowanym przez architekta na wzór wiejskiej chałupy: wdzięczyła się jak na fotografii w modnym czasopiśmie sztucznie przydymionymi ścianami, ostrym spadkiem dachu i wielkimi taflami okien, rozmieszczonych tak, by dawały widok na najpiękniejsze fragmenty krajobrazu. Zapadł już mrok, ale z okien lal się na taras złocisty blask, w którym ujrzał obszerną wannę z podgrzewaną wodą do podwodnego masażu - tak wielką, że pomieściłaby z sześć osób, pod warunkiem, iż nie wahałyby się odrobinę przytulić do sąsiada. Obok tego minibasenu zainstalowano masywny rożen ogrodowy - prawdziwą perełkę nowoczesnej technologii z nierdzewnej stali. Wyposażenia dopełniały miękko wyściełane leżaki i podłużny stół.

A jeszcze nawet nie zajrzeli do wnętrza domu! Naturalnie mógł się spodziewać, że Elizabeth zdoła nawet w ostatniej chwili zapewnić sobie luksusowy

nocleg w zatłoczonym do granic możliwości mieście. Jack rzucił jeszcze jedno spojrzenie na starannie przykryte jacuzzi. Przed oczami przemknęła mu wizja nagiej Elizabeth, siedzącej w bulgoczącej i parującej wodzie. Zaczepnął pełne płuca rześkiego, niewiarygodnie czystego górskiego powietrza i powoli odliczył od dziesięciu wspan. Gdy wargi poruszyły się w niemym „zero”, zorientował się, że wzwód jeszcze nie całkiem ustąpił i nie minął zawrót głowy. Pocieszył się, że trochę potrwa, zanim organizm przystosuje się do wysokości, na jakiej położone jest Mirror Springs. Zmusił wyobraźnię, by oderwała się od fascynującego obrazu orgii w jacuzzi i skupiła na jego prawdziwym problemie. Nie da się tego rozegrać tak, by nie wyjść na ostatniego głupca... Postawił przy drzwiach torbę podróżną i ujął mosięzną kołatkę w kształcie ptasiej głowy. Zastukał w masywne drewno, już teraz czując w ustach gorzki smak klęski.

Czekając na Elizabeth, oparł się o ścianę i wpatrzył w otaczającą domek scenerię. W mroku nocy migotały światła domów i osiedli luksusowych apartamentów rozsiansych na zboczach wzgórz nad Mirror Springs, a ciemność doliny rozpraszała poświata sklepów i restauracji, mieszczących się w starannie odrestaurowanych wiktoriańskich domach w centrum miasteczka. Najjaśniej świecił neon zawieszony nad wejściem do Silver Empire Theatre, gdzie miała się odbyć lwia część festiwalowych pokazów i uroczystości.

- Kto tam? - rozległ się głos Elizabeth, przytłumiony grubymi deskami drzwi.

Jack wziął się w garść.

- Jack.

W ciszy, która nastąpiła, ponownie popełnił ten sam błąd co przed chwilą: wstrzymał oddech. Usłyszał zgrzyt odciąganej zasuwki i drzwi się uchyliły. Stała przed nim Elizabeth, skąpana w ciepłym blasku ognia buzującego na kominku. Miała na sobie czarny sweter z szalowym kołnierzem, utkany z miękkiej, puszystej dzianiny. Sięgał za biodra. Do tego włożyła dopasowane jak druga skóra spodnie z aksamitu. Ciemne włosy zaczesła do tyłu i spięła na karku srebrną klamrą. Patrzyła na gościa z ledwie skrywaną podejrzliwą czujnością. Jack z trudem powściągnął ochotę, by zazgrzytać zębami.

- Co tu robisz? Ustaliliśmy, zdaje się, że każde się rozpakuje, a dopiero potem spotkamy się na dole i pójdziemy gdzieś na kolację, żeby ułożyć plan akcji.

- Powstał pewien problem.

- Jakiego rodzaju? - Już nie skrywała podejrzliwości.

- Kiedy zameldowałem się w pensjonacie, powiedzieli mi, że nie mają ani jednego wolnego pokoju.

- Więc?

- Więc - powtórzył powoli i dobitnie - nie mam gdzie spać.

W szeroko otwartych oczach Elizabeth wyraz podejrzliwości zmienił się w otwarte oskarżenie:

- Mówiłeś, że znasz ponoć kogoś, kto ma znajomości...

- Jak się okazuje, niezbyt bliskie.

- Aha. - Oparła się ramieniem o framugę i skrzyżowała ręce na piersiach. - Czego się spodziewasz po mnie w tej sytuacji?

Jack zerknął na wysoko sklepiony sufit i przestronny salon. W kamiennym kominku wesoło trzaskały polana. Schody wiodły na górę do sypialni. Odchrząknął.

- Pomyślałem, że może... zgodzisz się użyczyć mi noclegu.

- Czemu to miałabym się zgodzić?

- No, skoro mamy żyć w zgodzie i współpracować... - Przeziósł wzrok na niewzruszone oblicze Elizabeth. - Słuchaj, naprawdę bardzo mi przykro, ale ta cholerna dziura jest zapchana. Facet w hotelu uprzedził mnie, że nigdzie w promieniu kilkunastu kilometrów nie znajdę noclegu. Obiecuję, że nie będę rozrzucał skarpetek po salonie i postaram się pamiętać o opuszczeniu deski toaletowej.

Elizabeth jeszcze przez chwilę stała w głębokim zamyśleniu, a on bezskutecznie starał się wyczytać coś w chłodnych, wypranych z wyrazu oczach. Wreszcie wydała z siebie cichy jęk rezygnacji i oderwała się od framugi.

- Powinnaś była się spodziewać czegoś podobnego. Dobra, możesz u mnie nocować. W tej chacie są dwie łazienki, więc nie troszcz się o deskę.

- Dzięki! - Jacka przebiegła fala bezbrzeżnej ulgi zmieszanej z osobliwym podnieceniem, jak gdyby czekało go coś niezwykłego. Pomyślał, że to znowu skutki wysokości, do której niebawem przywyknie. - Jestem twoim dłużnikiem.

~ Jasne. - Cofnęła się i zrobiła mu przejście.

Ni stąd, ni zowąd poczuł się jak Drakula, który podstępem wyłudził zaproszenie do domu przyszłej ofiary. Ujął rączkę torby i wszedł do przedsiönka. Ogarnął wzrokiem podłogi z gładko heblowanych desek, kudłaty futrzak przed kominkiem, rozłożyste fotele i kanapy obite skórą.

- Nie widzę poroża łosia na ścianie. To chyba poważne przeoczenie?

- Skoro tak ci zależy na porożu, musisz sam je tu przywlec.

- Niech tam, umiem się przystosować. Jakoś sobie poradzę bez poroża.

Elizabeth uśmiechnęła się przelotnie i z rezerwą, na widok której poczuł bolesne ściskanie w dołku, gdyż powróciły wspomnienia promiennych uśmiechów, jakimi go obdarzała P.G.K. - Przed Generalną Kłapą. Wskazała schody.

- Ja zajęłam już sypialnię po lewej, więc dla ciebie zostaje ta z prawej.

- No i dobrze. - Jack ruszył szybko na górę, chcąc wyrzucić rzeczy z torby, zanim gospodyni zmieni zdanie i pośle go do wszystkich diabłów. - Daj mi dwie minuty, a potem zabiorę cię do wioski na jakąś wyżerkę. Z rezerwacją nawaliłem, ale chyba uda mi się zrehabilitować.

- Naprawdę? W jaki sposób? - spytała Elizabeth sceptycznie.

- Od dwóch dni naciskałem Lany'ego, żeby wyniuchał co się da o ludziach związanych z produkcją *Zakazanej ferajny*.

- Larry'ego?...

- Geniusz komputerowy, o którym ci mówiłem, i mój brat przyrodni.

Jack wyczytał z jej twarzy zaskoczenie.

- Nie wiedziałam, że masz przyrodniego brata...

- Nawet dwóch. To dość zawiła historia. - Wdrapał się na podest, skręcił w prawo i postawił torbę na ławie w nogach łożka. - No więc kazałem mu skupić uwagę na sponsorach, ale przy okazji dowiedzieć się czegoś o scenarzyście, aktorach, reżyserze i wszystkich innych realizatorach...

- I?

- Nie byłem zdziwiony, słysząc, że wszyscy mają się stawić w Mirror Springs. - Jack odsunął zamek torby. - O ile się nie

myle, łatwo nam będzie uczepić się kogoś z ekipy, kto doprowadzi nas do Page'a.

- W tym miasteczku kręci się kupa ludzi. Jak zamierzasz odróżnić współrealizatorów *Zakazanej ferajny!*

Rzucił na łóżko koszulę, podszedł do balustrady i spojrzał na Elizabeth z góry.

- Naj praktyczniej będzie spróbować na przyjęciu, które odbędzie się jutro wieczorem.

- Jakim znowu przyjęciu?

- Gospodarzem jest facet, który naprawdę zdobył forszę na produkcję. Jego nazwisko nie widnieje w czołówce, ale to on złożył całą inwestycję do kupy. Nazywa się Dawson Holland.

Jack dojrzał pierwsze oznaki zainteresowania.

- Hm..'

- To nie wszystko. - Oparł łokcie na balustradzie. - Jego żona nazywa się Victoria Bellamy.

Elizabeth ściągnęła brwi.

- Ta, która gra główną rolę?

- Aha! Czy nie wpadło ci czasem do głowy, dlaczego facet w ogóle wszedł w ten interes?

- Żeby małżonka mogła w nim zagrać?

- A czemu nie? - Wyprostował się i znowu sięgnął do torby. - Nie byłby pierwszym facetem, który sponsoruje film, aby zapewnić w nim rolę dla ukochanej.

- Masz rację, ale jak dostaniemy się na to przyjęcie bez zaproszenia?

- Spokojnie. Jeśli ktoś nas zapyta, jakim prawem się pchamy, powiemy po prostu prawdę.

- Czyli?!

- Nasz znajomy to producent, niejaki Tyler Page! - oświadczył triumfalnie Jack.

Przestronna sala kawiarni Lustrzanej pyszniła się elegancją lokalu szykownego, choć urządzonego w modernistycznym stylu - mimo niewątpliwej schedy pt epoce wiktoriańskiej, przebijającej w wielu szczegółach architektury wnętrza. Zajmując miejsce, Elizabeth rozejrzała się dyskretnie. Jak wszystkie re-

stauracje w Mirror Springs, i ta tchnęła atmosferą luksusu kąpiącego złotem, charakterystycznego dla połyskliwych fotek z turystycznych broszur reklamowych. Na kominku palił się ogień, rzucając odblask płomieni na ściany wyłożone dębową boazerią. Goście wyglądali bez wyjątku na świeży import z Los Angeles czy Nowego Jorku. Wśród strojów przeważały czarne spodnie z luźnymi nogawkami, układającymi się w nonszalanckie fałdy, obszerne marynarki z miękkich tkanin i czarne koszule - naturalnie rozpięte pod szyją, by podkreślić bujne owłosienie na muskularnej piersi. Panie gustowały przeważnie w małych czarnych o równie nonszalanckim kroju. Ci z panów, którzy wzgardzili garniturami, mieli na sobie dzinsy.

Elizabeth wiedziała, że to nie są przedstawiciele świata filmu, bywalcy wytwórni w Hollywood, lecz filmowcy z kręgu artystów niezależnych i ich fani, zakochani w małych formach, które nie mają szans na rozpowszechnianie w multikinach - molochach rozrywki, budowanych w podmiejskich centrach handlowych. Dostatecznie orientowała się w realiach kinematografii, by wiedzieć, że festiwal w Mirror Springs i jemu podobne imprezy stanowią dla większości tych niskobudżetowych filmów jedyną okazję do publicznej prezentacji dzieł. Ci zapaleńcy i admiratorzy budzili w niej podziw szczerością swego entuzjazmu i siłą zaangażowania, o których świadczyły strzępy konwersacji dobiegających od sąsiednich stolików.

- ..jej materiał ma w sobie niesłychaną widowiskowość. Stosuje język filmu dla wykreowania odrębnej rzeczywistości...

- Oczywiście całkowicie w stylu Chandlera. Imponujące wizualnie. Brak wyraźnych point w narracji...

- ...no i nie wolno im było darować życia zabójcy. Tak, tak, za dawnych czasów kodeks etyczny obowiązujący producentów filmowych był niesłychanie surowy. Morderca musiał zginąć w finale..

Zerknęła na Jacka siedzącego naprzeciw niej. Prawdopodobnie niebawem się okaże, że strzeliła głupstwo, udzielając mu gościny. Ale czy w tych okolicznościach miała inne wyjście? Patrzyła na jego smukłe palce owinięte wokół kieliszka kalifornijskiego czerwonego wina. Makiaweliczne dłonie - pomyślała i postano-

wiła o tym nie zapominać. Tymczasem on zauważył, dokąd biegnie jej wzrok, i podniósł pytająco brwi.

- Coś jest nie w porządku?

- Nie. - Elizabeth otworzyła kartę i zagłębiła się w menu.

- Ciekawe, czy zauważyłaś coś osobliwego w tym miasteczku? Upita łyk chardonnay i ostrożnie odstawiła kieliszek.

- Chodzi ci pewnie o nieskazitelnie czyste iroluary, brak bezdomnych i to, że co drugi lokal to albo fikuśna knajpka, albo galeria sztuki?

- Aha, właśnie o to.

Wzruszyła ramionami.

- Miejscowi radni już się postarali, by zarządzenia porządkowe wzbraniały dostępu niepożądanym elementom. Wszystko jest kwestią pieniędzy.

Jack skinął głową i przez chwilę patrzył na swą towarzyszkę w milczeniu znad kieliszka.

- Chciałabyś porozmawiać?

- O strefowych zakazach w Milror Springs?

- Nie. - Zrobił dramatyczną pauzę, - O nas.

Nagle poczuła, jakby znalazła się w całkowitej próżni. Wszystko się spodziewała, ale nie frontalnego ataku! Cóż, gdy się ma do czynienia z Jackiem Fairfaksem, trzeba być gotowym na każdą ewentualność.

- Nie - odparowała nieufnie, ale Jack nie odwrócił wzroku od jej twarzy.

- Czekaj nas bardzo ścisła współpraca. Otwarta rozmowa na temat przeszłości pomoże oczyścić atmosferę.

Co się dzieje? Wedle jej doświadczenia mężczyźni zazwyczaj unikają tego rodzaju dyskusji. Wzięła kilka głębokich oddechów i nakazała sobie nie tracić czujności.

- A po cóż cokolwiek oczyszczać? Nikt tu nie musi roztrząsać przeszłości. Ja osobiście lubię ją taką, jaka jest: pogrzebana i zamknięta. - Elizabeth była zadowolona z tonu, jaki udało jej się utrzymać, zdawkowego, rzeczowego, wypranego z emocji. Trafiła Jacka w czuły punkt, bo wpatrzone w nią oczy stężały jakby w bólu, ale odezwał się głosem opanowanym i twardym, z którego wionął chłód.

- Wyjaśnijmy sobie jedno. Wydarzenia związane z upadkiem

Gallowaya nie miały podłoża osobistego. Morgan wynajął mnie, bym zaplanował strategię przejścia, więc wykonałem zadanie. Jestem konsultantem przemysłowym i na tym właśnie polega moja praca, Elizabeth.

To wystarczyło, by zapomniała o wcześniejszych postanowieniach, uniesiona falą gniewu, wzburzenia i bólu tak świeżego, jakby wszystko zdarzyło się wczoraj. Tak długo tłumiła w sobie te emocje, że ledwie powstrzymała niekontrolowany wybuch pasji. Nie do końca udało jej się opanować drżenie w głosie.

- Nie, nie na tym polega twoja praca. Wiesz, kiedy dowiedziałam się, kim naprawdę jesteś, zasięgnęłam tu i ówdzie języka.

- Kim naprawdę jestem? - Rzucił jej spojrzenie pełne pogardy. - Mówisz, jakbym był człowiekiem o utajnionej tożsamości.

- Z mojego punktu widzenia tak właśnie jest. Powiedziałam przecież, że zasięgnęłam języka i odkryłam, że zorganizowanie przejścia Gallowaya różniło się od twoich zwykłych zleceń. Rzuciłeś się na to przedsiębiorstwo jak wygłodniały rekin i rozszarpałeś je na strzępy. Nie waż się bezzecznie mi wmawiać, że to nie była kwestia osobista, bo łżesz w żywe oczy!

- To był tylko interes.

- Zniszczyłeś Gallowaya, a na przejściu ucierpiało mnóstwo ludzi na czele z poczciwą staruszką, która dała im pracę w swojej firmie.

- W przypadku przejścia jednego przedsiębiorstwa przez drugie nie da się tego uniknąć. Niektórzy ludzie tracą pracę. - Jack nadal nie tracił opanowania. - Takie jest życie! Posłuchaj: wiem, że Camille Galloway była długoletnim klientem Fundacji Aurory i że pracował u niej twój szwagier. Przykro mi, że tak to się skończyło. Niefortunny zbieg okoliczności.

- Żaden tam zbieg okoliczności, a Camille Galloway była kimś więcej niż długoletnim klientem. Była starą, i wypróbowaną przyjaciółką rodziny. Kiedy jeszcze bawiłam się lalkami, karmiła mnie ciasteczkami z gorącym mlekiem na dobranoc. A kiedy mój szwagier, Merrick, nie mógł nigdzie znaleźć pracy, dała mu stanowisko u siebie.

- Wyśpiewujesz pean jak na cześć świętej.

- To była strasznie miła starowinka. Przez długie lata ciężko harowała, żeby zbudować coś trwałego, co jej syn Garth mógłby



po niej odziedziczyć, a gdy rozszarpałeś na strzępy dzieło jej życia, wydarłeś jej serce z piersi. I to bynajmniej nie jest przenośnia, bo Camille umarła na zawał kilka miesięcy po upadku firmy. Wiedziałaś o tym?

- Wiedziałem - odszepnął markotnie.

Elizabeth zacisnęła palce wokół kieliszka.

- To, co zrobiłeś z Gallowayem, miało wszelkie znamiona osobistej kruczaty, przerażająco zajadlej.

- Przerażająco zajadłej? Tego już dosyć. - Pochylił się raptownie i oparł łokcie na stole. - Wiesz co? Masz absolutną rację co do losu Gallowaya. To była moja osobista kruczata przeciw tej firmie!

- Wiedziałaś! - Elizabeth nie czuła spodziewanej satysfakcji, tylko jeszcze głębszy smutek.

- Poszedłem do Morgana i powiedziałem, że mogę mu podać konkurencję na tacy, jeśli wynajmie mnie do przeprowadzenia operacji przejęcia firmy.

- Czemu? Co ci zrobiła Camille Galloway?

- Posłuchaj, Polyanno! Wydaje ci się, że jestem rekinem? Twoja słodka, poczciwa starowinka, pani Galloway, mogłaby dawać mi lekcje w tym zawodzie.

- O czym ty mówisz?

- Pięć lat wcześniej wpuściła w maliny dziewiętnastoletniego smarkacza, któremu udało się stworzyć rewelacyjny, przełomowy program komputerowy, wyjątkowo sprytny, program prognozowań finansowych na podstawie ograniczonych danych. Już w drugim roku od chwili wdrożenia produkcji na skalę rynkową zysk Gallowaya wzrósł w dwójnasób, ale ten smarkacz, autor programu, nie zobaczył złamanego grosza poza nędznymi pięćdziesiątami tysiącami uzgodnionymi jako odstępną za prawa autorskie. Chciałem, żeby pani prezes zapłaciła za to ograbienie naiwnego i dopiąłem swego. O to właśnie chodziło w sprawie Gallowaya.

Elizabeth poruszyła nuta powagi w głosie rozmówcy.

- Potrafiłbyś dowieść, że oszukała tego dzieciaka?

- Nigdy w życiu. Podpisał stuprocentowo zgodny z prawem kontrakt, zapięty na ostatni guzik. W sądzie nie miałyby szans. Poszedłem do niej i poprosiłem, by wyznaczyła tantiemy czy zgodziła się negocjować opłatę licencyjną, ale roześmiała mi się

w twarz. Więc ja zniszczyłem jej firmę. -Wzruszył wyzywająco ramionami. Poczuli, że lodowacieją jej palce stóp.

- Kto ci przekazał te fakty? Skąd pewność, że ów smarkacz został naprawdę wystawiony do wiatru przez Gallowaya?' No i co cię obchodzi, że go w ogóle nabrano?

- To był mój brat przyrodni Larry.

Siedziała w milczeniu, oszołomionym spojrzeniem doszukując się prawdy w oczach Jacka. Po chwili osunęła się bezsilnie w krzesło.

- Twój brat...

- Aha!

- Ten, o którym mi mówiłeś? Który wygrzebał dane o Dawsonie Hollandzie i realizatorach *Zakazanej ferajny!*

- Nie inny.

Elizabeth gapiła się na niego niedowierzająco.

- Więc zrujnowałeś całe przedsiębiorstwo dla zemsty?

- Wolę określenie „sprawiedliwość”.

- Założę się, że je wolisz, brzmi o wiele bardziej cywilizowanie.

- Jedną z klauzul kontraktu z Morganem stanowiła gwarancja opłaty licencyjnej dla Larry'ego za wykorzystanie programu. Teraz dostaje tantiemy.

- Aha... - Elizabeth pokrzepiła się kolejnym łykiem wina. -

Więc to była walka o rodzinę.

Jack zachnął się nieznacznie i zmarszczył czoło.

- Można to chyba tak określić.

- I była osobista?

- I była osobista!

Przypomniała sobie, co mówił o szukaniu Tylera Page'a za wszelką cenę, nawet gdyby było już za późno na odzyskanie kryształu i ocalenie Excalibura.

- Przykładasz duże znaczenie do takich pojęć, jak „zemsta” i „reputacja”, prawda?

Jack nie odpowiedział.

- Kiedy przyszedłeś do mnie, szukając finansowego wsparcia dla Excalibura, wiedziałeś, kim jestem?

- Oczywiście, że wiedziałem: prezeską Fundacji Aurory.

- Nie próbuj się migać. Chodzi mi o to, czy wiedziałeś

o powiązaniach Fundacji z Camille Galloway i o tym, że nie należało się spodziewać, bym ochoczo wspierała przedsiębiorstwo, którym zarządza... - Elizabeth nie mogła znaleźć odpowiednio kąśliwego epitetu, więc machnęła tylko wymownie dłonią.

- Padalec wysysający jaja niewinnych ptaszyn? - podsunął usłudźnie Jack.. - Nędzny oprych?

- Osoba, która zrujnowała moją dawną klientkę i przyjaciółkę rodziny.

Zabębnił palcami po stole w krótkim werblu, oderwał dłoń i odetchnął głęboko.

- Szczycę się tym, że zdobywam dokładne informacje o ludziach, z którymi mam robić interesy. Oczywiście wiedziałem, że firma Galloway była klientem Fundacji i że między twoją ciotką i Camille Galloway istniała więź nie tylko na płaszczyźnie służbowej, lecz również osobistej. Ale nie wiedziałem, że twój szwagier u niej pracował. Czy to się liczy na moją korzyść?

- Nie waż się żartować sobie! Liczy się to, że wiedziałeś wszystko o powiązaniach Fundacji z firmą Galloway i nie potrudziłeś się o tym wspomnieć w żadnej z naszych rozmów!

- Ten fakt nie miał żadnego związku z tematem naszych negocjacji - oświadczył Jack spokojnie.

- Możesz sobie to wmawiać dla lepszego samopoczucia, ale nie marnuj czasu, próbując mnie o tym przekonać! Prawda jest taka: ukryłeś przede mną pewne fakty, wiedząc, że nigdy nie zgodziłabym się podpisać kontraktu z konsultantem, który kiedyś przeprowadził manewr przejęcia Gallowaya. Przyznaj się!

- Jak już mówiłem, operacja przejęcia Gallowaya nie miała nic wspólnego z naszymi negocjacjami w sprawie Ex.calibura.

- Jak byś się czuł, odkrywając nagle, że to ja zataiłam kilka drobnych szczegółów dotyczących mojego udziału w upadłości któregoś z twoich byłych klientów?

- Elizabeth...

- Oszczędź sobie! Oboje znamy odpowiedź. - Uśmiechnęła się gorzko. - Wiesz co, Jack? Może dam się przekonać, że naprawdę wierzyłeś w swoje prawo do wyrównania rachunków z firmą, która wykorzystywała twojego brata. Ostatecznie ja też mam rodzinę i potrafię zrozumieć, że lojalność wobec Larry'ego popchnęła cię do tak ekstremalnych poczynań. Przyjmuję też do

wiadomości, że nie wiedziałeś, iż twoje działania doprowadzą mojego szwagra do utraty kolejnej posady...

- Kolejnej posady?

- Nieważne! Powtarzam jeszcze raz: potrafiłabym zrozumieć chęć pomszczenia krzywdy brata, choć nigdy nie mogłabym zaakceptować sposobu, w jaki wzięłeś odwet...

- Ale?

Nienawidziła tego wszystkowiedzącego spojrzenia pełnego wyższości!

- ...ale nie możesz oczekiwać, bym pogodziła się z twoim przemilczeniem faktu, że to ty stałeś za przejściem Gallowaya. Powinieneś mi o tym powiedzieć, zanim poprosiłeś o poparcie swoich planów ratowania Excalibura.

- Masz na myśli: zanim poszliśmy do łóżka, prawda? To tego nie możesz strawić, że kochałaś się ze mną, zanim odkryłaś, że jestem odpowiedzialny za upadek firmy Gallowaya.

Elizabeth wysunęła wojowniczo podbródek.

- Owszem, to też się liczy.

Milczał przez chwilę, aż wreszcie spytał:

- Wiesz, co myślę?

- Co?

- Tobie chyba nie chodzi tylko o mnie. Mam wrażenie, że jesteś równie zła na samą siebie. Może nawet bardziej niż na mnie.

- O czym ty mówisz, na litość boską?

- Jesteś wściekła na siebie, bo ci się zdaje, że dałaś zrobić z siebie frajera. Sądziś, że wykorzystałem seks, by dostać od ciebie to, co chciałem, i winisz siebie za to, że się dałaś nabrać. Czujesz się jak ostatnia naiwna idiotka, więc rzecz jasna próbujesz część winy zwalić na mnie. Podstawowa psychologia konfliktu. - Odwrócił do góry płasko rozpostartą dłoń. Elizabeth otworzyła usta w osłupieniu.

- Kiedy to zdążyłeś zaliczyć studia na psychologii?

- Miałem mnóstwo czasu na refleksje nad tym, co się między nami popsuło. Całe sześć miesięcy.

Czuła się jak strzelec osłepiony nagłym rozbłyskiem flary.

- Zaskakuje mnie, że w ogóle tracisz czas na rozmyślania o naszym związku!

- To nie był związek, ale raczej szalenie krótkotrwały romans.
- Na jedną noc!
- Ale mógł się rozwinąć w związek- upierał się Jack, -  
To ty ucięłaś wszelkie stosunki po tamtej pierwszej nocy!
- Bo się dowiedziałam, kim jesteś. Bóg jeden wie, do czego mogłoby dojść, gdyby Hayden Shaw mnie nie oświecił... -  
Urwała, ale było już za późno; Jack skinął głową, jakby to, co usłyszał, potwierdzało jego przypuszczenia.
- To się by zgadzało. Chciałem cię już wcześniej zapytać, któż ci opowiedział, że to ja wyreżyserowałem przejęcie Gal-lowaya, bo za jedyne kandydata do tej roli uważałem właśnie Haydena.
- Nie wiń posłańca...
- Winię tego, kogo powinienem! - Parsknął i otworzył kartę ze spisem dań. - Zamówmy coś do jedzenia i zmieńmy temat. Ta rozmowa zesłała na niepożądane tory.
- Elizabeth z rozmachem ujęła swoją kartę.
- Oczyszczenie atmosfery niesłuchanie poprawia jakość relacji międzyludzkich. i
- Owszem, zawsze tak uważałem. - Jack zerknął na nią znad swojej karty. - Zanim odłożymy te rozważania, że się tak wyrażę, na spoczynek, chciałbym powiedzieć jeszcze jedno.
- Co takiego? - Łypnęła na niego podejrzliwie.
- Dla pamięci przyszłych pokoleń: nigdy nie wysłałem ani jednego jaja niewinnej ptaszyny i teraz też nie prowadzę tak haniebną gry!

## Rozdział dziewiąty

O jej! Victoria Bellamy wygląda kropka w kropkę tak jak na plakacie filmu - szepnęła Elizabeth z niemal nabożnym podziwem.

Jack spojrzął na nią zdziwiony i niemal rozśmieszony, że Elizabeth zachowuje się jak wyznawczyni kultu gwiazd srebrnego ekranu. Podążył wzrokiem za jej spojrzeniem i dostrzegł Victorię. Blondynka lawirowała między grupkami gości z senną elegancją syreny, prześlizgującej się między ławicami pospolitych szarych ryb. Minęła już jedenasta. Wielką salę recepcyjną wypełniał tłum, lecz stosunkowo łatwo było śledzić poruszenia Victorii pośród kręgów innych gości: po pierwsze, jako jedna z nielicznych kobiet nie była w czerni, lecz w bładoniebieskiej satynowej sukni z nisko wyciętym namarszczonym dekoltem, jakby przeniesionym w czasie z salonu mody schyłku lat czterdziestych. Misternie ułożone fale jasnych włosów tworzyły platynowe obramowanie drobnej twarzyczki, w której dominowały

usta, mocno podkreślone szminką, i rzęsy aż kapiące od tuszu. W uszach i na szyi migotały brylanty.

- Postanowiła utrzymać swój wygląd z plakatu, chociaż... - Jack przyjrzał jej się bliżej. - Zdaje się, że z jednym wyjątkiem: nie nosi dzisiaj broni. A czego się spodziewałaś?

Niezmordowanie przeczesywał wzrokiem tłum wypełniający salę od jednej przeszklonej ściany do drugiej. Chyba wszyscy goście festiwalu zebrali się na dzisiejszym przyjęciu! W zakulisowych kręgach przemysłu filmowego Dawson Holland najwyraźniej nie był byle płotką.

Wystrój sali był prosty: z sufitu zwisały plakaty filmowe, wśród których królowały biało-czarne powiększenia ujęć z filmu *Zakazana ferajna*. Większość przedstawiała oświetloną filmowymi reflektorami Victorię Bellamy. Goście mogli się raczyć wymyślnymi przystawkami rozstawionymi na długich stołach i gasić pragnienie w barku, usytuowanym nieopodal wejścia na podium. Kiedy Jack brał drinki dla siebie i Elizabeth, zauważył, że są serwowane tylko markowe alkohole. Tymczasem jego towarzyszka ściągnęła brwi, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Sama nie wiem. Chyba nie sądziłam, że z bliska jest równie uderzającą pięknoską. Przecież to nie Hollywood! Muszę jednak przyznać, że ma wygląd prawdziwej gwiazdy.

- Wygiąd nie oznacza, że potrafi grać.

- Prawda! - przyznała Elizabeth.

Jack przysunął się nieco bliżej pod pretekstem, że sięga po garść orzeszków. Cały czas nie opuszczała go świadomość jej bliskości. Owiął go delikatny, korzenno-kwiatowy zapach perfum. Poczłł gwałtowne ściskanie w dołku...

Kiedy kilka godzin wcześniej ujrzał ją na szczycie schodów w myśliwskim domku, ubraną w wieczorową sukienkę o kroju podkreślającym figurę, z wysoko upiętymi włosami, zapragnął z rozpaczliwą siłą rzucić coś o podłogę, stłuc na drobne kawałki - zrobić cokolwiek, byle rozładować napięcie, które groziło, że rozsądzi go od wewnątrz. Zrozumiał, jak ciężką próbą będzie dla niego ten tydzień spędzony pod wspólnym dachem. Być może jeszcze nigdy w życiu nie stawił czoła równie trudnemu wyzwaniu. Skoncentruj się na sprawie, którą masz tu do załatwienia! - upomniał się srogo.

Elizabeth skubnęła rękaw jego marynarki.

- Zobacz, jakim gestem odwraca głowę, kiedy przechodzi przez tłum.

Jack zerknął na Victorię, która zatrzymała się właśnie, by zamienić kilka słów z niemłosiernie chudym młodzieńcem o płonących uwielbieniem oczach za okularami w rogowej oprawie.

- Jest piękna. Piękność zawsze stanowi obiekt ogólnego podziwu. Tak już po prostu jest.

- Na tobie jednak nie robi takiego wrażenia jak na większości mężczyzn w tej sali - zwróciła uwagę Elizabeth.

- Owszem, robi. - Wrzucił do ust kolejną garść orzeszków. - Ale nie jestem zainteresowany.

- A to jakaś różnica?

- Wielka.

Elizabeth spojrzała na niego przenikliwym wzrokiem.

- Wyjaśnij mi ją.

Jack długo milczał.

- Nie wiem, czy potrafię. Chodzi o to, że ona wygląda porwijająco, ale jednocześnie widać, że doskonale o tym wie. Jej powab nie ma charakteru zmysłowego, przynajmniej dla mnie ten rodzaj wdzięku nie przekłada się na pociąg seksualny.

- Wciąż nie bardzo...

Jack nieporadnie usiłował znaleźć odpowiednie słowa,

- Ona wieje chłodem. Jak oszroniona szklanka mineralnej z lodem... - Urwał w pół zdania. Uśmiech Elizabeth mógł zamienić tropikalny ocean w arktyczną zmarzlinę.

- Wspomniałeś, że Victoria Bellamy wieje chłodem. Może potrafisz wyjaśnić to dokładniej?

- Nie sądzę. - Zrozpaczony, zaczerpnął jeszcze garść orzeszków.

- Może chodziło ci o to, że jest bryłą lodu. Tak powiedziałeś kiedyś o mnie? - Twarz Elizabeth przybrała wyraz łagodnego skupienia, jak u człowieka, który dąży jedynie do wyjaśnienia zawikłanej kwestii. - A może to byłaby przesada? Przecież właściwie wcale jej nie znasz. Być może za wcześniej szufladkować ją jako bryłę lodu.

- Cholera jasna! - Czemu zawsze tak niefortunnie kończą się próby cywilizowanej rozmowy z tą kobietą? - pomyślał smętnie.

- Jack, bądź szczerzy. Czy problem polega na tym, że na świecie jest pełno lodowatych, oziębłych kobiet? A może to ty tak na nie wpływasz?

- Mamy tu coś do załatwienia - przypomniał jej szorstko. - Lepiej zabierzmy się do roboty.

- Zmieniasz temat!

- Owszem, zmieniam, do cholery! - Ujął swoją towarzyszkę pod ramię i delikatnie popchnął w kierunku drugiego bufetu. - Przechodzemy salę. Masz krzątać wśród gości, jak na tamtym przyjęciu dobroczynnym.

- Czy naprawdę uważasz, że Page odważy się pojawić publicznie?

- Biorąc pod uwagę, że ostatnio prześladowuje mnie pech, być może to próżne nadzieje, ale nie całkiem absurdalne. Myślę, że Page uwielbia ocierać się o filmowy światek, leci na cały ten sztafaż. Obecność na Dym przyjęciu może być dla niego ważniejsza od względów bezpieczeństwa!

- Jeśli rzeczywiście zjawi się tu, pilnuj, żebym go nie zadusiła - powiedziała na pożegnanie Elizabeth.

S cenarzysta przedstawił się jako Spencer West. Elizabeth na pierwszy rzut oka stwierdziła, że wypił o jeden kieliszek tequila za dużo. Zamazując spótgłoski, przemawiał namaszczonego tonem:

- Koncepcja! Zamysł! Bez tego w Hollywood jesteś zgubiony!

- Aha... - Elizabeth, jak umiała, nasyciła głos nutami gorącego zainteresowania.

Spencer był chudy i tak spięty, że sprawiał wrażenie człowieka na torturach. Nosił okulary w rogowej oprawie, a płócienna marynarka o nieokreślonym kroju zwisała z wąskich, przygarbionych ramion jak z wieszaka. Robił nawet wrażenie miłego faceta, ale po godzinie cierpliwego wysłuchiwanie podobnych bredni z ust całkowicie obcych sobie ludzi czuła, że jest bliska kresu wytrzymałości. Spencer wlał w siebie kolejny haust tequila.

- Trzeba ująć cały zamysł w jednym zdaniu, jednym cholernym związłym zdaniu!

- Aha, jak slogan reklamowy?

- Coś w tym rodzaju. - Jej przenikliwość wzbudziła uznanie w zamglonych oczach.

- To chyba trudne?

- Scenarzyści z Hollywood to kretyni pozbawieni wizji! Barany, które mają w nosie, że wszystko, co napiszą, zostanie gruntownie przerobione przez komitet do spraw scenariuszy. Ale ja mam wizję! Dlatego robię kino niezależne.

- Jaka była pana wizja filmu *Zakazana ferajna*!

Spencer zamilkł, by spotęgować dramatyzm wyznania:

- „Gdy się raz zwiążesz z zakazaną ferajną, jesteś uwiązany na fest!” To stało się zresztą sloganem reklamowym całego filmu.

Elizabeth skinęła głową.

- Pewnie źle się kończy, co?

Spencer zmarszczył czoło.

- Kończy się realistycznie, w tym cały sęk.

- No tak, realistycznie. Taki scenarzysta jak pan, musi chyba znosić wiele nacisków z rozmaitych stron?

- Okropnych!

- Pewnie każdy realizator i producent próbuje wtrącić swoje trzy grosze - zasugerowała.

Spencer parsknął z pogardą.

- Żeby pani wiedziała! Trudno uwierzyć, przez co przeszedłem z tym scenariuszem. Wszyscy usiłovali mi pomagać. Cholera, musiałem przerobić od podstaw całą rolę Vicky!

- Vicky?

Spencer rzucił jej zaskoczone spojrzenie.

- Vicky Bellamy... wie pani, żona Dawsona.

- Ach, tak, Vicky! - Elizabeth uśmiechnęła się szeroko. - Czemu musiał pan przerobić jej rolę? - Ponownie otrzymała pogardliwe spojrzenie, jakby zadała głupie lub niewiarygodnie naiwne pytanie.

- Bo Dawson Holland jest jej mężem, dlatego! - wyjaśnił scenarzysta z demonstracyjną cierpliwością. - A to właśnie Holland trzymał w garści portfel. To on złożył do kupy pakiet finansujący produkcję, żeby jego żoneczka mogła zostać gwiazdą. Oczywiście dostał, czego chciał, co w tym przypadku oznaczało to, czego chce Vicky.

Elizabeth uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Aha. Właściwie przyszedłam tu tylko dlatego, że przyjaźnię się z jednym z inwestorów.

Na obliczu Spencera pojawił się po części porozumiewawczy, po części cyniczny grymas.

- Jeden ze szmalcowników, co? Tych tak zwanych potentatów?

- Właśnie. Ciekawe, czy oni też próbowali wtrącać się do scenariusza?

Spencer skrzywił się niemiłosiernie.

- Niektórzy bez przerwy pętali się na pianie i wchodzili nam pod nogi. Jeden próbował się naprzykrzać ze swoimi pomysłami, ale szybko go usadziłem. No bo co może wiedzieć taki facet z zewnątrz? Jakiś mól książkowy z Seattle, któremu się wydaje, że jest wielką szychą producencką?

Elizabeth niemal zadławiła się wodą mineralną, którą właśnie popijała.

- Mówisz, że był z Seattle?

- Aha... jakiś Page. Tyler Page! - Do gardła Spencera spłynął kolejny łyk tequili.

- Ach, ten producent.

Scenarzysta przewrócił oczami.

- Jego nazwisko jest na plakacie, ale to Dawson naprawdę był producentem, uruchomił karuzelę i znalazł gotówkę. Nawet niewielki filmik kosztuje krocie. Zazwyczaj potrzeba kilku inwestorów.

- Czemu więc tylko Page widnieje jako producent *Zakazanej ferajny*?

Na twarzy Spencera pojawił się wyraz znudzenia.

- Pewnie wyłożył najwięcej, a może zawarł jakąś umowę z Hollandem. Kto wie? Niektórzy inwestorzy gotowi są na wszystko, byle ich nazwisko pojawiło się w czołówce filmu!

Nieoczekiwanie z grupki gości stojącej tuż koło nich wychynęła Victoria Bellamy.

- Spencer! - Jej głos był równie powabny, co twarz i figura, gardłowy, namiętny, lekko zachrypnięty, jak głos Lauren Bacall w *Wielkim śnie*.

Elizabeth patrzyła, jak Victoria cmoka powietrze kilka centymetrów od twarzy scenarzysty, a ten mówi z uznaniem:

- Fajne przyjątko, Vicky.

- Cieszę się, że przyszedłeś. - Odwróciła się pytająco w stronę Elizabeth. - Przedstawisz mnie swojej przyjaciółce?

Oczy Spencera przez chwilę wyrażały oszołomienie. Elizabeth odgadła, że zdał sobie sprawę, iż nawet nie zna jej imienia, uśmiechnęła się więc do Victorii i śmiało wyciągnęła rękę w powitanie.

- Jestem Elizabeth, współpracowniczka jednego ze szmalcowników. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, pani Bellamy?

- Ach, proszę mi mówić Vicky. Nikt nie zwraca się do mnie inaczej. - Blondynka zaśmiała się melodyjnie. - Oczywiście nie mam nic przeciw temu. Wprost uwielbiam szmalcowników... i ich wspólników. Przyjechała pani na cały festiwal?

- Tak. Bardzo podniecająca impreza! - Vicky najwyraźniej nie zależało na poznaniu jej nazwiska. Elizabeth przypomniawszy sobie urywki z książki, którą przejrzała w trakcie lotu z Seattle. - Czarny kryminał to fascynujący gatunek filmowy. W sobie właściwy sposób stosuje grę światła i cienia jako metaforę wizualną. A twórcy klasycznych filmów z niezrównaną maestrią uchwycili niepowtarzalną atmosferę współczesnej wieloznaczności moralnej. No i ta wszechobecność mrocznej scenerii miasta... - Elizabeth urwała. - Nie ma stylu, który by lepiej oddawał ducha Ameryki, prawda?

Vicky uśmiechnęła się.

- A westerny?

- Ma pani rację. Western i czarny kryminał, oba gatunki są wyjątkowo amerykańskie.

Vicky wyglądała na zaskoczoną.

- Ciekawe...

Elizabeth pomyślała z obawą, że musiała przesadzić.

- Co jest ciekawe?

- Większość szmalcowników nie mówi o filmie tak jak pani. - Ach, ja jestem tylko przyjacielem inwestora. Przyjechałam na festiwal, bo film to mój konik.

- Który inwestor jest pani znajomym?

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

- Tyler Page. Musiała go pani poznać w czasie zdjęć do *Zakazanej ferajny*.

- Jasne, że poznałam Tylera. - Twarz Vicky rozjaśnił uśmiech. - Słodki facet, kręcił się bez przerwy po pianie. Troszkę zaślepiony blaskiem filmu, prawda, Spencer?

Scenarzysta demonstracyjnie wzruszył ramionami.

- Wszyscy ci faceci z forszą są zaślepieni blaskiem filmu.

Blondynka ponownie prychnęła śmiechem, który mimo całej spontaniczności brzmiał wystudiowanie zmysłowo.

- Biorąc pod uwagę to, że nigdy nie ujrzą ani centa z wyłożonej forsy, należy im się trochę gwiazdnych snów. Jak sądzisz, Elizabeth?

- Sny są ważne. Czasami nic więcej nie można oczekiwać - zgodziła się, za co Vicky obdarzyła ją pełnym uznania uśmiechem.

- To brzmi jak kwestia ze scenariusza Spencera. Nie chciałyby pani przeczytać scenariusza *Zakazanej ferajny*?

- Szalenie! - potwierdziła Elizabeth z zapałem.

- Spencer na pewno ma zapasowy egzemplarz. - Blondynka spojrzała pytająco na scenarzystę.

Ten uniósł wzrok znad nowego kieliszka tequili.

- Co? Ach, tak, jasne, mam jeden egzemplarz przy sobie. Dam go Elizabeth, zanim wyjdzie.

- Dzięki, bardzo to uprzejmie z waszej strony.

Spencer zakołysał się ryzykownie na piętach i rzucił Vicky zaciekawione spojrzenie,

- A jak się mają sprawy z twoim prześladowcą? Słyszałem o tym incydencie w uzdrowisku...

Blondynka skrzywiła się.

- Jak zwykle skończyło się na tym, że oblał mnie czerwoną farbą. To już trzeci raz w tym miesiącu i Dawson zaczyna się denerwować.

Elizabeth popatrzyła na nią z przerażeniem.

- Ma pani prześladowcę?

- Jakiś kretyń uznał mnie za wcielenie biblijnej nierządnic. Od miesiąca śledzi mnie wszędzie. - Vicky zatoczyła palcem kółko na czole. - Kompletny bzik!

- Dobry Boże... -szepnęła Elizabeth. - To musi być potworna udreka!

Aktorka zacisnęła wargi.

- Rzeczywiście trochę mnie nastraszył. Ale Dawson bardziej się tym przejmuję.

- A policja, czy coś odkryła?

- Niewiele mogą. Szef policji w tym miasteczku, nazywa się Gresham, jest miły i chętnie by coś zrobił, ale ma niewielu ludzi i nędzne wyposażenie techniczne. Całe to zamieszanie festiwalowe i tłum, który tu zjechał, to i tak za wiele jak na ich możliwości!

- Dawson powinien wynająć ochroniarza - wtrącił Spencer z nieodgadniętym wyrazem twarzy. - Przecież stać go na to!

- Już coś o tym wspominał - przyznała Vicky. - Ale prosiłam, żeby się jeszcze wstrzymał. Ochroniarz, który wszędzie za mną łązi! Co za ohyda! Mam nadzieję, że policja złapie tego oszołoma i uniknę asysty goryla.

- Jak chcesz - mruknął Spencer i wsadził nos w kieliszek.

Vicky cofnęła się o krok.

- Chyba muszę ruszyć w dalszą trasę. Wybaczcie, że was pożegnám, i bawcie się dobrze.

Scenarzysta śledził ją wzrokiem, zanim zniknęła wśród rozgadane go tłumu. Elizabeth zauważyła, że nie jest w tym osamotniona; kilku mężczyzn i jedna czy dwie kobiety też nie mogli oderwać oczu od Vicky. Przypomniała sobie, co mówił Jack, i postanowiła poddać Spencera małej próbie.

- Piękna, prawda?

- No, tak. A w dodatku to naprawdę całkiem niezła aktorka. Naturalnie nie na miarę Hollywood, ale jest nie najgorsza.

- Żal mi jej. Ten facet, co za nią łązi... Musi być przerażona.

- Na pani miejscu nie przejmowałbym się tak bardzo Vicky i jej prześladowcą.

- Co pan ma na myśl'?

- Założę się, że to trick reklamowy. Sama go pewnie wymyśliła.

Elizabeth otworzyła usta ze zdziwienia.

- Poważnie?

- Najzupełniej! - Spencer przypatrywał się jej z rozbawieniem. - Wie pani, może to nie Hollywood, ale mimo wszystko jesteśmy w świecie filmu. Takie Vicky Bellamy mają we krwi robienie wokół siebie szumu!

- Brzmi to bardzo wyrachowanie. Tak... tak chłodno... Spencer wyszczył drinka do dna.
- Zartuje pani? Vicky dodaje borygo do soku pomarańczowego na śniadanie, żeby jej krew w żyłach nie zakrzepła z zimna!

W czarnym kryminale sztyko zasada się na umiejętnym wykorzystaniu światła i cienia - oświadczył z namaszczeniem Bernard Aston. - Wizja i światło, bez tego ani rusz!

- I bez forsy - dodał Jack i rozejrzał się po sali w poszukiwaniu Elizabeth. Miał nadzieję, że trafiła lepiej od niego. Udało mu się zaliczyć faceta od oświetlenia, drugiego kamerzystę i dwóch innych, którzy twierdzili, że zagrali epizody w *Zakazanej ferajnie*. Nikt z dotychczasowych rozmówców nie miał pojęcia, kim jest Tyler Page, i nikogo to nie obchodziło\*. Wreszcie Jack namierzył samego reżysera, ale i ten nie okazał się bardziej pomocny. Bernard Aston był krępy i nieco otyłym facetem, który swoją dzinsową koszulę z naszywką jednego z wziętych projektantów mody rozpiął prawie do pasa. Srebrny wisior w stylu wschodnim, kołyszający się wśród szpakowatych, mocno już przerzedzonych włosów na piersi filmowca, i wystrzępiony koński ogon na jego karku miały prawdopodobnie świadczyć o artystycznej osobowości, ale Jack stwierdził, że starania Astona są całkowicie chybione.

- Zbieranie forsy to zmartwienie producenta, ja jako reżyser koncentruję się na wizji i oświetleniu - wyjaśnił Bernard.

- No tak, a ponieważ to Dawson Holland zajmował się budżetem, mógł pan bez skrępowania się na nich koncentrować, prawda?

- Gówna prawda! Holland był od samego początku jak wrzód na dupie. Postawił warunek, żeby główną rolę zagrała jego żona, bo inaczej nie kiwnie palcem dla sfinansowania produkcji. Powiadam panu, odpowiednie ustawianie jej w roli było robótką nie lada! Nie tak łatwo zrobić aktorkę z byle gładkiej buzi.

Jack wskazał znacząco na jeden z biało-czarnych fotosów.

- Tu nie wygląda najgorzej.
- Wizja i światło! - Aston wyłowił oliwkę z marlini i wrzucił ją sobie do ust. - Vicky też była okropnie namolna. Wie pan, w Hollywood zrobiła klapę...

Jack podejrzewał, że nie ona jedna z obecnych na tej sali miała tego pecha. Właśnie układał w myślach pytanie, które zahaczałoby o Tylera Page'a, gdy Aston zerknął ponad jego ramieniem i uniósł martini w nonszalanckim pozdrowieniu:

- Cześć, Holland! Udane przyjęcie!
- Nie mnie dziękuj, ale Vicky. To ona zajmuje się takimi sprawami... Cieszę się, że przyszedłeś. Aston.

Na dźwięk suchego głosu znamionującego obycie i towarzyską ogładę Jack niespiesznie odwrócił się i zmierzył Dawsona Hollanda spojrzeniem, konfrontując postać nowo przybyłego z informacjami, jakie przekazał mu Lany. Od niego wiedział, że finansista skończył pięćdziesiąt siedem lat i jest starszy o dwadzieścia lat od swojej żony, bo gdyby nie to, trudno by mu było odgadnąć wiek tego mężczyzny o szczupłej, kulturalnej twarzy, ascetycznych rysach i przyprószonej srebrem czuprynie. Większości ludzi przyszloby prawdopodobnie na myśl utarte określenie „dystygowany”. Poruszał się z gibkością wysportowanego człowieka, który dba o sprawność fizyczną. Miał na sobie czarną jedwabną koszulę i spodnie tego samego koloru, ale jakimś cudem udało mu się wyłamać z szablonu typowego mieszkańca Los Angeles. Spojrzał na Jacka i uśmiechnął się zdawkowo, lecz w szarych oczach pojawiło się grzeczne zaciekawienie.

- My się chyba nie znamy...

Jack wyciągnął dłoń.

- Jestem Jack Fairfax. Rzeczywiście przyszedłem bez zaproszenia. Właściwie wraz z towarzyszką włamałem się na pana przyjęcie. I mamy tylko jedną wymówkę: znamy producenta, a w każdym razie gościa, którego nazwisko widnieje w takim charakterze na plakacie: Tylera Page'a.

Uścisk dłoni Hollanda miał w sobie rzeczowość i solidność bankiera.

- Wszystko w porządku, Jack, zawsze chętnie witamy współpracowników ludzi, którzy swoimi pieniędzmi wspierają nasze produkcje. Czy i pan chciałby wejść do gry?

- Sam nie wiem... - Jack potoczył znaczącym spojrzeniem po plakatach. - To wszystko wygląda na kosztowną zabawę. Słyszałem poza tym, że niezależne produkcje to z finansowego punktu widzenia beznadziejna inwestycja.



- Jakbym sam o tym nie wiedział! - Dawson zachichotał swobodnie. - Ale liczy się produkt końcowy, prawda, Aston?

- Prawda. - Oczy reżysera zabłyśły. - Nic w świecie nie może się równać z robieniem filmów!

- Czy pan i pańska przyjaciółka będziecie na całym festiwalu? - spytał grzecznie Dawson.

Jack kiwnął potakująco głową:

- Ona jest amatorką starych filmów, więc chyba zostaniemy na cały tydzień.

- Pańska przyjaciółka ma dobry gust. - Dawson mrugnął porozumiewawczo. - Poza tym mądry facet stara się zadowolić swoją panią.

Jack zerknął na salę i ujrzał Elizabeth, zagłębioną w ożywionej rozmowie z chudym okularnikiem.

- Niektóre panie trudniej zadowolić niż inne - westchnął.

## Rozdział dziesiąty

Dawson rozparł się wygodnie na poduszkach, patrząc, jak Vicky wychodzi z wanny wyłożonej turkusowymi i białymi kafelkami. Miała na sobie szlafrok, który przywiózł jej w tym miesiącu z Paryża: z ciężkiego jedwabiu w kasztanowym odcieniu, pokryty kwiecistym haftem. Upięta włosy na czubku głowy i zmyła cały makijaż, lecz i bez niego wyglądała olśniewająco. Obie jego poprzednie żony były skończonymi pięknosciami, ale żadna nie dorównywała Vicky. Poczł znajome pulsowanie między nogami. Wiedział, że wielu mężczyzn nie potrafi przejrzeć maski posagowego piękna jej oblicza, ale jemu się to udało; dostrzegł kryjący się pod nią umysł, ostry jak brzytwa i szybki jak błyskawica. Dlatego związała się właśnie z nim. Używała urody jako monety przetargowej, ale miała w pogardzie mężczyzn, którzy nie sięgali poza jej powierzchowność czy też nie dbali o nic poza nią.

Pomyślał przelotnie o rudowłosej, którą zaliczył

w zeszłym miesiącu w Los Angeles. Nawet nie pamiętał imienia, tylko to, że miała niezłe cycki. Ale tysiąc razy brzydsze, niż Vicky - stwierdził. Westchnął pod nosem i znowu zadał sobie pytanie: czemu w ogóle bawi się w te jednonocne przelatywania? Żadna z kobiet, które brał do łóżka w ciągu dwóch lat małżeństwa z Vicky, nic dla niego nie znaczyła. Nie miały imion ani twarzy. Kiedy był zjedna z nich, wyobrażał sobie zazwyczaj, że trzyma w ramionach Vicky. Po co więc tracił czas z innymi, skoro w małżeńskim łóżu czekała ta wymarzona? Ostatnio coraz częściej zastanawiał się nad tą zagadką. Może powinien pójść do psychoterapeuty?

Patrzył, jak Vicky siada przed toaletką na stołku obciążonym białym aksamitem i krzyżuje długie nogi. Kołysała pantofelkiem zawieszonym na palcach stopy. Odchrząknął i spytał:

- Niezłe dziś poszło, co? Wyglądałaś olśniewająco jak zawsze.

- Dziękuję. - Zakołysała w roztargnieniu stopą i spojrzała mu w odbite w lustrze oczy. - Ten facet, który za mną łązi, może nam sprawić trochę kłopotów.

- Czemu tak myślisz?

- Zdaje się, że ludzie zaczynają gadać, że zorganizowaliśmy sobie reklamę. Spencer West tak myśli. Zorientowałam się po wyrazie jego twarzy, a na pewno nie jest jedynym, który ma wątpliwości. Może czas już z tym skończyć?

- Niech jeszcze tak zostanie do końca festiwalu. Tutejsza gazeta poświęciła ci kilka linijek po incydencie w pijalni wód. A że ten i ów domyśla się prawdy? Wielkie zmartwienie! Dobrze zainwestowaliśmy nasze pieniądze...

- Twoje pieniądze. - Vicky uśmiechnęła się.

- Cała przyjemność po mojej stronie, zapewniam cię! Jeśli ta historia ma pomóc twojej karierze, to się opłaci.

Uśmiech spełzył z jej twarzy. Patrzyła na męża poważnym, zamyślnym wzrokiem.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Daws >nie...

- Sprawia mi to radość, kochanie.

Wstała i rozchyliła jedwabne poły s.lafroka, pod którym nie miała na sobie nic. Dawson p iczuł, że jego członek zeszywniał jak skała.

- Niech to diabli! Jakaś ty piękna!

Rozjaśniła się w uwodzicielskim uśmiechu, zgasiła lampkę i przysła do niego w ciemności. Kiedy poczuł na sobie jej usta, wyprężył się i stracił kontrolę nad ciałem, jakby unosiła go potężna fala przypływu. Inne wymagały od niego inicjatywy i pracy, ale Vicky kochała się z wprawą zawodowej kurtizany. Od niego oczekiwała tylko, by się położył i oddał w zwinne ręce i usta partnerki, czepiąc rozkosz z jej wyszukanych pieszczot.

Zmysłowe podniecenie zmyło z jego świadomości wątpliwości dotyczące rudowłosej panienci z Los Angeles. Vicky nie dowie się o niczym - zawsze starannie zacierał ślady swoich skoków. Pochlebiał sobie, że szczególna dbałość o dyskrecję płynie z troski o żonę. Zasługiwała przynajmniej na tyle!

Czuł nadchodzący orgazm. Chwilę przedtem, zanim wstrząsnął nim paroksyzm rozkoszy, aż całe ciało zwiotczało w niewymownym omdleniu, przypomniał sobie wzrok Jacka Fairfaksa studiującego fotosy Vicky z planu *Zakazanej ferajny*. W oczach tamtego dojrzał wtedy ciekawość i kalkulację. Prawdopodobnie próbował sobie wyobrazić, jakajest w łóżku... Afe Fairfax nigdy nie pozna odpowiedzi na to pytanie, gdyż Dawson był pewien, że Vicky - w odróżnieniu od dwóch pierwszych żon - go nie oszukuje. Od samego początku dała mu poznać, co jest dla niej w życiu najważniejsze: zabezpieczenie materialne, jakie zyskiwała dzięki jego fortunie, i pragnienie, by zrobić karierę w filmie. Potrafiła udawać zmysłowe uniesienie i odgrywać fantastyczny orgazm, lecz w gruncie rzeczy był pewien, że seks nie odgrywa dla niej większej roli. Był walutą wymienną za to, co tylko on mógł jej zapewnić. Owszem, wysoko ceniła swe względy, ale była warta takiej stawki. Wiele miał przed nią kobiet, ale żadna nie umywała się do Vicky.

Zanim zasnął, wyczerpany do cna zmysłowym uniesieniem, przez głowę jeszcze raz przemknęło mu pytanie, czemu w ogóle zadaje się z innymi.

## *Rozdział jedenasty*

O sunął się głębiej do obszernej wanny, w której bulgotała i kipiała podgrzewana woda. W ciemnościach panujących na tarasie nie widział obłoczków pary, lecz czuł na skórze, jak spowija go wilgotna chmura ciepła.

Kiedy kilka minut temu zszedł z sypialni, nie zapalił ani jednej lampy, zgasił również oświetlenie zainstalowane w ścianach jacuzzi. Spoczywał pograżony w mroku, który rozpraszał jedynie słaby blask księżycy i gwiazd. Wyciągnął leniwie ramiona wzdłuż brzegów wanny i oparł się wygodnie. Podniósł wzrok na rozgwieżdżone niebo nad głową. Mijała właśnie druga w nocy. Tuż po pierwszej wraz z Elizabeth wrócili z przyjęcia. O ile wiedział, jego towarzyszka od razu położyła się do snu, co z niezrozumiałych powodów wprawiło go w rozdrażnienie. Jak mogła zasnąć z taką łatwością, gdy on leżał tuż za ścianą, wpatrzony bezsennie w spowite mrokiem nocy góry? Odpowiedź była niestety oczy-

wista: jego bliskość nic dla niej nie znaczyła i w najmniejszym stopniu jej nie wzruszała.

Wreszcie postanowił, że w ciepłej kąpieli z bąbelkami lepiej będzie mu się rozważało obecną sytuację. Najlepsze pomysły przychodziły do niego w środku nocy - od dawna o tym wiedział. Co prawda bywało i tak, że okazywały się jego najgorszymi, najmniej fortunnymi posunięciami, na przykład decyzja, by nawiązać romans z Elizabeth, zanim jeszcze ujawnił się jako człowiek, który przyczynił się do upadku Gallowaya. To był pomysł, który wpadł mu do głowy właśnie o trzeciej nad ranem pół roku temu.

Wysłuchiwał się w monotonny pomruk silnika jacuzzi i łagodne szemranie wody. Z ogrodu dochodziły ledwie słyszalne szelesty gałęzi, poza tym panowała zupełna cisza.

Uświadomił sobie nagle, że przez całe dorosłe życie uznawał za naturalną swoją szczególną zdolność: całkowitej koncentracji na obranym celu. Jego ojciec, Sawyer Fairfax, powiedział mu kiedyś, że to dar - jak talent malarski czy muzyczny. I jak z każdym tego rodzaju wrodzonym talentem miał wybór: używać go lub utracić wyjątkowe zdolności. Jack wołał go używać. Teraz zaś zadecydował, że sześć miesięcy temu popełnił błąd, dzieląc energię między dwa cele - zdobycie Elizabeth i uratowanie Excalibura. Pierwszy już przeszedł mu koło nosa, a teraz był niebezpiecznie blisko utraty tego drugiego!

Usłyszał za plecami świst rozsuwanych drzwi i na pół zaciekawiony, na pół niespokojny głos Elizabeth:

- Jack, co ty tam robisz, na litość boską?!

- Rozmyślałem.

- Aha. - Milczała chwilę. - Poczekaj chwilę. Zaraz się do ciebie przyłączę.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł - mruknął pod nosem, ale o wiele za cicho, by mogła go usłyszeć. Zniknęła z powrotem wewnątrz domu, zaświeciło się światło na górze, a po krótkim czasie pojawiła się znowu, stąpając przez cienie tarasu, owinięta w biały puszysty szlafrok kąpielowy,

Poczuł gorący dreszcz podniecenia, gdy ujęła palcami węzeł mocujący pasek wokół talii. Pomyślał, że powinna była zgasić światło, zanim zeszła na dół. Z okna sypialni mżył złoty blask,

w którym mógł wyraźnie dojrzeć jej nagość. Chyba nie oczekiwała, że będzie leżał jak gdyby nigdy nic, podczas gdy ona włączyła mu do wanny z podgrzewaną wodą? Tymczasem Elizabeth wysunęła się z luźnych fałd i stanęła przed nim w jednoczesnym kostiumie. Cóż, to by było na tyle, jeśli chodzi o wizję nagiej Elizabeth w bulgoczącym jacuzzi.

Zmarszczyła czoło, ostrożnie zanurzając się w gorącej wodzie.

- Co cię tak rozśmieszyło? - spytała.

- Nic.

- Nie powiesz?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo wtedy ty ze mnie byś się śmiała!

Rzuciła mu nieodgadnione spojrzenie i usiadła na jednej z ławeczek, zainstalowanych wzdłuż brzegu. W głębokim cieniu nocy widział białawy fryz spienionej wody, rozbijającej się o wypukłości piersi, lecz reszta ciała kryła się przed jego pożądanym wzrokiem pod powierzchnią wody. Musiał zawierzyć wyobraźni. A może lepiej i tego nie ryzykować?

- Ty też nie mogłaś spać?

- Zasnęłam na krótko, ale obudziłam się jakiś czas temu i zaczęłam rozmyślać. - Odchyliła głowę na brzeg wanny. - Dziś wieczorem nie zrobiliśmy dużych postępów.

- Nie powiedziałbym tego. Zidentyfikowaliśmy wiele osób związanych z produkcją *Zakazanej ferajny*, które poznały Tylera Page'a na planie zdjęciowym. Ktoś z nich mógł udzielić nam cennych informacji.

- W Mirror Springs aż się roi od gości festiwalu. Jeśli Page mieszka gdzieś w mieście, musiał mieć zarezerwowane miejsce na wiele tygodni przedtem. Może powinniśmy...

- Zapomnij! To pierwsze, co sprawdził Larry, nie ma śladu żadnego Tylera Page'a w hotelach, motelach i pensjonatach w mieście czy okolicy. Jeśli tu jest, to pod przybranym nazwiskiem. Poza tym Larry twierdzi, że nadal ani razu nie użył żadnej ze swoich kart kredytowych.

Elizabeth zastanawiała się przez chwilę.

- Jeśli zarezerwował miejsce kilka tygodni temu, pod przybranym nazwiskiem, i zrobił to, unikając użycia karty i książeczki

czekowej, to kradzież kryształu musiał planować już od dawna. Nie był to nagły impuls, pomysł z ostatniej chwili.

- Nie. Wygląda na to, że ten nędzny sukinsyn dokładnie wszystko zorganizował,

- Ale takie przemyślane spiskowanie nie pasuje do obrazu osobowości, który mi naszkicowałeś: roztargnionego, niechlujnego faceta, który jedynie jako naukowiec jest bystry i przewidujący.

- Może uznał kradzież za część pracy naukowej przy projektowaniu kryształu... Wtedy potrafiłby poświęcić się planom ucieczki z równą wnikliwością, co eksperymentom laboratoryjnym.

- A może ktoś mu troszkę pomógł? - zasugerowała spokojnie Elizabeth.

Jack jęknął i rozsiadł się wygodniej.

- Tej ewentualności wolałem w ogóle nie brać pod uwagę! Jeśli w tę sprawę zamieszana jest więcej niż jedna osoba, wszystko bardzo się komplikuje.

- Ale to niewykluczone.

- Niewykluczone, spójrzmy jednak na to z bardziej optymistycznej strony: nikt inny nie zniknął w tajemniczy sposób z laboratorium, w którym Tyler prowadził prace nad kryształem. I nie wydaje się, by miał bliskich przyjaciół czy krewnych.

- A może miał kochankę?

Jack chrząknął z pogardą:

- Wszyscy w Excaliburze są co do tego zgodni: ten gość nie miał życia intymnego. Nigdy nie przejawiał zainteresowania kobietami.

- No, a mężczyźni?

Jack potrząsnął głową.

- Ani mężczyźni. Jego życie wypełniała praca nad kryształem i film.

Elizabeth zamknęła oczy.

- Możliwe, że nie uda nam się go znaleźć.

Jack zacisnął palce na krawędzi basenu.

- Znajdziemy go! Pojawi się na festiwalu. Nie będzie zdolny oprzeć się pokusie.

- Bardzo jesteś pewny tego, co mówisz!

- Jak ci wyjaśniłem, poznawszy największą pasję człowieka, poznajesz jego największą słabość. *Zakazana ferajna* to namiętność Page'a, więc wcześniej czy później musi się tu zjawić. Wciąż sądzę, że będzie próbował odsprzedać mi kryształ.

- A co daje ci tę pewność?

- Nic innego nie może z nim zrobić, tylko sprzedać, a ja jestem najlepszym potencjalnym nabywcą.

- Kilka dni temu wspomniałeś, że nie dopuścisz, by Tyler Page zniszczył twoją zawodową reputację. Ale co naprawdę zrobisz, jeśli nie uda nam się odzyskać kryształu przed datą prezentacji dla Veltrana?

Jack odpowiedział głosem wypranym z emocji:

- Moją misją jest ocalenie Excalibura.

- I swojej reputacji...

- ...i mojej reputacji - zgodził się.

- Trafiłeś na trudny orzech do zgryzienia, Jack, ale poprzednie nie były wcale łatwiejsze, prawda?

Zerknął na nią spod oka.

- Co masz na myśli?

- To, czym się zajmujesz. W ciągu tych sześciu miesięcy poszperałam w twojej kartotece. Excalibur to nie pierwsza mała rodzinna firma, którą próbujesz wyciągnąć z opresji. Czemu?

Do czego ona zmierza? - zastanowił się. Dlaczego z takim napięciem oczekuje jego odpowiedzi?

- To moja praca, i tyle.

- Hm... spodziewałabym się po tobie większego sprytu niż marnowanie czasu na ratowanie firm, których sytuacja wygląda równie niewesoło jak Excalibura.

- Lubię ryzyko.

- Nawet odzyskanie kryształu nie da ci pewności, czy firma jest na tyle żywotna, by przebić się na wolnym rynku.

- Jeśli odzyskam kryształ, zdobędę rynek.

- Czemu nie zwizasz manatków i nie zmieniasz klienta, ograniczając straty własne do minimum?

Jack spojrział jej prosto w oczy nad spienioną, parującą wodą:

- Nie porzucam klienta po podpisaniu kontraktu.

- I tu rodzi się kolejne pytanie: rozpytywałam wśród znajomych o twoje dawne zlecenia i odkryłam pewien wzór.

- Co to ma być, do diabła? Przez te sześć miesięcy kompiłowałaś moje tajne akta?

- Nie przez cały czas - przyznała Elizabeth.

Milczał, oszołomiony. Założyła mu teczkę personalną? Nie wiedział, czy się złościć, czy potraktować to jako powód do dumy. Wreszcie mruknął neutralnym głosem:

- No, no...

- Zauważyłam, że prawie zawsze bierzesz zlecenia dotyczące małych, z trudem utrzymujących się na powierzchni przedsiębiorstw, które są zarządzane przez niewielką grupkę ludzi lub zgoła członków jednej rodziny. Kontrakt z Morganem, dla którego przeprowadziłeś przejęcie Gallowaya, był jedynym odstępstwem od tego wzoru.

Jack spojrział w gwiazdy:

- Przejąć Gallowaya mogła tylko duża firma, taka jak korporacja Morgana. Mniejsza nie miałaby wystarczających środków ani szczególnych powodów, by dążyć do przejęcia.

Elizabeth uśmiechnęła się blado.

- Oczywiście zemsta na Gallowayu była kwestią honoru i zobowiązań, prawda?

Nie odpowiedział.

- Powiedz - ciągnęła jego rozmówczyni - czemu pracujesz wyłącznie dla małych, prywatnych firm? Ogólnie rzecz biorąc, im większa skala operacji, tym większe wynagrodzenie bierze konsultant przekształceniowy. Przecież wszyscy znamy rozmiar „pakietów zabezpieczających”, określanych przez konsultantów stających na czele wielkich firm. Nawet jeśli operacja się nie uda i przedsiębiorstwo tonie, oni odchodząc ze stanowiska, przeważnie dostają sutą odprawę na dodatek do wysokiej pensji. Ale twoje kontrakty wyglądają inaczej.

- Wiesz o tym na sto procent, tak?

- M am w aktach dokumentację całej twojej historii zawodowej.

- Hm... - W jej aktach!

- Zechcesz więc to wyjaśnić? - nalegała.

- Lubię pracować dla małych, rodzinnych firm. - Starannie dobierał słowa. - Mam wtedy większą kontrolę i większy wpływ na ostateczny rezultat. No i nie muszę spowiadać się ak-

cjonariuszom, którzy na każdym kroku włożą człowiekowi na głowę.

Elizabeth rzuciła mu na poły niedowierzające, na poły zabawione spojrzenie.

- Powiadasz, że naprawdę wolisz kłótnie rodzinne w łonie rady nadzorczej, jakich wysłuchujesz na każdym posiedzeniu zarządu Excalibura?

Uśmiechnął się, słysząc ironię w jej głosie.

- Przyznam, że Ingersołowie, a szczególnie Angela, to prawdziwe utrapienie. Chcesz poznać pewien głęboko skrywany sekret?

- Jaki?

- W ciągu ostatniego półrocza wiele razy dziękowałem losowi, że zmusiłaś mnie, bym dał ci miejsce w tej radzie nadzorczej.

Ujrzał w oczach Elizabeth zrozumienie.

- Wykorzystałeś mnie, bo wiedziałeś, że będę popierał twoje decyzje?

- Ano, tak.

- Miło wiedzieć, że nie byłam wyłącznie dokuczliwym cierniem!

- Nigdy nie powiedziałem, że jesteś dokuczliwym cierniem, tylko bardzo pożytecznym.

Przyglądała mu się w zamyśleniu.

- A więc pociąga cię wyzwanie, ryzyko i poczucie kontroli?

- O czym ty teraz pleciesz?

- Wyliczam powody, dla których zawsze pracujesz dla małych firm. Lubisz ryzyko i kontrolę, jaką sprawujesz w tego rodzaju operacjach przekształceniowych.

- Jak ci mówiłem, to moja praca.

- Ach, jakże to męskie! - Skrzywiła się lekko. - Współczesny odpowiednik najemnika z epoki Dzikiego Zachodu, Lojalny wobec pracodawcy aż do ostatniego tchu, choćby się paliło i waliło. A gdy już załatwi robotę, odjeżdża w promieniu zachodzącego słońca.

Jack milczał.

- Podejrzewam, że kryje się w tym coś więcej - szepnęła Elizabeth.

- Może zechcesz mi zdradzić, czemu wybrałaś taki temat rozmowy?

- Pewnie dlatego, że jest druga nad ranem... Może nie powinienam tu przychodzić.

- Może...

Wstała raptownie z parującej kąpieli. Mokry kostium przylegał do ciała jak druga skóra, podkreślając smukłą talię i łagodne łuki bioder.

- Nasz rozmowa idzie w złym kierunku. Chyba pójdę spać.

Patrzył, jak wychodzi z wanny.

- Naprawdę założyłaś mi teczkę?

- I to całkiem grubą... - Elizabeth narzuciła szlafrok. - Dla dobra nas obojga mam nadzieję, że okażesz się wart wszystkich pochwalnych recenzji, jakimi napęczniała!

- Ja również mam taką nadzieję!

Odwrociła się i pomaszerowała w ciemność, w kierunku drzwi. Jack wstał i brodząc w bulgoczącej wodzie dotarł do schodków basenu. Postawił nogę na płytach tarasu.

- Jack, na litość boską!

Zastygł, trzymając w dłoniach ręcznik, którym chciał się owinąć w pasie.

- O co ci znowu chodzi?

Gapiła się na niego przez chwilę, po czym odwróciła wzrok i odpowiedziała dziwnie zduszonym głosem:

- O nic...

- Co się stało, do diabła?

- Nie zdawałam sobie sprawy... - Urwała. Stała odwrócona do niego plecami. - Chodzi o to, że sądziłam, że masz na sobie kąpielówki.

- Czemu, do cholery, miałbym wkładać kąpielówki? Nawet nie zabrałem ich z Seattle!

- Powinieneś mnie uprzedzić! - W głosie Elizabeth pojawiła się nuta gniewu.

- No dobra, zrób z tego notatkę i włóż do mojej teczki: nie nosi kąpielówek w jacuzzi.

Podszedł do tablicy rozdzielczej i nacisnął przełącznik. Silnik ucichł, woda przestała szumieć. Daj jej czas na ucieczkę, mnóstwo czasu - upominał się w myślach. Ale gdy odwrócił się do wejścia, zobaczył, że Elizabeth wciąż tam stoi, tym razem odwrócona twarzą, z ramionami skrzyżowanymi kurczowo na piersiach. Obserwowała go ciemnymi nieodgadzionymi oczami.

~ Przepraszam... - wykrztusiła martwym głosem. - Przesadziłam.

- Nic się nie stało. - Jack przeczesał włosy wilgotną dłonią i podszedł do niej, rozpryskując dokoła krople wody. - Oboje jesteśmy teraz w wielkim stresie.

- No, tak... - Uniosła brwi, jakby dokonał nieoczekiwanego, a wstrząsającego odkrycia, którego do tej pory ona sama nie brała pod uwagę. - To prawda, musimy o tym pamiętać na każdym kroku.

- Możesz sobie brać to pod uwagę, ile chcesz. Ja osobiście idę spać. - Przecisnął się obok niej i wszedł do domu.

- Jack...?

Zatrzymał się i powoli odwrócił. Stała tak blisko, że z łatwością mógł jej dotknąć. Wziął w ramiona. Tak blisko, że dojrzał wyraz cierpienia w jej oczach.

- O co chodzi? - spytał cicho. - Martwisz się, że nie wytrzymamy tego tygodnia razem?

- Nie...

- No, to gratuluję! - Podeszedł bliżej i oparł dłoń tuż nad jej głową, na framudze oszklonych przesuwanych drzwi. - Ja się zamartwiam jak cholera.

- Czemu? - Uniosła lekko podbródek, lecz nie próbowała wysunąć się pod jego ramieniem. - Boisz się, że za każdym razem, gdy cię zobaczę w jacuzzi, będę odchodzić od zmysłów?

- Nie, boję się, bo za każdym razem, gdy cię widzę, mam ochotę powrócić do punktu, na którym stanęliśmy sześć miesięcy temu.

- Czemu miałbyś ochotę do tego wracać? Nazwałaś mnie bryłą, pamiętasz?

- Byłem wściekły...

- A teraz już nie jesteś?

- Wciąż jestem - powiedział poważnie. - Ale to nie znaczy, że nie mam ochoty podjąć tego, co przerwaliśmy sześć miesięcy temu.

Elizabeth opuściła powieki.

- To byłoby głupie...

- Bardzo głupie! - Wciąż opierając j dną dłoń na framudze, drugą łagodnie ujął jej oporny podbródek. - Ale już nieraz popełniałem głupstwa.

- Chyba nie aż takie!

- Nie zakładałbym się.

Elizabeth odezwała się powoli, bardzo wyraźnie wymawiając każde słowo:

- Między nami nigdy nie mogłoby być tak samo. Teraz już nie...

Przed oczami mignęły mu obrazy z tamtej jedynej wspólnie spędzonej nocy. Powróciła pamięć palącego pragnienia. Zaślepiła go wtedy gwałtowność, z jaką jego ciało zareagowało na jej bliskość. Przyzwyczajony kochać się tak samo, jak realizować interesy - przejmując całkowitą kontrolę i przykładając wielką wagę do szczegółów - wiedział, że tym razem spał sprawę, i to haniebnie. Zlekceważył drobne, lecz znaczące sygnały, które powinny go były ostrzec, że zbyt szybko zabiera się do rzeczy. Do diabła! Gwoli absolutnej szczerości musiał przyznać, że nawet gdyby je dostrzegł, zapewne nie zdołałby wyhamować, nie wtedy, nie za pierwszym razem. Teraz wiedział, że drogo zapłacił za zawód, jaki sprawił jej tej nocy. Następnego ranka dowiedziała się, że to on stał za przejściem Gallowaya. Nie dała mu drugiej szansy w łóżku.

- To ostatnia rzecz, jakiej mógłbym sobie życzyć, żeby między nami było tak samo jak tamtej nocy! - rzekł cicho.

- Jack...

- Masz moją osobistą gwarancję, że następnym razem wszystko potoczy się zupełnie inaczej.

- Nie o to chodzi.

- Nie sądzę... - Zbliżył usta do jej warg. - Nie widzę, byś wrzeszcząc, uciekała w mrok nocy!

- A powinnam? - szepnęła niemal bezgłośnie.

- Sprawdźmy! - przywarł do jej ust.

Wtedy poczuł faję przyływu. Równie silną i przejmującą jak sześć miesięcy temu, ale tym razem był na nią przygotowany, jakby zaparłszy się mocno w miejscu, stawił czoło huraganowi. Tym razem nie popełni błędu, nie utraci panowania nad sobą. Cały czas kontrolował swoje ciało, przeciągał pocałunek, czekając, aż Elizabeth odpowie tak, jak tego pragnął. Nie odsunęła się, ale i nie zarzuciła mu ramion na szyję. Przynął się bliżej, aż poczuł łagodne wzniesienia piersi pod szlafrokiem. Wciąż miała skórę lekko wilgotną.

Dłonie Elizabeth spoczęły na jego ramionach. Lekko rozchyliła wargi...

Nagle do jego myśli wkradło się paskudne podejrzenie, że ona tylko go sprawdza... a może i samą siebie? Zanurzyła palec w morskie fale, ale nie odważy się zanurkować w topieli, jak to uczyniła pół roku temu.

Ogarnęła go rozpacz, gdy uświadomił sobie, że nadzieja, która go ożywiała, była jedynie fantazją. Sam sobie zdołał wmówić, że gdyby tylko dała mu drugą szansę, zdoła rozbudzić w niej ogień, jaki płonął w nim, i uwierzył w to całą duszą. A jeśli się mylił? Oderwał dłoń od framugi, otoczył Elizabeth ramieniem i przyciągnął do siebie. Wydała cichy, stłumiony odgłos - niezupełnie sygnał protestu, lecz i nie poddania. Mimo to był przekonany, że czuje pierwsze ślady spontanicznej reakcji na jego pieszczotę. Pogłębił pocałunek... Elizabeth wtuliła się w niego. Zalała go fala ulgi i podniecenia.

- Jeśli to egzamin, zrobię wszystko, by go zdać! - szepnął.

Natychmiast zrozumiał, że źle obliczył moment. Zesztywniała i odsunęła się. Skryła oczy w cieniu, więc nie mógł z nich nic wyczytać, ale w jej głosie pojawiła się nuta pogardy.

- Dzięki za ostrzeżenie!

Z powrotem oparł dłoń na framudze nad głową Elizabeth i mocno ścisnął twardą befkę. Musiał oprzeć się pokusie, by chwycić ją znowu w ramiona! Wiedział, że to byłoby ostatnie głupstwo, jakie mógł teraz zrobić.

- O co chodzi? Jednak postanowiłaś, wrzeszcząc, uciekać w mrok nocy?

- Mam zamiar odejść spokojnym krokiem. Nie sądzę, bym musiała wrzeszczeć! - Wyślizgnęła się pod jego ramieniem i weszła do salonu, zmierzając ku schodom.

Odchodziła - wracała do łóżka. Samotnie. Poczłł chłodny ucisk w trzewiach. Dzisiaj nie dostanie drugiej szansy!

- Jak długo jeszcze będziesz karać nas za krzywdę, jaką, według ciebie, zrobiłem ci pół roku temu?

Elizabeth zatrzymała się u stóp schodów i spojrzała na niego przez ramię, ale w ciemności pokoju nie potrafił odczytać wyrazu jej twarzy:

- Wiesz co? W tym tygodniu powinieneś mieć chyba dość

roboty z szukaniem Soczewki. Ale jeśli rzeczywiście c./ujes/. potrzebę dodatkowych wyzwań, proponuję ci, byś wziął się za coś bardziej podniecającego niż powtórka próby uwiedzenia bryły lodu!

- Myślisz, że chcę zacząć wszystko od początku, bo postrzegam ciebie jako rodzaj wyzwania?

- Właśnie tak myślę!

- Ależ tak nie jest!

Elizabeth drgnęła.

- Czego więc chcesz?

- Drugiej szansy!

- Po co?

- Bo cię pragnę i sądzę, że to odwzajemnione uczucie. A może tylko wymyśliłem sobie to, co zaszło podczas pocałunku na tarasie?

Świdrująca brzęczyk telefonu wdarł się w niespokojny sen. Wreszcie Elizabeth bez słowa weszła na schody i zniknęła w ciemności podestu.

Jack wypuścił z płuc powietrze, które bezwiednie wstrzymał, czekając na odpowiedź, zamknął oczy i zacisnął dłoń w pięść. Nie będzie drugiej szansy!

- Jack? - Z mroku antresoli dobiegł go miękki szept. Otworzył oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Elizabeth stała oparta o balustradkę; widział zarysy białego szlafroka.

- Co znowu? - zapytał zmęczonym tonem.

- Pomyślę o tym...

Świdrujący brzęczyk telefonu wdarł się w niespokojny sen. Otworzył oczy i zerknął na zegarek; było wpół do piątej.

Telefon ponownie zaskrzeczał. Jack wymacał słuchawkę i przystawił ją do ucha.

- Mówi Fairfax.

- Sprytnie pan zrobił, przyjeżdżając do Mirror Springs, panie Fairfax. Ale nie miał pan powodów do zmartwienia, jest pan na liście. Gdyby pan czekał spokojnie, w odpowiednim czasie zostałyby pan poinformowany.

Natychmiast otrzeźwiał.



- Na jakiej liście?
  - Liście zaproszonych na aukcję. Nawet nie śniłoby mi się, by sprzedać Soczewkę pod pana nieobecność!
  - Kiedy? Gdzie?
  - Spokojnie, panie Fairfax! W odpowiednim czasie dowie się pan o miejscu i terminie. Tymczasem, skoro już tu pan przyjechał, proszę rozkoszować się festiwalowymi imprezami. Życzę dobrej zabawy!
  - Kim pan jest?
  - Ja? Prowadzę aukcję. Aha, jeszcze jedno, niech się pan nie trudzi sprawdzaniem numeru. Telefonuję z publicznej budki!
- Kliknęło i na linii zapadła cisza.
- Za przepierzeniem zapaliło się światło. Jack podciągnął się na poduszce i patrzył, jak Elizabeth wbiega do jego części sypialni. Niesforne włosy opadały wokół jej twarzy, drżące palce usiłowały zaciągnąć supeł na pasku szlafroka.
- Kto to był? - zapytała nerwowo.
  - Podawał się za organizatora aukcji. Powiedział, że jestem na liście zaproszonych do licytacji Soczewki.
  - Licytacji? Więc to będzie publiczna aukcja?
  - Tak się to zapowiada...
- Elizabeth skrzywiła się.
- I tak upada twoja teoria, że kryształ został skradziony dla okupu. Na aukcji cena podskoczy w górę.
  - Owszem...
- Ich oczy spotkały się w niemym zrozumieniu.
- Czy to był Tyler Page?
- Przez chwilę Jack przypominał sobie celowo zniekształcony głos w słuchawce.
- To mógł być każdy!

## Rozdział dwunasty

Eden siedzi przy toalecie, wpatrując się w swoje, oszałamiająco piękne odbicie w lustrze. Ma na sobie srebrzyste szpilki i tanią suknię wieczorową ze srebrnej lamy. Mankiety i dekolci sukni wykończone są sztucznym futrem. Makijaż zamienia jej twarz w przepiękną, zagadkową maskę.

Pokój rozbłyskuje rytmicznie chłodnym, jaskrawym światłem neonu, wpadającym przez jedyne okno za toaletką. Harry, najwyraźniej w rozterce, przechadza się nerwowym krokiem przed oknem.

Harry: Gliny sądzą, że to ja zabiłem twojego męża. Szykują się już, żeby mnie aresztować.

Eden: To fatalnie...

Harry: Jak możesz zachowywać się tak, jakby nic się nie stało? Jeśli mi nie pomożesz, pójdę do paki na dożywotnią odsiadkę!

Eden: Jestem teraz raczej zajęta...

Harry: Eden, na litość boską, jestem niewinny! Przecież wiesz!

Eden: (spogląda w zamyśleniu przez okno) Niewinny... jak się to pisze? Przez dwa „n” czy tylko jedno?

Harry: (zatrzymuje się i obraca, wpatrując w nią z wyrazem niedowierzającego przerażenia w oczach) A kogo obchodzi, jak się pisze „niewinny”, u licha?!

Eden: Zawsze muszę sprawdzać w słowniku, wiesz? Trudno zapamiętać pisownię słowa, którego znaczenia właściwie nie rozumiesz...

Ekran ściemniał przy akompaniamencie rozproszonych oklasków widowni. W hotelowej sali konferencyjnej z powrotem zapaliły się lampy, rzucając jaskrawe światło na czterech ekspertów siedzących na podwyższeniu za długim stołem.

- Dziękujemy reżyserowi filmu *Zakazana ferajna* Bernardowi Astonowi, za udostępnienie nam tego fragmentu - rzeki prowadzący dyskusję. - Postać Eden to znakomity przykład kobiety fatalnej w nowej fali czarnego kryminału. Mamy zaszczyt gościć dzisiaj wśród uczestników dyskusji odtwórczynię głównej roli, panią Victorię Bellamy.

Korzystając z kolejnej fali oklasków, Elizabeth pochyliła się do siedzącej obok młodej kobiety.

- Zrobiłaś jej naprawdę kunsztowny makijaż. Doskonale pasuje do czarnego kryminału.

- Dziękuję! - Zaskoczenie Christy Barns przeszło w satysfakcję z komplementu. Elizabeth spotkała młodą charakteryzatorkę, która pracowała przy realizacji *Zakazanej ferajny*, na przyjęciu wydanym przez Hollanda. Christy mogła mieć najwyżej dwadzieścia trzy, cztery lata i była rudowłosą kobietą o ostrych rysach pociągłej twarzy. Kiedy dziś rano Elizabeth ujrzała, jak jej świeżo poznana znajoma wchodzi na dyskusję na temat „*Femme fatale* - kobiety w czarnych kryminałach”, powodowana impulsem podążyła za nią i usiadła na sąsiednim krześle.

Podczas gdy prowadzący wymieniał nazwiska reszty ekspertów - wśród nich poza Vicky znaleźli się autor książki o czarnym kryminale, mężczyzna, który przedstawił się jako psychoterapeuta i krytyk filmowy - Elizabeth ukradkiem rozejrzała się wśród publiczności. Nigdzie nie dostrzegła niskiego

łysej mężczyzny w okularach w pozałacanej drucianej oprawce, który by wiercił się nerwowo i usiłował zakryć twarz. Cóż, nie mogła się spodziewać, że zastanie Tylera Page'a na łak publicznym zgromadzeniu. Tymczasem prowadzący dyskusję kontynuował:

- Wiodąca postać kobieca klasycznego gatunku czarnego kryminału to kobieta pająk, modliszka, niebezpieczna uwodzicielka, usiłująca wykorzystać innych dla własnej sprawy, tajemnicza i seksualnie agresywna przedstawicielka płci żeńskiej, która stanowi zagrożenie dla każdego bez wyjątku mężczyzny. Manipuluje, uwodzi i niszczy. Do końca pozostaje nie rozszyfrowaną zagadką: siła natury, która zarówno przyciąga, jak mierzi i odrzuca.

Vicky uśmiechnęła się filuternie zza długiego stołu i zbliżyła usta do mikrofonu.

- Jako aktorka mogę wam również zdradzić, że to rola dająca wiele frajdy!

Widownia zachichotała z aprobatą. Autor książki zmarszczył czoło i chwycił mikrofon.

- Kobieta fatalna to sedno gatunku! W moim najnowszym opracowaniu, *Ciemne światy - historia czarnego kryminału*, dowiodłem jasno, że główna postać kobieca pod taką czy inną maską uprawia grę prowadzącą do załamania patriarchalnego establishmentu. Korzysta ze swych seksualnych powabów, by doprowadzić mężczyznę do ruiny. Archetyp *femme fatale* to bogini kurtyzana czy czarna wdowa, jadowita pajączka.

Elizabeth zaniknęła uszy na głosy dyskutantów i wróciła myślą do Jacka, który godzinę temu w ponurym nastroju towarzyszył jej przy śniadaniu. Oświadczył, że nie ma zamiaru czekać na wezwanie na aukcję i będzie nadal usiłował odnaleźć Tylera Page'a. Wiedziała, że perspektywa wykupywania własności Excalibura nie poszła mu w smak, i wcale go za to nie winała. Z drugiej strony nie miała wątpliwości, że jego fatalny nastrój ma źródło nie tylko w porannej telefonicznej wiadomości od licytatora. Jack źle zniósł jej odmowę. Zastanawiała się, czy uważa ją teraz za boginię kurtyzanę czy za czarną wdowę. Każde z tych określeń wydało jej się lepsze niż bryła lodu. Sugerowały przynajmniej, że kryje się za nimi interesująca osobowość.

Elizabeth jedno wiedziała na pewno: Jack nigdy się nie dowie, jak ciężko było jej dzisiaj w nocy oderwać się od jego podniecających ust! Musiała zebrać całą siłę woli, by wejść po schodach prowadzących do sypialni.

Druga szansa? Tego od niej oczekiwał? Czemu właściwie nie odrzuciła stanowczo i raz na zawsze jego prośby, lecz pozostawiła kwestię otwartą? Od pół roku powtarzała sobie, że nigdy więcej nie wolno jej zaufać temu człowiekowi. Z drugiej strony fakty z jego przeszłości zawodowej, które teraz dopiero poznała, stawały go w innym świetle. Nie mogła dłużej się oszukiwać, że ma do czynienia z tuzinkowym konsultantem, zachłannym rekinem korporacyjnego świata, który wykorzystuje spryt i szczęście w interesach, by ratować podupadłe firmy; taki wybiera wielkie przedsiębiorstwa i spółki, które oferują lukratywne posady i sowite odprawy. Jack był, wedle wszelkich raportów, znakomitym specjalistą od reorganizacji strategii zarządzania, a tacy bogacą się błyskawicznie, pracując dla dużych firm. Rzadko marnują czas i talent na ratowanie niewielkich spółek.

Od miesięcy Elizabeth zżerała ciekawość. Dlatego dzisiejszej nocy nie oparła się pokusie, by sprowokować Jacka do wyjaśnień. Powinna była wiedzieć, że to jej się nie uda. Nie należał do mężczyzn, którzy zdradzają swoje najgłębsze sekrety w oparach jacuzzi.

Tymczasem mikrofon dostał się w ręce domniemanego terapeuty:

- Kobieta fatalna to archetyp, który wyraźnie stanowi ucieleśnienie lęków związanych z dominacją matki.

Vicky ponownie rozciągnęła usta w uśmiechu i pochyliła się do przodu.

- Postać Eden można odczytać na wiele sposobów, ale na pewno nie ma żadnych inklinacji macierzyńskich!

Widownia zachichotała z uznaniem, a terapeuta rzucił aktorce wściekłe spojrzenie. Autor książki o czarnym kryminale szybko skorzystał z jego zmieszania. Należał do osób, które gruntownie przyswoiły sobie znaną maksymę wydawniczą: „Jeśli chcesz, by twoja książka dobrze się sprzedawała, przynajmniej trzy razy wymień jej tytuł!”.

- W moim opracowaniu *Ciemne światy - historia czarnego kryminału*, przeanalizowałem gruntownie tę kwestię i stwierdziłem, że określenie *femme fatale* jako symbolu dominującej matki stanowi niewybaczalne uproszczenie jakże złożonej postaci.

- Eden nie jest wcale złożona - wycedziła Vicky. - W gruncie rzeczy łatwo ją opisać: interesuje ją wyłącznie własne przetrwanie, nic innego się nie liczy.

Krytyk i terapeuta jednocześnie sięgnęli po mikrofon, lecz autor opracowania trzymał go mocno, jakby od tego zależało jego życie.

- W mojej książce *Ciemne światy - historia czarnego kryminału*, poświęciłem kilka rozdziałów analizie zróżnicowanych wersji postaci *femme fatale*.

Terapeuta, nie mogąc zdobyć mikrofonu, podniósł głos.

- Powinniśmy zdać sobie sprawę, że kobieta fatalna to osoba pochodząca zawsze z dysfunkcyjnego środowiska społecznego: wykorzystywana seksualnie w dzieciństwie, która szuka odwetu, manipulując osobnikami pici przeciwnej.

- Nie, nie, nie! Nie rozumie pan pojęcia i znaczenia archetypu! - wrzasnął krytyk, nachylając się desperacko w stronę mikrofonu, wciąż tkwiącego w zaborczej dłoni autora opracowania. - Siega ono głębiej niż dość ograniczone teorie współczesnej psychologii...

Elizabeth zerknęła spod oka na Christy. Na twarzy młodej kobiety pojawił się wyraz znudzenia. Na podium autor książki obrzucił krytyka gniewnym spojrzeniem:

- W *Ciemnych światach - historii czarnego kryminału* opisałem, jak rozmaite aktorki przedstawiają postacie *femme fatale*. Weźmy chociażby Claire Trevor...

Terapeuta wydarł wreszcie mikrofon z ręki autora i rozpoczął szczegółowy wykład na temat wpływu dysfunkcyjnego dzieciństwa na kształtowanie charakteru filmowych postaci kobiecych. Elizabeth przechyliła się do Christy.

- Chyba mam dosyć. Nie miałaby pani ochoty pójść gdzieś na kawę? Chętnie dowiedziałabym się czegoś o sztuce charakteryzacji filmowej.

Christy pojaśniała.

- Jasne. Gdzie pójdziemy?

Trzy kwadransy później siedziały przy oknie niewielkiej

kafejki, której wszystkie kąty zastawione były doniczkami ze wspaniałymi paprociami. Niebawem Elizabeth wiedziała o sztuce charakteryzacji więcej, niż kiedykolwiek mogła sobie życzyć. Christy ochoczo zdradzała tajniki swojego fachu. Trudniej było zahamować potok jej zwierzeń!

- Rozumiem, że w przypadku filmu takiego jak *Zakazana ferajna* sukces w wielkiej mierze zależy od odpowiedniego wyglądu postaci, nadania im osobowości poprzez makijaż... - Elizabeth ukradkiem podciągnęła rękaw i sprawdziła godzinę. Miała nadzieję, że Jackowi poszło lepiej na spotkaniu z producentami, na które się wybierała.

- Niewielu ludzi docenia znaczenie charakteryzacji. - Christy zamoczyła biskopt w kubku odtłuszczonego mleka zmieszanego z odrobiną aromatycznego espresso. - Wszystkim się wydaje, że charakterystyczny nastrój to wyłącznie kwestia czarno-białej fotografii, ale to przecież bzdura! Wiele wysiłku i prób kosztowało mnie osiągnięcie tego niepowtarzalnego efektu nerwowości, jakby wewnętrznego rozedrgania na twarzach aktorów. Kluczowe są brwi, wie pani?

- Vicky Bellamy jest chyba jak stworzona do tego stylu?

Christy przewróciła oczami:

- I to nie tylko z powodu wyglądu!

- To znaczy?

- Zawsze przykładam taką wagę do szczegółów, ma fioła na punkcie charakteryzacji. Mało przez nianie zwariowałam! Wciąż nie mi wyrzucała, że nie wyrysowałam odpowiednio łuku brwi albo nie podkreśliłam oczu dokładnie tak, jak ona sobie życzyła! Jakbym pierwszy raz robiła styl klasyczny!

- Cóż, wiemy, jakie kapryśne bywają aktorki...

- Uhum! Oczywiście mogła się ciskać do woli, bo to jej mężulek finansował zdjęcia. - Christy skrzywiła się.

- A skoro o tym mowa - podjęła ochoczo Elizabeth - czy spotkała pani w ogóle producenta?

- Dawsona Hollanda? No, jasne!

- Nie, tego, którego nazwisko jest w czołówce i na plakatach, Tylera Page'a.

- Ach, tego! Ten nerwowy, niepozorny facet, który bez przerwy kręcił się po planie? Owszem.

- Tak, ten opis przypomina Tylera. Widzi pani, jestem jego znajomą. Szukam go, od kiedy przyjechałam do Mirror Spiings, ale na próżno.

- Trudno kogokolwiek odnaleźć w tym tłumie. Nie wie pani, gdzie się zatrzymał?

- Niestety, nie. - Elizabeth zawiesiła głos. - Rozumiem, że pani go nie spotkała?

- Niee.

- A na planie rozmawialiście ze sobą?

Christy ponownie przewróciła znacząco oczami.

- Żartuje pani? Facet ma z sześćdziesiąt lat, pięćdziesiąt najmarniej! W dodatku nie sięga mi do brody!

- No, tak...

Christy otworzyła szeroko oczy, jakby coś przyszło jej nagle do głowy.

- O rany, nie jest pani chyba tą Anielską Buzią, co? Jeśli tak, to strasznie panią przepraszam. Zawsze za wiele gadam, ale nie chciałam go obrazić ani nic w tym rodzaju...

W pierwszej chwili zaskoczenie odebrało Elizabeth mowę, ale szybko się opanowała.

- Co pani wie o tej Anielskiej Buzi?

- Och, wiem tylko, że tak ją nazywał. Raz przypadkiem słyszałam, jak rozmawia z nią z telefonu komórkowego. Poszedł do garderoby, pewnie żeby być sam, ale tam były przepierzenia ze sklejki, więc...

- Słyszała pani, o czym rozmawiali?

- No, właśnie. Trochę to żenujące. Facet wpadł po uszy... - Christy ponownie urwała i się zaczerwieniła. - To chyba nie pani, co?

- Nie. Jestem jego znajomą, ale nie przyjaciółką. Skąd pani wie, że tak się zadurzył w tej Anielskiej Buzi?

- No, bo mówił do niej tak... - charakteryzatorka wykrzywiła się - jakby recytował kwestie z kiczowatego filmi! -

- Jakie?

- Po pierwsze ta ksywka, Anielska Buzia... I mówił, że zrobi dla niej wszystko i ona o tym wie. No, a wreszcie obiecał jej, że jak się to wszystko skończy, nic już ich nie rozdzieli!

- Jak co się skończy?

~ Może myślał o zdjęciach do *Zakazanej ferajny!* Reszty nie pamiętam. - Christy wzruszyła ramionami. - Takie tam bzdury.

- Ale samej dziewczyny nigdy pani nie widziała?

- No, nie. Tylko ten jeden raz słyszałam, jak rozmawiają przez telefon. A dlaczego pani pyta?

- Tak sobie pomyślałam, że gdybym ją znalazła, pewnie natknęłabym się też na Tylera. Więc pani nie wie, jak ona wygląda?

- Niestety, tu pani nie pomogę. Ale kimkolwiek była, jedno wiem na pewno: ten facet za nią szalał. Chociaż... już wtedy sobie pomyślałam, że to dziwne...

- Co?

- Nazywać w ten sposób kogoś, za kim się wariuje. Anielska Buzia...

- Dziwaczne? Kiczowate, sentymentalne, owszem. Ale czemu dziwaczne?

- Nie, nie, pani wcale nie rozumie! - powiedziała Christy. - Przecież Anielska Buzia to tytuł klasycznego filmu z gatunku czarnego kryminału z Robertem Mitchumem i Jean Simmons. Oglądałam go wiele razy, kiedy uczyłam się stylu charakterystycznej w tamtych starociach przed realizacją *Zakazanej ferajny*.

- Tak?

- Widzi pani, Jean Simmons gra tam kobietę fatalną, która w końcu niszczy wszystkich dokoła, Mitchuma też. No więc czy to nie dziwne, żeby facet, który tak jak Page siedzi w tym gatunku, nazwał swoją dziewczynę Anielską Buzią. Przecież musiał wiedzieć, że filmowy pierwowzór to psychopatyczna morderczyni.

Dawson Holland popatrzył na publiczność i uśmiechnął się z rozbawieniem.

- Nasi goście uczynili wszystko, by zaznajomić was z pułapkami i problemami związanymi z niezależną produkcją filmową. Finansowanie filmu jako metoda tracenia pieniędzy stoi na równi z randką z jednorękim bandytą w kasynie gry. - Urwał, by znaczenie jego słów lepiej dotarło do słuchających. - Ale, jak widzę, niewielu uciekło z tej sali!

Tłumek uczestników seminarium dla potencjalnych producentów poruszył się w fotelach i zaśmiał raczej niemrawo. Jack stał w głębi sali, oparty o ścianę. Skrzyżowawszy ręce na piersiach, przyglądał się badawczo Hollandowi, który kończył podsumowanie dyskusji.

- Każdy film to ogromne ryzyko finansowe, ale w przypadku produkcji niskobudżetowych rośnie ono w dwójnasób, bo brak im zasobnych wytwórni, które byłyby w stanie wesprzeć producenta i przejąć straty. Taka jest więc ostateczna prawda: jeśli nie stać cię na straty, lepiej trzymaj się z dala od roli producenta!

- A jeśli jakieś wielkie studio wykupi film i zajmie się dystrybucją? - padło z sali żarliwe pytanie.

Dawson pokręcił głową:

- Wszyscy o tym śnimy, ale to się w gruncie rzeczy nigdy nie spełnia. Oczywiście, możesz mieć nadzieję, że któregoś dnia znajdziesz kopię swojego filmu na dolnej półce wypożyczalni wideo albo dostaniesz zaproszenie na projekcję na takim festiwalu jak ten. Czasami można zarobić kilka groszy na sprzedaży praw na rynki zagraniczne. Ale realistycznie rzecz biorąc, trzeba się liczyć z tym, że jedyny zysk będzie stanowić przyjemność ujżenia swojego nazwiska w czołówce filmu!

- A przecież obecnie jesteśmy świadkami prawdziwego rozkwitu przełomowych, eksperymentalnych produkcji, realizowanych przez twórców niezależnych - zauważył ktoś inny.

Jeden z zasiadających na podium filmowców parsknął cynicznie śmiechem.

- Przełomowe, eksperymentalne produkcje nie dadzą nikomu zarobić nawet na filiżankę cappuccino! Człowiek, który zabiera się do produkcji filmów niezależnych, robi to z miłości do filmu i nie oczekuje, że zwróci mu się choćby grosz wkładu finansowego.

Dawson skinął głową.

- Mój kolega ma rację. Na zakończenie dam państwu jeszcze jedną radę. - Zawiesił głos dla uzyskania lepszego efektu. - Ale gdyby jednak udało wam się niemożliwe i wasz film zaczął przynosić dochody, pamiętajcie motto każdego biznesmena: tantiemy, które gwarantuje wam kontrakt, powinny być naliczane od dochodu brutto, nigdy netto! Ponieważ, drodzy moi, dwie

rzeczy są absolutnie pewne na tym świecie: to, że słońce wynurza się po wschodniej stronie horyzontu, i to, że zysków netto nie będzie.

Widownia wybuchnęła ożywionym śmiechem; tu i ówdzie ozwały się urywane oklaski. Jack nie widział ani jednej twarzy, na której malowałoby się zniechęcenie wywołane przestrogami Dawsona Hollanda i jego opowieściami o brutalnych realiach świata niezależnego filmu. Podchodząc do drzwi, pomyślał, że wszyscy zebrani na tej sali chcą za wszelką cenę robić filmy. Z niemal bolesną zadumą przesunął wzrokiem po twarzach pełnych entuzjazmu i zachwytu zaprawionego podnieceniem, niczym twarze kochanków nie mogących się doczekać pierwszej randki. Tyler Page padł ofiarą tej samej gorączki i zamierzał pewnie przeznaczyć zyski ze sprzedaży kryształu na kolejną produkcję. Cóż za głupiec!

Przyganiał kocioł garmkowi - skarcił się Jack w myślach. To on przecież zrobił z siebie głupca pierwszej wody tej nocy; nie powinien wyszydzać innego mężczyzny tylko dlatego, że jego sny też nie mają nadziei na spełnienie.

Wyszedł z sali seminaryjnej i podążył szerokim korytarzem, wiodącym do przestronnego przeszklonego hallu Minor Springs Resort, największego hotelu w uzdrowisku. Sprawdził godzinę i stwierdził, że jest już dziesięć minut spóźniony, bo umówił się z Elizabeth na lunch w południe.

Nagle usłyszał za plecami głos:

- No i jak, panie Fairfax? Udało nam się zniechęcić pana do glorii producenckiego żywota?

Jack zmusił się, by oderwać myśli od Elizabeth, i spojrzął prosto w oczy Dawsona.

- Owszem, dość gruntownie objaśnił pan wszystkie złe strony tego zajęcia. Ale skoro to gwarantowany sposób na straty materialne, czemu pan wciąż w tym siedzi?

Dawson wcisnął ręce w kieszenie marynarki gestem człowieka pewnego siebie i swego miejsca na ziemi.

- Jak mówiłem, trzeba kochać film i chcieć go robić. Nic innego na świecie nie może się temu równać. No i, rzecz jasna, jest jeszcze Vicky.

- Ach, tak. Vicky...

- Żona jest dla mnie kimś niezmiernie ważnym, Jack. Uczyniłbym wszystko, by dać jej szczęście. A to w jej przypadku znaczy móc grać w filmach.

- Więc pan jest czarodziejem spełniającym jej sny, tak?

- To mała cena za przywilej jej towarzystwa... - Urwał. - Czy czarująca panna Cabot też marzy o karierze aktorki?

- Nie!

- A pana zainteresowanie filmem ma charakter czysto rozrywkowy?

- Można tak powiedzieć.

- No, to ma pan wiele wspólnego z innymi uczestnikami seminarium. Większość z nich to dentyści, maklerzy i dyrektorzy...

- Zdarzają się też naukowcy.

- Co proszę?

- Producent *Zakazanej ferajny*, Tyler Page, pracował w laboratorium badawczym najnowszych technologii w Seattle.

Dawson w roztargnieniu skinął głową.

- Ach, tak, tamten Page... Kiedyś, zdaje się, wspomniał, że mieszka w Seattle. Ale nie mówił wiele o swojej pracy.

- Musiał wydać fortunę na realizację *Zakazanej ferajny*, skoro jego nazwisko widnieje w czołówce.

- Od początku postawił sprawę jasno: nie zamierzał z nikim dzielić chwały producenta. To miał być jego, i tylko jego film. Chętnie zapłacił za ten przywilej.

- A inni inwestorzy?

Dawson wzruszył ramionami.

- Nikt inny nie dawał tyle, więc musieli mu ustąpić.

Jack poczuł, jak kiełkuje w nim zawodowa ciekawość.

- Jakie są warunki udziału w spółkach inwestorskich w tego rodzaju przedsięwzięciach dla faceta, który zajmuje się organizacją całego pakietu?

- Ma pan na myśli kogoś takiego jak ja?

- Coś mi mówi, że pan nie ponosi takiego ryzyka jak pozostali inwestorzy. Mam rację?

- Za swoją pracę dostaję procent od wysokości budżetu - powiedział z wolna Dawson. - To standardowa klauzula w tego rodzaju spółkach... - Urwał, widząc postać, która pojawiła się zniienacka na ich drodze.

Człowiek wyrósł przed nimi jak spod ziemi i jał, wpatrzony w Jacka, niezdarnie i chwiejnie dreptać do tyłu, unosząc dłonie gestem egzorcysty odpędzającego złe duchy. Był średniego wzrostu, a gładko ogolona głowa świeciła różem nagiej skóry opinającej czaszkę. Ubrany był w czarny golf, czarne spodnie i czarne buty do kostek, a w jego uchu kołysał się srebrny kolczyk. Oczy skrył za okularami przeciwsłonecznymi w stylowej staroświeckiej oprawce - całkowicie zbędnymi w słabo oświetlonym korytarzu hotelowym. Jack pomyślał, że okulary to rekwizyt mający dodać pucołowatej twarzy nieznanego ostrości i zdecydowania. Mężczyzna zaintonował:

- *Future noir*... Czarna przyszłość...

Jack nie zwolnił kroku.

- Słucham?

- *Future noir*, czarna przyszłość: gotycki realizm - recytował mężczyzna, cofając się na oślep, uparcie przewiercając Jacka oczami. - Ciemna noc duszy zabłąkanej w meandrach przyszłości. Oto moralna wieloznaczność; oto chwiejność sumienia, oto morderstwo z namietnością i odwieczna *femme fatale*. Wszystko skąpane w kontrastach światła i cienia, rzucone na futurystyczne tło czerni i bieli.

Jack ponownie zerknął na zegarek.

- Byłby pan łaskaw ustąpić mi drogi? Jestem umówiony.

Dawson zachichotał.

- Jack, przedstawiam panu Leonarda Ledgera, reżysera. Jak wielu innych przyjechał na festiwal w poszukiwaniu sponsora dla swojej kolejnej twórczej wizji.

- *Ciemny nów* - rzekł Leonard.

Jack wlepił w niego niedowierzający wzrok.

- Ciemny nów?

- Tytuł roboczy. Widzę go jako klasyczną opowieść w stylu czarnego kryminału, osadzoną w biało-czarnej przyszłości. Nie-samowite efekty świetlne, ascetyczna scenografia. Efekt tworzy kadr: kąty, linie, cienie.

Jack skinął głową ze zrozumieniem.

- Potrzeba panu pieniędzy?...

Leonard nie ustawał w swej wędrówce krokiem raka.

- Chodzi o wysoce chwytny zamysł. Taki film ma szansę u wielkich dystrybutorów. Będą się o niego bili!

- Skontaktuję się z panem - obiecał Jack i spojrzął na Dawsona. - Tak się to chyba mówi, co? Skontaktuję się z panem?

Twarz producenta przecięty zmarszczki rozbawienia.

- Urodzony do tego biznesu!

Jack ponownie spojrzął na Leonarda.

- A teraz przepraszam, chyba wspomniałem, że jestem umówiony?

Reżyser z ociąganiem odstąpił na bok.

- No, jasne, oczywiście. Mam ze sobą scenariusz. Prześlę go panu. Będzie pan zachwycony!

Jack nie odwrócił się i nie przystanął. Głos reżysera wnet ucichł w oddali. Dawson nadal szedł u jego boku.

- Musi się pan przyzwyczaić, został pan namierzony jako potencjalny szmalcownik i od tej pory będzie pana zaczepiać mnóstwo takich Leonardów Ledgerów.

- Będę uważał.

Chciał zadać kolejne pytanie dotyczące tajników kontraktu finansowego *Zakazanej ferajny*, ale właśnie skręcili za róg i wkroczyli do przestronnego eleganckiego hallu urządzonego w rustykalnym stylu. Od razu zauważył Elizabeth przy masywnym kamiennym kominku. Nie była sama; pochylający się nad nią mężczyzna przemawiał żarliwie i widać było, że tematem ich rozmowy muszą być sprawy bardzo osobiste. Jack rozpoznał Haydena Shawa.

- Sukinsyn! - szepnął.

## *Rozdział trzynasty*

Przykro mi z powodu nieporozumienia. - Hayden zacisnął wargi. - I przepraszam za wszystko, co moja była żona Gillian ci wtedy powiedziała. Wciąż kręci nosem na warunki ugody rozwodowej, jaką proponuję, bo prawnicy ojca wmawiają jej, że wydebnią ode mnie więcej forsy. Po moim trupie!

Elizabeth zerknęła ponad jego ramieniem, lecz pośród kręcących się w hallu gości nie dojrzała Jacka.

- Haydenie, nie zamierzam dyskutować na temat twojego rozwodu.

Nachylił się ku niej z przejściem, ruchem błagalnym i natarczywym jednocześnie. Poczowała rozdrażnienie. Jakież on był namolny!

- Powinnaś wiedzieć, że praktycznie jestem wolny od zobowiązań małżeńskich.

- Niezupełnie. - Zmrużyła znacząco oczy. - A nawet gdyby tak było, mnie to nie obchodzi, bo w niczym nie zmienia sytuacji. Nie przyjechałeś tu przecież po to, by się ze mną zobaczyć, ani pod

wpływem nagłego zainteresowania kręceniem niskobud/ctowych filmów!

- Nie doceniasz się.

Przysła jej do głowy nieoczekiwana, niepokojąca myśl.

- Jak znalazłeś pokój w tym hotelu? Od miesiący miejsca we wszystkich pensjonatach są zarezerwowane!

Hayden machnął lekceważąco dłonią.

- Nic wielkiego, znam dobrze menedżera.

- Aha! Pociągnąłeś za sznurki. Cóż, marnujesz tylko swój czas.

- Co masz na myśli?

Elizabeth spojrzała na niego z rozdrażnieniem.

- Przestań udawać! Przyjechałeś tu tropem pogłosek o zaginięciu Soczewki, prawda?

- Ach, to dlatego wybrałaś się na festiwal filmu artystycznego w towarzystwie Fairfaxa? - odparował. - Pilnujesz losów swojej najpoważniejszej inwestycji?

- Nie twoja sprawa!

- Gillian odnalazła mnie wśród gości przyjęcia po tym, jak odjechałaś wraz z Jackiem, - Hayden skrzywił się pogardliwie. - Mało nie pękła ze złośliwej satysfakcji, kiedy mi opowiadała, że wybierasz się na wakacje z Jackiem Fairfaxem! Na szczęście znam cię na tyle, by wiedzieć, że to do ciebie niepodobne. Nie zdecydowałabyś się ni stąd, ni zowąd wskoczyć do łóżka faceta, który wykiwał cię zaledwie pół roku temu. Jesteś po prostu za mądra, by się znowu dać zrobić.

- Masz rację pod jednym względem. Jestem mądra. Na tyle, by przejrzeć twoje zamiary. Przyjechałeś tu dla kryształu, nie dla mnie. - Nagle wszystkie elementy układanki zaczęły do siebie pasować. - O, cholera, ty też dostałeś zaproszenie, co?

Hayden spojrzał na nią z niemym pytaniem w oczach.

- Zaproszenie?

- Wiesz, o czym mówię!

Odetchnął przeciągle, najwyraźniej rozważając jakąś decyzję.

- Wiesz co? Właściwie nie widzę przeszkód, by połączyć siły. Razem możemy przelicytować Jacka. Bez twojego wsparcia nie ma wiele do zaoferowania.

Potwierdziły się jej najgorsze obawy - Haydena zaproszono do udziału w licytacji! Zacisnęła dłonie na pasku torebki.



- Daj mi choćby jeden powód, dla którego miałabym szkodzić mojemu klientowi, występując w licytacji przeciw niemu!

Twarz Haydena rozjaśniła się triumfalnie.

- Zemsta.

Elizabeth gapiła się na niego z otwartymi ustami. On naprawdę sądził, że uda mu się ją zwerbować!

- Miałabym zniszczyć Excalibura dla osobistej zemsty? Dobry Boże, Hayden! Czy masz mnie za ostatnią idiotkę? Zapomniałeś, że jestem profesjonalistką, kobietą interesów, a moim naczelnym zadaniem jest pilnować dochodowości moich klientów? W przeciwnym razie Fundacja nie zarobi ani grosza.

Hayden rozejrzał się i pochylił swobodnie do jej ucha, jakby łączyła ich zażyłość.

- Jeżeli Soczewka rzeczywiście przedstawia taki potencjał rynkowy, jak twierdzą moi informatorzy, można zrobić na niej majątek w inny sposób niż pozostawienie jej do dyspozycji firmy naukowo-badawczej, z trudem walczącej o przetrwanie, którą zresztą i tak czeka przejście przez pierwszą większą korporację.

Elizabeth poczuła chłodny dreszcz na plecach.

- Nie wierzę własnym uszom! Po prostu nie chcę uwierzyć, że proponujesz mi sabotowanie interesów mojego klienta! I to po co? Dla jakiejś absurdalnej, nic niewartej zemsty osobistej?!

Oczy Haydena przybrały twardy wyraz.

- Zemsta nigdy nie jest pozbawionym wartości absurdem.

Rzuciła mu przenikliwe spojrzenie.

- Co ci zrobił Jack Fairfax, że tak go nienawidzisz?

Nie odpowiedział. Spoglądał na kogoś za jej plecami. Elizabeth odwróciła się i ujrzała Jacka, z gracją i łagodnością tancerza lawirującego między grupkami gości. Opanowana, wyprana z emocji twarz nie pozwoliła żywić wątpliwości, że Jack ich widzi i zmierza prosto w ich stronę.

- Zdaje się, że zjawił się twój wspólnik. - Hayden uśmiechnął się złośliwie. - Nie ucieszył się na mój widok! Przemyśl moją propozycję, Elizabeth.

Jack był już przy niej; czuła namacalnie aurę zaborczości, którą otoczył ją jak niewidzialną oponczką. Uznała jednak, że czas i miejsce są nieodpowiednie, by wytykać mu zachowanie, choćby najbardziej niestosowne czy politycznie niepoprawne.

Wolała uniknąć scysji, która podniosłaby z pewnością poziom testosteronu obu panów. I tak uważała, że - jak na jej gust - jest stanowczo zbyt wysoki. Jack łypnął wściekle na Haydena.

,- Miałem przecucie, że prędzej czy później przywleczesz się tu!

- Zawsze lubiłem chodzić do kina.

- No to trzymaj się sali projekcyjnej! - Jack przeniósł wzrok na Elizabeth. - Chodźmy, już późno. - Zacisnęła dłoń na jej ramieniu.

Przez chwilę rozważała, czy nie zaprzecić się w miejscu, ale przypomniała sobie, że chce uniknąć sceny. Zapytała więc chłodno, lecz grzecznie:

- Dokąd się wybieramy? Sądziłam, że zjemy coś w hotelowej restauracji.

- Wracamy do siebie! - oświadczył, podkreślając znacząco słowo „siebie”. - Muszę trochę popracować.

Na odchodnym Elizabeth rzuciła Haydenowi wymuszony uśmiech.

- Do zobaczenia!

- Spotkamy się niewątpliwie - odpowiedział z rezerwą.

Pozwoliła prowadzić się przez zatłoczony hall. Spocony portier podskoczył, by otworzyć przed nimi ciężkie oszklone drzwi. Znaleźli się na dworze. Poczuła na policzkach smagnięcie górskiego wiatru, a oczy oślepił bezlitosny blask południowego słońca. Wyciągnęła z torebki ciemne okulary. Kiedy Jack nałożył okulary, wydało jej się, że jego twarz stała się jeszcze bardziej nieprzenikniona i sroga.

- Gdzie się zatrzymał? - zapytał bez wstępów.

Nie takiego pytania się spodziewała!

- A cóż to ma za znaczenie?

- Ma, i to wielkie. Pamiętasz, jak trudno było nam dostać nocleg w Mirror Springs? - Odwrócił głowę i patrzył na nią oczami ukrytymi za ciemnymi szklami.

Nie od razu zorientowała się, do czego Jack zmierza, ale gdy uświadomiła sobie ewentualne implikacje, zmarszczyła czoło.

- Ma pokój w głównym hotelu.

- Zdziwiałające! - Usta Jacka wykrzywiły się w lakonicznym grymasie szyderstwa. - Ciekawe, jak udało mu się go zdobyć bez rezerwacji?

- Twierdzi, że wykorzystał znajomości.  
- Pieprzona bzdura.  
- Naprawdę tak sądzisz? - Elizabeth była trochę rozbawiona. - Niedawno ktoś znajomy przechwalał mi się w ten sam sposób. On ma chyba lepsze układy, co?

Jack przemilczał zaczepkę, otworzył szarmancko drzwi po stronie pasażera i spojrzął na nią spod przyciemnionych szkieł.

- Bardzo jestem ciekaw, kiedy naprawdę zamówił pokój w tym hotelu.

- Czemu?

- Bo jeśli to było wcześniej niż we wtorek wieczorem, mogłoby znaczyć tylko jedno: że wiedział z góry o planowanej kradzieży kryształu. Może nawet pomagał rabusiowi! - Z rozmachem szarpnęła drzwi.

Mroźne powietrze przenikało do środka ciepłej kurtki. Elizabeth zapięła ją aż pod szyję.

- Jeśli zamierzasz tracić czas na śledzenie Haydena, powiem ci coś, co być może oszczędzi ci niepotrzebnego zachodu: jestem pewna, że nie wiedział nic o kradzieży, zanim we wtorek wieczorem nie doszły go pogłoski. Sądzę, że przyjechał, bo dostał zaproszenie na licytację. - Elizabeth wsunęła się na siedzenie.

Jack zastygł w bezruchu. Długo patrzył na nią bez słowa, wreszcie szepnął:

- Cholera...

- O co chodzi? - zapytała przerażona.

- Ciekawe, kto jeszcze został zaproszony.

Drzwi kliknęły miękko i nieubłaganie, jakby stawiając kropkę nad i. Elizabeth patrzyła, jak Jack obchodzi samochód i sadowi się na fotelu kierowcy. Kto jeszcze został zaproszony na aukcję? Cóż za niepokojące pytanie!

Jack wrzucił bieg i wynajęta srebrnoszara limuzyna potoczyła się ku bramie parkingu.

- Posłuchaj, jeśli Hayden przyjech; 1 na aukcję, to możemy go wykluczyć z listy podejrzanych o kra« zież! - ołśniło Elizabeth. Nie wiedziała, dlaczego czuje, że to ta de ważne.

Jack odchrząknął.

- Poczesa cię to?

- Owszem!

- Czemu?

W zamyśleniu oparła podbródek na rozchylonej dłoni.

- W gruncie rzeczy nawet go lubię. Chyba byłoby mi smutno, gdyby się okazało, że całkowicie się mylę w jego ocenie... - Urwała raptownie, ale i tak za późno.

- Nie chcesz się przekonać, że w jego ocenie też się pomyliłaś, tak? - Jack nie odrywał oczu od szosy. - Tak jak w moim przypadku? To chciałaś powiedzieć, co?

- Jak mawiała ciocia Sybil, pora zmienić temat.

Jack zacisnął szczęki.

- Niewykluczone, że Hayden był zamieszany w kradzież, a teraz przyjechał na aukcję, bo coś nawaliło w jego planach.

- Co masz na myśli?

- Pomyśl, a jeśli to on nagrał całą sprawę i namówił Page'a do kradzieży, a potem tamten zdecydował, że nie potrzebuje Haydena i sam sprzedaje kryształ? Może Hayden próbuje załatwić coś, czego nawet się nie domyślamy?

- Aha, sprzeczka w łonie złodziejskiej bandy i porachunki? Hayden chce odnaleźć Page'a i zabrać mu kryształ?

- Zupełnie jak my.

Elizabeth wbiła wzrok we wstęgę górskiej szosy, która jak strumień szarości wylewała się przed maską pojazdu.

- Kto wie, czy nie natkniemy się na komplikacje jeszcze innego rodzaju?

Jack zerknął na swoją towarzyszkę.

- Mianowicie?

- Zanim w hotelu dorwał mnie Hayden, odbyłam interesującą pogawędkę z kobietą o imieniu Christy, która była charakteryzatorką przy realizacji *Zakazanej ferajny*.

- No i?

- Twierdzi, że Tyler Page jest po uszy zakochany!

Jack prychnął z niekontrolowaną pogardą.

- Page?! Zakochany! Przestań się wygłupiać.

Ironiczne lekceważenie, jakim zareagował na jej rewelację, rozwścieczyło Elizabeth.

- Czemu miałyby to być takie niemożliwe? Właściwie dopiero to tłumaczyłoby, co popchnęło Page'a do kradzieży kryształu!

Facet, który zapałał taką namiętnością do filmu, może być zdolny do równie zaślepiającej miłości do kobiety. Może to dla niej ukraść Soczewkę?

- Chcesz mi wmówić, że wykraść kryształ, żeby zarobić na nim kupę szmalu i zaimponować tej kobiecie?

- Christy słyszała niechcący, jak rozmawiał przez telefon z kimś, kogo nazywał Anielską Buzią. Obiecywał jej, że kiedy wszystko się skończy, nigdy się już nie rozstana.

Jack oderwał wzrok od szosy i zerknął na Elizabeth zaciekawiony.

- Naprawdę uważasz, że może się kryć za tym kobieta?

- Page uwielbia czarne kryminały, a znasz tę teorię o sztuce naśladowanej życie i życiu naśladowującym sztukę? Może zakochał się beznadziejnie w typie kobiety fatalnej, która omotała go swoim urokiem i skłoniła do kradzieży próbki, obiecując wspólną ucieczkę w szkarłat zachodzącego słońca? To nie najgorsze wyjaśnienie jego dziwnego zachowania!

Jack milczał, skupiając się na prowadzeniu samochodu, lecz czuła, że w gruncie rzeczy znowu koncentruje myśli na roztrąsaniu wszystkich ewentualności. Niemal słyszała klikanie kółeczek szybrego umysłu, przetwarzającego wszystkie dostępne dane. Wreszcie wyroczenia się odezwała.

- Nie sądzę.

- Czemu?

- To dobre w filmie, ale w prawdziwym życiu mężczyzna nie rzuca wszystkiego, nad czym strawił większość swych dojrzałych lat, wyłącznie dla kobiety. Dla majątku, owszem. Żeby zdobyć szmal na realizację kolejnego filmu... czemu nie. Ale nie dla kobiety!

Elizabeth wcisnęła się w fotel i skrzyżowała ramiona na piersiach. Co się z nią działo? Powinna przestać się wечно zastanawiać, czy Jack Fairfax przypadkiem nie ma w sobie żyłki romantyka!

Komórkowy telefon Jacka zadzwonił w chwili, gdy Elizabeth skończyła przyprawiać sałatkę i układała na talerzu kanapki z pomidorem, które naprędce przygotowała na lunch. Jack

odstawił na stół dwie butelki wody mineralnej, które wyjął przed chwilą z lodówki, i wyciągnął telefon z kieszeni.

- Mówi Fairfax... nic nie szkodzi, Milo. Dałem ci polecenie, żebyś informował mnie o każdej zmianie. Co dla mnie masz?

Elizabeth słuchała jednym uchem, niosąc tacę z kanapkami wzdłuż granitowego blatu, który odgraniczał część kuchenną od salonu. Nagle głos Jacka spowaźniał.

- Durand jest tego pewny? Więc jakim sposobem Kendle przemknął się przez sito wywiadu naszego działu zatrudnienia? Nie, nie tłumacz się, wiem, jak zdobył stanowisko w Excaliburze. Po prostu nikt nie sprawdzał jego opinii z poprzednich miejsc pracy, prawda? Powiedz Scottowi, że będzie mi się gęsto tłumaczył.

Elizabeth postawiła tacę na stole.

- Zapomnij! - wrzeszczał Jack do słuchawki. - Człowieku, za późno już na to. Czy Durand wygrzebał jeszcze coś o Kendle'u?

Nastąpiła kolejna krótka chwila ciszy.

- Aha! - Jack podszedł do okna i wbił wzrok w łańcuch gór na horyzoncie. - Interesujące. Nie, to nie jest ważne... tyle że interesujące. A Straż Przednia Jutra?

Umilkł, słuchając odpowiedzi.

- Żadne media? Ciszka? Chyba mamy szczęście. Dobra robota, Milo. Pytasz, czy dałeś właściwą odpowiedź ludziom od Veltrana? Tak, doskonałą! Naprawdę dobrze się spisałeś... Owszem, idzie nieźle. Jesteśmy coraz bliżej... Nie martw się, odzyskamy kryształ! Dzwoni, gdyby było coś nowego.

Niewzruszona pewność i optymistyczne opanowanie w głosie Jacka wywołały mimowolny uśmiech na twarzy Elizabeth. Oto człowiek u steru - pomyślała. Przekonaj wszystkich dokoła, że wiesz, dokąd zdążasz, a pójdą za tobą choćby w przepaść! Tymczasem Jack złożył aparat i wsunął go do kieszeni.

- Pamiętasz, co ci mówiłem o bandzie, która rozwaliła laboratorium w Excaliburze? - spytał.

- Straż Przednia Jutra, tak, pamiętam - odparła Elizabeth, siadając przy stole. - Co z nimi?

- Nie przyznali się do tego aktu troski czy też obrony ludzkości, bo tak, zdaje się, określają swoje wandalskie ataki. - Usiadł naprzeciw niej. - Widocznie nie skontaktowali się z prasą

ani nie zaczęli przechwalać na swojej stronie internetowej. To raczej dziwne, nie uważasz?

Elizabeth ogarnęło mroczne przeczucie.

- Chyba nie chcesz powiedzieć, że zniszczenie laboratorium mogłoby mieć coś wspólnego ze zniknięciem kryształu?

- Nie wiem. Ostatecznie Page mógł wrócić do laboratorium tamtej nocy i połamać kilka palników, żeby przynajmniej na jakiś czas zatrzeć ślady swojego przestępstwa. W ten sposób zyskiwał czas na ucieczkę z miasta.

- Ale przecież zniknięcie kryształu odkryłeś na kilka godzin przed włamaniem do laboratorium? Wtedy dopiero pojechałeś do Page'a i zorientowałeś się, że spakował manatki i zwiął?

- No tak, ale tylko przez przypadek sprawdziłem tego wieczoru sejf i zobaczyłem, że nie ma w nim Soczewki. - Jack sięgnął po kanapkę. - Page w żaden sposób nie mógł przewidzieć, że tak szybko odkryję kradzież. W gruncie rzeczy mógł oczekiwać, że zorientujemy się dopiero rano albo nawet jeszcze później. Z jego punktu widzenia największe niebezpieczeństwo czekało go wtedy, gdybym zawiadomił policję.

Elizabeth usiłowała uporządkować fakty:

- Gdybyś ich zaalarmował, prawdopodobnie przypisałiby kradzież wandalom ze Straży Przedniej Jutra.

- Oczywiście! - Żuł w zamyśleniu kęs chleba z pomidorem. - Chuligańska napaść zmyliłaby policję, wszczęliby śledztwo w błędnym kierunku. Jeśli ktoś potrzebował zmylenia śladów, to wymyślił piękny manewr! Całkiem solidne zabezpieczenie... Tymczasem dowiedziałem się jeszcze czegoś.

Niepokój Elizabeth wzrósł.

- Czego?

- Milo mówi, że wyjaśniło się, dlaczego nie zdołaliśmy dotrzeć do krewnych Kendle'a: przedstawił nam sfałszowany życiorys i dokumenty. Wszystko fałszywki, dowód osobisty, adres, dane personalne... Nic się nie zgadza. Policja pracuje nad jego identyfikacją.

Elizabeth odłożyła kanapkę, bardzo powoli.

- To się zdarza, ludzie często fałszują życiorysy.

- Aha! - Jack przechylił do ust butelkę źródlanej wody. - Szczególnie wtedy, gdy chcą ukryć kryminalną przeszłość.

»- Mówiłeś, zdaje się, że policja podejrzewa jego aktywny udział w rynku narkotykowym. Tłumaczyli, że zginął w c/asiu nieudanej transakcji...

- Detektyw z wydziału zabójstw, który prowadzi śledztwo, powiedział Milowi coś jeszcze.

- Co?

- Mają świadka. Jakiś pijany włóczęga spał w bramie sąsiedniej kamienicy. Właściwie nie widział samego zdarzenia, ale podobno słyszał, że Kendle z kimś rozmawia na chwilę przed tym, zanim rozległ się strzał.

- Z kimś?

Jack zawałał się lekko.

- Z kobietą - powiedział wreszcie.

Kobieta... Elizabeth przypomniała sobie, co mówiła Christy Barns o tytułowej postaci filmu *Anielska Buzia* - „kobieta fatalna, która w końcu niszczy wszystkich dokoła”. Poruszyła palcami, w których od jakiegoś czasu czuła dokuczliwe mrowienie. Miała złe przeczucia.

- Czy myślisz, że Kendle był zamieszany w kradzież kryształu?

- Na razie zostawiam wszystkie opcje otwarte, wraz z koncepcją, że kryje się za tym kobieta.

- Ależ, Jack, jeśli to tak zwana zbrodnia w białych rękawiczkach, to nie powinna skończyć się morderstwem, prawda? W tego rodzaju przestępstwach nie zabijają się ludzi!

- Zawsze bywają wyjątki.

Elizabeth próbowała bezowocnie otrząsnąć się z dotkliwego przygnębienia. Nagle nowa myśl dodała jej nadziei.

Z błyskiem otuchy w oczach spojrzała na swego towarzysza, lecz nic nie powiedziała. Jack zmarszczył czoło.

- O czym myślisz?

- Że facet w rodzaju Page'a chyba nie miałby wielu możliwości na poznanie kobiety fatalnej w swoim miejscu pracy...

- Dam głowę, że Excalibur nie zatrudnia ani jednej *femme fatale*! Zgodnie z przepisami wewnętrznymi... - Urwał, uderzony jakąś myślą. - Chyba że...

- Chyba że co?

- Jest tylko jedna kobieta, która od dawna usiłuje wpłynąć

na zmianę polityki firmy - wycodził dobitnie. - Angela Ingersoll Burrows!

Elizabeth powtórzyła kilka razy w myślach znane jej dobrze nazwisko.

- Nie sędzę. W ciągu tego pół roku rozmawialiśmy wiele razy i przyznaję, że pod pewnymi względami można by ją zaliczyć do kobiet fatalnych: ma atrakcyjną powierzchowność i bzika na punkcie syna, któremu usiłuje zapewnić bezpieczną przyszłość. To byłby motyw, ale...

- Mogła sobie wykombinować, że sabotowanie projektu Soczewka może doprowadzić do sprzedaży czy przejęcia przez inną firmę...

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie. Przemoc, a tym bardziej morderstwo... na to by nie poszła. Poza tym jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, jak Angela uwodzi Tylera Page'a. No i...

- No i co?

Elizabeth zaczerpnęła tchu.

- Znam takie miejsce, w którym Page mógłby spotkać prawdziwą *femme fatale*.

Jack nie spuszczał z niej oka.

- Gdzie?

- Na planie zdjęciowym *Zakazanej ferajny*...

Długo milczał.

- Masz na myśli Victorię Bellamy?

- Tak mi tylko przeszło przez głowę. - Elizabeth zadrżała. - Ale to chyba nie ma sensu. Chodzi mi o to, że ona jest przecieź aktorką, a nie szpiegiem przemysłowym. Nie orientuje się w rynku zaawansowanej technoJogii i nie znałaby wartości produktów tego rodzaju badań, więc skąd miałaby wiedzieć, że można na nich zbić fortunę?

- Chyba masz rację, ale Dawson Holland na pewno się na tym zna. Kiedy Larry zrobi swoje, dowiemy się o nim więcej.

- To pewnie strata czasu.

- I tak nie mamy nic innego do roboty!

- Ja osobiście mam. - Elizabeth podniosła do ust jeszcze jedną kanapkę. - Czekaj mnie lektura prawdziwego, autentycznego scenariusza filmowego!

I uż po północy usłyszała, jak Jack schodzi cicho po schodach. Przed kilkoma minutami skończyła czytać scenariusz *Zakazanej ferajny* i zgasiła światło w nadziei, że uda jej się zasnąć. Odgłos cichych kroków obudził w niej podejrzenie, że Jack idzie zanurzyć się w jacuzzi. Jednak po chwili usłyszała, że otwiera i zamyka cichutko drzwi wyjściowe. Odrzuciła koce i zerwała się z łóżka. - Cholera jasna! - Nie ośmieliłby się... uprzedziłyby ją przecież!

Niestety, usłyszała wyraźnie odgłos zapuszczanego silnika w jednym z samochodów stojących na podjeździe. Nie było już wątpliwości - Jack wybierał się gdzieś bez niej, a ona wiedziała ze stuprocentową pewnością, gdzie zmierza. Ogarnęła ją niemal paralizująca panika. Wskoczyła z łóżka i chwyciła dzinsy.

## *Rozdział czternasty*

Czekał, siedząc przy oknie w ciemności nocy. Przez żaluzje wpadały do pokoju smugi chłodnego księżycowego blasku, kładąc się cieniem na hotelowym dywanie. Wpatrywał się tępo w pasiasty wzór. Myślał wędrował po wydarzeniach przeszłości. Po chwili sięgnął po miniaturową butelkę, którą znalazł w podręcznym barku. Szkocką pijał niezwykle rzadko - z zasady tylko wtedy, gdy czuł, że życie zagoniło go w ślepą uliczkę.

Dzisiaj szkocka doskonale pasowała do okoliczności. Nie tylko symbolizowała mur, który wyrósł przed nim, hamując mu drogę, lecz również dlatego, że taką whisky najchętniej pił jego ojciec, a to właśnie on, chociaż nie żył od tak dawna, maczał palce w całej sprawie.

Otworzyły się drzwi. Do pokoju wpadł snop jaskrawego światła, gasząc księżycowe smugi na dywanie. W progu stał Hayden.

- Musimy pogadać - odezwał się Jack z cienia przy oknie. Wejdz i zamknij za sobą drzwi. To nie potrwa długo.
- Co tu, u diabła, robisz? Jak się dostałeś do mojego pokoju!'
- Świsnąłem klucz uniwersalny z pomieszczenia sprzątaczek.
- Ciężka cholera! Nie zmieniłeś się wiele od dawnych czasów! - Hayden zamknął drzwi. Nie zapalił światła. - Nieodrodne dziecię przeszłości...
- Nie przyszedłem tu, by gadać o dawnych czasach!
- Więc czemu zawdzięczam ten zaszczyt? - Hayden podszedł do barku i otworzył drzwiczki. Brzęknęło szkło. - Naprawdę martwisz się, że mógłbym zaciągnąć Elizabeth do łóżka?
- Jej do tego nie mieszaj!
- Nie da rady, stary... - Hayden wyprostował się i podszedł do fotela stojącego naprzeciwko tego, który zajął Jack. Z rozmachem klapnął na miękkie siedzenie. Promienie księżycowego blasku przecięły jego twarz ukośnymi pręgami. Podniósł buteleczkę szkockiej w szyderyczym toaście. - Już się do tego włączyła, ale to twoja wina, nie moja.
- Ona nie ma nic wspólnego z tym, co się stało, więc zostaw ją w spokoju!
- Na twarzy Haydena zagościł wyraz rozbawienia.
- Co właściwie między wami jest? Nie bardzo mogę się połapać.
- Nie musisz, to nie twoja zakichana sprawa.
- Wiesz? Kiedy ją oświeciłem, że to ty stałeś za przejęciem Gallowaya, spodziewałem się, że w mgnieniu oka pozbawi cię zaplecza finansowego. Nie wiedziałem, że zdążyłeś podsunąć jej kontrakt. - Hayden pociągnął łyk i mlasnął z uznaniem. - Jak zawsze, bez pudła rozłożyłeś kampanię w czasie. Prawdziwy z ciebie magik!
- Powiedziałem, żebyś wyłączył z tego Elizabeth!
- Nie zdążyłem wyrwać ci inwestora, ale i tak trochę pokrzyżowałem ci szyki, co? Twój mały romans prysł jak bańka mydlana. Tak mija gloria i sława! - Hayden zachichotał. - Scena, której świadkiem stali się goście Pacific Rim Club następnego ranka, przeszła do annałów towarzyskich Seattle.
- Dość, Hayden.
- Nie sądzisz, że trochę przesadziłeś, nazywając ją bryłą

lodu? Nie bardzo to szarmanckie: najpierw całować, potem obgadywać...

Jack ścisnął buteleczkę szkocejkę tak mocno, że dziwił się, jakim sposobem szkło jeszcze nie pękło mu w palcach.

- Zamknij się!

- Równie dobrze mogłeś wyskrobać jej imię i nazwisko na ścianie klubowego sracza: „Kto chce się zabawić, niech nie liczy na randkę z Elizabeth, bryłą lodu”.

- Powiedziałem, żebyś się przymknął!

- Oczywiście wszędzie się rozeszło, że laleczka jest w łóżku do niczego. Przez ostatnie pół roku nie miała wielu propozycji. A tak z czystej ciekawości: naprawdę jest oziębła?

Pręgi srebrnego światła wydały mu się nagle zdecydowanie zbyt jaskrawe. Pokój kojarzył się ze scenerią nie z tego świata. Przez żyły pogalopowała fala adrenaliny i Jack wyskoczył z fotela jak sprężyna. Cisnął opróżnioną do połowy butelkę i chwycił Haydena za kłapy, przemocą podrywając go na nogi.

- Naprawdę chcesz się doigrać - szepnął ze złowrobną łagodnością. ~ Piśnij jeszcze słówko o Elizabeth, a rozerwę cię na strzępy!

- Wyluzuj się, widzę już te nagłówki: „Dyrektor generalny Excalibura, Jack Fairfax, aresztowany za krwawą napaść”. To doskonała antyreklama dla potencjalnych klientów, pragnących skorzystać z twoich usług!

Jack popchnął go na ścianę.

- Naprawdę wierzysz, że zależy mi na reklamie?

W pokoju zapadła napięta cisza, a z twarzy Haydena stopniowo zniknął zadufany uśmiech.

- Jack, coś za bardzo się ciskasz. To nie w twoim stylu.

- Może, ale wiesz co? Całkiem mi z tym dobrze!

Oczy Haydena związały się w szparki.

- Jeśli nie przyszedłeś rozmawiać o Elizabeth, to o co właściwie ci chodzi?

Pokój utracił ów niesamowity wygląd kadru z czarnego kryminału, cienie stały się na powrót normalnymi cieniami, Jack puścił kłapy marynarki Haydena i cofnął się kilka kroków.

- O Straż Przednią Jutra.

Hayden zmarszczył czoło, po czym zdjął marynarkę.

- Tę radykalną grupkę, która ozbija w drobny mak laboratoria

badawcze i wdrożeniowe, prowadzące prace w zakresie zaawansowanej technologii? Czemu cię interesują?

Jack podszedł do okna. Usiłował dojrzeć rzekę, która wpływała nieopodal z górskiego kanionu, ale szczegóły krajobrazu spowijał głęboki mrok.

- Faceci z tej bandy rozwalili jedno z laboratoriów Excalibura, we wtorek późną nocą lub w środę we wczesnych godzinach porannych. Ale nikt z nich nie zgłosił się jako wykonawca chlubnego dzieła.

Hayden zawahał się niemal niedostrzegalnie.

- Cóż więc?

- Więc zaczynam mieć wątpliwości, czy to naprawdę ta chuligańska ferajna rozbiła laboratorium, czy kto inny. Na przykład ty!

Zapadła martwa cisza.

- Musiałbyś tego dowieść - wykrztusił wreszcie Hayden.

- Nie muszę. Jeśli dojdę do wniosku, że to naprawdę ty, nie będę szukał dowodów.

- Co ty sobie myślisz, u diabła! Co mi zrobisz, nawet jeśli sam sobie wmówisz tę bzdurę? - zapytał Hayden głosem, w którym pobrzmiwała wystudiowana, kontrolowana ciekawość.

- Lepiej nie pytaj!

- Grozisz mi?

- Potraktuj to jako obietnicę. - Jack odwrócił się i spojrzał mu prosto w oczy. - Excalibur to mój klient, a Ingersollowie to dobrzy ludzie. Nie pozwolę, byś ich skrzywdził, próbując odegrać się na mnie.

- Nie miałem nic wspólnego z rozbojem w laboratorium. - Głos Haydena nabrał ostrych tonów. - Nawet o nim nie wiedziałem, dopóki mi przed chwilą nie powiedziałeś. Nie masz na mnie nic! Nie masz z czym leżeć do glin, jeśli taki pomysł chodzi ci po głowie.

- Nie pójdę do glin. Jeszcze nie teraz w każdym razie. - Jack podszedł do drzwi. - Ale jeśli się dowiem, że twoja żądza odwetu popchnęła cię do czynów, które skrzywdziły niewinnych ludzi, nie lędz się, że będę cię chronić.

- Nie potrzebuję twojej zsranej ochrony! Nigdy jej nie potrzebowałem!

- I jeszcze jedno. - Jack przekręcił gałkę w drzwiach. - Zdaję sobie sprawę, że przyjechałeś do Mirror Springs w nadziei, że położysz łapę na Soczewce. Jeszcze nie wiem dokładnie, jaką masz rolę w tym uroczym filmiku gangsterskim, który tu odgrywacie, ale lepiej dobrze się zastanów, zanim przyjdzie ci do głowy wykorzystywać Elizabeth, żeby ubić swoje interesy.

Hayden parsknął nieprzyjemnym, zgrzytliwym śmiechem.

- Czemu miałbym przestrzegać takiej zasady, skoro ty ją zlekceważyłeś?

Jack nie odpowiedział. Otworzył drzwi i opuścił pokój. Podszedł do wind i znużonym gestem przycisnął guzik. Czekając, przypatrywał się swojemu odbiciu w lustrze na ścianie naprzeciwko. Z dobrze znanej twarzy spoglądały na niego oczy ojca.

- Niełatwo sprzątać to łajno, jakiego kiedyś narobiłeś, nędzny sukinsynu - powiedział do swojego odbicia. Drzwi windy rozsunęły się z cichym świstem. Zjechał do hallu i wyszedł w chłód nocy rozjaśnionej surowym blaskiem księżyca. Przeciął placyk, na którym zaparkował samochód. Nie zauważył Elizabeth, opatulonej w długi czarny płaszcz, aż do chwili, gdy niemal na nią wpadł.

- Dość mam twoich podstępnych zagrań! - syknęła, a jej oczy jarzyły się w mroku wściekłością. - Żądam wyjaśnienia! Tyle przynajmniej jesteś mi winien!

Spojrzał na nią i przypomniał sobie słowa Haydena: „Równie dobrze mogłeś wyskrobać jej imię i nazwisko na ścianie klubowego sracza”.

- Owszem. - Przeciagnął dłonią po ściągniętej twarzy, a potem opuścił ją bezwładnie wzdłuż boku. - Tyle jestem ci winien!

Schowała butelkę do kredensu, postawiła kieliszki koniaku na tacy i zaniósła je do salonu, oświetlonego ogniem kominka. Zatrzymała się przy niskim stoliku do kawy i spojrzała na Jacka.

Oparł się dłonią o gzyms i wbił wzrok w migotliwe płomienie. Bez słowa podała mu kieliszek. Ściągnął brwi, jakby nie mógł oderwać myśli od falujących płomieni. Po chwili przejął jednak kieliszek z palców Elizabeth.

- Pojechałeś do hotelu, żeby porozmawiać w cztery oczy z Haydenem, tak? - zapytała bezbarwnym głosem.

Wzruszył ramionami i łyknął trochę bursztynowego płynu.

- Po co? - Przyglądała mu się badawczo. - Co chciałeś osiągnąć?

- Sam nie wiem. - Powoli opuścił dłoń trzymającą kieliszek. - To długa historia.

- Mamy całą noc - odparła Elizabeth.

Spojrzał jej prosto w oczy. Uświadomiła sobie, że po raz pierwszy od chwili, gdy się poznali pół roku temu, uchylił maski i pozwolił jej wejrzeć pod gładką powierzchnię pozorów. To, co ujrzała, przeraziło ją i oszołomiło.

- Mój ojciec, Saywer J. Fairfax, był znakomitym strategiem polityki gospodarczej, który dorobił się fortuny, pracując dla wielkich korporacji, organizując fuzje i przejęcia spółek. Specjalizował się we wrogich przejęciach, prawdziwych napaściach na małe firmy z niewielką liczbą udziałowców. W swoim czasie niszczył, jedną po drugiej, rodzinne spółki tylko dlatego, że umiał zrobić na tym pieniądze.

- Nie przerywaj.

- Był prawdziwym specjalistą bogacenia się i opłatał się przy tym taką siecią kłamstw, że jego życie zamieniło się w jedno wielkie łgarstwo. Umarł podczas podróży służbowej do Europy, kiedy miałem dwadzieścia cztery lata, i przysięgam na Boga, że aż do dnia pogrzebu sądziłem, iż jestem jego jedynym synem.

Zaskoczona Elizabeth ściągnęła brwi.

- Nic nie wiedziałeś o Larrym?

- Nic a nic. Okazało się, że on i jego matka też nie mieli pojęcia o moim istnieniu. Mieszkali w Bostonie i wiedzieli o nim tyle, że był żonaty i dużo podróżował w interesach.

- Co oczywiście tłumaczyło jego częste nieobecności?

- No, właśnie. Ale nawet na pogrzebie żadne z nas nie zdawało sobie sprawy, że istnieje jeszcze trzeci syn. Ten, który zjawił się dopiero podczas ceremonii otwarcia testamentu.

Elizabeth wstrzymała oddech.

- Chyba nie...?

- Owszem, Hayden.

- Dobry Boże! Ależ to musiał być szok!

- Nie przyszedł na pogrzeb. Jego gniew na ojca sięga tym głębiej, że wini go za samobójczą śmierć swej matki. Niestety, tata zmarł.



zanim Hayden zdołał się zemścić. - Jack umilkł i spojrzał markotnie na złocistą powierzchnię koniaku. - Ale przecież zostałem ja...

Elizabeth zamknęła oczy.

- Rozumiem.

- Tata uczynił mnie wykonawcą swej ostatniej woli, więc to mnie przypadło w udziale finalizowanie jego interesów, prawnych, finansowych i osobistych. Okazało się, że miał przed sobą kilka trudnych spraw sądowych, trzeba było rozwikłać i zakończyć mnóstwo niezwykle zagmatwanych negocjacji i w dodatku stawić czoło świadomości, że istnieje niezliczona rzesza ludzi, których jego działania skrzywdziły lub doprowadziły do ruiny... tyle drobnych firm, które unicestwił, tyle rodzin, które nigdy nie podniosły się po jego napaści...

Elizabeth nareszcie otrzymywała odpowiedzi, których tak długo szukała. Otworzyła oczy.

- Dlatego poświęciłeś się ratowaniu niewielkich spółek rodzinnych! Chcesz naprawić zło, które wyrządził twój ojciec!

Jack zanurzył usta w kieliszku.

- Nie zrozum mnie fałszywie, nie jestem altruistą z aureolą nad czołem. Udało mi się znaleźć swoje miejsce na rynku konsultantów. Stworzyłem unikatową specjalizację, która w dodatku przynosi mi całkiem niezłe dochody.

Elizabeth nie skomentowała tego.

- Opowiedz mi wszystko...

- Jak więc mówiłem, niełatwo było uporządkować ten chaos interesów, który tata zostawił mi w spadku, ale to nie było najgorsze.

- A co było najgorsze?

- Sprawy rodzinne.

- Oczywiście! To zawsze okazuje się najtrudniejsze.

- Jedno muszę powiedzieć na obronę ojca: wszystkich nas potraktował jednakowo i podzielił równo majątek, który po nim dziedziczyliśmy. Larry jest najmłodszy... - Jack wygiął wargi w kpiącym grymasie. - Nie mieliśmy dosłownie nic wspólnego, ale udało nam się szybko zaprzyjaźnić.

- Ale ty i Hayden jesteście bardzo do siebie podobni, prawda? Obaj przebiegli i inteligentni faceci z żyłką do interesów i prawdziwym wyczuciem rynku. Obaj macie tę samą zadziwiającą zdolność koncentracji na celu czy sprawie, nad którą pracujecie.

Mocny Boże, wystarczy tylko spojrzeć: macie nawet podobny gust w kwestii ubioru i jedzenia!

Twarz Jacka stwardniała.

- Nie jesteśmy bliźniakami rozdzielonymi zaraz po urodzeniu.

- Nie, oczywiście, że nie, różnicie się powierzchownością do tego stopnia, że nikt nie uznałby was za krewnych!

Jack obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Jeśli w ten dyplomatyczny sposób dajesz mi do zrozumienia, że on jest przystojniejszy...

- Nie jest! - zaprzeczyła Elizabeth szorstko. - Po prostu wyglądacie inaczej.

Jack wzruszył ramionami.

- Rzeczywiście jesteś dyplomatką. Nic na to nie poradzę, że odziedziczyłem wygląd po ojcu. Chciałem właśnie powiedzieć, że matka Larry'ego to taka osoba, która ucieleśnia kobiecą słodycz i troskliwość. Zdaje się, że ona nie była do końca zaskoczona moim istnieniem. Matka Haydena okazała się jednak mniej wyrozumiała. Co prawda wiedziała, że mój ojciec ma żonę, ale przez cały czas spodziewała się, że się rozwiedzie i z nią ożeni. Nie wiedziała nic o mnie.

- Dla kobiety, której kochanek zmarł, zanim choćby wszczął obiecywane kroki rozwodowe, nowina o istnieniu syna, o którym nie był łaskaw nawet wspomnieć, musi być niezwykle trudna do strawienia.

Jack pociągnął kolejny łyk trunku.

- Po śmierci ojca Vivien Shaw wpadła w depresję, która przeszła w ostrą formę kliniczną. Nie wiem, czemu wbiła sobie do głowy, że moje istnienie stanowi gorszą formę zdrady niż fakt, że ojciec nie ruszył palcem, żeby dostać rozwód. W końcu zażyła środki nasenne, dawkę, która zabiłaby słonia.

- A wtedy Hayden przeniósł złość do ojca na ciebie?

- Uwierzył w to, co opowiadała mu matka: że ja byłem faworytem, a on dostał nędzne resztki. Nienawidzi mnie z całego rozgoryczonego serca. - Jack osuszył ostatnie krople w kieliszku.

- Jest takie stare powiedzonko, że rodzinne właśnie są najzacieklejsze.

- Mogę zaświadczyć, że to prawda.

- Czemu Hayden nie przyjął nazwiska ojca?

- Wychowywał się w jakiejś kalifornijskiej mieścinie. Matka zawsze mówiła o sobie „pani Shaw”, więc przyzwyczał się do tego nazwiska i wciąż go używa. Sądzę, że to jeszcze jeden sposób, by wziąć odwet na Fairfaksach.

- Aha... - Elizabeth zawałała się. - Co ci powiedziały dzisiaj Hayden? Czy przyznał się, że otrzymał zaproszenie na aukcję?

- Tego tematu nie poruszaliśmy.

Wbiła w Jacka osłupiały wzrok.

- Nie rozumiem! O czym więc rozmawialiście?

- Pojechałem do niego, bo nagle przyszło mi na myśl, że to on mógł stać za napadem na laboratorium.

- Co takiego?!

Jej ewidentne niedowierzenie wywołało na twarzy Jacka grymas rozdrażnienia.

- Wykombinowałem sobie, że to byłoby całkiem logiczne: wrogość do mnie przenosić na moich klientów.

- Jest na to chyba jakieś określenie.

- Przeniesienie krzywdy - podrzucił sucho Jack.

Elizabeth potrząsnęła głową.

- Nie, wykluczone! Nie uwierzę, by posunął się tak daleko.

- A skąd, u diabła, możesz wiedzieć, do czego ten człowiek jest zdolny, by zaspokoić żądzę zemsty?

Odwrociła się i poczęła niespokojnym krokiem przemierzać pokój.

- Jakoś nie widzę go w roli oprycha dewastującego laboratorium warte tysiące dolarów, będące własnością Ingersollów, tylko dlatego, by wyrównać rachunki z tobą. Takie zachowanie nie pasuje do tego, co o nim wiem.

- A co ty właściwie o nim wiesz? - Jack śledził ją oczami jak szparki. - Czy, na przykład, zdajesz sobie sprawę, dlaczego tak zawzięcie próbuje cię zwabić do łóżka?

- Sądziś, że w ten sposób chce się na tobie odegrać? - Ogarnął ją gniew, choć usiłowała ukryć go pod maską szyderczego grymasu. - No i kto teraz grzeszy brakiem dyplomacji?

Twarz Jacka z profilu wydała jej się zbiorem twardych linii i ostrych kątów.

- To chyba jasne, że chce cię wykorzystać w rozgrywce przeciw mnie?

Elizabeth wydała z siebie celowo przesadne, dramatyczne westchnienie.

- Ach, więc to nie moje upojne ciało i oczy pałające seksem ścięły go z nóg? No już, nie krępuj się! Wywal kawę na ławę: Co za absurdalny pomysł, Elizabeth, czy kiedykolwiek mogłaś mieć nadzieję, że jesteś *femme fatale*?

~ Elizabeth, przestań, próbuję ci tylko wyjaśnić...

- Ja, biedna, sądziłam, że dwóch kawalerów porwanych namiętnością rywalizuje o moje względy! A tu wychodzi na jaw straszliwa prawda: obaj chcą mnie wykorzystać dla własnych haniebnych celów!

Jack przewiercał ją nieustępliwym spojrzeniem.

- Zataiłem przed tobą udział w przejściu Gallowaya, bo wiedziałem, że wszystko opacznie zrozumiesz.

Elizabeth przywołała na twarz przesłodzony uśmiech.

- Twój braciszek natomiast przemilczał brak ostatecznego wyroku rozwodowego, bo również się obawiał, że wyrzuci to na mnie złe wrażenie...

- Nigdy więcej nie porównuj mnie z Haydenem - ostrzegł ją Jack.

Zignorowała to.

- Wiesz co? Naprawdę zaczynam mieć dość występowania w roli przypadkowej ofiary, która zabłąkała się na linię frontu. - Gwałtownie odstawiła kieliszek, tak że stuknęła głucho o stół. - To rani moją dumę!

Jack zrobił krok w jej kierunku.

- Elizabeth...

- Sądząc z twoich słów, chyba zrobię mądrze, jeśli zainwestuję w niewielką, starannie dobraną kolekcję dzieł sztuki o tematyce erotycznej i kilka interesujących mechanicznych gadżetów do wysoce osobistego użytku i porzucę wszelkie nadzieje na związek z mężczyzną z krwi i kości. Nie uważasz?

Podchodził coraz bliżej, a ona z całych sił tłumiła nierozumną chęć ucieczki. Kiedy był już tak blisko, że czuła ciepło jego ciała, zatrzymał się. Nie próbował jej dotknąć.

- Nie polecam takiego rozwiązania - powiedziała dobitnie.

Elizabeth przechyliła głowę.

- A co, próbowałeś?

Podniósł rękę i musnął koniuszkami palców jej nagi kark.

- Wprawdzie ograniczyłem się do zabiegów ręcznych, zamiast posiłkować się urządzeniami mechanicznymi, ale... owszem, próbowałem tego.

Czuła, jak w zakamarkach świadomości budzą się niepokój i aże uczucia, jak usiłują przebić się na powierzchnię. Bezowocnie próbowała zepchnąć je z powrotem w otchłań zapomnienia. Zawsze tak było, gdy jej dotykał! To musiała być czarna magia. Elizabeth nie miała innego wyjaśnienia. Z trudem wydobyła ze ściśniętego gardła:

- No i co się stało?

- Nic, zupełnie nic! - Kreślił kciukiem zawile wzory na napiętej skórze jej szyi. - Dopiero gdy zaprzagnałem do roboty wyobraźnię...

Przesunęła językiem po dolnej wardze i przełknęła ślinę.

- Co sobie wyobraziłeś?

- Ciebie... że jesteś ze mną.

Zakreśliło jej się w głowie. Tamtej nocy, gdy otworzyła przed nim drzwi, wiedziała, co się może stać, jeśli pozwoli Jackowi zostać. Wczoraj, kiedy rzuciła mu na pożegnanie mglistą obietnicę, wiedziała już, że to się musi stać, wcześniej czy później. Jednak z niezrozumiałego dla niej samej powodu sądziła, że to będzie raczej później.

- Wyjaśnij mi to dokładnie - wykrztusiła, usiłując zachować zimną krew. - Czy wyobrażałeś sobie moją twarz naniesioną na sylwetkę jakiejś modelki porno?

- Nie tylko twarz. - Nachylił się i rozchyłonymi ustami musnął jej wargi, lekko, jakby zapraszająco. - Wszystko inne, w całej olśniewającej okazałości.

Elizabeth wzdrygnęła się mimowolnie.

- Czy ubrałeś mnie w swej wizji w skórzany kostium, nabijany stalowymi nitami, i w szpilki ostre jak sztylety? Zawsze marzyłam, żeby choć raz włożyć takie przebranie!

- W mojej wizji byłaś całkowicie, cudownie naga - szepnął.

Bez ostrzeżenia pogłębił pocałunek i objął ją, przyciskając do siebie łagodnie, lecz mocno. Elizabeth położyła dłonie na jego barkach i wczepiła palce w sprężyste mięśnie biegnące wzdłuż karku.

- Jack...

- Czasami myślałem, że zwariuję! - Wargi miał tak gorące, że aż ją parzyły. - Wierz mi, odchodziłem od zmysłów.

Przymknęła oczy i wciągnęła głęboko woń jego ciała, rozkoszując się mieszaniną zapachów; tylko on tak pachniał. Palce Jacka dotarły do jej piersi. Kiedy kilka godzin temu, goniąc go, ubierała się w pośpiechu, nie zdążyła włożyć stanika. Wymruczał tuż koło jej ust:

- Nie myliłem się...

- W czym?

- We wspomnieniach twojego dotyku. - Trącał kciukami twarde sutki. - Mnóstwo czasu spędziłem na rozpamiętywaniu, jaką masz miękką, gładką skórę.

Zdjęła dłonie z jego barków, wślizgnęła je pod sweter Jacka i rozpostarła płasko na muskularnym torsie.

- A ja spędziłam tyle samotnych godzin, wspominając twój widok bez koszuli!

- Oboje straciliśmy całe pół roku!

- Nie jestem pewna, czy to rzeczywiście był stracony czas.

- Ja jestem.

Nagle oderwał się od niej, wziął ją w ramiona i ułożył na dywaniku przed paleniskiem. Tuż koło głowy słyszała trzaskanie ognia. Zanurzyła się w jego ciepłe, patrząc, jak Jack ściąga z jej nóg dżinsy.

- Od kiedy zarzuciłaś zwyczaj noszenia bielizny? - spytał zdziwiony,

- Bardzo się spieszyłam.

Wygiął usta w zniewalającym uśmiechu.

- Zupełnie jak ja.

Zrozumiała, o czym mówi, gdy rozpiął swoje dżinsy i zorientowała się, że zapomniał włożyć spodenek. Ale o prezerwatywie nie zapomniał!

Wreszcie położył się na niej, przycinając ją ciężarem ciała. Zachłysnęła się, czując natarczywe palce wędrujące coraz wyżej między udami. Głębokie, nieugaszone pragnienie, z którym w ciągu tych sześciu miesięcy nauczyła się żyć niemal tak dobrze, że przestała sobie z niego zdawać sprawę, bez najmniejszego ostrzeżenia zerwało tamy, odbierając jej resztkę przytomności i opanowania. Elizabeth całą istotą utożsamiła się z tym pragnie-

niem. Jack jęknął chrapliwie i wziął w usta sterczący sutek. Gładził całe jej ciało, wzniecając napiętność i doprowadzając ją do utraty zmysłów. Przebiegały ją tysiące maleńkich dreszczy, które raptem zamieniły się w rozkoszny skurcz. Elizabeth wciągnęła powietrze i dała się unieść rozkoszy, która wymknęła się spod kontroli świadomości. Przywarła do jego barków, zębami chwyciła miękki płatek ucha i bez słów, samym językiem ciała, zażądała więcej!

- Mówiłem ci, że tym razem zrobię to tak jak trzeba - wyszeptął.

Powoli przesuwał się w dół, znacząc swoją wędrówkę szlakiem ulotnych, gorących pocałunków, ale nie zdawała sobie sprawy, do czego zmierza, aż poczuła jego usta w swoim najbardziej intymnym zakątku.

- Jack! - wczepiła palce w jego włosy, ale nie zwracał uwagi na słabe protesty. Elizabeth pomyślała, że zna ten jego dar niezwykłej koncentracji na wszystkim, czego się podejmował. Zanurzyła palce w jego włosach i pociągnęła je. Bardzo mocno.

Nie przestawał.

- Jack, proszę...

Słodkie napięcie było już niemal nie do zniesienia, a on wciąż nie przestawał! Miała ochotę krzyknąć, lecz nie mogła złapać tchu.

- Jack, zmiłuj się, jeśli nie...

I wtedy zadrżała pod naporem orgazmu, który uderzał w nią fala za falą nieopisaną rozkoszy. Płynęła na szczycie grzywacza w dzikiej przejażdżce zmysłów, jakiej nigdy przedtem nie zaznała.

Szalone doznania jeszcze nie minęły, gdy Jack podciągnął się do góry, rozchylił jej uda i pomagając sobie jedną ręką, wsunął się w nią.

Dotychczas była pewna, że nie zapomniła ani jednego szczegółu tamtej fatalnej nocy sprzed pół roku. Teraz dopiero okazało się, jak bardzo się myliła! Kiedy wchodził w nią, powoli, lecz nieustępliwie, uświadomiła sobie, że zapomniła, jaki jest twardy i wielki w stanie szczytowego podniecenia.

Wreszcie był w niej - całkowicie i bez reszty. Raz za razem wsuwał się do samego końca, wypełniając ją po brzegi.

Schylił głowę i pocałował ją w szyję.

- Powiedziałem ci, że jeśli dasz mi jeszcze jedną szansę, zrobię wszystko, by zdać egzamin.

## Rozdział piętnasty

Nacisnął klawisz „pauzy” i pochylił się do przodu, by lepiej widzieć kadr, na którym zastygł obraz. Vicky w tej scenie wygląda naprawdę porywająco. Oglądał właśnie fragment, w którym Eden snuła ze swoim kochankiem spisek, aby zamordować małżonka sadyzę. Światło było nierównane, odbijało się wystudiowanym refleksem od kości policzkowych i pogłębiało cienie wokół oczu. Wyglądała pięknie, prześladowana niewinność, ucieleśnienie rozpacz. Był pewien, że zdobędzie tytuł najlepszej aktorki festiwalu.

Przyglądał się scenie krytycznym okiem, żując przy tym hamburgera, którego przed chwilą zdjął z ogrodowego grilla. Zanotował w pamięci, by posprzątać po sobie. To ona zatroszczyła się, by mieszkał w takim ślicznym, wygodnym domu; jednocześnie napomniała, że oczekuje po nim utrzymywania porządku. Nie aprobowała bowiem starokawalerskich nawyków, rozrzucania rzeczy i ogólnego braku dba-

łości o otoczenie. Usiłował dostosować się do jej żądań, choć nie było to łatwe, bo była naprawdę drobiazgową. A do tego szalenie wybuchową. Ostatnio zaś huśtawka nastroju pogłębiała się coraz bardziej; ataki gniewu i pasji stawały się wprost dramatyczne. Rozumiał, że przyczyną jest olbrzymie napięcie, które od tak dawna nie zelżało ani na chwilę, był więc wyrozumiały i tolerancyjny.

Jej piękność go oszałamiała. Była najpiękniejszą kobietą na świecie. Mogła mieć każdego. Wiedział, że nie darzy go miłością - przynajmniej nie taką, jaką on czuł wobec niej, bo nie każdy umie kochać z takim zapamiętaniem: namiętnie, głęboko i z całkowitym oddaniem. Niewielu byłoby stać na odrzucenie wszystkiego dla ukochanej - tak jak to właśnie czynił.

Nie, ona aż tak nie kochała, ale go potrzebowała. Och, jakże go potrzebowała! Nikt inny nie mógł jej dać tego, czego pragnęła, daru cenniejszego dla niej od wszystkich bogactw świata - zemsty. Trzymał klucz do odwetu, którego pragnęła, i dzięki temu obdarzyła go uczuciem, jakiego poskapiłaby każdemu innemu mężczyźnie.

Skończył jeść hamburgera i w roztargnieniu strzepnął tłuste okruchy na podłogę. Przemknęły mu przez głowę tytuły kilku klasycznych obrazów gangsterskich. Wyszeptał je w ciemności pokoju, bo dość zgrabnie ujmowały jego obecną sytuację:

- Stąпам po *Niebezpiecznym gruncie*... To labirynt *Bez wyjścia*...

Cudowne! Właśnie dlatego kochał czarny kryminał; tak wspaniale opisywał jego własne życie.

Po chwili Tyler Page zwolnił przycisk zatrzymujący projekcję i na niewielkim ekranie ożyły postacie z filmu *Zakazana ferajna*. W ciszy zabrzmiał głos aktorki:

„Posłuchaj, Harry: są rzeczy, które się robi z miłości, i takie, które się robi z zemsty. Nieważne, jaki masz powód, w końcu tak czy inaczej wszyscy uważają cię za wariata”.

## Rozdział szesnasty

Zbudził go blask księżyca, kładąc się wiązką srebrzystego światła na jego twarzy. Otworzył oczy i wyjrzał przez wysokie okno. Srebrzysty krążek odcinał się jaskrawo od czerni nocnego nieba. Było mu ciepło i przytulnie. Nasycony - pomyślał i uznał to za trafne określenie. Nasyciłem się!

Elizabeth poruszyła się w jego ramionach i przeciągnęła leniwie. Koc, który ściągnął wcześniej z oparcia kanapy, by przykryć ich oboje, opadł jej do pasa. Zauważyła zapewne, że wpatruje się pożądliwie w jej obnażone piersi, gdyż chwyciła kraj nakrycia i podciągnęła go aż po brodę.

- Dywan jest nieco szorstki, nie uważasz? - odezwała się.

- Owszem.

Rozsądek nakazywał mu nie zadawać w tej chwili żadnych pytań i w ogóle trzymać język na wodzy. Zbyt ciekawość byłaby kuszeniem losu. A szczęście go dzisiaj nie zawiodło. Niewielu jest takich.

którzy mają drugą szansę, powinien więc dziękować swojej gwieździe i nie gadać za wiele. Przekreślił się na boku, podparł na łokciu i spojrzął na Elizabeth w oczy.

- Dlaczego? - zapytał.

Wpatrywała się w jego twarz, ledwie widoczną w słabym blasku księżyca, podsyconym migotliwym ogniem kominka. Przymknęła powieki i spoglądała na niego oczami na wpół skrytymi wśród rzęs.

- Pytasz, dlaczego dywanik jest szorstki?

- Wiesz, o co pytam. Dlaczego teraz? Właśnie tej nocy? Co sprawiło, że postanowiłaś dać mi tę drugą szansę?

- Przecież uprzedzałam, że to rozważę. - Wzruszyła ramionami; koc znowu zsunął się w dół, więc chwyciła go pospiesznie. - No i rozważyłam.

- To dlatego, że opowiedziałem ci o Haydenie i przeszłości?

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Patrzył na nią z uwagą:

- Owszem, ma.

- Czemu?

- Bo pożądam cię jak szalony, ale nie przyjmę od ciebie jałmużny.

Oczy zaskoczonej Elizabeth rozszerzyły się, jakby ją uderzył.

- Jack, na litość boską!

- Nie chcę, żebyś spała ze mną, bo myślisz, że jestem rycerzem, pełniącym szlachetną misję naprawiania krzywd wyrażonych przez mojego ojca, albo dlatego, że mój brat przyrodni chce się na mnie zemścić. Do diabła! Nie chcę, żebyś mnie żałowała!

Jej oczy zwięzły się w szparki.

- Gdybym chodziła do łóżka z każdym poznanym mężczyzną, który pochodzi z rozbitej rodziny, byłabym niezwykle zajęta kobietą!

Jej ostry ton otrzeźwił Jacka. Czyżby wpadał w lekką obsesję?

- To chyba prawda - przyznał.

Elizabeth musnęła samymi koniuszkami palców jego nagie ramię.

- Kochałam się z tobą nie dlatego, żeby ci zrobić uprzejmość. Nigdy tak nie postępuję.

- Wiem o tym. - Naprawdę zaczynał zdradzać oznaki manii prześladowczej! Czas się wycofać, zamknąć w sobie, wyhamować. Ale jakoś nie mógł się na to zdobyć. - Czemu więc to zrobiłaś?

Zarzuciła mu ramiona na szyję, a jej twarz rozjaśnił pogodny, zmysłowy uśmiech, kryjący ślad satysfakcji.

- Zrobiłam to, bo bardzo tego chciałam od długich sześciu miesięcy. Przeczuwałam, że tym razem będzie nam dobrze, i miałam rację.

- Powiadasz, że to po prostu seks?

- Nie „po prostu seks”, ale bardzo, bardzo dobry seks. Znakomity! - Filuternie postukała karcącym palcem po jego skrzywionych ustach.

Poczuł przypływ podniecenia.

- Temu nie zaprzeczam.

- To dobrze. Nie mam ochoty na sprzeczki. - Zanim zdążył zadać kolejne pytanie, przyciągnęła go do siebie i pocałowała kusicielsko rozwartymi ustami. Klękła nad nim okrakiem i sięgnęła dłońmi do jego nadgarstków. Przycisnęła dłonie Jacka do dywanika po obu stronach głowy. W jej oczach igrały frywolne ogniki erotyzmu.

- To jakaś nowa gra?

- Ostatnie sześć miesięcy spędziłeś na lekturze magazynów dla mężczyzn, a ja w tym czasie zagłębiałam się w kobiecych pismach...

Nie wypuszczając jego dłoni, zaczęła przesuwając się nad nim; jędrne i gładkie wnętrza ud ocierały się o jego męskość. Już przedtem miał wzwód, ale teraz stwardniał jeszcze bardziej.

- Będzie chłosta aksamitnym batem? - spytał Jack.

- Miałbyś coś przeciw temu?

- Jeśli zamienialibyśmy się rolami...

- Może...

- Te kobiece czasopisma musiały być śmiało redagowane... raczej wyzwolone, nie uważasz?

- Owszem. - Pocałowała go w sutek. - I bardzo, ale to bardzo poprawne politycznie...

- Poprawne politycznie? Kobieta na wierzchu? To dobrze, w tego rodzaju okolicznościach chętnie się zgadzam, by kobieta zajmowała zwierzchnią pozycję!

Uśmiechnęła się i ugryzła go w ucho. Odpowiedział cichym śmiechem, rozkoszując się zmysłową torturą.

- Teraz moja kolej - upomniał się Jack po chwili.

- Jeszcze nie. - Pocałowała go jeszcze raz.

Poczuł obezwładniającą falę gorąca.

- Teraz! - rzucił i delikatnie przetoczył ją na plecy. Pochylił głowę do pocałunku. Zatrzymała go, gdy chciał w nią wejść.

- Poczekaj, a te aksamitne bice?

- I na nie przyjdzie kolej - obiecał ledwie dosłyszalnym szeptem.

Dopiero gdy pierwsze przebłyski szarego mętnawego światła dnia rozjaśniły wysokie okna, zdał sobie sprawę, że Elizabeth celowo odwiodła go od dalszej rozmowy. Skuteczna taktyka - pogratulował jej w myślach. Podwójnie skuteczna, gdyż prawda była taka, że wciąż nie wiedział, czemu zdecydowała się przerwać impas, w którym tkwili od pół roku. Wmawiał sobie, że powody Elizabeth są mu obojętne, ale częścią świadomości wiedział, że tak nie jest, że bardzo go obchodzą motyw jej postępowania.

Tak był przedtem pewien, że jeśli tylko da mu drugą szansę w łóżku, wszystko dobrze się ułoży.

Czegóż więc chciał jeszcze?

Według Elizabeth lokal Zwierciadło mógł posłużyć jako sceneria do klasycznego filmu czarnego kryminału. Zatłoczony klub przepajała ledwie uchwytna atmosfera mrocznej, gnuśnej, nieco zmurszałej dekadencji. Na ścianach królowały antyczne lustra o najrozmaitszych kształtach i rozmiarach - aluzja do poetycznej nazwy Mirror Springs, czyli zwierciadlane źródła. W połyskliwych płaszczyznach odbijały się postacie gości, krzyżując się w powietrzu kłębowiskiem wizji, które budziły uczucie dezorientacji.

Być może nie było to zupełnie kasyno Ricka w niezapomnianej *Casablance*, ale niewiele odbiegało od tamtego ideału. Na malutkiej scenie stała w kręgu światła reflektorów rudowłosa seksbomba w opiętej sukni. Erotycznym altem z charakterys-

tyczną chrypką w głosie wyśpiewywała sentymentalny przebój z tamtej epoki. Przy odrobinie wysiłku można było sobie łatwo wyobrazić, że przy narożnym stoliku siedzi samotnie Bogart, wpatrzony w drinka, smętnie rozmyślający o przebrzmiałych dniach paryskiego szaleństwa.

Jack wybrał ten lokal, kierując się wskazówkami miejscowych ekspertów, choć prawdę mówiąc, uzdrowisko nie oferowało na tyle szerokiej gamy rozrywki, by trudno było wybrać miejsce spędzenia wieczoru. Mirror Springs, choć stało się tak modne, nie rozrosło się w molocha rozrywki, lecz pozostało niewielką osadą, w której mogła przetrwać zaledwie garstka nocnych lokali. Zwierciadło uważano powszechnie za najlepszy. Jack był pewien, że to właśnie miejsce przyciągnie największą liczbę wybitnych gości festiwalu, i się nie mylił. Elizabeth przyznała mu to, widząc Vicky Bellamy z Dawsonem Hollandem przy stoliku blisko sceny, nieco dalej zaś Spencera Westa, który w miarowym tempie osuszał kolejne szklaneczki tequili, otoczony gromadką modlitewnie wpatrzonych w niego akolitów. Nie ustępowali swemu guru w zawziętości, z jaką niszczyli alkoholowe zasoby lokalu.

Jack postanowił, że muszą odwiedzić to miejsce, po projekcji niezmiernie nudnego filmu zatytułowanego *Obcy w zaułku*, w którym w końcowych scenach ginęli wszyscy co do jednego członkowie zespołu aktorskiego.

Elizabeth przechyliła się przez niewielki stolik, oświetlony płomieniem świecy, i zniżyła głos do szeptu.

- Nie posądzaj mnie o brak wiary w twoje przywódcze zdolności planowania kampanii, ale czy jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

- Zaufaj mi! - Nie odrywał wzroku od piosenkarki. - Wedle mojego doświadczenia, nie ma nic lepszego od odrobinoty gotówki z rączki do rączki, by rozwikłać nawet najbardziej zawiłe łamigłówki logiczne.

- Tu wchodzi w grę nie „odrobina”, lecz całkiem pokaźna kwota!

- Jeśli zaprowadzi nas do Page'a przed terminem licytacji, każdy cent zwróci się nam z nawiązką.

- Ale, Jack...

Spojrzał uważnie na jej twarz, wyrazistą w misternej pajęczynie cieni, rzuconych przez sprytnie ukryte reflektorki. Poczowała niemal namacalnie aurę niewzruszonej determinacji, jaką roztaczał wokół siebie.

- Nie mamy wielkiego wyboru, a czas nagli - przypomniał Jack nieubłaganie.

- Wciąż twierdzę, że Page pokaże się na ceremonii wręczenia nagród albo na premierze *Zakazanej ferajny*. To aż dwie okazje.

- Jeżeli wypali mój dzisiejszy pomysł, nie będziemy zmuszeni łapać go w publicznym miejscu, w tłumie gości. - Urwał i przeniósł wzrok ponad ramię Elizabeth, a oczy związiły mu się w nagłym skupieniu. - Widzę Leonarda Ledgera. Zdaje się, że idzie do toalety. Pozwolisz, że opuszczę cię na chwilkę. Mam umówione spotkanie.

Elizabeth skrzywiła się.

- Urocze miejsce na handlowe negocjacje!

Jack już był na nogach.

- Naucz się doceniać jego wagę, moja droga. Ubiłem kilka najlepszych interesów mojego życia właśnie w takim gabinecie.

- Ale czemu tam, na litość boską?

- Bo rozmiar się jednak liczy.

Nie mogła oderwać od niego wzroku, choć czuła, że policzki jej płoną zdradliwym rumieńcem. Dziękowała swojej gwiazdzie za panujący w lokalu półmrok. Wreszcie smukła, pełna gracji sylwetka Jacka zniknęła w ciemnym przejściu, nad którym świecił fioletowy neon z napisem „Toalety”.

Jakaś postać wyłoniła się z chybliwych cieni i usiadła na krześle, na którym jeszcze przed chwilą siedział Jack. Hayden uśmiechnęła się kąciakiem ust.

- Nie mogę znieść widoku samotnej damy. Pozwolisz, że dotrzymam ci towarzystwa?

Jack wszedł za Ledgerem do męskiej toalety i omiół pomieszczenie szybkim spojrzeniem, żeby się przekonać, czy są w nim sami. Tutaj również królowały zwierciadła. Trzy kwadratowe w antycznych ramach, zawieszane rzędem nad umywalkami, wyglądały na zupełnie zwykłe lustra, lecz nie można było

powiedzieć tego samego o szerokiej wstędze lustrzanego szkła wbudowanego w ścianę z pisuarami. Umieszczono je dokładnie na wysokości lędźwi i nachylnono pod takim kątem, że każdy, kto zechciał skorzystać z urządzenia sanitarnego, chcąc nie chcąc, trafiał spojrzeniem na odbicie swojego członka. Właśnie w ten obiekt wpatrywał się Ledger. W gruncie rzeczy był raczej zadowolony z wyników inspekcji, o czym świadczył szczęśliwy grymas na skupionej twarzy. Jack przyjrzał się uważniej i spostrzegł, że lustro powiększa. Projektant powinien wyryć na szkłe ostrzegawczy napis: „Uwaga! Obiekt widoczny w lustrze może być mniejszy, niż to się wydaje”.

Jack sięgnął za plecy i przesunął zasuwkę w drzwiach. Słyszając ciche, lecz charakterystyczne kliknięcie. Leonard zerknął przez ramię, a gdy ujrzał Jacka, na jego obliczu rozlała się wyraźna ulga, a z ust wybiegły wesołe słowa powitania:

- Jack! Cóż za zbieg okoliczności! Miałem pana jutro łapać. Mam dla pana scenariusz *Ciemnego nowiu*.

- Naprawdę?

- Ma pan szczęście, bo tak się składa, że przyniosłem go tu ze sobą. Może pan go od razu zabrać do domu. Zobacz pan, że się panu spodoba. Będzie pan zachwycony!

- Jak bardzo potrzeba panu pieniędzy na realizację tego filmu?

Leonard wymownie przewrócił oczami, otrząsnął energicznie obiekt swojego podziwu i zaczął wpychać koszulę w spodnie.

- Łaskawy pan raczy żartować! - Z rozmachem pociągnął suwak do góry. - Jeżeli to prawda, że pieniądze są życiodajnym nektarem polityków, to dla filmowców są czymś jeszcze ważniejszym: samą krwią! Nigdy nie ma ich dość!

- Nigdy-

Filmowiec zorientował się, że niefortunne sformułowanie może wystraszyć potencjalnego inwestora, zalał więc Jacka potokiem pospiesznych zapewnień:

- Oczywiście to wcale nie znaczy, że nie umiem trzymać się budżetu. O (o może się pan nie martwić! Gwarantuję, że zrealizuję zdjęcia w obiecany czas i nawet poniżej planowanych kosztów. To dla mnie żaden problem!

- Wierzę panu na słowo. Jestem wstępnie zainteresowany finansowym wspieraniem tej produkcji.



Ogolona do połysku czaszka aż poróżwiała z podniecenia. Leonard zapał entuzjastycznie:

- Bajecznie! Nie pożałuje pan tego, Jack! *Ciemny nów* będzie czymś wielkim, czymś naprawdę wielkim! A jeśli jeszcze weźmiemy pod uwagę możliwości, jakie otwiera sprzedaż praw na rynek zagraniczny... Tu można zarobić krocie, może mi pan wierzyć!

- Opowie mi pan o tych możliwościach kiedy indziej. Teraz chciałbym omówić warunki naszej umowy.

- Warunki

- Piszę się na inwestowanie w realizację *Ciemnego nowiu* tylko pod tym warunkiem, że pomoże mi pan znaleźć pewnego mężczyznę...

Leonard już otwiera! usta do pospiesznej zgody, lecz nagle zacisnął wargi i odchrząknął niepewnie.

- Mężczyznę? - powtórzył z udawaną obojętnością.

- Właśnie.

- Zaraz, zaraz, proszę mnie źle nie zrozumieć. - Wyciągnął prosząco dłoń. - Nie mam nic przeciw ludziom o odmiennych upodobaniach seksualnych. To ostatecznie osobista sprawa każdego. Ale nie jestem pewien, czy mogę panu pomóc w tym zakresie. Rozumie pan, nie jestem pośrednikiem. Może mógłbym przedstawić pana kilku moim znajomym, ale...

Jack roześmiał się pobłaźliwie.

- Spokojnie, niech się pan odpręży. Nie proszę, żeby mi pan naraił kochanka, tylko znalazł faceta, który coś mi ukradł.

Te słowa sprawiły, że Leonard jeszcze czujniej nastawił uszu,

- A co panu ukradł?

- To w tej chwili nie jest ważne. Natomiast ważne jest to, bym go jak najszybciej znalazł!

Twarz reżysera wyrażała popłoch.

- Ale nie mówimy o narkotykach ani niczym nielegalnym. Nie chciałbym się mieszać w kłopoty.

- Żadne narkotyki i nic niezgodnego z prawem. W dodatku to nie będzie niebezpieczne. Chodzi wyłącznie o kradzież eksperymentalnego wytworu zaawansowanej technologii. To przestępstwo w białych rękawiczkach.

- Czy nie powinien się pan zwrócić do glin?

- W tego rodzaju sprawach nigdy nie zawiadamia się policji.

- Aha, rozumiem, z troski o dobry wizerunek.

- Właśnie.

- Sprawdzał pan w hotelach?

- Owszem. Nigdzie w tym mieście nie jest zarejestrowany.

- A mimo to jest pan pewny, że gość się tu kręci?

Jack wrócił myślą do telefonu z zaproszeniem na aukcję.

- Owszem, gdzieś tu musi być. Szukam kogoś, kto dobrze zna zakulisowe powiązania... Wie pan, kto z kim, gdzie i dla czego...

Leonard gorliwie przytaknął.

- Ktoś, kto zna wszystkich z branży.

- Coś w tym rodzaju. - „Branża” nie była słowem, które akurat przychodziło Jackowi na myśl w odniesieniu do poznanych na festiwalu niezależnych filmowców, ale postanowił nie sprzeczać się o sformułowania. - Czy może pan znaleźć dla mnie tego faceta? Był producentem *Zakazanej ferajny*:

Leonard zmrużył przebiegle oczy.

- Może... jeżeli rzeczywiście się tu kręci. I to wszystko, czego pan oczekuje?

- Jeszcze byłaby taka drobnostka...

Reżyser wydał z siebie jęk doświadczonego cynika.

- Tego się właśnie obawiałem!

Jack uśmiechnął się bez troski.

- To nic trudnego. Chciałem tylko zapewnić sobie pańską dyskrecję. Rozumie pan? Chcę tego faceta znaleźć, a nie wystraszyć, żeby mi zwał sprzed nosa!

Filmowiec rozpromienił się.

- Kapuję. Spokojna głowa, nie zacznę się ogłaszać w biuletynie festiwalowym ani tutejszej gazecie. Jak brzmi nazwisko tego gościa?

- Tyler Page.

- Nigdy o nim nie słyszałem. - Leonard machnął lekceważąco dłonią. - To chyba żadna wielka ryba?

- Nie, ale ma ambitne plany.

- A któż ich nie ma? Dobra, zobaczę, co da się zrobić. A jak mam się z panem skontaktować w razie potrzeby?

- Znajdzie mnie pan pod jednym z tych dwóch numerów. - Jack wyjął z kieszeni wizytówkę i zapisał numer telefonu domku gościnnego, w którym zatrzymali się z Elizabeth, oraz swojego telefonu komórkowego i podał ją filmowcowi. - Może pan dzwonić o każdej porze dnia i nocy. I proszę pamiętać o dyskrecji. Żadnych drastycznych kroków, żadnej paplaniny. Jeśli pan spaprze sprawę, facet zwieje, a wtedy ja stracę wszelkie zainteresowanie realizacją *Ciemnego nowiu*.

Leonard zerknął przelotnie na wizytówkę, po czym utkwiał przenikliwe oczy w twarzy Jacka, a entuzjazm wyparował z uśmiechu, który wyglądał teraz jak przylepiony do policzków klejem charakteru Zatorskim.

- Naprawdę cholernie panu zależy na dorwaniu tego gościa, co?
  - Owszem. - Jack odsunął zasuwkę.
- Leonard podbiegł do niego skwapliwie.
- Niech pan zaczeka, dam panu ten scenariusz.
- Jack przystanął w drzwiach.
- Może jednak zechciałby pan umyć najpierw ręce?

Chyba lepiej od razu postawię sprawę jasno: nie zamierzam brać niczyjej strony w wojnie, jaką prowadzisz z Jackiem - oświadczyła Elizabeth.

- Pozostając w jego bezpośredniej bliskości, postronny obserwator ryzykuje, iż zostanie niewinnie poszkodowany - zakpił Hayden. - Mam wrażenie, że już się o tym przekonałaś. Prawda?

- O co tu chodzi?
- O Soczewkę. Nie wiedziałaś?
- Tego tematu również nie będę z tobą omawiać.

Hayden nie przyjął do wiadomości jej protestów.

- Przyjechałaś na aukcję, bo Jacka nie stać na udział w licytacji bez finansowego wsparcia Fundacji Aurory.

- ~ Zostaw mnie w spokoju.
- Wczoraj nie miałem okazji dołożyć do twojej propozycji. Połączywszy siły, możemy oboje zgarzyć nie lada szmal.
- Zaczynasz mnie nudzić.

Pochylił się nad stołem, aż płomień świecy zapalił w jego oczach diabelskie chochliki.

- Elizabeth, nie odrzucaj mojej oferty. Przyłącz się do mnie!  
- Czy są jakieś szczególne powody, dla których miałabym to uczynić?

- Jeden: Jackowi nie można ufać. Dobrze wiesz! Powinnaś związać się ze mną, bo ci się to opłaci. Osobiście ci to gwarantuję!

- A co właściwie miałabym robić?
- Nic!
- Co, proszę?

Po twarzy Haydena przemknął uśmiech, uderzająco przypominający uśmiech Jacka.

- To, co mówię, czyli nic. Chcę, żebyś nie brała udziału w aukcji jako jego poplecznik. O własnych siłach nie zdoła przebić mojej oferty.

- Sądziłam, że jasno ci przedstawiłam moje stanowisko: jestem pośrednio zainteresowana sukcesem Excalibura, więc nie zamierzam ubijać żadnych, choćby najlepszych, interesów kosztem klienta... dla osobistej zemsty.

- Rozczarowujesz mnie! Miałem cię za kobietę obdarzoną wyobraźnią i siłą emocji.

- Nie ty pierwszy się pomyliłeś.

- Jeżeli to tylko kwestia pieniędzy, mogę ci zawiązać wynagrodzić straty. Moja firma jest warta dziesięć razy więcej niż Excalibur i ma własny dział badawczy, pamiętasz? Mamy na tapecie kilka projektów, z których co najmniej dwa wyglądają bardzo obiecująco. Daję ci słowo, że jeśli teraz mi pomożesz, Fundacja Aurory dostanie swoją część udziału w przyszłych zyskach z moich patentów.

Elizabeth przyglądała mu się badawczo.

- Wiem, że jesteście przyrodnimi braćmi. Jack wszystko mi opowiedział. Nie chcę się mieszać do rodzinnych waśni.

Hayden, zaskoczony, wytrzeszczył oczy, ale po chwili jego wzrok stężał.

- Cholera, czy już kompletnie ci odbiło? Nie widzisz, że facet cię wykorzystuje?

- Widzę, jak pożera cię obsesja zemsty. Nie dość że masz nierozwikłane rozrachunki z przeszłością, to tkwisz w matni sprawy rozwodowej, która nie idzie po twojej myśli. Żyjesz w wielkim stresie.

- Oszczędź sobie tej psychoanalizy, dziecinko! O mojej przeszłości nie wiesz nic z wyjątkiem łgarstw, których naopowiadał ci Jack. Nie sądzę, by powiedział cokolwiek bliskiego prawdy! A rozwód... Nie masz nawet pojęcia, jak to jest. Nikt nie wie, jak trudno żyć u boku rozpaskudzonej siksy, której bogaty tatuś obiecuje zaspokojenie wszystkich zachcianek!

Z trudem kontrolowany gniew w jego głosie obudził w Elizabeth niepokój graniczący z przerażeniem.

- Posłuchaj, Hayden...

- Jack zdążył zwać z łap Ringsteadów, zanim ten stary parszywiec zacisnął pętlę. Owszem, przyznaję mu tyle rozsądku. Za to udało im się złapać mnie!

- O czym ty gadasz, na litość?

- Jack ci nie mówił? Zadawał się kiedyś z moją przyszłą byłą żoną Gillian. Rozczulająca historia, prawda?

- O, rany...

- Widzisz, Gillian zaczęła się z nim spotykać, bo tatusiek chciał go za zięcia. Ringstead postanowił, że to idealny kandydat na przyszłego dyrektora korporacji Ring. Ajajak ostatni głupiec przekonałem ją, że tatusiek polubi mnie jeszcze bardziej! Wiesz, jak się to skończyło?

- Odebrałeś mu Gillian?

- Nie było trudno! - Hayden zacisnął dłonie w pięści. - Teraz już wiem dlaczego.

- Dlaczego?

- Panicz Jack zdążył się zorientować, że cała pieprzona rodzinka Ringsteadów to czysta trucizna. Pewnie zaśmiewał się do rozpuku, patrząc, jak lezę w ich sidła. Założę się, że w dzień mojego ślubu o mało co nie pękł z radości! A teraz śmieje się jeszcze bardziej, bo wie, że drogo zapłacę za wydostanie się z tej pułapki!

- Nie winisz chyba Jacka za to, że to ty ożeniłeś się z Gillian?! W głębi serca wiesz, że nie możesz spychać na niego odpowiedzialności. - Pod wpływem nagłego impulsu Elizabeth nakryła dłońią wciąż zacisniętą boleśnie pięść Haydena. - Widzę, że trudno ci rozliczyć się z przeszłością, ale nie zrobisz tego, usiłując zemścić się na bracie!

- Przyrodnim! Nie zapominaj o tym. - Raptownie zabrał dłoń

ze stołu i wstał. - Mam zamiar go zniszczyć tak, jak jego ojciec zniszczył moją matkę. Elizabeth, dla twojego dobra mam nadzieję, że kiedy to się stanie, nie będziesz znajdować się zbyt blisko, bo możesz mi nie wierzyć, ale naprawdę nie chciałbym, byś cierpiała.

Odwrocił się i pomaszerował w stronę wyjścia. Piosenkarka zduszonym altem zawodziła balladę o niespełnionej miłości. Elizabeth nie знаła tego utworu, lecz wywołał w niej łatwe do przewidzenia uczucie melancholii, towarzyszące tego rodzaju piosenkom:

*Lepiej powiedz „tak” niż „nie”,  
Nawet gdybyś upaść miał,  
Lepsza miłość, jaka jest, niż miłości brak...*

Pozwoliła się ponieść smętnej melodii, czując się bezpiecznie, dopóki słuchała jej jednym uchem i żałosne nuty prześlizgiwały się po powierzchni świadomości. Nagle, bez ostrzeżenia, muzyka wdarła się do samego wnętrza jaźni i Elizabeth zacisnęła palce na kieliszku, walcząc z napływem emocji, jakie niosły ze sobą wspomnienia wczorajszej nocy.

Zanim uległa, zawarła ze sobą pakt, że w ramionach Jacka będzie szukać jedynie przyjemności zmysłów. Tym razem musisz trzymać uczucie na wodzy - napominała się, ale piosenkarka sięgała balladą coraz głębiej, rozpałała żar, o którym Elizabeth sądziła, że ledwie się tli i lada chwila zgaśnie. Melodia wwiercała się do środka duszy.

Musiała coś zrobić, żeby przegnać to nieszczęsne uczucie. Spojrzała w kierunku fioletowego neonu wskazującego drogę do toalet. Jack nie wracał. Jak długo mogły trwać negocjacje w męskiej ubikacji? Zerknęła na zegarek, a gdy z powrotem skierowała spojrzenie na ciemne przejście, mignął jej odbłask platyny we włosach upiętych wysoko na harmonijnie osadzonej głowie: Vicky Bellamy zmierzała w stronę damskiej części przybytku. Pod wpływem niezrozumiałego impulsu Elizabeth wstała i zarzuciła na ramię elegancką torebkę wieczorową. Powędrowała między siatką misterych cieni w kierunku neonowego szyldu. Po drodze zastanawiała się nad jakimś sprytnym

sposobem wciągnięcia Vicky w pozornie niewinną rozmowę: „Podobały mi się pani komentarze w dyskusji na temat kobiety fatalnej... a propos, czy uwiodła pani Tylera Page'a, żeby ukraść dla pani męża próbkę nowej, eksperymentalnej technologii z pewnego laboratorium?”... To nie było zbyt subtelne, chociaż z drugiej strony czasami otwarte, postawienie sprawy załatwia ją najszybciej i najlepiej.

Ściany korytarzyka wiodącego do toalet pomalowano na ciemny odcień zjadliwego fioletu, który w przygaszonym świetle przypominał czerni. Tuż pod neonową wywieszką korytarz rozgałęział się w dwie strony. Tabliczka na ścianie pomogła Elizabeth zorientować się, że męska toaleta znajduje się na lewo. Zerknęła na drzwi, ale były zamknięte. Widocznie Jack zagrożony był w handlowych negocjacjach. Podążyła więc drugim przejściem i otworzyła drzwi, za którymi nie znalazła nikogo. W niewielkim pomieszczeniu znajdowały się trzy kabiny, pomalowane na ten sam odcień fioletu co ściany, ale i one były puste - w szczelinie na dole nie dojrzała niczych stóp.

Wycofała się z toalety i jeszcze raz rozejrzała się uważnie po korytarzu. Zobaczyła jeszcze jedno wyjście, które nie prowadziło z powrotem do sali klubowej, więc przekręciła gałkę, zrobiła krok do przodu i znalazła się na niewielkiej rampie załadunkowej. Nocne powietrze owiało jej twarz rześkim chłodem. Nad głową migotała żółtawym światłem niczym nie osłonięta żarówka. Elizabeth usiłowała przebić wzrokiem mrok zalegający tyły lokalu. Udało jej się dostrzec niewielki parking dla pracowników i drogę dojazdową. Po prawej rysowały się kontury wielkiego pojemnika na śmiecie. W powietrzu unosił się charakterystyczny odór gnijących odpadków i przetrawionego alkoholu. Nigdzie ani śladu Vicky Bellamy. Ale wytężywszy słuch, Elizabeth uchwyciła odgłosy przyciszonej rozmowy. Ostrożnie przymknęła za sobą drzwi, owinęła się ramionami w obronie przed chłodem górskiej nocy i zaczęła skradać się po schodkach prowadzących na podwórze. Przemknęło jej przez głowę, że mogła zabrać okrycie, ale skąd miałaby przypuszczać, że Vicky Bellamy wymknie się ukradkiem tylnym wyjściem z klubu?

Przystanęła w nagłym olśnieniu. A jeśli to Vicky rzeczywiście była zamieszana w kradzież Soczewki? Jeśli wybrała właśnie

dzisiejszą noc, by umknąć z kryształem i Tylerem Page'em? Tymczasem Jack siedział w męskiej toalecie i ubijał wątpliwy interes! Nie, to nie miałyby sensu. Elizabeth skarciła się za brak logiki. Przecież zorganizowano licytację. Nawet jeśli Vicky maczała palce w całym przekręcie, nie odjedzie, zanim nie położy łąpki na forsie.

Elizabeth zorientowała się, że nie może beczynnienie stać na mrozie. Powoli zaczęła przesuwać się w cieniu pojazdów zaparkowanych na placu. Gdyby ją zauważono, zawsze mogła tłumaczyć, że wyszła zaczerpnąć świeżego powietrza. Próbowła tak właśnie wyglądać - jak niczego nie podejrzewająca amatorka orzeźwiających przechadzek na świeżym powietrzu -- przekradając się między samochodami, sprawdzając przez szyby, czy przednie siedzenia są puste. W mdłym świetle księżycy dało się dojrzeć niewyraźne zarysy foteli. Gdyby w którymś wozie siedziała Vicky, Elizabeth odróżniłaby zarys ciała.

Ciało byio jednak nie w aucie, lecz na ziemi, między rzędami pojazdów, tuż przy tylnym kole starego forda. Elizabeth wpatrywała się w szeroko rozrzucone ramiona, połyskujące w półmroku mętnym blaskiem skóry. Otworzyła usta do krzyku, lecz nie była w stanie wydobyć głosu. Instynktownie cofnęła się w bezpieczne schronienie rampy. Po chwili jednak zdecydowała się wrócić do starego forda. Drżąc z lęku, przyklękała i zaczęła macać palcami w poszukiwaniu pulsu.

- Czy nic się pani... - Co za głupie pytanie! Oczywiście coś jej się stało! Wyglądała na bardzo nieżywą!

Jaskrawe światło prosto w oczy osłepiło Elizabeth, gdy sięgała po nadgarstek leżący.

- Nie dotykać! -dobiegł ją z ciemności rozwścieczony męski głos. - Pół godziny straciłem na upozowanie!

Nerwy Elizabeth, napięte do ostateczności, nie wytrzymały. Gniewny wrzask był ostatnią kroplą. Krzycząc z zaskoczenia i gniewu porwała się na równe nogi i odskoczyła do tyłu, raniąc się boleśnie o zderzak stojącego tam auta,

- Co... co tu...? - Z wysiłkiem zaczerpnęła tchu. - Co tu się dzieje, do diabła!?

- Kręca film! - Głos Vicky Bellamy dźwięczał ironicznym rozbawieniem.

Elizabeth odwróciła się. Niewiele widziała w ciemności, ale mrużąc powieki, rozpoznała charakterystyczną sylwetkę aktorki. Vicky stała w cieniu między dwoma samochodami, a blask księżycy kładł się na jej włosach przyćmionym srebrem.

- Przepraszam panią. - Mężczyzna, który przed chwilą tak wystraszył Elizabeth, bynajmniej nie mówił tego ze skruchą, lecz raczej z rozdrażnieniem. Wszedł w krąg światła, trzymając w ręku nowoczesną zminiaturyzowaną kamerę. - Nie chciałem pani przestraszyć, ale o mało nie zepsuła nam pani ujęcia.

Ciało na ziemi poruszyło się lekko.

- Może byśmy wzięli się do roboty? Tu jest cholernie zimno!

- Jasne, jasne, maleńka. Nie ruszaj się teraz, dobra? - Kamerzysta pospiesznie cofnął się w cień za lampą. Ktoś inny wystawił długą tykę z mikrofonem. Vicky zachichotała.

- Biorą udział w konkursie!

- Jakim konkursie? - wyjąkała doszczętnie oszołomiona Elizabeth.

- „Czarny kryminał na łapu-capu” - wyjaśniała aktorka. - To doroczna tradycja festiwalu. Uczestnicy dostają taśmę i kamerę i mają za zadanie napisać scenariusz, sfilmować i zmontować krótkometrażówkę, zanim festiwal się skończy.

- Aha! - Elizabeth spostrzegła z ulgą, że wróciła jej zdolność oddychania. - To ciało na ziemi... okropnie realistyczne!

- W filmie wszystko jest pozorem... - mruknęła Vicky. - W życiu zresztą też. Przydałoby się pani zapamiętać tę mąksymę!

Elizabeth znieruchomiała, gdyż w głosie aktorki uchwyciła niewątpliwą nutę ostrzeżenia.

- Dziękuję, postaram się nie zapomnieć.

- Trochę tu zimno. Nie powinna pani wychodzić bez płaszcza! - Vicky odwróciła się i ruszyła w stronę rampy.

Elizabeth postanowiła za wszelką cenę jej towarzyszyć.

- Nie zamierzałam długo być na dworze.

- A właściwie czego pani tu szukała? - zaatakowała Vicky wprost.

- Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza. - Przygotowana wymówka okazała się użyteczna, więc Elizabeth postanowiła uzupełnić ją kilkoma dodatkowymi szczegółami. - Mamy co

prawda stolik w części dla niepalących, ale sama pani wie, w tych małych salkach zawsze jest duszno i pełno dymu.

- Owszem, wiem, ale na pani miejscu nie przechadzałam się tak zbyt długo. Zazwyczaj średnia przestępstw w Mirror Springs jest bliska zera, ale przez te kilka festiwalowych tygodni do miasta zjeżdża mnóstwo różnych typów i człowiek nie może być pewien niczego,

Po krzyżu Elizabeth przebiegł dreszcz, którego z pewnością nie wywołał nocny chłód. Udało jej się jednak utrzymać przylepiony do twarzy uśmiech.

- Jest pani dla mnie dzisiaj skarbnicą mądrych rad, pani Bellamy!

- Mam nadzieję, że potraktuje je pani poważnie. Nie przywykłam bawić się w filantropa i doradzać komu popadnie, ale w pani przypadku zrobiłam wyjątek.

- Czemu?

- Sama nie wiem. - Aktorka uśmiechnęła się zagadkowo. - Może przez to, jak pani patrzy na swojego towarzysza, pana Fairfaksa?

- Czemu miałyby to dla pani być ważne?

- Nie jest... na ogół. Ale pamiętam, że sama kiedyś chciałam w ten sposób patrzeć na mężczyznę.

- A w jaki sposób ja na niego patrzę?

- Jak gdyby zastanawiała się pani, czy się w nim zakochać! - Vicky parsknęła przyciszonym gardłowym śmiechem. - Nawiasem mówiąc, w tym punkcie moja rada brzmi „nie”!

Elizabeth potknęła się o nierówność chodnika, zachwiała i syknęła. Gdy ból minął, postanowiła dorównać Vicky szczerością.

- Czy mam rozumieć, że próbuje mnie pani ostrzec?

Aktorka długo patrzyła na nią bez słowa.

- Kobieta z przeszłością nie ma nic do stracenia... ale kobieta z przyszłością nie może być za ostrożna.

Elizabeth stanęła w miejscu jak wryta, a Vicky, nie oglądając się za siebie, weszła po trzech schodkach rampy, otworzyła drzwi do klubu i zniknęła w jego wnętrzu.

A cóż to znowu miało znaczyć? - zastanawiała się Elizabeth, wpatrzona nieruchomym wzrokiem w zamknięte drzwi. Wreszcie

poczuła dotkliwy chłód, otrząsnęła się z zamyślenia i ruszyła w stronę rampy. Cóż, niewiele wyszło z zamiarów wysondowania Vicky Bellamy na temat Tylera Page'a! Nagle z rozmachem otworzyły się drzwi i usłyszała głos Jacka:

- Elizabeth? Co tu, u diabła, robisz?
- Nie krzycz na mnie. Już i tak dość się strachu najadłam!
- Co się stało? - Chwycił ją za ramię, rzucając podejrzliwe spojrzenia w stronę filmowców na parkingu. - Co ci ludzie tu robią, na litość boską?
- Kręcą film, to taki konkurs festiwalowy. Jak mnie odnalazłeś?
- Vicky Bellamy zaczęła mnie w korytarzu i powiedziała, że widziała, jak wychodzisz na dwór. Mówiła, że chciałaś zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Niezupełnie tak było. To ona wyszła tu pierwsza, a ja ją śledziłam.
- Śledziłaś ją? - Jack badawczym spojrzeniem omiótł ciemność wokół nich. - Po co?
- Cóż... ułożyłam sobie plan, który wydawał mi się szalenie przebiegły. Myślałam, że spróbuję pociągnąć ją za język, żeby się zdradziła, jeśli jest zamieszana w jakieś przekręty z Tylerem. Ale wyszło z tego zupełnie coś innego.
- Co?
- Zamiast ją sondować, dostałam od niej szereg dobrych rad - przyznała bez entuzjazmu.
- Jack patrzył na nią nie rozumiejącym wzrokiem.
- Rad?
- Aha! Na końcu powiedziała coś naprawdę bardzo ciekawego.
- Mianowicie?
- „Kobieta z przeszłością nie ma nic do stracenia, ale kobieta z przyszłością nie może być za ostrożna”.
- I co w tym takiego fascynującego?
- No więc to jest dosłowny cytat z *Zakazanej ferajny*.
- Co?!?
- Vicky jest jedną z niewielu osób, które mogły wiedzieć, że przeczytałam scenariusz i potrafię rozpoznać cytat. Czekaj, czekaj! To ona mnie zachęciła, bym go przeczytała.

Jack wyglądał na zaciekawionego.

- I jakie płyną z tego wnioski?
- Elizabeth skierowała zamyślony wzrok na krzątających się nieopodal filmowców.
- Chciała mnie chyba w ten sposób ostrzec!
- Jack długo milczał.
- Dlaczego miałyby to robić? - spytał niemal szeptem.
- „Może przez to, jak pani patrzy na swojego towarzysza, pana Fairfaksa?... Sama kiedyś chciałam w ten sposób patrzeć na mężczyznę”.
- Nie mam pojęcia - oświadczyła Elizabeth.
- Cholera jasna! Może masz rację i ona rzeczywiście jest *femme fatale* Tylera? Skoro usiłuje cię ostrzec, możemy przyjąć, że jest zamieszana w tę aferę po czubek utlenionej głowy.
- Tak myślę.
- Ale czemu się tak beztrząsco zdradziła? No i dlaczego miałyby próbować się ciebie pozbyć? Przecież jeśli zna całą sprawę, wie, że to nie kto inny, tylko ty dysponujesz prawdziwym szmalem i jesteś gotowa do daleko idących ofiar dla ratowania Excalibura!
- No, tak... - Elizabeth zawahała się. - Tyle tu pytań i wątpliwości!
- Poza tym czemu miałyby sądzić, że wyświechtana kwestia z taniego filmidła będzie skutecznym ostrzeżeniem?
- Może dlatego, że w tym filmidle występuje pewna naiwna i trochę przygłupia panienka. Zakochuje się w gościu, na którego nasza bohaterka sama zagięła parol. No i ta mała naiwniaczka kiepsko kończy.
- Aha, pojmuje tę subtelną aluzję. A jak kończy?
- Zostaje zamordowana!

## Rozdział siedemnasty

Przezań! - Elizabeth błagalnym gestem uniosła rękę. - Ani słowa więcej. Na dziś mam już dość sprzeczek! Nie wracam do Seattle, i tyle!

Jack stał nieruchomo na dywaniku - dokładnie w miejscu, gdzie się kochali zeszłej nocy, podczas gdy Elizabeth nerwowo przemierzała salon. Cały czas wodził za nią wymownym wzrokiem. Miał wrażenie, że siła jej gniewu tworzy w powietrzu niewidzialną, lecz wyczuwalną falę podobną do tej, jaką zostawia po sobie szybka motorówka. Kilka minut temu rozsądna dotychczas dyskusja przerodziła się w prawdziwą kłótnię. W ogniu utarczki Elizabeth rozplotła ramiona, które do tej pory trzymała skrzyżowane na piersiach. Jej dłonie to przecinały powietrze w gwałtownych gestach, to kryły się w kieszeniach obcisłych dżinsów, ale nie spoczęły ani na chwilę. Jack tymczasem próbował utrzymać pozory logicznej, chłodnej argumentacji, ale dobrze wiedział, że to tylko fasada, pod którą kłębi się wybuchowa

mieszanka emocji: napięcie, wściekłość, lęk, że coś mogłoby się jej stać. Gdyby coś jej się stało...

Nie chciał o tym nawet myśleć! W gruncie rzeczy nie miał pojęcia, jak zareagowałyby, gdyby Elizabeth przydarzyło się coś złego. Pewnie całkiem nieźle by go wzięło... Poprawka: wzięłoby go na całość. Mógłby nawet oszaleć z rozpaczy.

Wysiłkiem woli zebrał myśli i odpędził ponure wizje. Nie było sensu zamartwiać się na zapas; to by dowodziło chorobliwego przewrażliwienia. Ostatecznie nie miał do czynienia ze scenariuszem jakiegoś gangsterskiego filmidła, tylko z przestępstwem w białych rękawiczkach, kradzieżą produktu zaawansowanej technologii. W takich sprawach nie dochodzi do morderstw - zazwyczaj.

Ale mogło się zrobić nieprzyjemnie.

Po raz trzydziesty zaczął cierpliwie tłumaczyć:

- Groziła ci. Musimy potraktować to poważnie.

- Nie groziła, tylko ostrzegła, tak przynajmniej sędzę. - Spojrzenie Elizabeth powinno Jacka spopielić na miejscu.

- To się nie trzyma kupy! Jeśli jest w to zamieszana, wie doskonale, kim jesteśmy, i zdaje sobie sprawę, że to ty trzymasz książeczkę czekową Fundacji Aurory. Tym samym wie, że tylko ty możesz wyłożyć szmal na kupno Soczewki dla swojego klienta. Czemu miałaby cię odstraszać, zanim doszło do aukcji? Chyba że... - Urwał, bo nagle coś mu przyszło do głowy.

Elizabeth zatrzymała się pod przeciwległą ścianą i odwróciła do niego twarzą.

- Chyba że co?

- Jeśli Vicky jest w to zamieszana, to pewnie i Dawson Holland. Logiczne?

- Raczej tak.

- Dobrze, załóżmy na razie, że to prawda. Nadal mamy dwie opcje. Pierwsza: Vicky wraz z Dawsonem wyreżyserowali kradzież kryształu.

- Pasuje do mojej teorii, że Vicky stała się *femme fatale* Tylera Page'a.

- Albo druga: przyjechali do Mirror Springs w tym samym celu co my... czy na przykład Hayden.

- Zostali zaproszeni na licytację?

- Właśnie, Pomyśl sama: ilu jest ludzi, których Page mógłby bez wielkiego ryzyka zaprosić na tego rodzaju imprezę? Facet całe życie spędził samotnie, zaszyty w laboratorium. Nie obraca się w kolach, w których mógłby poznać zasobnych inwestorów, chętnych do wejścia w licytację skradzionego produktu. Przede wszystkim musieliby to być ludzie z powiązaniem na rynkach zagranicznych, gdzie mogliby bezpiecznie sprzedać swoją zdobycz. Takich graczy trudno spotkać w laboratorium czy na ulicy, obracając się w wielkim świecie, tam gdzie Page raczej nie bywa.

- Zgadza się. - W oczach Elizabeth coś zabłyśło. - Zna jeszcze ciebie i mnie... Pewnie wiedział też o twojej rywalizacji z Haydenem, skoro ta historia wlece się od tyłu lat. Mógł zgadnąć, że brat miałby wielką ochotę przebić twoją ofertę.

- Prawda. No, a poza naszą trójką znamy tylko jedną osobę, z którą Page ostatnio utrzymywał kontakt i która ma dość forsy i nie dość skrupułów, by odmówić udziału w tego rodzaju przedsięwzięciu. Dawson Holland!

Elizabeth schyliła głowę.

- Dlatego Vicky mogła dzisiaj próbować mnie ostrzec... odstraszyć, żeby pomóc Dawsonowi stosunkowo tanio kupić kryształ.

- Wszystko razem brzmi raczej logicznie i lepiej mi pasuje od twojej teorii *femme fatale*.

- Jesteś wyprany z romantyzmu! - Elizabeth posłała Jackowi zabójcze spojrzenie. - Nie potrafisz sobie wyobrazić, że mężczyzna zdolny jest podjąć takie ryzyko dla miłości.

Drgnął, zaskoczony nutą wyrzutu w jej głosie.

- Usiłuję tylko trzymać się ziemi.

- Aha! - Nagle zastygła w miejscu. - Wiesz, jaki jest nasz problem?

Jack uniósł brwi.

- Mam ci przedstawić szczegółową listę?

- Mówię poważnie. Nasz problem to brak danych.

Przewrócił oczami ku wysokiemu sklepieniu saloniku i w duszy zaniósł do niebios błaganie o cierpliwość.

- Co ty powiesz?

- Serio! Musimy wiedzieć więcej o Vicky Bellamy i Dawsonie Hollandzie.

- Powiedziałem ci już, że Larry sprawdza Hollanda.

Elizabeth ruszyła do telefonu.

- Ale prosiłeś go jedynie o sprawdzenie finansów tego faceta.

- Tylko to wydawało mi się ważne.

Podniosła słuchawkę i wystukała jakiś numer.

- Może tak, a może nie...

Jack zerknął na zegarek.

- Jest już po północy. Do kogo dzwonicz?

- Moja asystentka Louise spędziła dwadzieścia lat, objając się po redakcjach rozmaitych brukowców i ma najdziwniejsze znajomości w świecie rozrywki. Niewykluczone, że zna kogoś, kto... - Elizabeth urwała, bo w słuchawce rozległ się czyjś głos. Na jej twarzy odbiło się zdziwienie. - Przepraszam, widocznie wykręciłam zły numer. Chciałam rozmawiać z Louise Luttrell. Oczywiście, zaczekam...

Jack podszedł do okna, za którym migotały światełka uzdniek. Elizabeth tymczasem ciągnęła przyciszonym głosem:

- Louise? Kto to był, u licha? Jaki znowu stary przyjaciel? Wydawca z innego miasta? Co to właściwie znaczy „stary”?

Jack zerknął przez ramię, rozbawiony wyrazem osłupienia na twarzy Elizabeth.

- Oczywiście nie sądziłam, że złożyłaś śluby czystości. Nie, wiem, że nie jesteś mniszką. Po prostu nie spodziewałam się, że kiedy do ciebie zadzwonię, odpowie mi mężczyzna. W każdym razie nie o tej porze. - Widząc, że Jack ją obserwuje, odwróciła się do ściany. - No, nie... Co? Nie, nie jestem... Widzisz, były pewne komplikacje z rezerwacją Jacka, więc nocuje tutaj i...

Urwała, a Jack słyszał wyraźnie histeryczny rechot dochodzący ze słuchawki i widział rumieniec rozplywający się po karku Elizabeth. Uśmiechnął się pod nosem. Ona odchrząknęła i zaczęła - szybko mówić:

- Louise, pozwól, dzwonię do ciebie w sprawie służbowej. Chciałabym, żebyś spróbowała wygrzebać wszystko, co możesz, o aktoreczce nazwiskiem Vicky Bellamy i o jej mężu, niejakim Dawsonie Hollandzie. Zdaje się, że od lat objają się po peryferiach świata filmu, a na tym festiwaliku są bożyszcami tłumu.

Jack zaczekał, aż Elizabeth odwiesi słuchawkę.

- Miejmy nadzieję, że uda jej się dowiedzieć czegoś użytecz-



nego. Louise umie dokopać się soczystych kąsków niemal o każdym żyjącym. Już wczoraj powinnam o niej pomyśleć!

- Pomysł jest niezły - przyznał Jack.

- Cóż za wielkoduszna pochwała! Czuję się zaszczycona tym wyróżnieniem.

- A wracając do problemów: omówmy jeszcze raz tamtą kwestię.

- Którą?

- Twojej obecności w Mirror Springs.

Elizabeth oparła się o tył kanapy, dłonie położyła wojowniczo na biodrach i rzuciła mu zajadłe spojrzenie.

- Nawet nie próbuj znowu przekonywać mnie o wyjeździe!

- Elizabeth, mam już dosyć zmartwień. Nie chcę dokładać sobie jeszcze jednego i cały czas myśleć, czy Vicky będzie ciągnąć swoją uroczą kampanię zastraszania, i zastanawiać się, czego jeszcze spróbuje, żeby wypędzić cię z miasta! Może nawet dojść do użycia przemocy. Nie mam zamiaru wystawiać cię na ryzyko.

- Chcesz powiedzieć, że stałam się dodatkowym obciążeniem?

Jack rozpostarł szeroko palce dłoni.

- Od dnia, kiedy cię spotkałem, pełnisz w moim życiu taką właśnie rolę!

- Ale dotychczas jakoś sobie z tym radziłeś? - rzuciła przesłodzonym głosem.

- Dotychczas tak, ale robi się coraz goręcej.

- Cóż, musisz nadal jakoś sobie radzić z faktem mojego istnienia, bo ja nie mam zamiaru rezygnować. Poza tym ty możesz być następny w kolejności. - Spojrzała na niego w nagłym zamysleniu.

- Już widzę, jak Vicky próbuje mnie odstraszyć!

- Niekoniecznie. Jeżeli tak dobrze jej idzie wcielanie się w rolę kobiety fatalnej, mogłaby próbować cię uwieść!

Jack zamrugał i wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

- Ach, i to cię tak martwi?

- Owszem, ty gamoni! To dopiero byłby problem. Gdyby mała Vicky rzuciła na ciebie czar, dopiero sprawy zaczęłyby się komplikować!

- Już to widzę!

W uśmiechu Elizabeth czaiło się wyzwanie.

- Chcesz powiedzieć, że pozostałbyś całkowicie obojętny na zakusy kobiety w rodzaju Vicky Bellamy?

- Masz rację, właśnie to chcę powiedzieć! Nigdy nie byłem ekspertem w żonglowaniu kilkoma kobietami naraz. To trudniejsze, niżby się wydawało. W tej chwili jestem akurat zajęty.

- Masz na myśli mnie?

- Oczywiście! A co, widzisz jakieś inne panie na horyzoncie? Zawahała się.

- Nie.

- Sądziłem, że dostatecznie jasno ci wyjaśniłem, iż przez ostatnie pół roku nie było w moim życiu żadnej innej!

Odwrociła się od niego i wyjrzała w mrok nocy.

- Bo byłeś zajęty ratowaniem Excalibura.

Jack wbił wzrok w szczupłe plecy Elizabeth. Trzymała się nieskazitelnie prosto. Jej dumna postawa przyciągała go jak magnes.

- Nie byłem zbyt zajęty, by nie zorganizować sobie jakiejś podrywki, gdybym tego chciał czy koniecznie potrzebował. Ostatecznie dobry dyrektor umie właściwie uszeregować priorytety!

- Rozumiem.

- A ty? Jak było z tobą?

- Też byłam zajęta - rzuciła zdawkowo. - Dałam się skusić na kilka kolacji, ale głównie chodziło o interesy, to wszystko.

Znowu przypomniały mu się drwiące słowa Haydena: „Równie dobrze mogłeś wskrobać jej imię i nazwisko na ścianie klubowego sracza: »Kto chce się zabawić, niech nie liczy na randkę z Elizabeth, bryłą lodu«”.

Jack przemierzył całą długość salonu. Zatrzymał się tuż za plecami Elizabeth, ale jej nie dotknął.

- Hayden powiedział mi, że to moja wina, że przez te pół roku nie weszłaś w żaden poważniejszy związek.

- Jak to twoja wina?! - Gniew sprawił, że w jej głosie pojawiły się piskliwe tony. - Dobry Boże! Czy ten głupek sądzi, że żywiłam do ciebie przez ten czas nieodwzajemnioną miłość i nie dostrzegałam na świecie nikogo poza tobą?

- Nie, jemu chodziło o coś innego. Uważa, że po tamtej utarczce w Pacific Rim przyklejono ci pewną... etykietkę.

Elizabeth oświadczyła powściągliwie, jak elegancka dama:  
- Myślisz, że zależałoby mi na randkach z facetami, którzy tak łatwo dają się odstraszyć?

Jego ponury nastrój prysł na widok wojowniczo wysuniętego podbródka.

- Nie, oczywiście nie!  
- Posłuchaj, zesłiliśmy z tematu - zauważyła Elizabeth. - Dyskutowaliśmy o Dawsonie i Vicky.

- Ale ja muszę wiedzieć - odpowiedział bez ogródek.  
- Co musisz wiedzieć?  
- Czy moja elokwencja w klubie rzeczywiście położyła się cieniem na twoje życie towarzyskie?

Elizabeth odetchnęła głęboko.  
- Weź się w garść, żeby nie zemdleć! Możesz mi nie uwierzyć, ale było wprost odwrotnie: dwóch czy trzech facetów zadzwoniło z propozycją randki bezpośrednio po tym, jak wszem i wobec oświadczyłeś, że jestem oziębła. Co więcej, nie pozostawili większych wątpliwości, że ich celem jest coś więcej niż przyjacielska pogawędka o tym, jaką stopę procentową ogłosił Bank Federalny...

Jack potrzebował całej siły woli, by zignorować sarkazm w jej głosie. Musnął koniuszkiem palca gładką skórę na obnażonym karku Elizabeth.

- Czemu więc nie chodziłaś na randki?  
- Byłam zajęta. - Powoli, jakby wbrew sobie, odwróciła się do niego twarzą. Nareszcie! Dojrzał w jej oczach żelazne postanowienie. - Jack, wracając do Vicky Bellamy...

Jack wiedział, że więcej od niej nie wyciągnie. Niechętnie opuścił dłonie wzdłuż boków.

- Jeśli zamierzasz mi powiedzieć, że zaraz zaczniesz się pakować i zarezerwujesz bilet do Seattle...

- Nawet o tym nie marz - odparła stanowczo. - Nigdzie nie jadę. Potrzebujesz mnie tutaj.

Spojrzał na nią i poczuł, jak całym sobą koncentruje się tylko na niej, jakby nic innego nie istniało na świecie. Bardzo delikatnie unióś uparty podbródek Elizabeth i szepnął:

- Temu nie zaprzeczam...  
Jej oczy zaszyły mgłą.

- Cóż za ulga. - Nie broniła się przed pocałunkiem.  
Tym razem zdążyli dotrzeć do jego łóżka, zanim ściagnął z niej dżinsy.

Wtedy Elizabeth zasnęła głębokim, spokojnym snem u jego boku, oparł głowę na ramieniu i w ciszę sypialni wypowiedział pytanie, którego wcześniej nie zadał:

- A czy ty mnie potrzebujesz?

Dawson napełnił dwa pękate kieliszki i podał jeden Vicky.

- Pora na kolejny napad twojego prześladowcy!  
- To już chyba nie działa. - Vicky skrzywiła się. - Wszyscy się domyślili, że to sztuczka reklamowa, nawet masażyстка w zakładzie kąpielowym zapytała wprost, czy to czasem nie jest zwykły pic dla naiwnych!

- To twoja wina. Nie starasz się wyglądać na odpowiednio przerażoną jego napaściami!

Vicky obróciła kieliszek w palcach: bursztynowy płyn zafalował.

- Może i moja wina, ale ja już mam tego dosyć! Zastopujmy, przynajmniej do końca festiwalu. Proszę, Dawsonie, to dla mnie taki ważny tydzień. Chcę się cieszyć nim!

Zawahał się i po krótkim namyśle postanowił ustąpić.

- Masz rację. To twoja wielka chwila. Sądzę, że możemy na jakiś czas zawiesić te ataki.

Vicky obdarowała go promiennym uśmiechem.

- Jesteś dla mnie taki dobry, Dawsonie...

Spojrzał na nią z satysfakcją znawcy. Miała na sobie biały peniuar, w którym wyglądała na niewinną pensjonariiszkę szkoły zakonnej. Przemknęło mu przez głowę, że Vicky doskonale poznała jego upodobania: tę grę lubił najbardziej. Do diabła! Jego życie seksualne nie miało już przed nią żadnych tajemnic. Poświęciła dużo wysiłku na to, by gruntownie poznać Dawsona - badała go, jak naukowiec bada ciekawy okaz, dowiedziała się, co sprawia mu przyjemność w łóżku. Mogła być kochanką doskonałą! Tymczasem była wcieloną doskonałością jako żona...

jego żona. Nie było mężczyzny, który by mu nie zazdrościł. Nikt, kto ujrzał Vicky, nie oparł się pożądaniu. Ale Dawson wiedział, że dopóki stać go na zaspokajanie jej zachcianek, pozostanie przy nim. Znowu zadał sobie tamto pytanie: Czemu więc potrzebował innych kobiet? Czego szuka w bezimiennych ciałach bez twarzy, bez wspomnień? Żadna nie umywała się do Vicky. Gdyby opowiedział to psychiatrze, ten z pewnością uznałby, że pacjent ma porządnego świra.

Vicky osunęła się przed nim na kolana. Biała tkanina miękkimi fałdami okrywała apetyczne krągłości, muskając brzegiem czubki jego półbutów. Vicky zerknęła do góry przez gęstwinę rzęs: istna nowicjuszka, klęcząca przed mistrzem wybranym po to, by ją przygotować do wielkiego misterium, przed tym jedynym, który mógł dokonać wtajemniczenia. Czuł, jak raptownie twardnieje, jakby rzucała na niego zakłęcie! Sam nie musiał nawet ruszyć małym palcem, to ona odwalała całą robotę. Była panem, nawet teraz, gdy bawili się w akolitkę i nauczyciela. Ilu mężczyzn zdecydowałoby się popełnić zbrodnię, byle zając jego miejsce?

Oparła koniuszki palców na jego kolanach i rozsunęła je na boki. Poły szlafroka rozchyliły się i opadły, a Vicky pochyliła się naprzód z łakomie otwartymi ustami.

Kilka minut później, balansując na krawędzi otchłani, na mgnienie oka rozwarł powieki i spojrzał w dół, na srebrzysty czubek głowy poruszający się między jego nogami, i nagle uświadomił sobie, że już wie, czemu potrzebuje tych innych kobiet!

Szukał ich, bo chciał się sprawdzić, od czasu do czasu przekonać się, że jego męskość jest jeszcze sprawna, że potrafi odbyć stosunek w tradycyjny, najprostszy sposób. Musiał dowieść samemu sobie, że wciąż jeszcze umie przejąć kontrolę, bo gdy był z Vicky, wiedział, że to ona trzyma ster. Była jak znakomicie wykształcona, niebywale sprawna gejsza; dawała mu wszystko, nie dając jednocześnie nic z siebie samej. Mógł ją posiadać, ale nie mógł się spodziewać, że kiedykolwiek będzie do niego należała - duszą i sercem. Była bardzo przebiegła. Aż do tego stopnia, że trochę się obawiał, czy nie góruje nad nim sprytem. Ostatnio zaczęło go najbardziej prześladować jej niesamowite opanowanie, całkowita, bezgraniczna samokontrola. Nigdy nie

wypiła ani o kieliszek za dużo, nigdy nie zjadła więcej, niż powinna, nigdy tak naprawdę nie dała się porwać zmysłowej rozkoszy seksu. Był prawie przekonany, że jest oziębła. Na ile ją poznał, nie miała innej słabości prócz pragnienia, by grać w filmach, a nawet na tym polu potrafiła określić sobie granice. Owszem, aktorstwo było dla niej ważne, ale nie na tyle, by zechciała poświęcić się bez reszty karierze artystycznej. Być może właśnie dlatego nie odniosła sukcesu w Hollywood?

Nagle oślepiła go naga prawda: ta wspaniała kobieta napawała go czasami szczerym strachem!

Elizabeth stała na chodniku przed witryną niewielkiego sklepiku i udawała, że ogląda kosztowne jubilerskie wyroby ręcznej roboty. Pochyliła się w udawanym zachwycie nad serią unikatowych naszyjników, ale w rzeczywistości nie spuszczała wzroku z niewyraźnego odbicia Vicky Bellamy, która zniknęła właśnie w drzwiach butiku po drugiej stronie ulicy.

Siedzenie okazało się zadaniem nudniejszym, niż Elizabeth myślała. Jakże to się różniło od trzymających w napięciu scen, które oglądała na filmach! A może po prostu Vicky miała dziś szczególnie nudny plan dnia?

Elizabeth nie powinna się skarżyć - sama wpadła na pomysł, by przez cały poranek być nieodłącznym cieniem aktorki, choć Jack ostrzegał, że to strata czasu. Został w domu, by dzwonić do Mila Ingersolla i Larry'ego. Gdy wychodziła, był pograżony w rozmowie z bratem, który przekazywał mu szczegóły ostatnich transakcji Dawsona Hollanda. Spojrzał na nią znad słuchawki, zmarszczył czoło i zakrył mikrofon dłonią.

- Tylko nie rób żadnych głupstw! - powiedział.

Elizabeth skrzywiła się i pomaszerowała do samochodu.

Znalazła Vicky bez większych trudności. Wystarczyło przejrzeć program festiwalu, w którym była notka o jej udziale w dyskusji na warsztatach aktorskich. Elizabeth usiadła i czekała na koniec imprezy, po której Vicky natychmiast udała się na zakupy. Już od godziny krążyły po modnych butikach i sklepach galanterijnych, od których roило się przy głównej ulicy miasteczka. Wszędzie panował ścisk, gdyż uczestnicy festiwalu wypełniali

zakupami przerwę w projekcjach i seminariach, ale Vicky okazała się wymarzonym obiektem dla początkującego detektywa: ubrana w śnieżnobiały golf, białe spodnie o szerokich nogawkach i długi aż do ziemi biały płaszcz, błyszczała jak latarnia morska wśród odmetów czerni i dżinsu. Elizabeth pomyślała, że w zwyczaju Vicky, by do tego stopnia wyróżniać się strojem, musi kryć się coś więcej niż zwykła potrzeba bycia zauważaną. To była niemal obsesja, nieugaszone pragnienie, konieczność wcielania w życie roli aktorki Vicky Bellamy. A może starała się po prostu ułatwić komuś zadanie śledzenia swoich kroków?

Skupiona na Vicky, Elizabeth nie zauważyła obecności silnie zbudowanego, umięśnionego mężczyzny, który zbliżył się do niej bardziej, niżby to dyktowały zasady dobrego wychowania. Podskoczyła dopiero, na dźwięk jego głosu:

- Lizzie? Co za traf! Właśnie miałem szukać cię w tej chacie, w której podobno mieszkasz!

Drgnęła, bo doskonale znała ten głos, i oderwawszy oczy od drzwi, za którymi zniknęła Vicky, przeniosła wzrok na intruza. Westchnęła w duchu. Szwagier zawsze przypominał jej dobrodusznego bernardyna, który łasi się i merda ogonem, by okazać jej przyjaźń. Ten dorosły mężczyzna wciąż miał w sobie jakąś niewinność, dzięki której budził natychmiastową sympatię. Niemal nikt nie oparł się przyjacielskiej naturze i szczerzej, rozczulająco brzydkiej twarzy. Rude włosy i beztroskie niebieskie oczy tworzyły obraz człowieka bezwzględnie uczciwego i szczerego, a Elizabeth wiedziała, że w tym przypadku pozory nie mylą.

W gruncie rzeczy był błyskotliwy i inteligentny, nieustannie tryskał zaskakująco oryginalnymi pomysłami i układał daleko siężne plany, a dla ukoronowania spisu cnót jako małżonek i ojciec dowiódł absolutnej wierności, poświęcenia i miłości rodzinnej.

Elizabeth pomyślała smętnie, że to wielka szkoda, iż poza tym takim nieudacznikiem. Czegokolwiek się tknęła, nieodmiennie wszystko szło mu na opak. To była jego jedyna wada. Wielkie plany rozbijały się o jakiś drobiazg, pomysły rozmywały w oceanie przeszkód. Od czasu gdy ożenił się z siostrą Elizabeth, Roweną, co najmniej dziesięć razy zmienił pracę, trzy razy

próbował otworzyć własny interes i utopił mnóstwo forsy na giełdzie.

Nieudacznik bez dwóch zdań, ale przecież mimo wszystko to rodzina - co automatycznie czyniło z jego nieudacznictwa problem Elizabeth.

Otrząsnęła się z zaskoczenia i z rezygnacją przywitała szwagra:

- Co tu porabiasz, Merrick?

- Tak trudno się domyślić? - Wykrzywił wargi w charakterystycznym dla niego uśmiechu; prawy kącik ust uniósł się nieco wyżej niż lewy, a wokół oczu pojawiła się siateczka zmarszczek. - Przyjechałem do ciebie, Lizzie. A tak nawiasem mówiąc, od kiedy interesujesz się czarnym kryminałem?

- Nie do wiary! Tak po prostu pojechałeś za mną do Mirror Springs?

- Przyjechałem przed chwilą. - Przetarł twarz dłonią. - To cała wyprawa! Pociągami do Denver, a stamtąd wynajętym samochodem po tej przeklętej górskiej drodze. Zamierzałem napić się gdzieś kawy, zanim zacznę się dowiadywać, gdzie szukać adresu, który dostałem. Właśnie wracałem do samochodu, kiedy cię spotrzeżłem!

Zacisnęła w pięści dłońi ukryte w kieszeniach płaszcza.

- A skąd właściwie masz mój adres?

- Zadzwoń do Louise. To ona mi go dała.

- Już ja z nią pogadam!

- Co jest grane, Lizzie? - Merrick przechylił głowę na ramię, - Od miesiąca unikasz mnie jak trędowatego, nie odpowiadasz na telefony, a kiedy przyjeżdżam do Seattle, dowiaduję się, że pojechałeś na jakiś zakichany festiwal filmowy! W dodatku słyszałem, że towarzyszy ci tutaj jakiś Jack Fairfax?

Elizabeth wybrała z zalewu pytań najprostsze.

- Tak, jestem tu z Jackiem Fairfaksem.

Merrick ściągnął rudawe brwi.

- Nie wiedziałem, że zaczęłaś się z kimś spotykać.

- Ostatnio niewiele ze sobą rozmawialiśmy, Merricku. Byliśmy zbyt zajęci, pamiętasz?

- Kim jest ten gość?

- Fairfax? Między innymi zarządza firmą Excalibur - Zaawan-

sowana Technologia Materiałowa. Fundacja Aurory zainwestowała sporo pieniędzy w tę spółkę.

Merrick szeroko otworzył oczy.

- Sypiasz z klientem?

Elizabeth zgrzytnęła zębami.

- Nie nazywaj tego „sypianiem z klientem”, to takie tanie!

- O rany! Przepraszam, Lizzie. Chodzi o to, że raczej nie gustowałaś w tego rodzaju romansach. To dla mnie pewien szok, kiedy się dowiaduję, że... hm... zabawiasz się z klientem.

- To właściwie nie jest klient. Technicznie rzecz biorąc, można go tak nazwać, ale... - chcąc ukryć zakłopotanie, wojowniczo uniosła podbródek - wolę myśleć o nim jako o współniku w interesach.

- Oczywiście, jasne! Nazywaj go, jak chcesz. Ale o co w tym wszystkim chodzi? Czy to poważne? Rowena nie da mi spokoju! Wiesz, że zarzucił mnie tysiącem pytań, kiedy jej powiem.

- Merrick, odpuść wreszcie, nie chcę o tym rozmawiać. Ostatecznie moje życie osobiste to wyłącznie moja sprawa! Powiedz lepiej, czego ode mnie chcesz, i będziesz mógł wracać.

Przybrał wyraz twarzy człowieka niesłusznie skrzywdzonego.

- Mówisz tak, jakbym przychodził do ciebie tylko wtedy, gdy czegoś od ciebie chcę!

- Jakoś tak się składa, że nasze pogaduszki najczęściej zdarzają się w okresie, gdy szukasz sponsora dla kolejnego wystrzałowego pomysłu.

- To wcale nie jest tak, i dobrze o tym wiesz! - zapewnił ją żarliwie. - Jesteśmy rodziną, Lizzie!

- Wiem, wiem. - Uśmiechnęła się pobłaźliwie, bo Merrick miał w zasadzie rację: byli rodziną. - Dobra, o co chodzi tym razem? Muszę cię uprzedzić, że już ani centa nie wyłożę na wydobycie zmrożonych uwodnionych związków metanowych czy jak tam... Byle krowa produkuje metan dużo taniej zadem niż twoi geniusze technologii odwiertów na dnie oceanu!

W oczach Merricka pojawił się znajomy błysk entuzjazmu.

- To paliwo przyszłości, Lizzie, olbrzymie zasoby gazu palnego. Firma, w którą zainwestowałem, ciut za bardzo wyprzedziła obecny poziom rozwoju technologicznego. Zobaczysz.

górze za pięć lat znajdzie się ktoś, kto zmodyfikuje odwierłową metodę wydobycia tak, by stała się w pełni opłacalna!

- Chyba poczekam te kilka lat!

- Ale to nie z tego powodu namierzyłem cię w tej dziurze. Chciałbym pogadać o moim pomysle, dotyczącym zabezpieczeń przeciw włamaniowym komputerów. To rewolucyjne podejście, całkowicie się różni od dotychczasowych. System mechaniczny, zamiast opartego na elektronice, rozumiesz? Co więcej, idealnie pasuje do nowej technologii światłowodowej!

- Chwileczkę. Merrick. - Elizabeth wspięła się na palce, usiłując zapuścić żurawia nad masywnym ramieniem szwagra. - Zastaniasz mi!

Vicky właśnie pojawiła się w drzwiach butiku. Promienie słoneczne odbiły się świetlnym refleksem w ciemnych szklach jej okularów. Aktorka wykręciła się na pięcie i podeszła do białego porsche, zaparkowanego przy krawężniku. Tymczasem Merrick, niezrażony, tłumaczył dalej:

- Tym razem opracowałem kosztorys i obgadałem pomysł z paroma gośćmi z branży komputerowej. Ich zdaniem, jest obiecujący. Oczywiście potrzebuję wsparcia...

- Merrick, posłuchaj: w tej chwili jestem trochę zajęta.

- Wyłożę kawę na ławę! - Wyprostował się brawurowo, jakby zdecydował się rzucić wszystko na jedną szalę. - Oboje wiemy, że w przeszłości niespecjalnie mi się udawało, więc nigdzie indziej nie znajdę sponsora. Jesteś moją jedyną szansą.

- No, tak... - Elizabeth zrobiła ruch, jakby chciała wyminąć szwagra. - Zadzwoni, kiedy wrócę do Seattle, dobrze?

Kilkanaście metrów dalej Vicky wsiadła do lśniącego kabrioletu. Samochód oderwał się od krawężnika.

- Cholera jasna! - zakłęta pod nosem.

Zaskoczony Merrick podniósł brwi.

- Coś nie tak, Lizzie?

Przez chwilę rozważała, czy nie wrócić do samochodu, który zaparkowała w bocznej uliczce, i nie kontynuować szpiegowskiej roboty, ale uznała, że nie ma to większego sensu. Vicky wracała prawdopodobnie do domu. Cóż, na tym kończy się moja kariera prywatnego detektywa - pomyślała Elizabeth z niejakim roz-

czarowaniem i ze zrezygnowanym wyrazem twarzy zwróciła się do Merricka, który czekał cierpliwie.

- No, dobrze, usiądźmy gdzieś i pogadajmy.

Na obliczu szwagra zaszła cudowna przemiana: w okamgnieniu zalała je ulga, jak gąbka zmazując wyraz zatroskania. Merrick ponownie wyglądał jak kipiący entuzjazmem, niepoprawny optymistą. Szedł u jej boku sprężystym, energicznym krokiem. Elizabeth westchnęła w duchu. Jak dobrze znała to spojrzenie! Szwagier znowu nie dopuszczał do siebie możliwości, że cokolwiek mogłoby się nie udać. Znowu zdobył jej poparcie i pieniądze z Fundacji Aurory pozwolą mu ścigać kolejną bańkę mydlaną odwiecznego marzyciela.

- Tym razem fundusze, jakich mi potrzeba, są bardzo skromne - ćwierkał. - Zalążek kapitału zakładowego, żeby zainteresować potencjalnych inwestorów. Sama wiesz, jak to jest: forsa przyciąga forszę. Gdy ludzie się dowiedzą, że Fundacja Aurory wspiera projekt, zlecą się jak muchy do miodu. Będą błagać o pakiet udziałów! Pomysł jest genialny, więc mogę zagwarantować zwrot wyłożonych pieniędzy... po jakimś czasie, bo trochę go potrzeba na rozkręcenie interesu.

- Tak samo mówiłeś zeszłym razem!

- Wiem, ale teraz mi się uda, Lizzie. Czuję to w kościach!

- I to mówiłeś ostatnim razem - powtórzyła, ale tak, by nie usłyszał.

Kiedy na maskę samochodu padł cień męskiej sylwetki, Merrick podniósł wzrok i zmarszczył czoło.

- Czy my się znamy?

- Hayden Shaw - przedstawił się mężczyzna z uśmiechem. - Widziałem, że rozmawiał pan z Elizabeth Cabot.

Merrick zdjął dłoń z klamki i zaskoczony, odwrócił się twarzą do człowieka, który go zaczepił, gdy szedł do odjazdu z Mirror Springs.

- Zna pan Lizzie?

- Jestem z Seattle i obracam się w kręgach biznesu. Należymy do tego samego klubu. Pan też jest jej znajomym?

- Szwagrem. Ożeniłem się z Roweną, jej siostrą. - Merrick wyciągnął rękę. - Nazywam się Grenville.

Hayden potrząsnął jego dłonią, uśmiechając się coraz szerzej.

- Cóż za zbieg okoliczności! Pan też przyjechał na festiwal?

- Ten zlot filmowców? - Merrick skrzywił się sardonicznie. - Nie, wpadłem na chwilę, żeby pogadać z Lizzie. Wieczorem muszę już być z powrotem w Phoenix.

- Może daruje mi pan kwadransik? Postawię panu kawę na drogę.

- Dzięki, ale naprawdę się spieszę. Do lotniska jest szmat drogi.

- To nie potrwa długo - napierał Hayden, kładąc rękę na ramieniu rozmówcy. - Mam wrażenie, że to, co mam panu do powiedzenia, może pana zainteresować.

- A co to takiego?

- Coś, co dotyczy pańskiej szwagierki i jej stosunków z Jackiem Fairfaksem.

Merrick uniósł niepewnie brwi.

- Jego też pan zna?

- O tak, i to doskonale! Zdaje się, że i pan powinien dowiedzieć się o nim tego i owego.

## Rozdział osiemnasty

Jack dostrzegł Elizabeth, gdy tylko pojawiła się na progu restauracji. Ze zmarszczonym czołem sprawdził godzinę na zegarku; czekał już od dwudziestu minut, a przecież ona nigdy się nie spóźniała. Prawie nigdy.

- Co się stało? - Wstał, by pomóc jej zdjąć płaszcz. - Zgubiłaś się, latając za Vicky Bellamy po całym mieście?

- Cii... - Elizabeth skarciła go wymownym gestem i wsunęła się na kanapę po drugiej stronie stołu. - Na litość boską, mów trochę ciszej!

- Przepraszam.

- Według ciebie tracę czas, depcząc jej po piętach, tak?

- Owszem. Więcej dowiem się od Larry'ego niż z twoich detektywistycznych wprawek. Czemuż to więc przychodzisz spóźniona?

- Nie z powodu Vicky. Ni stąd, ni zowąd na ulicy zaczepił mnie mój szwagier, Merrick.

Merrick Grenville, szwagier, który stracił pracę podczas przejęcia Gallowaya przez Morgana! Diabli nadali! Zasepony Jack pomyślał, że akurat bez tej komplikacji mógłby się obejść, szczególnie teraz.

- Przyjechał aż tutaj tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć? - Ostrożnie próbował wybadać grunt.

- Raczej pogadać o interesach! - Elizabeth otworzyła kartę dań raptownym gestem, zdradzającym rozdrażnienie. - Półtorej godziny mnie męczył. Odjechał przed kilkoma minutami. Spieszył się na samolot.

- Czego chciał?

Zacisnęła wargi i wbiła wzrok w menu.

- Rodzinne sprawy. Nic, co by cię mogło zainteresować.

- Innymi słowy przyjechał po szmal.

- Już ci mówiłam, że to rodzinne sprawy - ucięła.

Jack wyciągnął rękę przez stół i wyjął kartę dań z dłoni Elizabeth. Musiał się z nią mocować, bo mocno zaciskała palce na tekturowej oprawce obciągniętej skórą. Kiedy wreszcie puściła i spojrzała mu w oczy, zobaczył mieszaninę emocji, które nie przypadły mu do gustu.

- Mówiłaś mu o mnie? - zapytał prosto z mostu.

- Owszem, wie, że mieszkasz u mnie.

- Nie zwódź mnie, Elizabeth! Czy powiedziałaś mu, że to ja byłem konsultantem odpowiedzialnym za przejęcie Gallowaya?

Teraz ona sięgnęła przez stół i stanowczo odebrała Jackowi menu.

- Jakoś się nie złożyło. - Pochyliła się nad spisem przystawek z taką powagą, jakby pośród nich ukryte było boskie objawienie.

- To znaczy, że mu nie powiedziałaś. Nie wie, że spiasz z człowiekiem, który zniszczył Gallowaya.

Nie podniosła głowy nad karty.

- Nie sądziłam, by to go mogło w jakikolwiek sposób dotyczyć...

- Dlaczego nie powiedziałaś mu o mnie?

- Wezmę chyba sałatkę, jakoś straciłam apetyt.

Jack pochylił się nad stołem.

- Dlaczego nie powiedziałaś mu o mnie?

- Ponieważ wiedziałam, że to by go wytrąciło z równowagi,

a nie byłam w odpowiednim nastroju do rodzinnej sceny, jasne? Czy teraz możemy zmienić temat? Czy Larry trafił na coś interesującego?

- Boisz się powiedzieć szwagrowi prawdę o nas? Myślisz, że zaczniesz cię przekonywać, że usiłuję cię wykorzystać.

Gniew, który zapłonął w oczach Elizabeth, stopił lodowaty chłód jej wyniosłości.

- Już ci mówiłam, żebyś zmienił temat!

- Zamierzasz trzymać nasz związek w tajemnicy przed rodziną? Uważasz, że długo ci się to będzie udawać?

- Nie powiedziałabym, aby nas łączył aż „związek”.

- A jak byś to nazwała?

Szmaragdowe oczy zwięziły się w szparki.

- Na obecnym etapie można by chyba zaklasyfikować nasze stosunki jako „przygodę na delegacji”.

- Ach, tak? - Teraz Jack poczuł przesywające ukłucie gniewu. - Zdefiniuj, proszę, tę „przygodę na delegacji”!

- Ojku! W zasadzie nie różni się od innych przelotnych przygód. Ma ograniczony zarówno czas trwania, jak i zasięg uczuciowy.

- Więc według ciebie to, co jest między nami, wypali się, zanim staniesz przed koniecznością udzielenia rodzinie wyjaśnień? Tak wygląda twój wielki plan?

- Słuchaj, nie traćmy czasu na bzdety - przerwała, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. - Oboje mamy coś ważniejszego na głowie, prawda? Czego dowiedziałeś się od Larry'ego?

Jack miał ochotę dążyć dalej, doprowadzić Elizabeth do przyznania, że łączy ich więź uczuć, których nie osłabi upływ czasu. Chciał ją zmusić, by powiedziała o nim swojej rodzinie, ale wystarczyło jedno spojrzenie w uparte oczy i już wiedział, że przynajmniej dziś niczego nie zwojuje. Poza tym do stolika zbliżał się właśnie kelner, więc Jack usiadł wygodniej, nabrał głęboko powietrza i skupił myśli na problemie zaginionego kryształku. Kiedy kelner odszedł, spojrzał prosto w oczy Elizabeth:

- Larry dokopał się kilku zakulisowych informacji o interesach Hollanda. W przeszłości miewał zarówno upadki, jak i sukcesy, ale taka huśtawka to w przypadku prawdziwego rekina biznesu

nic niezwykłego, raczej normalny przebieg kariery. Najciekawsza nowina to wiadomość o ogromnych stratach, jakie pan Holland poniósł w zeszłym roku. Zaangażował się na całego w międzynarodowym funduszu gwarancyjnym, który zrobił generalną plajtę.

Elizabeth zamyśliła się.

- Rzeczywiście ciekawe. Czyżby zamierzał posłużyć się Soczewką dla odzyskania pozycji?

- Niewykluczone. Ale musiałyby wywieźć kryształ z kraju. - Jack sięgnął po kromkę chleba czosnkowego z koszyczka, który przyniósł kelner, gdy przyjmował zamówienie.

- Po Tylerze Page'u ani śladu, jak mniemam?

- Niestety. Ten nędzny robak jakby się zapadł pod ziemię!

Kelner wrócił z sałatką nicejską, na którą zdecydowała się Elizabeth, i z porcją wędzonego łososia dla jej towarzysza. Jack połykał właśnie pierwszy kęs smakowitej ryby, gdy spostrzegł, że twarz Elizabeth wpatrzonej w jakiś obiekt za jego plecami tężeje, a usta rozchylają się w bezgłośnym okrzyku. Odłożył widelec i sam zastygł w pełnym niepokoju napięciu.

- Co tam widzisz? Czy to Page?

- Nie, ja... - Urwała. - Poczekaj, Jack! Nie wstawaj...

Ale było już za późno, bo właśnie odwracał się do sali... i trafił na pięść szybującą w kierunku jego twarzy. Miał zaledwie pół sekundy na reakcję, ale zdążył się nieco uchylić, więc pięść osunęła się bokiem po szczęce i wylądowała koło szyi. Szybki ruch sprawił jednak, że Jack stracił równowagę, zatoczył się na bok i mocno uderzył o przepierzenie łóża.

- Merrick! - Głos Elizabeth zdradzał zarówno wściekłość, jak oszołomienie. - Co ty wyprawiasz, u licha?!

A więc znała napastnika. Cudownie! Instykt podpowiedział Jaskowi, by zaniechać czynnej obrony. Wyszedłby tylko na agresora, a kobiety nie przepadają za mściwymi i gwałtownymi osobnikami. Wyciągnął rękę i przesadnie niezdarnie próbował chwycić się oparcia, by ustać na nogach. W sali zapadła brzemienista cisza. Wszystkie oczy skierowały się na ich stół.

Wspaniale! Kolejna knajpa, kolejna rozróbka. Jack miał przeczuć, że Elizabeth i tym razem będzie przypisywać całą winę jemu, choć nie kiwnął nawet palcem, by oddać cios i wziąć



odwet za ten niczym nie sprowokowany atak. Obrzucił szybkim spojrzeniem umięśnionego rudzielca, którego twarz płonąła rumieńcem gniewu. Napastnik oddychał ciężko i wciąż zaciskał pięści. Spojrzenie Jacka wybiegło poza plecy przybysza ku wejściu do restauracji, gdzie tkwił Hayden. Ich oczy spotkały się. Przyrodni brat posłał mu lodowaty uśmiezek i wystawił palec w obelżywym geście, po czym odwrócił się i wyszedł na ulicę.

- Co pan, u diabła, wyprawia z moją szwagierką? - Głos Merricka aż drżał ze wzburzenia. Jack delikatnie obmacał szczękę, rozważając i odrzucając, jedną po drugiej, kolejne wersje odpowiedzi:

- Jak to się dziwnie składa, że zadał pan to pytanie. Właśnie próbowałem namówić Elizabeth, żeby przedstawiła mnie rodzinie.

- Już zdążyłem się dość o panu dowiedzieć, Fairfax! To pan był tym łajdakiem, który rozłożył Gallowaya!

Elizabeth poderwała się na nogi.

- Merrick, proszę cię... zamilcz.

- Lizzie, czy wiesz, z kim się zadajesz?

- Wiem, kim jest Jack Fairfax! - wydusiła z trudem. - Słuchaj, jesteśmy w zatłoczonej restauracji i wszyscy się na nas gapią. Nie chcę słyszeć ani słowa więcej od żadnego z was. Jasne?

- Dla mnie jak najbardziej - zgodził się Jack.

Merrick mocno zacisnął wargi i przewiercał go czujnym spojrzeniem, jakby miał przed sobą jadowitego węża, który lada chwila może skoczyć do ataku. Jack przesunął językiem po zębach, ale wszystkie wydawały się całe i nie poczuł smaku krwi w ustach. Jednak miał tego dnia szczęście!

Elizabeth wyjęła z torebki garść pieniędzy, położyła je na stół, zarzuciła pasek na ramię i obdarzyła obu mężczyzn ostrzegawczym spojrzeniem:

- Teraz pójdziecie za mną, nie odzywając się ani słowem, póki stąd nie wyjdziemy! - Nie oglądając się za siebie, podażyła do drzwi.

Jack zerknął na jej szwagra.

- Pan pierwszy...

Po długiej chwili wahania Merrick odwrócił się niezgrabnie i podreptał za szwagierką, która parła do przodu jak statek pod

pełnymi żaglami. Wszystkie głowy odwracały się za ich trójką. Elizabeth i Merrick wyszli za drzwi bez jednego spojrzenia w stronę hostessy, która wytrwała na posterunku, zasłaniając się plikiem oprawnych w skórę jądłospisów, jakby trzymała przy piersi Biblię, chroniącą ją przed napaścią wampirów i demonów. Jack zlitował się nad biedaczką.

- Nie martw się, panienko, to u nas rodzinne! - rzekł mijając wystraszoną dziewczynę. - Po jakimś czasie można się do tego przyzwyczać!

Zamykając za sobą drzwi, ujrzał Elizabeth i jej szwagra pogrążonych w ożywionym, acz prowadzonym przyciszonymi głosami dialogu, którego końcówkę udało mu się jednak uchwycić. Merrick, z trudem panując nad wzburzeniem, tłumaczył:

- Shaw wszystko mi opowiedział: jak Fairfax użył niecznych sztuczek, właściwie uwiódł cię, by uzyskać kontrakt wspierający Excalibura, a potem znieważył cię w obliczu połowy Seattle!

- Z tą połową to lekka przesada - wtrąciła martwym głosem Elizabeth.

Jack zerknął na twarz bez wyrazu.

- Jeżeli w ten sposób wyobrazasz sobie wyjaśnianie tego, co między nami zaszło, to może lepiej ja się za to wezmę?

Kiedy zwrócili ku niemu płonące wrogością oczy, westchnął.

- Elizabeth, wracaj lepiej do domu, a ja i twój szwagier przejdziemy się nad rzeką i obgadamy sprawę.

- Nie ma mowy - sprzeciwiła się stanowczo. - Nie zostawię was samych. Nie mam zamiaru tolerować kolejnych idiotycznych występów „prawdziwych mężczyzn”, którzy demonstrowują swoją siłę jak goryle bębniące się po włochatej piersi i z byle przyczyny młóć na oslepię pięściami!

- Cóż za chwalebne umiłowanie pokoju. Osobliwe w ustach damy, która w obecności niemal połowy Seattle wylała mi na głowę cały dzbanek wody z lodem i nazwała mnie sukinsynem i padalcem wysysającym cudze jaja - zakpił.

Elizabeth spojrzała na niego z furją.

- Powtarzam, że za żadną cenę nie zostawię was samych!

- Elizabeth, słowo ci daję, że się nie pozabijamy, więc wskakuj! - Otworzył przed nią drzwi samochodu.

- Nie mam najmniejszego zamiaru.

- Twój szwagier i ja musimy pogadać w cztery oczy - wyjaśniał Jack cierpliwie. - Twoje towarzystwo utrudni nam tylko porozumienie.

Dojrzał w jej twarzy pierwsze oznaki niepewności. Zerknęła spod rzęs na Merricka, słuchającego ich sprzeczki z kamienną twarzą. Szwagier nie odezwał się ani słowem.

- Wciąż nie sędzę, by to było rozsądne.

- Zaufaj mi - poprosił Jack łagodnie.

Jeszcze chwilę się wahała, lecz w końcu usiadła za kierownicą, wyjęła okulary przeciwsłoneczne, włożyła je i siedziała bez ruchu, patrząc na niego ze zmarszczonym czołem.

Jack pochylił się nad nią.

- Jedź ostrożnie! Jesteś trochę wzburzona, więc pamiętaj, żeby zwracać szczególną uwagę na drogę, dobrze?

- Jestem absolutnie zdolna bezbłędnie prowadzić samochód!

- Cieszę się, że tak mówisz. ~ Zatrzasnął drzwi i się cofnął.

Elizabeth wsunęła kluczyk do stacyjki i nacisnęła pedał gazu. Samochód skoczył do przodu, w powietrzu rozszedł się smród palonej gumy opon. Jack przeniósł spojrzenie na Merricka.

- Cóż, chodźmy się przejść!

Rzuciła kluczyki na stolik w przedsiönku i zatrzasnęła za sobą drzwi. Ostatkiem sił powstrzymywała się, by nie wrzeszczeć z bezsilnej wściekłości. Co jeszcze mogło pokrzyżować im szyki?

Wpadła do kuchni jak burza, złapała czajnik i odkręciła kran. Czyżby wszystkie nieczyste siły zmówiły się, by w poszukiwaniach kryształu nie opuszczały ich pech? A może złośliwość losu dotyczyła tylko wzajemnych stosunków jej i Jacka? Wychodziło na to samo! Nie zbliżała się ani na krok do celu, jakim było odszukanie Tylera Page'a i odzyskanie kryształu. Ani do tego drugiego: znalezienia odpowiedzi na wątpliwości i pytania dotyczące romansu z Jackiem.

Czemu Merrick wybrał akurat ten 'ydzień, by ją nachodzić, prosząc o pieniądze? Musiała przyznać, że sama jest temu winna. Powinna była odpowiedzieć na jego te efony, zanim wyjechała z Seattle. Jęknęła z bezsilnej złości i postawiła czajnik na palniku. Ciocia Sybil powiedziałaaby jej, że dostała słuszną karę za unikanie problemu!

Właśnie nalewała wrzątek do czajniczka z zieloną herbatą, gdy zadzwonił telefon. Wolną ręką sięgnęła do słuchawki apaialu zainstalowanego na ścianie kuchni.

- Słucham?

- Chciałbym rozmawiać z Jackiem Fairfaksem. - Męski głos był nagły, choć przyciszony. - Proszę mu powiedzieć, że to bardzo ważne.

Słyszała niewyraźne głosy w tle - jakby ścieżki dźwiękowej filmu wyświetlanego w tym samym pomieszczeniu.

- Kto mówi?

- Proszę go po prostu zawałać do telefonu, dobrze? Muszę z nim rozmawiać! Chodzi o pewien interes, jasne?

Tknęła ją intuicja.

- Czy mówię z Leonardem Ledgerem?

Odpowiedziała jej krótka cisza.

- Muszę rozmawiać z Jackiem Fairfaksem!

- Nie ma go tu w tej chwili. Może coś przekazać?

- Nie. Muszę rozmawiać z nim osobiście. Spróbuję zadzwonić na komórkę.

- Zdaje się, że słyszę silnik jego samochodu na podjeździe! Może pan chwilkę zaczekać, panie Ledger?

- Oczywiście, zaczekam - odpowiedział automatycznie.

Uśmiechnęła się pod nosem. Jakże przebiegle potwierdziła jego tożsamość! Kto mówi, że nie umiałyby poradzić sobie w roli prywatnego detektywa?

- Przykro mi, panie Ledger... okazuje się, że to nie jego samochód.

- Cholera! Trudno, spróbuję zadzwonić na komórkę...

Odłożył gwałtownie słuchawkę. Elizabeth poszła w jego ślady, acz nieco łagodniej. Przez długą chwilę medytowała, wpatrzona w czajniczek, w którym parzyła się herbata. Kiedy wydało jej się, że upłynęło dość czasu na rozmowę Ledgera z Jackiem, nalała sobie filiżankę aromatycznego płynu i sięgnęła po telefon, ale zanim zdążyła podnieść słuchawkę, ponownie rozległ się brzęczyk. Spodziewała się usłyszeć głos Jacka.

- Halo! - rzuciła.

- Przepraszam za tę scenę w restauracji - odezwał się spokoj-

nym tonem Hayden Shaw. - Chciałem ci tylko powiedzieć, że nie było w tym niczego osobistego.

- Niczego osobistego? - Niemal zapiała z wściekłości. - To było osobiste w stu procentach! Co właściwie zaszło między tobą i Jackiem? Nie jesteś głupcem i nie wierzę, że zechcesz rujnować sobie życie dla jakiejś idiotycznej wendety!

- Nie rozumiałabyś...

- Owszem! - Cisnęła słuchawkę na widełki.

aw powiedział mi, co pan zrobił Lizzie. - Merrick stał na brzegu rzeki, wpatrzony w rwący nurt. - Jak ją pan okłamał, żeby położyć łapę na forsie Fundacji dla ratowania Excalibura. Uwiódł ją pan, żeby zdobyć to, co było panu potrzebne! Potem ją pan upokorzył... zniesławił! Powinienem zbić pana na kwaśne jabłko.

- Nie okłamałem jej, a to, co zaszło między nami pół roku temu, nie nazwałbym uwiedzeniem. To był początek poważnego związku.

Merrick rzucił mu spojrzenie na pół gniewne, na poły niedowierzające.

- Poważnego związku!

- Przyznaję, że czasami się między nami nie układa, ale mimo wszystko wciąż jesteśmy razem. - Jack pomyślał o comiesięcznych zebraniach rady nadzorczej. - Widujemy się regularnie.

- Gówno prawda! Pan ją wykorzystuje, posługuje się nią! Ona nie weszła w żaden poważny związek od czasu, gdy zerwała z Garthem Gallowayem!

- Garth Gailoway, syn Camille? Mówi pan o byłym kierowniku działu finansowego Gallowaya?

- No, tak. Elizabeth była z nim zaręczona. - Merrick wepchnął dłoń w kieszenie palta.

- Zaręczona... z synem Camille Gailoway! - Jack pomyślał, że chyba naprawdę tkwi w sidłach ponurego przekleństwa losu. Za każdym razem, gdy gratulował sobie, że poczynił choćby nieznacznym postęp, na drodze stawała mu kolejna przeszkoda. - No, tak... wszystko się zgadza.

Na twarzy Merricka pojawił się grymas podejrzliwości.

- Co takiego?

- Nie, nic... Dlaczego z nim zerwała?

Rudzielec westchnął ciężko.

- Rozповідаła dokoła, że ich związek rozpadł się w wyniku napięć, jakie oboje przeżywali w czasie przejścia firmy. Do pewnego stopnia była to prawda. Kiedy pan unicestwił ich przedsiębiorstwo, Camille zaczęła winić Gartha, że nie zadbał odpowiednio o finansowe zabezpieczenie firmy, a on zrzucił winę za to niedopatrzenie na wszystkich dokoła. Wpadał w gniew, potem w depresję, wreszcie zaczął sypiać z kim popadnie, no i...

- Rozumiem! - Jack wbił wzrok w rozpedzone fale. - Nie wiedziałem, że Garth Gailoway był zaręczony z Elizabeth.

Merrick spojrzał na niego z pogardą.

- A gdyby pan wiedział, postąpiłby pan inaczej?

Jack zawahał się, pomyślał o Larrym i pokręcił głową:

- Nie.

- Tak przypuszczałem. Wreszcie Elizabeth rzuciła Garthowi w twarz jego niewierność i zerwała zaręczyny. Wtedy jej powiedział, że był z nią tylko na prośby matki, Camille chciała pozyskać Fundację Aurory jako rodzinny interes. Sądziła, że w ten sposób zapewni swojej firmie trwałe zaplecze finansowe, taki materacyk na wypadek niefortunnego lądowania!

Jack poczuł mdłości.

- Innymi słowy Gailoway chciał ją poślubić dla pieniędzy!

- Chciał ją wykorzystać - wyrąbał Merrick dosadnie. - Tak jak pan. Ale jedno muszę przyznać Garthowi: nie upokorzył Elizabeth publicznie.

- Czy sądzi pan, że go kochała?

- Na pewno! - Merrick ściągnął brwi. - Przecież była z nim zaręczona...?

„ - Skoro pan tak twierdzi...

- Oczywiście, że go kochała! - Rudzielec zadrzał z chłodu i otulił się paltem. - Po jakimś czasie odzyskała równowagę, ale długo to trwało i wiele wycierpiała, zanim o nim zapomniała. I wtedy pan pojawił się w jej życiu i znowu wywrócił je do góry nogami!

- Proszę mi wierzyć, że przychodząc do niej pół roku temu, nie miałem takiego zamiaru!

Merrick nie rozchmurzy! się. Wciąż wbijał w Jacka mroczne oskarżycielskie oczy.

- Więc jak w końcu wyglądają sprawy między wami?
- Sam od pół roku próbuję odpowiedzieć na to pytanie!
- Z jakim skutkiem?
- Zerowym.
- Pozwoli pan, że rzucę trochę światła na kontekst? To zresztą

nie jest trudne: potrzebuje pan finansowego wsparcia Fundacji Aurory, żeby utrzymać Excalibura na powierzchni, więc sypia pan z kobietą, która podpisuje czeki. A co się stanie, gdy już nie będzie pan potrzebował jej konta?

- Nie mam pojęcia - przyznał Jack. Co będzie, gdy pęknie ta wąta nić zależności w interesach, która ich dotychczas łączyła?

- Nie pojmuję! To wszystko nie trzyma się kupy. - Merrick przewiercał go wzrokiem, w którym pojawiły się pierwsze oznaki konsternacji. - Tu dzieje się coś jeszcze. Co?

- Nic, co by pana mogło obchodzić.
- Akurat! Elizabeth należy do rodziny. Mam prawo wiedzieć.

W kieszeni marynarki Jacka zabrzączał telefon komórkowy. Błogosławiąc postępy w telekomunikacji, dzięki którym mógł przerwać niewygodną rozmowę, Jack wyciągnął miniaturowy aparat.

- Mówi Fairfax.

- Tu Leonard Ledger. Ten facet, którego pan szuka... Tyler Page?

Jack znieruchomiał.

- Zamieniam się w słuch.
- Zdaje się, że go namierzyłem.
- Gdzie?

- Nie mogę teraz mówić. Proszę przyjść wieczorem do mnie do hotelu, dobrze? Około wpół do dwunastej. Muszę przedtem pójść na kilka projekcji, a po ostatniej mam spotkanie z pewnymi osobami... potencjalnymi inwestorami. Muszę z nimi wypić kilka drinków.

- Ledger, niech pan słucha: jeśli spodziewa się pan, że wysupłam gotówkę na pana artystyczne projekty, to radzę od razu mówić, co pan wie.

- Nie uprzedził mnie pan, że ten gość jest w kłopotach! -

zaskomlą Leonard ze skargą w głosie. - Nie chcę się narazić wpływowym ludziom, pojmuje pan? Muszę bardzo ostrożnie lawirować... bardzo, bardzo ostrożnie...

- Ledger, niech pan posłucha...

- Pokój trzysta pięć w The Mirror Springs Resort. O jedenastej trzydzieści. Niech pan sobie nie robi kłopotu wcześniej, bo mnie tam nie będzie.

Połącznie zostało przerwane.

Merrick przecesał palcami włosy i z ukosa popatrzył na Jacka, zajętego w kuchni parzeniem kawy.

- Nie podoba mi się to wszystko, Lizzie, nie bardzo mi w smak zostawiać cię samą z tym typkim.

Jack nawet nie podniósł głowy znad ekspresu. Elizabeth zebrała resztki cierpliwości i posłała szwagrowi poczekający uśmiech.

- Nie martw się o mnie. Sama potrafię o siebie zadbać!

Jack, słysząc ten komentarz, przerwał na chwilę czynności gospodarskie i zwrócił się wprost do Merricka.

- Radzę ci, żebyś jej posłuchał. Jest dorosła, inteligentna i zna życie. Wie, co robi. W dodatku jest niebywale uparta, więc i tak jej nie przekonasz! Uwierz mi...

Merrick znowu użył palców zamiast grzebienia.

- W tym wszystkim kryje się coś dziwnego. Coś... sztucznego.

- Czy jeśli powiemy ci prawdę, dasz słowo, że dochowasz sekretu? - spytała go szwagierka.

Jack rzucił jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Elizabeth...

- Spokojnie, Jack. Zaufałam ci, kiedy poprosiłeś o rozmowę z Merrickiem w cztery oczy. Teraz twoja kolej na okazanie zaufania.

Zamilkł, choć nie wyglądał na przekonanego. Merrick odwrócił się do Elizabeth zaniepokojony.

- Wiedziałem, że coś tu nie gra! Co?

- A jak myślisz? - Skrzywiła się z niesmakiem. - Oczywiście interesy. Cóż by innego?

Twarz Merricka pojaśniała, a w głosie zabrzmiała wyraźna ulga.

- Teraz zaczynam kapować. Wiedziałem, że jesteś za sprytna, żeby dać się nabrać kolejnemu czubkowi!

Elizabeth starannie unikała oczu Jacka.

- Doceniam twoją wiarę w moją mądrość, Merrick.

- Ale co to za interes, za którym trzeba gonić aż do Minor Springs? Nie mów, że to ma coś wspólnego z tym festiwalem filmowym!

- Nie bezpośrednio - odrzekła wymijająco. - Chcemy ubić interes z kimś, kto bierze udział w pokazie, więc postanowił spędzić tu ten tydzień. A ponieważ my chcemy go spotkać na neutralnym gruncie, stwierdziliśmy, że też weźmiemy udział w całej imprezie.

Merrick zmarszczył czoło w zamyśleniu.

- Aha. Ale jeśli chodzi wyłącznie o interesy, dlaczego Shaw nagadał mi banialuko w, jak to wy obydwoje bawicie się w romanse?

- Hayden Shaw chce ubić ten sam interes co my, więc ma własne powody, by pokrzyżować nam szyki - gładko wyjaśniła Elizabeth.

Nieprzejednany Merrick postąpił Jackowi kolejne podejrzliwe spojrzenie.

- Ale czemu mieszkacie razem, ty i Fairfax?

- W mieście brakuje miejsc noclegowych. - Elizabeth przemknęła przez głowę, że przepełnienie uzdrowiska stało się wygodną wymówką: najpierw skorzystała z niej wobec Louise, teraz mogła rozproszyć podejrzenia szwagra. - Kiedy Jack się zjawił, okazało się, że ktoś zajął zarezerwowany pokój, i nie mógł znaleźć nic innego. Pozwoliłam mu zamieszkać w tym domu, bo jest tu dość miejsca dla dwojga.

Merrick zerknął na schody do sypialni.

- Ale raczej trudno o odosobnienie.

- Jakoś sobie radzimy! - skomentował Jack z kuchni.

Merrick zareagował kolejnym grymasem niedowierzania, lecz porzucił temat zakwaterowania, ponownie zwracając się do Elizabeth:

- Powiedz coś więcej o tym interesie. Cóż to może być, co dotyczy obu spółek. Excalibura i Fundacji Aurory? Jakaś umowa licencyjna?

- Coś w tym rodzaju. Naprawdę nie mogę zdradzić ci nic

więcej. Chodzi o wielkie pieniądze. Jeśli uda nam się pomyślnie sfinalizować tę sprawę, Fundacja Aurory może oczekiwać wielu krotnych zysków.

Merrick zaczynał wyglądać na przekonanego.

- Rozumiem.

Elizabeth postanowiła wykorzystać jego rosnącą niepewność. spojrzała więc demonstracyjnie na zegarek.

- Robi się późno. Masz przed sobą długą drogę, jeśli chcesz, jeszcze zdążyć na ten samolot, Merrick. Rowena na pewno czeka niecierpliwie.

Przez oblicze rudzielca przemknął cień obawy.

- Wiem, wiem...

- Odprowadzę cię do samochodu - zaproponowała łagodnie i podeszła do drzwi.

Do salonu wtargnęło rześkie, chłodne powietrze z gór. Merrick wciąż się wahał, przenosząc spojrzenie z drzwi na Jacka. Powtórzył kilka razy, jakby sam się chciał przekonać:

- Interesy, co? No tak, interesy...

Jack nacisnął włącznik ekspresu i oparł się swobodnie o kuchenny bufet.

- Przecież słyszałeś Elizabeth. Interesy!

- Nie miałyby innego powodu, żeby tu z tobą przyjeżdżać - mamrotał nieszczęsny szwagier.

- Właśnie - potwierdził Jack obojętnym tonem. - Żadnego innego powodu!

Merrick z ociąganiem obrócił się ku drzwiom, w których czekała Elizabeth. Podążyła za nim po schodkach prowadzących na podjazd, gdzie stał jego samochód. Widoczny niepokój szwagra i troska o jej dobro nagle ją wzruszyły.

- Merricku, nie martw się, naprawdę wszystko jest w porządku. Panuję nad sytuacją! - Jednocześnie modliła się w duchu, by bieg wydarzeń nie obrócił pocieszenia, które dała nieco na wyrost, w prawdziwe kłamstwo.

- Skoro tak twierdzisz... - Merrick zatrzymał się koło drzwi od strony kierowcy. - Obiecuj, że zadzwonisz, gdybyś mnie potrzebowała!

Odgarnęła niesforne włosy, które górski wiatr zdmuchiwał jej na oczy.

- Zadzwoń, jeśli będę potrzebować twojej pomocy!
  - Pamiętaj, że zawsze możesz liczyć na mnie i Rowenę, Lizzie. Zawsze... będziesz pamiętać?
  - Będę! - Objęła go i wyściskała serdecznie. Był solidny jak skała i mogła na nim polegać... z wyjątkiem przedsięwzięć finansowych, rzecz jasna. Był i pozostanie niepoprawnym marzycielem, pełnym planów i pomysłów, które, jeden po drugim, będą się okazywały nierealne, nieżyłowe, nieopłacalne i nigdy nie rozwiną się zgodnie z jego przewidywaniami. Mimo to wiedziała, że kiedykolwiek by go potrzebowała, stawi się u jej boku, wesprze ją i obroni. Wiedziała też, że wraz z nim zjawi się jej siostra. Odwzajemnił się braterskim uściskiem niedźwiedzich ramion, poklepał ją z zażenowaniem po łopacie i otworzył drzwi samochodu, Wcisnął się na fotel kierowcy i podniósł wzrok na szwagierkę.
    - Prześlę poprawiony kosztorys do twojego biura. Westchnęła.
    - Dziękuję. Jak tylko wrócimy, zajmę się tym! Oczy rudzielca zajaśniały odrodzonym optymizmem.
    - To ja dziękuję. Powiem Rowenie, że wszystko gra.Elizabeth napomniała się w duchu, że są rzeczy ważniejsze od pieniędzy: rodzina jest wśród nich na pierwszym miejscu.
    - Zadzwoń w przyszłym tygodniu! - zapowiedział Merrick, zatrzaskał drzwi, wrzucił bieg i wytoczył się powoli na obsadzoną jodłami drogę wiodącą ku szosie. Elizabeth patrzyła za nim, dopóki nie zniknął za zakrętem. Potem odwróciła się i ujrzała w otwartych drzwiach Jacka.
      - Więc dasz mu te pieniądze? - spytał obojętnym tonem.
      - Możliwe. - Weszła po schodkach. - Nie zwracaj sobie tym głowy, Jack. To nie twoje zmartwienie. Fundacja ma specjalne konto na pomoc dla rodziny. Ciocia Sybil była geniuszem przewidywania!
        - Wbrew pozorom wcale mu nie pomagasz. Nigdy nie nauczy się stać na własnych nogach w świecie interesów, skoro zawsze ratujesz mu skórę.
        - To naprawdę nie twoja sprawa!
- Minęła Jacka i weszła do domu. Poszedł za nią, zamknął drzwi i stanął przed nimi, blokując wejście, jak gdyby przewidywał, że

- gdy zada przygotowane pytanie, Elizabeth zacznie wrywać się do ucieczki.
  - Nie wiedziałem, że byłaś zaręczona z Garthem Giilloyem.
- Otworzyła lodówkę i pochyliła się nad pełnymi półkami.
  - A gdybyś wiedział? Czy postąpiłbyś inaczej?
- Za plecami Elizabeth zaległa długa cisza, aż zaniepokojona, wyprostowała się i odwróciła.
  - Twój szwagier zadał mi takie samo pytanie - rzekł Jack. Podniosła pytająco brwi.
  - No i?
- Nie odpowiadał.
  - Tego się spodziewałam - stwierdziła i ponownie pochyliła się nad lodówką. - Co powiesz na kanapki? W końcu nie zdążyliśmy zjeść obiadu!
  - Elizabeth, kiedy przeprowadzałem przejście Gallowaya, nawet cię nie znałem!
  - Ale wiedziałeś, że mnóstwo niewinnych ludzi poniesie szkody w wyniku twoich działań!
  - W interesach nie da się tego uniknąć. Sama o tym wiesz!
- Elizabeth wyjęła z lodówki kawałek sera i wyrzała przez okno. Zauważyła płamy żółci pośród gęstego listowia drzew porastających pobliski stok. Pomyślała, że już niedługo ten jesienowy las wyłóci okoliczny krajobraz.
  - Elizabeth, posłuchaj... - odezwał się Jack.
  - Wracając do interesów...- przerwała mu i ujęła nóż - czemu nie rozważymy wreszcie wspólnie, jak stoją nasze sprawy? To z pewnością przyniesie nam więcej korzyści niż wywlekanie zwietrzałych wspomnień. Powiedz, co miał na myśli Leonard Ledger, mówiąc, że boi się narazić wpływowym osobistościom?
  - Nie wiem. - Jack podniósł do ust filiżankę z wystygłą kawą. - To jedno z pytań, które mu dziś zadam. Elizabeth... co do twojego szwagra...
    - Przekro mi, że cię zaatakował. - Starannie myła pomidora pod strumieniem bieżącej wody. - To do niego niepodobne, ma łagodną naturę poczciwca. Musiał być rzeczywiście wzburzony. Mam nadzieję, że nie zrobił ci nic złego.
- Jack zawahał się. Elizabeth na chwilę wstrzymała oddech, ale

on był zbyt wprawnym strategiem, by nie zdawać sobie sprawy, że bitwa jest przegrana: wiedział, kiedy ustąpić pola.

- Nic martw się, nie podam go do sądu!
- Cóż za ulga! Nie jestem pewna, czy ubezpieczenie naszej Fundacji wystarczyłoby na pokrycie twoich roszczeń. Prawdopodobnie puściłbyś nas z torbami!

Jack zerkał na Elizabeth znad krawędzi filiżanki.

- Za nic nie chciałbym się do tego przyłożyć.
- Oczywiście! - Zaczęła kroić dojrzałego, czerwonego pomidora na cieniutkie plasterki. - Cóż za pożytek miałbyś z upadłości Fundacji? Ani ty, ani Merrick nie moglibyście dłużej korzystać z jej pieniędzy.

Jack długo milczał, zanim przyznał cicho:

- Masz absolutną rację.
- Cholera! - krzyknęła Elizabeth.
- Co się stało?
- Zacięłam się tym cholernym nożem.

Odstawił filiżankę i obszedł bufet, odkręcił kurek z zimną wodą i ujął jej dłoń. Podstawił zraniony palec pod silny, chłodny strumień.

- Czytałem kiedyś o podobnej sytuacji...
- Jakiej?
- O księżniczce, która zacięła się w palec. Na białej skórze pojawia się kropla krwi. Księżniczka zapada w głąbioki sen. Dopiero pocałunek księcia zdołał ją obudzić.
- To była żaba, a nie księżę.
- Nie pamiętasz bajek z dzieciństwa? Żaba zamieniła się w księcia dopiero wtedy, gdy księżniczka oddała pocałunek!

## Rozdział dziewiętnasty

*Jak to „zmarł śmiercią naturalną”? To ty go zamordowałaś, Vema! Zastrześliś go z zimną krwią!*

*- Gdybyś znał Joeya tak dobrze jak ja, wiedziałbyś, że paść ofiarą morderstwa to najbardziej naturalna śmierć, jaka mogła go spotkać. Poza tym dla niego to lepsze wyjście niż to drugie.*

*- Jakie drugie?*

*- Mogłam, go przecież poślubić, ale lepsza strona mojej natury zwyciężyła.*

*- Lepsza strona twojej natury?*

*- Nie uznaję tortur, nawet wobec kogoś takiego jak Joey.*

Ekran ściemniał do absolutnej czerni, na której powoli przewijały się napisy końcowe dzieła zatytułowanego *Śmierć naturalna*. Pojawiło się nazwisko Leonarda Ledgera jako reżysera. W zatłoczonym kinie rozległy się skąpe oklaski. Elizabeth przechyliła się do ucha Jacka, siedzącego obok niej na balkonie.

- Cały film został chyba nakręcony w kuchni. Ściana tunelu, na którą osuwa się ten zastrzelony gość, kropka na kropkę przypomina drzwi lodówki!

- Zalicz to na korzyść Ledgera: umie pracować przy ograniczonym budżecie!

Zapaliły się światła. Silver Empire Theatre mieścił się w wiktoriańskim budynku i niedawno został pieczołowicie odrestaurowany - bez względu na koszt, jak głosiła broszurka reklamowa. Elizabeth znalazła w niej również informację, że niegdyś mieściła się tu opera. Publiczność zasiadała w fotelach, obitych czerwonym aksamitem, w otoczeniu złożonych sztukaterii, szkarłatnych kotar, kryształowych żyrandoli i wszelkiego luksusu zdobniczego minionej epoki. Budynek powstał u schyłku dziewiętnastego stulecia, kiedy z łańcuch gór Kolorado płynęły potoki srebrnego i złotego kruszcu, Nowobogaccy właściciele kopalń współzawodniczyli w tworzeniu coraz to wystawniejszych symboli cywilizacji: teatrów operowych i hoteli uzdrowiskowych. Elizabeth uznała architekturę wyniosłego budynku za nieco dziwaczną narodził w samym centrum miasteczka, które rozpoczęło swój żywot jako obóz górników, by z biegiem lat stać się ośrodkiem sportów narciarskich, ale musiała przyznać, że ten swoisty pomnik przeszłości ma pewien archaiczny wdzięk.

Jack pozostał obojętny na wykwintne uroki otoczenia. Przesunął się do przodu i oparł ramiona na poręczy łoża. Elizabeth zorientowała się, że wyteżonym wzrokiem przeszukuje publiczność, która tłumnie wylewała się z rzędów foteli na dole. Przypominał myśliwego, wypatrującego zwierzyny, która kryje się w gęstwinie lasu. To właśnie on zaproponował, by udać się na pokaz tego filmu. Wyłowili spośród innych uczestników głównego twórcę i śledzili go aż do jego powrotu do pokoju w hotelu Mirror Springs Resort. Mimo wielokrotnych prób Jackowi nie udało się złapać Ledgera telefonicznie, co wprawiło go w jeszcze większe zdenerwowanie.

Elizabeth oczekiwała nowin, jakie zdobył dla nich reżyser, z równą niecierpliwością, ale od dwóch godzin coraz wyraźniej czuła narastający niepokój, którego przyczyn się nie domyślała. Powtarzała sobie, że to wina Jacka: jego podenerwowanie przeniosło się na nią i wprowadziło zamęt w jej myśli.

Zaczynała się zastanawiać, co zrobią, gdy wreszcie dopadną Tylera Page'a. Jak go zmusić do oddania Soczewki? Gróźbą? Przemocą? Jack co prawda był zdolny skutecznie zastraszyć ofiarę, jeśli tego chciał. Spojrzała na zegarek.

- Zbliży się jedenasta - mruknęła przyciszonym głosem. - Zostało jeszcze tylko pół godziny. Nic się nie stanie, jeśli go nie dojrzysz w tym tłumie. Niedługo spotkamy się z nim osobiście.

- Nie podobają mi się okoliczności tego spotkania! - Jack nieustannie przeczesywał wzrokiem gromadki widzów opuszczających salę. - Jak na mój gust są zbyt melodramatyczne.

- Masz do czynienia z filmowcem tworzącym swoje dzieła w kuchni, więc czego można się spodziewać? - Elizabeth wstała i zaczęła wkładać płaszcz. - Rusz się wreszcie! Musimy się przepchać do samochodu i dotrzeć do hotelu, znaleźć miejsce do parkowania i odszukać jego pokój. Zanim to wszystko zrobimy, akurat będzie wpół do dwunastej.

- Masz rację. - Jack wciąż nie odrywał oczu od tłumy, ale wstał i zarzucił na ramiona płaszcz. - Chodźmy!

Na schodach pokrytych czerwonym chodnikiem włączyli się w strumień widzów, spływający do obszernego foyer teatru. Wśród ciżby przesunęły się sylwetki Dawsona Holanda i Vicky Bellamy, ale Elizabeth sądziła, że żadne nie zauważyło ani jej, ani Jacka.

Przed budynkiem kręciły się nowe rzesze kinomanów i realizatorów, czekających na następną projekcję, która miała się zacząć o północy. W programie informowano, że będzie to niskobudżetowy film zatytułowany *Prawda zabija*. Widzowie wymieniali uwagi o filmie. Do uszu Elizabeth i Jacka dobiegały strzępki rozmów.

- ...wymaga całkowitego opanowania języka filmu, nie uważasz?

- Facet po mistrzowsku panuje nad kamerą, a szczególnie dobrze wychodzą mu zdjęcia z ręki. Potrafi skadrować nawet muchę!

- ... scenariusz ma wspaniały, ale nikt nie chce wyłożyć forsy...

- całkowicie błędna interpretacja symboliki sceny w rytmie!

Ludzie zaczęli się rozchodzić i jedni wsiadali do samo-



chodów, inni znikali we wnętrzu budynku. Po drodze na parking Elizabeth ujrzała niewielką oazę oślepiającego punktowego światła reflektora i zgromadzoną wokół niego niewielką gromadkę ludzi. To, czym się zainteresowali, całkowicie ich pochłaniało.

- Kręcą jakiś film! - zauważyła Elizabeth. - Pewnie jedna z ekip biorących udział w konkursie.

- Na ich miejscu usunąłbym sprzęt z wylotu parkingu! - uszczypliwie skomentował Jack, ledwie racząc rzucić okiem w ich stronę. - Nie zamierzam przegapić spotkania z Ledgerem, bo ktoś postanowił kręcić zdjęcia w publicznym miejscu!

Elizabeth przyjrzała się uważnie.

- Nic nie blokuje wyjazdu z parkingu. Kręcą obok drogi. To pewnie scena morderstwa. Patrz, na ziemi leży ciało!

- W każdym filmie, jaki tu oglądałem do tej pory, pojawia się trup - utyskiwał Jack, wyjmując kluczyki z kieszeni. - Zaraza jakaś czy co? Ten gatunek nie potrafi się obejść bez morderstwa!

- Jasne! Niczego się tu nie nauczyłeś? Czarne kryminały to opowieści o mrocznych czeluściach współczesnej cywilizacji. Ten gatunek odzwierciedla dekadencję wielkich metropolii i jej przeżerającą moralną chwiejność. Amerykańscy filmowcy lat czterdziestych mieli we krwi takie spojrzenie na świat i sztukę, więc nawet im nie przyszło na myśl, że tworzą nowy gatunek!

- Daruj sobie! - Jack otworzył drzwi samochodu i pomógł Elizabeth wsunąć się na siedzenie. Nie było to łatwe w obszernym, ciepłym płaszczu. - Jakoś nie mam nastroju na kolejny wykład o czarnym kryminale.

- Właśnie widzę!

Jack obszedł samochód i zasiadł za kierownicą. Zręcznie objeżdżając zaparkowane gęsto samochody, wyjechał na alejkę i skierował się do wylotu parkingu. Elizabeth uchyliła okno, by dokładniej przypatrzeć się pracy filmowców. Na chodniku leżała bezwładna postać z szeroko rozrzuconymi rękami i nogami, a nad „ciałem” stało dwóch aktorów w czarnych maskach. Jeden z nich trzymał metalową rurę, drugi ścisnął nader realistycznie wyglądający pistolet. Przed nimi krążył filmowiec z kamerą w rękę, a tuż za jego plecami kobieta dźwiękowiec kręciła gałkami swoich urządzeń.

- Dobra jest, ludzie! - rozdarł się brzuchaty gość w czapce

baseballowce, naciągniętej nisko na głowę. - Jeszcze jeden dubel! Tym razem walcie go trochę dłużej, zanim Calin strzeli, jasne? Ten gość zasłużył na to. Nie dość, że wpuścił współnika w maliny, to przespał się z jego żoną, pamiętajcie! Bierzecie odwet, więc dajcie mi poczuć swoją wściekłość!

Jack wyjechał na ulicę. Elizabeth osunęła się w fotel.

- Trochę chłodno na zdjęcia w plenerze - zauważyła.

- Z tego, co widzę, tym niezależnym zapaleńcom nic nie potrafi stać na przeszkodzie w ich ulubionym zajęciu.

- Ja dostrzegam coś wzruszającego w artystach, którzy z taką pasją podchodzą do tworzenia.

- Artyści? Naprawdę uważasz, że zasługują na to miano? Że to, co robią, to sztuka?

Elizabeth uśmiechnęła się kpiąco.

- Z ust człowieka zdecydowanego wesprzeć swoimi funduszami realizację czegoś pod tytułem *Ciemny nów* spodziewałabym się bardziej elastycznej oceny tematu.

- Dość się naoglądałem filmideł w ciągu tego tygodnia, żeby się zorientować, że robienie filmów to bardziej biznes niż sztuka!

- Ha! Założę się, że kiedy zobaczysz swoje nazwisko w czołówce, zmienisz zdanie!

- Wątpię. Ale powiedz mi, Elizabeth, czy będziesz mi towarzyszyć na uroczystej premierze?

Nie wiedzieć czemu, zaproszenie zbiło ją z tropu i spłoszyło. Może dlatego, że stanowiło rodzaj potwierdzenia, iż istnieje dla nich szansa na wspólną przyszłość? Nie wiedziała, że Jack wybiega myślą tak daleko naprzód. Sama unikała tego tematu jak ognia! Odchrząknęła, zakłopotana.

- Realizacja przeciętnego filmu trwa zazwyczaj dość długo: zdjęcia, montaż, prace nad dźwiękiem. Leonard zapewne nie będzie gotów do premiery aż do następnego festiwalu czarnego kryminału, a to oznacza cały rok!

- Zgadza się. - Jack zwolnił i skręcił na hotelowy parking. - Więc umowa stoi?

Mówił to tak poważnie, całkiem serio proponował spotkanie za rok, jakby oczekiwał, że ich związek przetrwa dwanaście miesięcy! Elizabeth zaczęła oddychać płytko, jakby brakowało

jej powietrza. Była to u niej niechybna oznaka napięcia, lęku, obawy... albo podniecenia.

- Zobaczmy - odrzekła wymijająco. Cieszyła się, że głos jej nie zdrzał.

Jack zaparkował na wolnym miejscu i gwałtownym ruchem wyciągnął kluczyki ze stacyjki.

- Uwielbiam twoje zdecydowanie - rzekł.

- No, niech ci będzie. Umowa stoi! Jeśli rzeczywiście wyprodukujesz ten film, pójdę z tobą na premierę!

- Bądź dla mnie miła, a może pozwolę ci zagrać mały epizodzik!

- Będziesz robił casting na kanapie?

Jack łypnął na nią złośliwie.

- Jasne!

- To lepiej chodźmy do Ledgera. - Elizabeth otworzyła drzwi i wyskoczyła z samochodu. Jack wysiadł za nią i doścignął ją przy wejściu do hotelu. Otworzył im drzwi młodzieniec w czerwonej koszuli, czarnej muszce i czarnych spodniach.

Hall był całkowicie pusty, jeśli nie liczyć obsługi recepcji. Jack nie zatrzymał się przy wewnętrznym telefonie, by uprzedzić Ledgera o swoim przybyciu; zmierzał prosto do windy. Elizabeth musiała przyspieszyć kroku, by za nim nadążyć.

Milczał podczas jazdy na trzecie piętro i kiedy ruszyli korytarzem, Elizabeth czuła niemal namacalnie jego narastające napięcie.

- Myślisz, że odnalazł Page'a? - odezwała się, gdy zbliżali się do drzwi oznaczonych numerem 305.

- Mam nadzieję, że wygrzebał coś użytecznego. Nie dostanie ode mnie ani centa, jeśli się okaże, że marnuje nasz czas jakąś mętną historyjką, jakoby widział Page'a gdzieś na mieście!

Zatrzymali się przed drzwiami. Elizabeth słyszała przytłumiony dźwięk telewizora dochodzący z pokoju. Jack już podnosił dłoń, by zastukać, gdy jej oczy ześlizgnęły się niżej i zatrzymały na karcie tkwiącej w szczelinie magnetycznego zamka.

- Zaczekaj!

Jack podążył spojrzeniem za jej wzrokiem i ściągnął brwi.

- Po co miałby zostawiać klucz w drzwiach?

- To się czasami zdarza. - Przełknęła niepewnie ślinę. -

Kiedy ma się wiele spraw na głowie, można w roztargnieniu zapomnieć o kluczu w zamku.

- Hm... - Jack zastukał trzykrotnie, cicho, lecz wyraźnie.

Daremnie czekali na odpowiedź. Niepokój Elizabeth wzrastał. Miała wrażenie, jakby żelazna pięść ścisnęła jej żołądek.

- Nie podoba mi się to!

- Co ty powiesz? I ja nie jestem wniebowzięty! - Jack płynnym ruchem przesunął kartę wzdłuż szczeliny i odblokował zamek. Lekko pchnął drzwi; otworzyły się bezszelestnie, wypuszczając na korytarz smugę błękitnawego blasku z migoczącego ekranu telewizora. Elizabeth wzięła się w garść, powtarzając w duchu, że teraz musi być gotowa na wszystko, choć nie wiedziała, czym to „wszystko” mogłoby się okazać. Próbowała odepchnąć od siebie wspomnienia filmów, w których para bohaterów przybywa na umówione o północy spotkanie, by odkryć, że oczekująca ich osoba została przed chwilą zamordowana!

Głosy z telewizora dobiegały teraz wyraźniej. Zorientowała się, że to fragment z filmu *Śmierć naturalna* Leonarda Ledgera.

- *Ufałem ci, Vemo!*

- *To wielki błąd. Pociągają mnie tylko łebscy faceci. Nigdy nie zakochałabym się w dupku, który jest na tyle głupi, by mi zaufać.<sup>1</sup>*

Z miejsca, gdzie stała, Elizabeth widziała na pierwszy rzut oka, że w pokoju nikogo nie ma. Po kryjomu odetchnęła z ulgą. Jej spojrzenie padło na uchylone drzwi łazienki. W niewielkiej kabinie panowały ciemności.

Jack zapalił lampę na suficie.

- Ledger? Jesteś tam?

Jedyna odpowiedź nadeszła z głośnika telewizora. Elizabeth wpatrywała się jak urzeczona w drzwi łazienki. Jack zorientował się, gdzie leży źródło jej fascynacji, zrobił krok do przodu, wsunął dłoń w ciemną szparę i po omacku odnalazł kolejny kontakt. Gdy w łazience zapłonęło światło, ostrożnie pchnął drzwi; ukazała się wanna, szafka toaletowa i umywalka.

Pomieszczenie było puste. Elizabeth znowu ulżyło. Jack uśmiechnął się blade.

- Co ci jest? Spodziewałaś się zwłok w wannie?
- A ty nie?

- Owszem, przemknęło mi to przez myśl. Widocznie w ciągu ostatnich kilku dni widywaliśmy zbyt wiele trupów porzucanych po całym miasteczku! - Otworzył szafę na ubrania obok drzwi łazienki; na drążku kołysały się puste wieszaki. Na szczęście w schowku nie było również zwłok.

Elizabeth uważnie rozejrzała się po wnętrzu łazienki: na podłodze walało się kilka wilgotnych ręczników, ale na półeczce nie dostrzegła żadnych przyborów toaletowych, typowych dla podróżników płci męskiej - maszynki do golenia, pasty do zębów czy kondomów. Wycofała się do sypialni i obserwowała, jak Jack otwiera, jedną po drugiej, szuflady komody i biurka.

- Coś tam jest?
- Wymiecione. - Jack wyprostował się i odwrócił do niej sposepniałą twarz. - Ten łajdak zwią! Spakował się i wyjechał w takim pośpiechu, że zostawił klucz w drzwiach.
- Ałe dlaczego?
- Przychodzi mi na myśl wiele powodów. - Ponurym wzrokiem, omiatał pokój. - Na przykład taki, że ktoś przebił naszą ofertę.

- *Wystawiłaś mnie, Verno!*

Elizabeth poczuła nagle, że drażnią ją natrętne głosy aktorów. Rozejrzała się za pilotem. Leżał na łóżku obok kasety wideo. Podniosła go i ściszyła dźwięk, po czym przyjrzała się uważniej plastikowemu pudełku.

- Patrz, co zostawił! - W środku była taśma. Wyjęła ją i przeczytała nabazgrany od ręcznie tytuł: - *Zdrada...*

Jack wyciągnął dłoń, więc podała mu taśmę. Podeszedł do szafki z zestawem projekcyjnym.

- Co chcesz zrobić? - spytała Elizabeth.
- A jak myślisz? Chcę odtworzyć taśmę!
- Dlaczego, na litość boską?!
- To jedyna rzecz, jaka została w pokoju, i to na widocznym miejscu.

Wyjął z odtwarzacza kasetę z filmem Ledgera i wsunął nową.

- Myślisz, że on specjalnie ją zostawił, żebyś ty ją odnalazł?
- W tych okolicznościach to całkiem logiczne przypuszczenie.

Wcisnął guzik odtwarzania. Rozległ się delikatny szum taśmy nawijanej na bęben i na ekranie pojawiły się czarno-białe kształty. Obraz był ziarnisty i zamazany - najwyraźniej kamerę obsługiwał amator - ale Elizabeth i tak bez trudu rozpoznała miejsce akcji. Obiektów skierowany był na drzwi pokoju hotelowego w jakimś tanim pensjonacie. W tle widać było fragmenty wykładziny i ścian wąskiego korytarza. Na ekranie mignęła pokojówka, pchająca wózek z ręcznikami.

Po chwili w kadrze pojawiła się kolejna postać... Hayden Shaw!

Przecucie nękające Elizabeth zmieniło się w przerażenie. Patrzyła, jak Hayden wyjmując z kieszeni kartę magnetyczną, otwiera drzwi i znika w pokoju.

- Co tu się dzieje, Jack?

- Jeszcze nie wiem, ale to zaczyna być interesujące! - Nie odrywał oczu od ekranu.

Za chwilę w zasięg kamery nerwowym krokiem wszedł drugi mężczyzna, niewysoki i krępy, z puciołowatą twarzą i plackiem łysiny na czubku głowy. Przydługie kosmyki okalające łysinę i ściągnął w nastroszony koński ogon. W mrugającym świetle jarzeniówek rozbłysły okulary w drucianej oprawce. Mężczyzna ubrany był w czarną, zbyt obszerną żakardową marynarkę i równie luźne i czarne spodnie; na jego szyi kołysał się pęk złotych łańcuszków. W rękę ścisnął kurczowo aktówkę.

Jack aż gwizdnął.

- To Tyler Page!

Mężczyzna dwukrotnie zastukał do drzwi, a kiedy niemal natychmiast uchyliły się, wszedł do środka.

- To łajdak! - szepnął Jack bez tchu. - Wiedziałem, że bierze w tym udział...

- Page? Przecież od początku zakładaliśmy, że jest zamieszany w kradzież.

- Mówię o Haydenie. - Jack z kamienną twarzą wpatrywał się w ekran. - Wiedziałem, że mnie nienawidzi, ałe nie myślałem, że aż do tego stopnia.

Elizabeth nie znalazła słów w obliczu tak jednoznacznych dowodów zdrady. Mogła sobie jedynie próbować wyobrażać, co

by czuła w konfrontacji z niezbitym dowodem, że ktoś z jej własnej rodziny wykręcił jej taki numer! Delikatnie dotknęła ramienia Jacka, ale wydawał się nie zauważać jej obecności. Na ekranie przez długą chwilę nic się nie działo, ale kamera tkwiła nieporuszenie w miejscu. Elizabeth pomyślała, że autor zdjęć chce uchwycić obraz mężczyzn opuszczających pokój.

Minęła minuta, potem druga... Elizabeth zerknęła w stronę drzwi.

- Jack, lada chwila ktoś może tu wejść. Weźmy taśmę do domu i tam skończmy ją oglądać?

- Masz rację! - Jack już chciał nacisnąć „stop”, kiedy na ekranie pojawiła się trzecia postać.

Z początku Elizabeth nie rozpoznała samej siebie...

Nagle zorientowała się, kogo ogląda na ekranie, i nogi się pod nią ugięły. Niemal przestała oddychać, patrząc, jak kobieta z ekranu podchodzi do drzwi, puka dwukrotnie i zostaje przyjęta w grono spiskowców.

Nie! Niemożliwe!

Zapis wideo skończył się raptownie, jak ucięty nożem. Przypomniała sobie tytuł zapisany na taśmie.

*Zdrada...*

To nie potrwa długo - odezwała się ciepłym, gardłowym głosem. Maleńkie dreszczyki podniecenia przebiegły mu po krzyżu. - Potem wyjedziemy razem. Pomyśl tylko, Tyler! Paryż, Rzym, Madryt... Cały świat będzie nasz!

- O, tak. - Page jedną dłonią przyciskał słuchawkę do ucha, drugą wygrzebał z torby garść prażynek. W całym domu panował mrok, jedyne światło padało z ekranu telewizora w sąsiednim pokoju.

Żując chrupki, oglądał Bette Davis w niezapomnianym filmie *List*.

- Tyler?

- Słucham mojej Anielskiej Buzi...

Na ekranie Bette Davis - jako Leslie Crosbie - zastrzeliła właśnie w porywie zazdrości swojego kochanka.

- Aż do końca całej sprawy nie możemy się widywać. Rozumiesz?

- Tak.

- Obojgu nam ciężko to znieść.

- Tak. Bardzo ciężko...- w dodatku stawało się to nudne. Miał wrażenie, jakby od niepamiętnych czasów tkwił samotnie w tym opustoszałym domisku.

- Do zobaczenia, kochanie!

- Żegnaj, kochanie. - Odłożył słuchawkę i wpatrzył się w ekran, choć doskonale wiedział, jak rozwinie się akcja. Leslie Crosbie wywinie się od wyroku w sądzie, ale i tak mamie skończy; umiera w finale. Kodeks producentów nie przewidywał odstępstw od norm etycznych obowiązujących w kinematografii. Każdy musi zapłacić za zbrodnię!

Zastanawiał się, czy i on będzie kiedyś musiał zapłacić. Sięgnął do torebki po następną prażynekę i wrócił myślą do Anielskiej Buzi. Dla niej poświęcił wszystko. Wszystko, co kiedyś stanowiło dla niego jakąś wartość, poświęcił dla kobiety, która rzuciła na niego czar. Teraz już nie miał odwrotu.

Bez odwrotu. Przebiegł go dreszcz. Bez odwrotu!

W głębi duszy wiedział, że coraz bardziej zaczyna mu brakować znajomej rutyny pracy w laboratorium. Życie było wtedy takie i proste. Otoczenie tolerowało jego drobne dziwactwa i zostawiało go sam na sam z pracą badawczą. Zaczynał też tęsknić za ciszą i spokojem małego domku na przedmieściach, gdzie nikt nie pilnował porządku i nie utyskiwał, że dokoła walają się brudne talerze, a dywan zaśmiecają okruchy ciastek. Brudna bielizna całymi tygodniami leżała na podłodze sypialni, jeśli nie miał ochoty pozbierać jej i zanieść do pralni.

Cóż, ona nie pochwałała niechlujstwa. Kiedy wszystko się skończy i wreszcie się połączą, będzie musiał zamienić się w kogoś w rodzaju drugiego Cary'ego Granta: faceta o nieskazitelnych, manierach, wygadanego i błyskotliwego, a nade wszystko schludnego i czystego aż do przesady. Zatrważająca wizja! Ale opłaci się przejść gruntowną przemianę dla niej, która była jego... Gildą, Laurą, Kobieta w Oknie, Panią Jeziora...

Tylko czasami budziła w nim obezwładniający lęk. Dlatego kilka tygodni temu kupił pistolet.

Nie mogła dłużej znieść milczenia. Dławiła się ciszą. Ode-  
rwała wzrok od wąskiej wstęgi drogi wijącej się między wznie-  
sieniami i przepaściami i spojrzała na Jacka, którego uwagę  
całkowicie pochłaniało prowadzenie samochodu. Jakby powrót  
do górskiej chaty był jedyną rzeczą, która obecnie liczyła się na  
świecie. Nie powiedział ani słowa, odkąd wyszli z hotelu, ani  
jednego cholernego słowa! Z drugiej strony i ona milczała jak  
zakłeta.

Dopiero teraz czuła, że paraliż szoku zaczyna ustępować  
miejsca fali gniewu - gorącego jak rozżarzona lawa! Teraz  
mogła stawić czoło temu, co się stało. Zaraz to zrobi!

- O czym myślisz? - spytała prosto z mostu.

Jack zmarszczył czoło, jak gdyby zupełnie zapomniał o jej  
obecności. Na mgnienie oka odwrócił do Elizabeth głowę, po  
czym ponownie skupił uwagę na krętej szosie.

- Myślałem o tym zapisie na wideo.

- A dokładniej. Co o nim myślałeś?

- Właściwie zastanawiałem się, kto podrzucił tę taśmę do  
pokoju Ledgera, żebyśmy mogli ją znaleźć.

Skrzyżowała ramiona na piersiach i wbiła wzrok w migające  
za oknem drzewa.

- Ktoś, kto chciał cię naprowadzić na myśl, że Hayden, Tyler  
i ja spiskowaliśmy razem, by ukraść Soczewkę.

- Możesz mi nie wierzyć, ale zdążyłem już dojść do tego  
wniosku!- Zwolnił, gdyż zbliżali się do ostrego zakrętu. -  
Pozostaje pytanie, kto miał interes w dostarczeniu mi tej infor-  
macji. I czemu właśnie teraz?

- To dezinformacja, a nie informacja - zaznaczyła Elizabeth  
głosem wypranym z wszelkich emocji.

- Oczywiście! Ale przez to lista osób, które mogły podrzucić  
ją do pokoju Ledgera, tylko się wydłuża. Gdyby taśma była  
prawdziwa, mielibyśmy do czynienia z wąskim kręgiem pode-  
jrzanym.

Przez ułamek sekundy zastanawiała się, czy dobrze usłyszała  
ostatnie słowa Jacka.

- Zaraz, zaraz! - odezwała się w końcu. - Chcesz powiedzieć,  
że nie wierzysz w obraz zarejestrowany na tej taśmie?

- Za kogo mnie uważasz? - Nie odrywał oczu od szosy, ale

Elizabeth widziała, jak kąciki jego ust wyginają się ku górze  
w ironicznym rozbawieniu. - Jesteśmy otoczeni kilkoma setkami  
zawodowych filmowców i ekspertów od wideo. Na domiar tego  
dokoła Mirror Springs kręca się dalsze tysiące zapalonych  
maniaków filmowania i każdy z nich umiałby sfałszować Luką  
nędzną scenkę! Jasne, że nie uwierzyłem w to, co oboje widzieli-  
śmy na taśmie.

Lodowate szpony, które wbijały się w jej serce, tamując  
przepływ krwi, tak nagie zwolniły uścisk, że Elizabeth o mało  
nie osunęła się bezwładnie na siedzeniu. No cóż, podał jedynie  
techniczne przyczyny, dla których odrzucił wiarygodność taśmy.  
Najważniejsze jednak, że ją odrzucił!

- Rozumiem - wydusiła jedyną odpowiedź, która przyszła jej  
do głowy.

Jack rzucił jej przelotne, lecz badawcze spojrzenie.

- Dobrze się czujesz?

- Znakomicie - szepnęła. - Nigdy nie czułam się lepiej!

- Jak tylko wrócimy, zadzwonię do Larry'ego. Miał dość  
czasu, by dokopać się kolejnych rewelacji.

- A ja skontaktuję się z Louise.

- Zrobimy leż mądrze, spisując wszystko, czegośmy się dołąd  
dowiedzieli, i jeszcze raz to przeglądając. Może przyjdzie nam  
do głowy coś, o czym jeszcze nie pomyśleliśmy. Nowe hipotezy. -  
Jack urwał i z tłumionym jękiem rezygnacji zdjął nogę z gazu. -  
O rany, tylko nie to! Następni nawiedzeni artyści? Nie mamy  
czasu.

- Co się stało? - Elizabeth wyjrzała przez okno w kierunku  
oślepiającego blasku i zobaczyła, że drogę przed nimi częściowo  
blokuje ustawiona pod kątem furgonetka. Drzwi po stronie  
kierowcy były szeroko otwarte, a w świetle reflektorów oboje  
dostrzegli bezwładną postać opartą o kierownicę. Spływała  
krwią, której pełno też było dokoła.

Na granicy światła walał się porozrzucany sprzęt filmowy.  
Elizabeth dostrzegła dwie lampy na statywach zabezpieczonych  
workami z piaskiem, z których tylko jedna była włączona. Po  
ziemi ciągnęły się wiązki kabli do ustawionego na uboczu  
generatora. Operator, trzymając kamerę w rękę, krążył nie-  
strudzenie dokoła pojazdu z domniemanym trupem, najwyraźniej

szukając najlepszego ujęcia. Był odwrócony do nich plecami, ale gdy w pewnej chwili wszedł w krąg światła, Elizabeth spostrzegła zwyczajowy mundurek: czarne dżinsy i taką kurtkę do pasa. Czapka ściągnięta nisko na czoło zasłaniała mu oczy. Nie odwracał twarzy od planu zdjęciowego. Na skórzanych butach przy każdym stąpieniu migotały półkoliste ozdoby z wypolerowanych do połysku blaszek.

- Kolejny trup, kolejny film - skomentował Jack sardonicznie, ale w jego głosie pobrzmiwała irytacja. Zatrzymał samochód.

- To pewnie znowu ten konkurs - odezwała się Elizabeth, próbując go ugłaskać.

- Mają czelność tamować ruch na publicznej drodze?

- Jack, spróbuj ich zrozumieć! - Elizabeth czuła, że dziś stać ją na wielkoduszność. Jack nie uwierzył kłamliwemu wideo, podrzuconemu do pokoju Ledgera! Życie było piękne. - Jestem pewna, że nie liczyli się z ruchem o tej porze i na tym odcinku drogi.

- Ekipa jest niezwykle mała. Tylko dwoje ludzi? - Jack rozpiął pas i otworzył drzwi. Wysiadł i zaczął zbliżać się do furgonetki.

Elizabeth wyskoczyła za nim.

- Ile czasu zamierzacie jeszcze tu kręcić? - spytał, podchodząc coraz bliżej filmowego planu.

Kamerzysta nie odwrócił się, zgarbiony nad swoim aparatem, w skupieniu rejestrując krwawą jatkę na podjeździe.

- Jeszcze chwilkę. Mógłby pan wyłączyć swoje reflektory? Trochę mi tu wadzą w światłach!

- Pan wybaczy, możemy poczekać kilka minut, ale najwyżej kilka. Trochę nam się spieszy.

- Odpieprz się pan! My tu kręcimy film! - Mężczyzna machnął ręką w stronę światła i starannie upozowanego w poprzek drogi samochodu. - Całą godzinę ustawialiśmy to ujęcie!

- Przesuńcie tylko statyw, a zdołam jakoś objechać furgonetkę - zaproponował Jack.

Elizabeth poczuła dreszczyk niepokoju.

- Jack, zaczekajmy, aż skończą. Możemy posiedzieć tu kilka minut.

Zatrzymał się w jaskrawej poświacie i rzucił pytające spojrzenie na jej pełną obaw twarz. Pociągnęła go za rękaw.

- Proszę, wracajmy do samochodu. Nie będziemy przecież mieszać szyków artystom, prawda?

Zawahał się, ale - ku radości Elizabeth nie sprzeciwił się, tylko westchnął ulegle.

- Nie, oczywiście, że nie.

W tej samej chwili aktor w furgonetce podniósł głowę znad kierownicy. Sztuczna krew spływająca po twarzy tworzyła szczelną maskę, zza której nie dało się odczytać jego rysów.

- O, mamy tu kobietkę! - zawołał wesoło. - Moglibyśmy ją wykorzystać! Co pani na to? Nie chciałyby pani zagrać w filmie?

Elizabeth otworzyła usta, by go poinformować, że w najmniejszym stopniu nie jest zainteresowana karierą aktorską, ale zamknęła je, widząc, że kamerzysta odkłada aparat i kieruje się ku Jackowi, wciąż stojącemu koło statywu.

- Niech pan tylko spróbuje dotknąć mojego sprzętu, a wpakuję pana za kratki! - wrzasnął.

Jack obejrzał się przez ramię.

- Nie zamierzam nic ruszać. Damy wam kilka minut, żebyście mogli skończyć ujęcie.

- Jasne, że będziemy mogli skończyć! - Filmowiec podążył za odchodzącym spokojnie Jackiem. - Rusz no się, Benny!

Benny wyskoczył z ciężarówki i zaczął biec do swego kumpla.

- Jack, za tobą! - krzyknęła ostrzegawczo Elizabeth.

Odwrócił się i stanął twarzą do napastników. Kamerzysta już go dopadł i zamachnął się pięścią w brutalnym, skróconym prostym. Jack jednym krokiem usunął się z drogi ciosu. Umazany sztuczną krwią aktor chwycił go za ramię i usiłował przewrócić na ziemię. Jack dał się pchnąć w dół. Zbyt łatwo - pomyślała Elizabeth. Pociągnął za sobą aktora. Ten z głuchym sieknięciem uderzył całym ciałem w asfalt. Jack miękko wylądował na nim. Kamerzysta podskakiwał w podnieceniu wokół leżącej pary.

- Trzymaj go! Nie puszczaj, do diabła!

Elizabeth zaczęła biec w stronę furgonetki, ale Jack krzyknął do niej:

- Cofnij się!

Nie posłuchała. Przebiegając koło kamerzysty, przyjrzała mu się uważnie i zauważyła, że nosi maskę narciarską zasłaniającą mu twarz. Operator wziął potężny zamach i kopnął nogą w masywnym bucie, ale Jack przetoczył się na bok, odsłaniając aktora, któremu dostało się w zębra i zawył, chwytając się za bok:

- Cholera! Kurwa mać!

Jack podniósł się i rzucił w kierunku kamerzysty. Sięgnęła po najbliższy statyw i mocno szarpnęła nóżkę podstawy. Aktor wrzasnął:

- Moje światła! - W jego głosie zabrzmiał większy ból niż wtedy, gdy kopnął go kolega. - Nie dotykaj ich!

Jeszcze mocniej szarpnęła statyw. Reflektor zamocowany na szczycie zakołysał się i z trzaskiem zerwał się z zamocowań, eksplodując przy zetknięciu z twardą nawierzchnią szosy. W rękę Elizabeth został fragment statywu. Wymachując zaimprovizowaną bronią, podbiegła tam, gdzie kłębili się zapaśnicy. Aktor wydał z siebie piskliwy wrzask, który odbił się echem od otaczających ich zboczy:

- Moje światła!!!

Nie zwróciła uwagi na jego histerię, widząc, jak Jack uchyla się od potężnego ciosu skierowanego w bark. Wystawił do przodu stopę, chwycił nadgarstek napastnika i pociągnął go do siebie. Kamerzysta stęknął chrapliwie, uderzając brzuchem o asfalt. Jack ruszył ku leżącemu. Aktor tymczasem obrzucał Elizabeth wyzwiskami i zaczął biec w jej stronę. Zamachnęła się kawałkiem statywu i trafiła go w ramię.

- Odłóż mój sprzęt, ty suko! - Usiłował wyrwać jej z rąk fragment statywu, ale uchyliła się i wykonała pchnięcie, jak gdyby trzymała w ręku szpadę.

- Nie waż się jej tknąć! - wrzasnął Jack.

Zostawił kamerzystę, a ten wstał na nogi, zatoczył się i najwyraźniej stwierdził, że ma dość, bo zaczął biec truchtem do furgonetki. Jack tymczasem ruszył w stronę jego kolegi i Elizabeth.

- Zaczekaj na mnie, do cholery! - Aktor zrezygnował z odzyskania statywu, odwrócił się w pół kroku i obiegnął samochód,

chcąc wdrapać się z drugiej strony na miejsce pasażera obok kierowcy.

Jack chwycił go w biegu.

- Nie, nie, nie! - Groteskowo zakrwawiona twarz skrzywiła się w żalosnym grymasie rezygnacji. Aktor nawet nie usiłował się uwolnić.

Drugi filmowiec uruchomił tymczasem półciężarówkę i z wizgiem opon odjechał w ciemność nocy. Powoli cichł przeraźliwy klekot niedomkniętych tylnych drzwi furgonetki. Aktor zwiotczał w ramionach Jacka.

- Łajdak... śmierdzący skurwiel! - wrzeszczał.

Na scenie bójki zapanowała niezmacona cisza. Elizabeth zastygła bez ruchu na białej linii wyznaczającej krawędź szosy.

- Nic ci się nie stało? - spytał Jack szorstko.

- Nie. - Wciąż trzymała fragment statywu. Metalowa rurka drżała w niepewnych palcach. Ostrożnie odniosła ją na pobocze i upuściła na ziemię. - Nic mi nie jest. A tobie?

- Zupełnie nic! - Spojrzał na swego jeńca. - Powie mi pan teraz, o co tu chodziło? A może woli pan, żebym zadzwonił po policję?

- Co? Policja? - Aktor mrugał, bo powieki miał zalane czerwoną farbą.

- To następna pozycja na mojej liście pilnych spraw - upewnił go Jack.

- Ale tamten nam obiecał, że obejdzie się bez glin! - Głos aktora przepełniała skarga. - Mówił, że to przestępstwo w białych rękawiczkach, więc nikt nie zadzwoni po policję, gdyby coś się nie udało!

- A co się właściwie nie udało? - spytał Jack.

Aktor naburmuszył się.

- Pojęcia nie mam. Ollie obiecał pięćset dolców na rękę za pomoc. No i patrz pan, jak się skończyło: reflektor w proszku, a to przecież wypożyczony sprzęt. Naprawa będzie mnie kosztowała grubo więcej niż ta pięćsetka!

Elizabeth podeszła do zrozpaczonego filmowca.

- Jak ten Ollie się nazywa?

- Nie mam pojęcia. Wszyscy mówią na niego Ollie.

- ~ A czym się trudni?
- Jest kaskaderem. Kiedyś pracował w dużych wytwórniach, ale wywalili go za pijaństwo.
  - A jak pan się nazywa? - spytała łagodnie.
  - Benny, Benny Cooper. - Spojrzał jej prosząco w oczy. - To miało być tylko ostrzeżenie, rozumie pani? Taka nauczka i nic więcej. Mieliśmy trochę go potarrosić, przekazać polecenie, by pakował manalki i wynosił się z miasta. Nic więcej!
  - Takie kazano wam przekazać polecenie? - dopytywał się Jack.
  - Aha! - Nieszczęsny filmowiec zaczerpnął głęboko powietrza. - Cóż, spapraliśmy robotę. Ale Ollie zapewniał, że nawet wtedy nikt nie będzie latał po policję!
- Jack uśmiechnął się ironicznie.
- Masz dziś szczęście, Benny: Ollie nie kłamał!

Kwadrans później Jack zaparkował samochód na podjeździe i zgasił silnik. Elizabeth nie ruszyła się z miejsca, nie odpięła pasa, tylko patrzyła tępo przed siebie

- Kolejne ostrzeżenie... Czy sądzisz, że i to pochodziło od Dawsona Hollanda i Vicky Bellamy?
- Czemu nie? - Jack również nie wysiadał; w zamyśleniu gapił się na frontowe drzwi domku.
- Może naprawdę powinniśmy zawiadomić policję?
- Ten kij ma dwa końce. - Starannie dobierał słowa - jeśli popędzimy na policję, wszyscy zamieszani w tę sprawę znikną jak senne marzenie i będziemy mogli pożegnać się z szansą odnalezienia Page'a i kryształ.
- To prawda...
- Poza tym, co mogłaby zrobić policja w sprawie dzisiejszego wieczoru? Spisaliby tylko protokół, i tyle - ciągnął Jack z namaszczaniem doświadczonego człowieka, który już nieraz błędził wśród meandrów prawa.
- No, tak. A zanim by z tym skończyli i wysłali jakiegoś policjanta do zbadania śladów, niewiele by ich tam zostało.
- Prawda.

Siedzieli jeszcze kilka minut, aż Elizabeth przerwała ponure milczenie:

- Czy to nie zadziwiające, że dwoje inteligentnych ludzi siedzi w samochodzie w środku nocy i próbuje za wszelką cenę uzasadnić, czemu nie pójda na policję po czymś, co bez wątpienia było wyrachowaną napaścią?

Jack otworzył drzwiczki.

- Cóż, jako urodzeni menedżerowie, mamy to już we krwi!



## *Rozdział dwudziesty*

Elizabeth zapięła wysoko pod szyją kołnierz białego szlafroka, odsunęła szklaną tafłę drzwi na taras i zanurzyła się w nocnym powietrzu, tak rześkim, że aż na chwilę zaparło jej oddech. Pomyślała, że dopiero na tej wysokości zaczyna się rozumieć znaczenie takich słów jak „czysty”, „świeży”, „orzeźwiający”. Zerknęła spod rzęs ku jacuzzi, gdzie – ledwie widoczny w świetle księżyca – moczył się Jack, wygodnie rozparty na jednej z ławeczek, opierając rozrzucone na boki ramiona o wygięte brzegi wanny. Woda falowała, banieczki piany rozpryskiwały się o muskularną pierś. Głowę odrzucił do tyłu i zamknął oczy.

- Na pewno nic ci nie jest? - spytała Elizabeth.

- Nie, i to głównie dzięki tobie. To była niezła sztuczka z tym statywem! Udało ci się odciągnąć uwagę Benny'ego. Ogólnie rzecz biorąc, mieliśmy sporo szczęścia.

- Co masz na myśli?

- Ollie i Benny to tylko para drobnych oprychów, związanych z kręgami filmowych płótek, a nie zawodowi bandyci. - Pomacał się po żebrach.

- Na pewno nie chcesz pojechać na pogotowie? Zrobiliby ci prześwietlenie...

Jack prychnął z pogardą, bezapelacyjnie odrzucając zaproszenie:

- Na pewno nie!

- Dzięki Bogu, że uprawiasz te wschodnie sztuki walki.

- Ojciec zapisał mnie na treningi, kiedy miałem osiem lat. Okazało się potem, że Larry zaczął naukę mniej więcej w tym samym wieku. Nie byłbym zaskoczony, dowiadując się, że i Haydena jako ośmiolatka posłał na takie lekcje. Tata miał skłonności do pedanterii; był niezwykle metodyczny we wszystkim, do czego się zabrał. No i przez wszystkie te lata od tamtego czasu nie przerywałem ćwiczeń. To świetna zaprawa. Ale jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się zastosować wyuczonych chwytów do prawdziwej obrony, aż do dziś!

- Ciekawe, czy i Hayden dostaje ostrzeżenia. - Elizabeth się zamyśliła.

Jack spojrział na nią z namysłem.

- Trafiłaś w dziesiątkę! Oczywiście istnieje jeszcze jedna ewentualność.

- Jaka?

- Że to on wysłał tych zabijaków. Może ma własny plan ograniczenia konkurencji przy licytacji.

- Zaczynasz zachowywać się jak paranoik.

- Czyżby?

- Posłuchaj mnie, Jack. Patrz mi w oczy i czytaj z ruchu warg. Jeśli nie wierzysz, że to ja byłam tam na taśmie, nie powinieneś poważnie brać pod rozwagę udziału Haydena!

Zamknął oczy i znowu oparł głowę o brzeg wanny.

- Odrzuciłem wersję o twoim współudziale, ale to nie oznacza automatycznie niewinności Haydena.

- Pozwalasz, by logikę twojego rozumowania zakłóciły uczucia dotyczące sfery osobistych przeżyć. Jeśli Hayden spiskował z Tylerem Page'em, po co miałyby przyjeżdżać do Mirror Springs? Zabrałby Soczewkę i złapał pierwszy lot do Amsterdamu czy Berlina albo na Bliski Wschód!

- Zemsta jest słodsza, jeśli jej obiekt dowiaduje się, przez kogo cierpi!

- Hayden nie miał nic wspólnego z kradzieżą. - Elizabeth przysiadła na brzegu wanny i zanurzyła bosc stopy w parującej wodzie. - Przyjechał tutaj w tym samym celu co my: na aukcję.

- Nie możesz mieć stuprocentowej pewności! - rzeki Jack.

- Owszem, mogę. Raz w dniu przyjazdu, a drugi raz tamtej nocy w Zwierciadle, gdy ty prowadziłeś negocjacje na najwyższym szczeblu w męskim kiblu, zasugerował, żebym pieniędzmi Fundacji Aurory wsparła jego starania, zamiast siedzieć przy tobie, gdy dojdzie do licytacji.

Oczy Jacka zwiężyły się w szparki.

- A to łajdak! Czemu nic mi nie mówiłaś?

Elizabeth wzruszyła ramionami.

- Nie chciałam dolewać oliwy do ognia. Jesteście już dostatecznie skłóćeni.

- Co za łajdak! Powinnaś była mi powiedzieć.

- Podjęłam dyrektorską decyzję. Nie muszę wszystkiego konsultować z tobą!

- Elizabeth, do cholery!

- Wróćmy do tego, że nie proponowałby mi współpracy, gdyby nie przyjechał tu na licytację. Powtarzam, że to nie on wykradł próbkę. Jest tutaj, żeby ją kupić.

Z twarzy Jacka wyczytała ochotę do dalszej kłótni, ale nieoczekiwanie zmienił taktykę.

- W zeszły wtorek Hayden zabrał cię na kolację i powiedział, że słyszał pogłoski o zniknięciu Soczewki. Mówił ci, w jaki sposób plotki dotarły do jego uszu?

- Prawdę mówiąc, byłam tak oszołomiona możliwością zniknięcia Soczewki, że nie jestem pewna, czy zapamiętałam wszystkie szczegóły. - Elizabeth usiłowała wrócić pamięcią do owego wieczoru. - Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonana, że wspomniał coś o anonimowym telefonie z informacją.

- Niezbyt oryginalny wykręt! Dziwne, że nie zdobył się na odrobinę więcej technologicznej fantazii... faks albo tajemniczy list, przesłany pocztą elektroniczną.

Elizabeth znowu wzruszyła<sup>1</sup> ramionami.

- W gruncie rzeczy telefoi to najprostszy i najpewniejszy

sposób przekazania wiadomości, jeśli chcesz być absolutnie pewny, że dotrze do właściwego odbiorcy. Zastanów się choć przez chwilę, a dojdiesz do tego samego wniosku! A zmienić głos to naprawdę żaden problem.

- No, tak.

Elizabeth spojrzała na niego uważnie.

- Jakiś czas temu zaproponowałeś, żebyśmy usiedli, spisali to, co wiemy, i spróbowali jeszcze raz złożyć wszystkie fragmenty zagadki w jedną całość. Sądzę, że to świetny pomysł.

- Ja też, ale już nie dzisiaj. Muszę się najpierw trochę przespać.

- Masz rację.

Jack zanurzył się głębiej w ciepłej wodzie.

- Masz zamiar siedzieć tak na brzegu i chlapać nogami, czy chcesz się wykapać? - zapytał.

- Czy pozwolisz mi zadać jedno pytanie przed podjęciem decyzji?

- Jeśli nie wymaga wyczerpującej gimnastyki logicznej ani racjonalnego rozumowania. Przejściowo nie jestem zbyt sprawnym umysłowo.

- Nie, to proste pytanie. - Umilkła, próbując zebrać się na odwagę. - Wcześniej... zanim nadzialiśmy się na tych opryszków, powiedziałeś, że nie nabrałeś się na zdjęcia, na których przyłączam się do Tylera Page'a i Haydena w jakimś hoteliku. Wyjaśniłeś, że wielu ludzi potrafiłoby sfabrykować taki film.

- Co z tego?

- Nie byłeś taki szybki, żeby odrzucić możliwość, że Hayden spiknął się z Page'em i że wspólnie wykradli kryształ.

- Co z tego? - powtórzył.

Elizabeth pomyślała, że łatwiej byłoby toczyć pod górę ciężki kamień, ale teraz nie mogła się już wycofać:

- Zastanawiam się, czemu tak szybko odrzuciłeś dowody świadczące przeciw mnie?

- Ponieważ jedynym motywem, jaki mógłby cię skłonić do porwania kryształu, byłaby zemsta.

Teraz przysłała jej kolej na niezbyt oryginalne pytanie:

- Co z tego?

- Wymyślny, zapięty do ostatniego szczegółu plan zemsty,

zakładający współdział innych osób, daleko posunięty kamuflaż i otwarte kłamstwa to działanie nie w twoim stylu.

Elizabeth przez chwilę rozważała jego diagnozę.

- Aha. A co byłoby w moim stylu?

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami, a jego zmęczoną twarz rozjaśnił przelotny uśmiech.

- Natychmiastowa reakcja, trafiająca prosto w sedno problemu, to twój styl. Wylać komuś na głowę dzbanek wody z lodem w wykwintnej restauracji, nie zważając na tłum gości... To byłoby w twoim stylu. Wyzwanie mnie od wysysających jaja padalców na oczach i uszach połowy Seattle... - to też w twoim stylu...

- Nigdy mi nie odpuszczisz?

- Dopóki dech we mnie kołaczę!

- Nie uważasz, że to nudny styl zemsty i w dodatku łatwo go przewidzieć?

- Nic w tobie nie jest nudne.

- Ale łatwo przewidzieć moje postępowanie.

- To ci tylko dodaje uroku \- zapewnił szarmancko Jack.

- Muszę chyba na tym poprzestać. - Elizabeth obrzuciła go baczny spojrzeniem, ale półmrok nocy nie pozwalał sięgnąć wzrokiem pod spienioną powierzchnię wody. - Czy tym razem włożyłeś kąpielówki?

- To zabawne, że pytasz...

- Nic na sobie nie masz, tak?

- I ja pod pewnymi względami jestem łatwy do przewidzenia!

- Ale nigdy nudny - dodała miękko Elizabeth. Rozwiązała pasek i strząsnęła szlafrok z ramion, a gdy poczuła na nich powiew chłodnego wiatru, nabrała głęboko powietrza i wślizgnęła się do gorącej kąpieli.

Jack uśmiechnął się szeroko, gdy przysiadła na podwodnej ławeczce tuż koło niego.

- Jak widzę, zrezygnowałaś z dziwnego zwyczaju wkładania kostiumu do jacuzzi.

Położyła mu dłoń na udzie.

- Nie chciałabym być kobietą, której zachowanie można zawsze przewidzieć.

Zaczęła zataczać palcem powolne, coraz obszerniejsze koła

po wewnętrznej stronie uda Jacka. Dłoń niepostrzeżenie skradała się coraz wyżej, aż wreszcie uwięził ją między swoimi palcami i podniósł do ust. Całując mokre palce, patrzył na Elizabeth spod rzęs.

- Najłatwiej przewidzieć moją reakcję na twoją bliskość. Jest pewna jak wschód słońca!

Przenikliwy jazgot wdarł się w sen, w którym błąkała się w niezmierzonej płataninie korytarzy i ślepych zaułków nieodmiennie wiodących donikąd.

Dzwonek nie był właściwie potrzebny: wprawił ją tylko w większe rozdrażnienie. Jeszcze jedna przeszkoda!

Nie potrzebowała natarczywego świdrowania, by czuć zbliżające się niebezpieczeństwo. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę, że oboje zbliżają się do krawędzi ryzyka. Wiedziała, że musi się skupić. Musiała uspokoić umysł i zacząć myśleć logicznie i chłodno. Ale jak to zrobić, gdy w uszy wwiercał się cholerny brzęczyk alarmu?

Wyskoczyła nad powierzchnię sennego koszmaru i bez żadnego przejścia wylądowała na jawie. Zamrugnęła w obronie przed rozproszonym światłem nieba zasnutego równomierną warstwą chmur. Na oślepie wymacała telefon i podniosła słuchawkę do ucha.

- Halo?

- Ajaj, ktoś wstał dzisiaj lewą nogą! - usłyszała wesolutki głosik Louise.

- Zostaw te żarciki, Louise, nie jestem w humorze! - Elizabeth czuła, jak noga Jacka osuwa się między jej łydki, a jego ramię zaciska wokół jej ramion. Weź się w garść... to był tylko sen! - Masz coś nowego?

- Jeszcze nie jestem do końca pewna - przyznała Louise. - Może to nic ważnego, ale ucięłam sobie kilka rozmów ze znajomymi, którzy znają reporterów od lat obsługujących festiwale filmowe. Uwierz mi, wasz nie jest jedyny, w całym kraju aż się roi od rozmaitych imprez tego rodzaju! Kiedyś jeździło się tylko do Cannes i Santa Fe, ale dziś... Każda miejscina poczytuje sobie za honor urządzać jakiś festiwal filmowy.

- Przejdiesz do rzeczy czy będziesz tak pleść dalej?
- Już, już. Chodzi o to, że Dawson Holland od lat snu! się po obrzeżach kręgów ludzi zajmujących się zawodowo czy po amatorsku filmem. Miał w zwyczaju sypiać z aktoreczkami... i nadal to robi, choć ma żonę.
- Co? - Elizabeth wyprostowała się i oparła o poduszki. - Nadal sypia z innymi, choć ma za żonę Vicky Bellamy?
- A jakże! Nie ma co prawda nikogo specjalnego, za każdym razem bierze sobie inną babeczkę. Co tu dodać? Facet lubi się rżnąć, ale nie angażuje się z żadną z tych panienek na jedną noc czy wieczór miłosnych igraszek. Można powiedzieć, że w pewnym sensie jest wiemy!
- W stosunku do Vicky?
- W każdym razie od osiemnastu miesięcy.
- Ich małżeństwo trwa dopiero półtora roku?
- Aha!
- Hmm... - Ciekawe, czy Vicky wiedziała o innych kobietach. Czyją to w ogóle obchodziło? - Masz coś jeszcze na Hollanda? - spytała Elizabeth.
- Czekaj no! - Louise zrobiła dramatyczną pauzę. - Zanim spotkał Vicky Bellamy, był dwukrotnie żonaty.
- Tyle to i ja wiem. Nic specjalnego, szczególnie w tych kręgach towarzyskich!
- Ale czy wiesz, że dwukrotnie zostawał wdowcem? - spytała Louise głosem, w którym drżał ledwie tłumiony triumf.
- Elizabeth ujrzała szeroko otwarte oczy Jacka, który obserwował jej twarz, najwyraźniej domyślając się tematu rozmowy.
- Czy umarły śmiercią naturalną?
- Nie! Obie zginęły w wypadkach samochodowych, pierwsza już blisko dwadzieścia lat temu. Druga spadła z urwiska do oceanu, osiem lat temu. Ale naprawdę interesującą część dopiero usłyszysz: za każdym razem Holland dziedziczył kupę szmalu. Pierwsza żona zostawiła mu kilka tysięcy akcji firm zajmujących się zaawansowaną technologią, których wartość giełdowa dziwnym trafem poszybowała w górę jak rakieta tuż przed jej śmiercią.
- A druga?
- Louise zaśmiała się sucho.

- Osobliwym zbiegiem okoliczności kilka miesięcy przed jej śmiercią wykupił olbrzymią polisę ubezpieczeniową na jej nazwisko.
- Palce Elizabeth zbielewały od kurczowego trzymania słuchawki.
- Ale przecież musiało być jakieś śledztwo?
- Jasne! Firma ubezpieczeniowa wysłała detektywa, który nie mógł wywęszyć niczego podejrzanego. Musieli więc zrealizować polisę.
- Elizabeth zmartwiała.
- Czy Vicky ma jakiś majątek?
- Nic, sprawdziłam. Żadnych pieniędzy w rodzinie, żadnych spodziewanych zapisów. Przez większość życia utrzymywała się wyłącznie z pracy własnych rąk, jak to niegdyś mawiano. Nie zdołałam wiele się dowiedzieć na jej temat, ale nie dokopałam się żadnej wzmianki o majątku. - Louise najwyraźniej przeglądała notatki, bo słychać było szelest papierów. - Można natomiast sprawdzić, czy Dawson Holland wykupił dla niej polisę ubezpieczeniową.
- Ciarkę przechodzą mi po grzbiecie. Co za upiorny facet! - powiedziała Elizabeth.
- Upiorność to zdaje się jego specjalność.
- Jeśli twoje domysły na temat dwóch nieżyjących żon są słuszne, może być czymś więcej niż upiornym facetem.
- Mówię ci, w obu przypadkach nie ma żadnych dowodów jego winy. Ale mój informator sugeruje, że ta czarna seria zakrawa na coś więcej niż ponury zbieg okoliczności. To chyba wszystko. Mam grzebać dalej?
- Tak! - Elizabeth zabębniła w roztargnieniu palcami po barkach Jacka. - I dzwoń natychmiast, jak będziesz coś miała!
- Tak jest! - dodała innym tonem Louise. - Jak sobie radzisz z padalcem?
- Elizabeth czuła, że jej twarz aż po czoło zalewa krwisty rumieniec. Wbiła wzrok w okno, unikając spojrzenia Jacka.
- Doskonale... świetnie!
- Aha, on tam jest, prawda? W twoim łóżku, przy twoim boku.
- Muszę lecieć, Louise.
- Oczywiście niełatwo mi pytać, ale mój instynkt dziennikarski każe mi drażnić temat. - Louise odchrząknęła. - Czy w ig-

raszkach z tym wysysającym jaja padalcem jest coś... hm... specjalnego?

Elizabeth w popłochu cisnęła słuchawkę na widełki.

- No i? - spytał z zaciekawieniem Jack.

- Jak myślisz, czy Larry umiałby przez te swoje komputerowe czary dowiedzieć się, czy Dawson Holland nie wykupił przypadkiem polisy ubezpieczeniowej na wypadek śmierci Vicky Bellamy?

- Niewykluczone. - Uniósł się lekko i oparł na łokciu. - Masz coś ciekawego?

- Mam paskudne przecucie!

Dwie i pół godziny później Jack odłożył słuchawkę i odwrócił się do Elizabeth ze ściągniętą, zamyśloną twarzą.

- Co ci powiedział Larry? - spytała, podnosząc filiżankę z kawą.

Obszedł bufet i nalał sobie kawy z ekspresu.

- Holland rzeczywiście wykupił wysoką polisę ubezpieczeniową na życie Vicky Bellamy. Jakies cztery miesiące temu.

- Czy potwierdził również podejrzane okoliczności śmierci poprzednich żon tego popaprańca?

- W archiwach nie znalazł nic, co pozwoliłoby przypuszczać, iż tamte śmierci miały przyczynę inną niż nieszczęśliwy wypadek. - Jack przełknął łyk gorącego naparu. - Firma ubezpieczeniowa wypłaciła całą sumę ubezpieczenia drugiej żony, oficjalnie więc nie ma żadnych śladów manipulacji, ale...

- Zamieniam się w słuch!

- ...za każdym razem w ciągu miesięcy poprzedzających śmierć małżonki Holland doznawał dotkliwych strat finansowych. Za pierwszym razem udało mu się odbić od dna dzięki odziedziczonym akcjom, za drugim razem uratowała go polisa małżonki numer dwa.

Ich oczy się spotkały.

- Poprzednio Larry mówił ci coś o poważnych stratach, jakie poniósł Holland w ciągu minionych miesięcy, prawda? Wspominał o plajcie jakiejś firmy?

- Owszem. - Jack uniósł brwi w niemym zapytaniu. Elizabeth milczała, więc ją ponaglił:

- Co kombinujesz? - spytał.

Jeszcze chwilę rozważała wszystkie implikacje, wynikające z myśli, która przed chwilą przysłała jej do głowy.

- Tak sobie myślę, że przysługa za przysługę, ostrzeżenie za ostrzeżenie!

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

V icky siedziała przed lustrem, bacznie śledząc odbicie Dawsona, który wychodził właśnie z łazienki. Zauważyła, że na twarzy męża coraz bardziej zacierają się dobroczynne skutki ostatniego liftingu: linia szczęki wiotczała, pogłębiały się bruzdy wokół warg. Wciąż miał szczupłą sylwetkę, ale nawet najwytrwalszy trening z osobistym instruktorem nie przywróci mu już twardości mięśni młodego mężczyzny. Coraz szybciej wkradały się zdradliwe oznaki wieku: tu i ówdzie zwiślały żałośnie luźne fałdy skóry. Znowu zadała sobie pytanie, co widzą w nim te inne kobiety. Przecież z żadną nie zadawał się na tyle długo, by mogła położyć zachłanną łapkę na jego forsie! Czy to możliwe, by nabierały się na mgliste obietnice? Czy były do tego stopnia naiwne, by wierzyć, że z wdzięczności wkręci je do filmu?

W gruncie rzeczy nie mogła ich winić. Sama mu uwierzyła, och, dawno temu, na początku ich znajomości, ale od tamtej pory poznała prawdę. Kiedy

go spotkała, miał wystarczające zasoby finansowe, by zając decydującą pozycję w świecie filmu, zostać „graczem”, jak w branży filmu nazywano prawdziwych potentatów, lecz problem polegał na tym, że Dawson nie był zainteresowany udziałem w intrygach i manipulacjach Hollywoodu. Trzymał się na samej krawędzi filmowego światka, żeby mieć dostęp do gwiazdeczek i statystek o miłych buziach - głupiutkich, próżnych panienek, dzięki którym mógł wciąż na nowo czuć się młodo. Ale Vicky poznała go na wylot i wiedziała już, że nigdy nie odważy się zainwestować poważnych sum w jakąś liczącą się produkcję.

Ostatnio zaczęło zresztą brakować pieniędzy na jakiegokolwiek inwestycje. Nie znała wszystkich szczegółów, bo Dawson utrzymywał ścisłą dyskrecję w sprawach majątkowych, ale przecież nie była głupia, więc szybko wyczuła, kiedy jego interesy zaczęły podupadać. Oczywiście liczyła na to, że Dawson się odegra i ponownie stanie na nogi. Wydawał się człowiekiem obdarzonym Midasowym palcem: wszystko, czego się dotknął, zamieniało się w złoto. Tymczasem jednak, jak podejrzewała, utrzymywał wiarygodność finansową wyłącznie dzięki opinii i osobistemu urokowi.

Cóż, Dawson odzyska prawdopodobnie wypłacalność, ale czy nawet wówczas mogła liczyć na coś więcej niż drugoplanowe rólki w niezależnych produkcjach w rodzaju *Zakazanej ferajny!* Wiedziała już, że mąż nie pójdzie na takie ryzyko. Być może zdawała sobie sprawę od samego początku. Zawsze była dumna z daru realistycznej oceny rzeczywistości i praktycznego podejścia do życia, ale przyznawała szczerze, że gdy w grę wchodziła jej namiętność do sztuki aktorskiej, traciła owo wyczucie realizmu i potrafiła ulegać złudzeniom. Każdy ma prawo do jakiejś słabości - usprawiedliwiała się.

Wszystkie bez wyjątku kobiety Dawsona to bezmyślne stworzenia o gładkich buziach. Szczerze ją bawiły wysiłki męża, by ukryć przed nią swoje przelotne przygody bez znaczenia i przyszłości. W gruncie rzeczy odbierała te zabiegi jako komplement - wyraz perwersyjnej troski o ich związek. Niewątpliwie obawiał się, że odkrywszy prawdę, Vicky może chcieć odejść.

Nie wypadało jej wyjaśnić otwarcie, że niczego takiego nie musiał się lękać. To byłoby równoznaczne z rezygnacją z lwiej

części władzy, jaką nad nim miała, a władza była jedyną walutą przetargową w ich związku. Tę lekcję Vicky opanowała już dawno temu.

Dawson stanął przed lustrem i ze skupieniem dopinał kołnierzyk czarnej koszuli z jedwabiu.

- Więc to już jutro, moja droga. Twoja wielka noc! Podnieca cię to?

- Troszeczkę.

- Wyluzuj się. Jestem pewien, że wygrasz.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Bez wątpienia! -uśmiechnął się i spojrzał krytycznie na swe odbicie. Zadowolony z efektu, odwrócił się od lustra. - Obawiam się, że *Zakazana ferajna* nie będzie najlepszym filmem festiwalu, ale sędziowie z pewnością docenią twoją grę. Byłaś fantastyczna!

- To dzięki tobie.

Podniosła się od toaletki i podeszła do szafy, żeby nie patrzeć w uśmiechniętą łagodnie twarz męża. Nienawidziła tego uśmiechu macho. Taki sam obleśny, pełen wyższości uśmieszek miał na twarzy jej ojciec, kiedy budził się rano po nocy spędzonej w jej łóżku.

Wyjęła białoniebieską bluzkę i parę dobranych odcieniem spodni, przywołując całą siłę woli, by wymazać wizję ojcowskiej twarzy, przebijającą w jej wyobraźni przez rysy męża. Nie bez wysiłku udało jej się odpędzić demona przeszłości.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - spytał Dawson z niedbałym męzowskim zainteresowaniem.

- Chciałabym pojechać do uzdrowiska. Myślę, że dobrze mi zrobi masaż i kąpiel w jednym z tych mineralnych źródeł. - Odwróciła się do niego i posłała mu swój świetlisty uśmiech. - Dawsonie, co do jutrzejszej nocy...

- Nie ma wątpliwości, że cię uznają za najlepszą aktorkę, moja śliczna!

Rzuciła mu rozbawione spojrzenie.

- Nie mów, że przekupiłeś sędziów!

- Nie było takiej potrzeby - zapewn i ją szarmancko. - Musieliby wykazać się bezgraniczną głupotą a, gdyby nie zauważyli twojego sukcesu w *Zakazanej ferajnie*. Co włożysz? Tę białosrebrną suknię?

- Owszem.

- Doskonały wybór. Wyglądasz w niej porywająco!

Vicky zawahała się.

- Dawsonie, czy powiedziałeś Oliemu, żeby skończył ze skradaniem się za mną i tymi idiotycznymi napaściami? Nie chciałabym, żeby właśnie tej nocy wylał na mnie kubeł czerwonej farby!

- Jasne, że go odwołałem, maleńka! Reklama to dobra rzecz, ale nie pozwoliłbym, żeby zepsuł ci taki ważny wieczór.

- Dziękuję ci. - Podeszła do męża uspokojona i złożyła na jego ustach lekki, prowokujący pocałunek: ni to niewinna, ni to wyuzdana pieśczoła prawowitej żony. Sama sobie pogratulowała zdolności aktorskich. Szkoda, że nikt inny nie mógł docenić jej sztuki. Umiała na przykład bezbłędnie zamaskować odruch wstrętu, jaki budziło w niej powracające widmo ojcowskiego oblicza, które wyzierało ku niej z twarzy Dawsona, kiedy się kochali. Dlatego właśnie za wszelką cenę starała się zająć pozycję uwodzicielki, zamiast zgodzić się na rolę uwodzonej... Dopóki utrzymywała kontrolę, zachowywała nad nim władzę. A władza oznacza wszystko: to jedyna gwarancja przetrwania.

Jack bacznie przyglądał się przyborom biurowym, ułożonym w schludnym szyku na biurku Dawsona Hollanda: po prawej stronie staromodnej podkładki do pisania leżało masywne pióro, błyszczące wąziutkimi paskami ze złota na oprawce. Niewyszukany warsztat pracy uzupełniał laptop, a u szczytu biurka stała centralka telefoniczna o dwóch osobnych wyjściach.

Plan przeszukania domu Hollanda zatrzymał dla siebie. Mógł się bowiem spodziewać, jak bardzo Elizabeth będzie się nim niepokoić. Nie spodziewał się poczynić żadnych epokowych odkryć, szczególnie gdy się przekonał, że nie wydobędzie nic z pamięci osobistego komputera finansisty. Ale w gruncie rzeczy nie miał wyboru; nie zamierzał siedzieć beczynnie do chwili, gdy Tyler Page ogłosi początek licytacji.

Sfrustrowany, gapił się na laptopa. Próbował już przenieść choćby część zawartości twardego dysku na dyskietkę, ale nu samym wstępie przekonał się, że system jest chroniony hasłem.

Niestety, nie miał przy sobie Lany'ego, dla którego taka przeszkoda byłaby drobnostką. Sięgał właśnie do jednej z szuflad, gdy usłyszał pisk hamulców na podjeździe.

Kwadrans temu, ukryty w gęstwinie pobliskiego gaju, patrzył, jak Vicky i Dawson opuszczają dom - każde w swoim aucie. Być może któreś z nich czegoś zapomniało? Silnik samochodu zgasł. Jack skrzywił się z niezadowoleniem. Ufał co prawda, że umiałyby się wytłumaczyć policjantom aresztującym go za włamanie; prawdziwą obawą napełniała go raczej perspektywa wytłumaczenia Elizabeth, jakim sposobem dostał się za kratki. ,

Podszedł do olbrzymiego szklanego okna, które tworzyło południową ścianę sypialni, i zerknął przez szczelinę w żaluzjach. Na podjeździe stała odrapana półciężarówka, w niczym nie przypominająca białego porsche Vicky ani eleganckiej terenówki, którą jeździł Dawson. Z kabiny kierowcy wysiadła kobieta w średnim wieku. Spieszny krok podszła do bocznych drzwi, po drodze wyjmując klucze z torebki. Przyjechała gospościa Hollandów - zorientował się z ulgą, ale kiedy usłyszał ją na schodach, zaklął pod nosem i się w popłochu rozejrzał. Nie rzuciło mu się w oczy żadne miejsce, które mogłoby posłużyć za tymczasową kryjówkę, a szafy na ubrania i łazienkę uznał z góry za zbyt ryzykowne. Wykluczone, by zdołał się wcisnąć pod łóżko!

Musiał wyjść na taras. Szczęśliwym trafem wpadł mu w oko niewielki schowek pod okapem balkonu. Mógł mieć tylko nadzieję, że gospościa nie pójdzie na górę po coś, co znajdowało się akurat w tym schowku! Złapał za klamkę i pchnął oszklone drzwi. Stąpając na palcach, wyszedł na taras i zamknął je za sobą. Schowek był zamknięty na skobel, ale na szczęście nie było zasuwki. Uchylił je ostrożnie, pilnując, by nie zaskrzyphiały, i zajrzał do wnętrza. Na podłodze leżał luźno zwinięty wąż ogrodowy, obok stało kilka składanych leżaków i konewka. Było dość miejsca do ukrycia się. Wślizgnął się do środka, przymykając drzwi. Otulił go mrok. Stał bez ruchu, wytężając słuch.

Domniemana gospościa nie zabawiła długo, bo już po kilku minutach usłyszał warkot silnika i sterana półciężarówka potoczyła się z chrzęstem po zwirowanej alejce w kierunku bramy.

Jack otworzył drzwi schowka i zrobił krok do przodu. Podeszwa buta o coś zaczepiła. Zerknął w dół, na trzy puszki farby, ustawione pedantycznie jedna na drugiej, tuż koło pętli gumowego węża.

Farba była czerwona.

Elizabeth przystanęła przy leżance.

- Mogę się przysiąść?

Vicky Holland, jeszcze zaróżowiona od masażu, wypoczywała otulona w miękkim białym szlafrok, z fryzurą osłoniętą szmaragdowym turbanem. Nie zdradziła ani śladu zaskoczenia na widok stojącej nad nią Elizabeth.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję. - Elizabeth postawiła na niskim stoliku jogurt owocowy, który kupiła przed chwilą w uzdrowiskowym barku, i zajęła sąsiednią leżankę. Rozejrzała się ukradkiem i upewniła, że w zasięgu słuchu nie ma nikogo. Na szczęście o tej porze kąpielisko - kilka eleganckich wyłożonych kafelkami w pastelowych odcieniach basenów, zasilanych z gorących źródeł wód mineralnych - świeciło pustkami. Po starannie odrestaurowanym wnętrzu snuła się garstka gości, przeważnie otulonych w długie kąpielowe ręczniki lub szlafroki. Kilka osób siedziało na ławeczkach zainstalowanych wzdłuż brzegu obszernego jacuzzi. Kąpielowi w białych mundurkach krzatali się między gabinetami rozmaitych terapii, oferując kilka odmian masażu, kąpiele zdrowotne, borowiny i usługi kosmetyczne.

- Tamtej nocy na zapleczu Zwierciadła odniosłam wrażenie, że zostałam ostrzeżona przed jakimś niebezpieczeństwem. Czy mam rację? - zaczęła Elizabeth.

Vicky przymknęła oczy.

- Jeżeli to pani odpowiada...

- Doskonale. Zdaję się na intuicję i wybieram tę wersję: próbowała mnie pani ostrzec, co oznacza, że wie pani, kim jestem.

- Prezeską Fundacji Aurory.

- A pani jest żoną Dawsona Hollanda - odparowała Elizabeth.

- Co ma z tym wspólnego mój mąż?



- Sądzę, że znalazł się tu z tego samego powodu co ja i Jack. A może i pani przyjechała po to samo? Wszyscy zebraliśmy się w Mirror Springs w oczekiwaniu na licytację.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Ja przyjechałam na festiwal!

- Wie pani co? Bywają mężczyźni, którzy nie umieją utrzymać małżeństwa. Słyszałam, że Dawson Holland właśnie do takich należy!

Vicky otworzyła wreszcie oczy i utkwiała w Elizabeth przenikliwie, kocie spojrzenie.

- Wiem, że był przedtem dwukrotnie żonaty, jeśli to ma pani na myśli. Wiem, że kurwi się na prawo i lewo. Nie drażni mnie ani pierwsze, ani drugie. Ale oba fakty nie należą do spraw, które powinny panią obchodzić!

- Ciekawe, czy wie pani również, że poprzednie małżonki Dawsona Hollanda zginęły w wypadkach samochodowych, przy czym on za każdym razem dziedziczył duży spadek? I że kilka miesięcy temu wykupił polisę ubezpieczeniową na wypadek pani śmierci?

Piękne oblicze Vicky zastygło w nieodgadniona maskę.

- Czemu mi pani to wszystko mówi?

- Zaczęłam od tego, że pani mnie ostrzegła. Chciałam się więc odwdziaczyć. Uprzejmość za uprzejmość! Przyznam, że nie umiałam uczynić tego w sposób tak subtelny i sprytny jak pani, ale proszę mi wybaczyć, nie znam żadnych scenariuszy, więc musiałam improwizować.

Vicky długo przyglądała jej się w milczeniu. Wreszcie uśmiechnęła się chłodno.

- Pani sypia z Jackiem Fairfaksem?

- A to ma jakieś znaczenie?

- Nie dla mnie. Tyle że znając wszystkie fakty, zaczynam posądzać panią o brak rozsądku i zastanawiać się, jaki motyw skłonił panią do tego wielkodusznego ostrzeżenia. Widzi pani, ja wiem, jaki numer wyciął pani Fairfax. Dawson opowiedział mi, że pani pieszczoszek wmanewrował panią w kontrakt, żeby ratować bankrutującą spółkę z Seattle, którą próbuje uratować.

- Więc pani mąż wie, co się stało w Seattle?

Vicky uśmiechnęła się, nie podnosząc leniwie opuszczonych powiek.

- W niektórych kręgach nie jest to tajemnica.

Elizabeth patrzyła, jak jeden z gości schodzi do basenu z kryształowo czystą wodą, wypływającą z palującego źródła pośrodku przestronnej sali obramowanej elegancką kolumnadą. Poczwała ledwo uchwytny, charakterystyczny zapach wody bogatej w minerały. Postanowiła zadać jeszcze jedno pytanie:

- Czy dlatego ostrzegła mnie pani wtedy? Z litości nade mną, bo uważa pani, że dałam się omotać facetowi, który z zimną krwią mnie wykorzystuje?

- Naiwność to czarująca cecha, panno Elizabeth Cabot, ale ma niesłychanie wygórowaną cenę.

## *Rozdział dwudziesty drugi*

Dopiero za trzecim razem karta magnetyczna wśliznęła się gładko w szczelinę zamka. Gdy wreszcie znalazł się w środku hotelowego pokoju, odechnął z ulgą i ruszył do podręcznego barku. Z niesmakiem zauważył, że ręka, którą wyciągnął po miniaturkę whisky, wciąż drży.

- A niech to cholera!

Na skórze całego ciała czuł nieprzyjemne igiełki, jakie wywołuje opadający poziom adrenaliny, i wciąż miał wrażenie, że temperatura krwi waha się w okolicy zera. W głowie mu wirowało i był bliski mdłości.

Tak niewiele brakowało! O włos uniknął nie-szczęścia. Przez długi czas będą go prześladowały koszmary. W uszach wciąż słyszał świst samochodu pędzącego kilka centymetrów od niego. Gdyby się nie obejrzał, gdyby nie miał refleksu, wyostrzonego latami ćwiczeń wschodniej sztuki walki... Wolał nie myśleć, jak by się to wtedy skończyło, lecz jego umysł mimowolnie wywoływał obrazy sprzed chwili:

przyciemnione szyby stalowoszarego samochodu z nadrukiem jednej z tutejszych wypożyczalni uniemożliwiły zobaczyć twarz kierowcy, ale ta okoliczność i tak nie miała znaczenia, bo wiedział, kto w Mirror Spnngs jeździ samochodem tego koloru z tej właśnie wypożyczalni...

Jednym haustem wysuszył buteleczkę i podszedł do okna, Wbił posępny wzrok w gęsto zalesiony kanion, czekając, aż trunek rozejdzie się pokrzepiającym ciepłem w zmrożonych szokiem żyłach.

Matka miała rację - brat przyrodni nienawidził go! Ale aż do dzisiejszego wieczoru nie uświadamiał sobie jak bardzo.

Nie wierzę! -Elizabeth wpadłajak burza do sypialni Jacka. - Zupełnie ci odbiło? Włamałeś się do ich domu i przeszukałeś sypialnię?

- Co mogę powiedzieć? - Otworzył szafę i wyjął czystą koszulę. - Wtedy wydawało mi się to niezłym pomysłem.

Gapiła się na niego bez słowa, bo mieszanina zdumienia i gniewu odebrała jej chwilowo mowę. W innych okolicznościach uznałaby tę sytuację za świetną okazję, by rozkoszować się widokiem Jacka zmieniającego koszulę; żaden inny mężczyzna nie wyglądał równie interesująco w samych spodniach. Niestety, szok wywołany sprawozdaniem z minionego popołudnia, unie-wrażliwił ją na męskie uroki.

- Mogła cię złapać policja! - wykrztusiła.

- Mocno wątpię. - Jack wsunął ramiona w rękawy i zaczął zapinać guziki. - Holland byłby równie niechętny mieszanemu to policji co my.

- Tego akurat nie możesz być pewien! - Elizabeth zdała sobie sprawę, że w podnieceniu zaczęła zapalczywie gestykulować, a to zawsze był u niej zły znak. - Jack, poszedłeś na straszne ryzyko!

~ Wyluzuj się, przecież nic się nie stało.

- Naprawdę? Skoro nie było ryzyka, czemu nie uprzedziłeś mnie wcześniej, że planujesz taki uroczy skok?

Podwinął mankiety.

- Wiedziałem, że wściekłabyś się.

- Miałabym pełne prawo i nadal je mam! Dobry Boże, pomyśleć tylko... W dodatku nic nie osiągnęłaś. Gdyby cię przyłapali, cała kompromitacja poszłaby na marne!

- Niezwykle, znalazłem te puszki czerwonej farby - przypomniawszy Jack i przywołał na twarz wyraz urażonej dumy.

- Wielkie mi odbycie! I tak podejrzewaliśmy ich, że własnoręcznie organizują występy tego prześladowcy. To nie ma nic wspólnego z kradzieżą kryształu!

- Może tak, a może nie.

Elizabeth skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Co masz na myśli?

- Sam nie wiem - przyznał Jack. - Ale przyszło mi do głowy, że jeśli Dawson Holland ma zamiar zostać po raz trzeci wdowcem, napaść szaleńca może być wygodnym sposobem, by uczynić z żony ofiarę własnej popularności, a nie zachłanności męża!

Elizabeth głośno przełknęła ślinę.

- Masz rację. Trzeci wypadek samochodowy byłby zbyt podejrzany.

- No właśnie! Jak zareagowała Vicky, gdy opowiedziałaś jej o małżeńskim pechu Dawsona?

- Bardzo chłodno. Nie przejęła się ani trochę! - Elizabeth odwróciła się z niechętnym wzruszeniem ramion. - Odniosłam wrażenie, że ma mnie za idiotkę, gdy idzie o mężczyzn.

Jack podszedł i położył dłonie na jej ramionach.

- Dlatego, że jesteś ze mną? Tak powiedziała?

- Coś w tym stylu.

- A co ty o tym myślisz, Elizabeth? - dopytywał się spokojnym, wypranym z emocji głosem. - Czy wciąż uważasz, że pół roku temu świadomie cię wykorzystałem?

- To nie jest odpowiednia pora na tego rodzaju rozmowę.

- Powiedz, czy kochałaś Gartha Gallowaya?

- Gartha? - To nieoczekiwane pytanie zbiło Elizabeth z tropu.

Okręciła się na pięcie i spojrzała mu prosto w oczy. - Co to ma wspólnego z naszymi sprawami?

- Twój szwagier opowiedział mi, że kochałaś Gartha, ale po zlikwidowaniu firmy dowiedziałaś się, że prosił cię o rękę wyłącznie na życzenie matki. Merrick twierdzi, że Camille

Galloway zamierzała w ten sposób związać Fundację Aurory z interesami swojej rodziny.

Elizabeth jęknęła.

- Merrick powinien trzymać język za zębami!

- Ale czy to prawda?

- Jakże to ma teraz znaczenie?

- Wielkie, bardzo wielkie.

Elizabeth nagle stała się podejrzliwa

- Dlaczego? - spytała.

- Bo zastanawiam się, jak bardzo zostałaś skrzywdzona dwa lata temu i do jakiego stopnia składasz na mnie winę za swoje cierpienie. - Wpatrywał się w nią bez mrugnienia okiem. - Zadaję sobie także pytanie, czy Vicky nie ma racji, zarzucając ci głupotę, skoro ponownie zaczęłaś ze mną sypiać. Czy...

Urwał w połowie zdania, słysząc stłumiony dźwięk telefonu komórkowego. Przez skupioną twarz przemknął cień rozdrażnienia, ale Jack bez słowa sięgnął po aparat leżący na stoliku przy oknie.

- Mówi Fairfax! - odezwał się szorstkim głosem, nie spuszczać oczu z twarzy Elizabeth. Słuchał pilnie i stopniowo jego rysy twardniały, ale milczał aż do chwili, gdy odłożył telefon. Stał nieruchomo i patrzył na nią bez wyrazu.

- Co się stało? - zapytała wystraszona Elizabeth.

- To był Hayden. - Jack odetchnął głęboko. - Oskarża mnie, że dziś po południu usiłowałem go zabić. Z tego, co zrozumiałem, ktoś omal go nie przejechał, mniej więcej w tym czasie, gdy wracałem z rezydencji Hollandów.

strata czasu - narzekał Jack, podążając za Elizabeth.

- Przestań jęczeć! Dostatecznie jasno dałeś mi do zrozumienia, co o tym sądzisz, ale powtarzam: nie mamy nic do stracenia, prócz tej odrobiny czasu, którego tak ci żal.

Elizabeth zatrzymała się przed drzwiami pokoju Haydena i śmiało zapukała. Jack stał za nią z zasepioną twarzą. Drzwi otworzył nieprzyjaźnie skrzywiony Hayden, ale Elizabeth odniosła wrażenie, że jego ponury nastrój nie jest reakcją na ich widok. Hayden rzucił Jackowi pogardliwie spojrzenie, po czym

zaczął demonstracyjnie udawać, że go nie dostrzega, natomiast całą uwagę poświęcił Elizabeth.

- Co tu robisz?

Poczuła woń alkoholu, ale z ulgą stwierdziła, że Hayden nie robi wrażenia bardzo pijanego.

- Myślę, że powinniśmy porozmawiać, wszyscy troje - oświadczyła stanowczo.

- Z tobą chętnie sobie pogadam, ale w trochę innych okolicznościach - wycedził Hayden, przeciągając samogłoski. - Nie mam natomiast nic do powiedzenia temu tam, Jackowi.

Elizabeth oparła dłoń o drzwi i pchnęła je, aż otworzyły się na oścież.

- Mam wrażenie, że zgodzisz się na współpracę. Chyba że wolisz, by nadal robiono z ciebie wariata, a na końcu wystawiono cię do wiatru!

Hayden cofnął się, lecz z jego twarzy nie schodził grymas niechęci przed jej determinacją.

- Co masz na myśli mówiąc o robieniu ze mnie wariata?

- Ktoś tu bawi się naszym kosztem. Nie jesteś jedyną ofiarą jego sztuczek!

Weszła do pokoju, Jack bez słowa podążył jej śladem i zamknął za sobą drzwi. Elizabeth zwróciła się do obu mężczyzn:

- Usiądźcie i spróbujcie zachować się jak dorośli. Hayden, chcemy, żebyś odpowiedział nam na kilka pytań.

Hayden z naburmuszoną miną rozparł się w fotelu.

- Nie rozumiem, czemu miałbym się wam zwierzać albo zdradzać źródła swoich informacji!

Jack milczał, ostantacyjnie wpatrzony w okno. Elizabeth westchnęła. Zadanie okazało się trudniejsze, niż się spodziewała. W duchu dziękowała losowi, że w jej rodzinie nie ma takich rozłamów, i pospiesznie zanotowała w pamięci, by zaraz po powrocie do Seattle przekazać na konto Merricka okrągłą sumkę, która powinna aż nadto wystarczyć na opłacenie kolejnej beznadziejnej inwestycji. Świadomość, że można w każdej chwili liczyć na bliskich, warta jest każdej fortuny! Wzdychając, zwróciła się do Haydena:

- Ktoś tu się z zapalem trudni ostrzeganiem ludzi. Wszystko

wskazuje na to, że dzisiaj przyszła kolej na ciebie. Nam zaserwowano jedno ostrzeżenie wczoraj w nocy.

- O czym ty mówisz? - mruknął Hayden.

- Kiedy wracaliśmy do domu, dwóch oprychów wciągnęło nas w zasadzkę i próbowało zlać twojego brata.

- Przyrodniego - skorygował Hayden odruchowo. - Poza tym nie wierzę w ani jedno słowo. On nie wygląda na pobitego.

- Mówię prawdę! - syknęła Elizabeth. - Rozumiem, że wolisz nie ufać Jackowi, ale chyba wiesz, że ja jestem godna zaufania?

- Naprawdę? Skąd mam to wiedzieć?

Spoglądała na niego wymownie, choć w milczeniu. Hayden zdobył się na tyle przyzwoitości, by się zarumienić i spuścić oczy. W tej samej chwili Elizabeth zauważyła w kącie pokoju ruchomy stolik restauracyjny z przygotowaną kolacją: dzbankiem kawy i talerzem kanapek. Na bufecie minibarku znalazła czystą filiżankę i sięgnęła po gorący napój.

- Jesteśmy zdania, że ktoś z oczekujących w Mirror Springs na licytację postanowił pozbyć się konkurencji - odezwał się Jack.

- Może to, na przykład, ty? - rzucił Hayden. - Zdziwiło mnie, że posłużyłeś się samochodem, Jack! Następnym razem spróbuj broni palnej. Jeśli kogoś przejedziesz i uciekniesz z miejsca wypadku, ryzykujesz, że policja dojdzie do ciebie, sprawdzając ślady zostawione na samochodzie.

- Jeżeli naprawdę sądzisz, że to ja usiłowałem cię przejechać, to dlaczego nie zgłosisz się na komisariat?

Hayden rzucił mu spojrzenie spode łba.

- Z czym miałbym do nich iść? Niczego nie mogę ci dowieść. Sam o tym wiesz najlepiej! Ale widziałem auto, które omal mnie nie rozkwaśliło. Srebrnoszare, jak to, które wypożyczyłeś.

- W tym tygodniu po mieście jeździ pewnie kilkaset srebrnoszarych samochodów z wypożyczalni!

Elizabeth z rozmachem odstawiła filiżankę.

- Zamknijcie się obaj! Nie zniosę więcej waszych idiotycznych wzajemnych oskarżeń! Jack nie miał nic wspólnego z zamachem na ciebie, Haydenie!

- Naprawdę? - Rzucił jej spojrzenie wyrażające powątpiewanie. - Czyżbyś towarzyszyła mu przez cały czas i możesz zaświadczyć, gdzie był o czwartej?

Jack odwrócił głowę i z bladym uśmiechem rozbawienia popatrzył na Elizabeth. Wiedziała, o czym myśli; o czwartej wracała z uzdrowiska, więc nie miała pojęcia, gdzie jest Jack, który o tej porze jechał z domu Hollanda.

- Nie, Jacka nie było wtedy ze mną - przyznała opanowanym głosem. - Ale wiem, że nigdy nie zdobyłby się na czyn, o który go oskarżasz.

- Skąd masz tę pewność, szczególnie po tym, jak cię wystawił?

- Ty chyba zupełnie zwariowałaś! - Nie mogła uwierzyć, że jego gorycz sięga tak głęboko. - Dorośnij wreszcie! Jack bywa nieco okrutny w interesach, ale...

- Bywa nieco okrutny! Żartujesz sobie! Zobacz, jak urządził Gallowaya. Do diabła, przypomnij sobie, co zrobił tobie pół roku temu! Nie mogę uwierzyć, że dałaś się omotać jego głodnym kawałkom. Zawsze miałem cię za osobę znającą się na ludziach, Elizabeth, a przynajmniej na tyle inteligentną, by potrafić uczyć się na własnych błędach!

- A ja sądziłam... nadal sądzę, że jesteś zbyt inteligentny, by pozwolić, żeby nienawiść i gorycz zaślepiły cię i odebrały zdolność trzeźwego rozumowania! - odwzajemniła się. - Nie podobał mi się sposób, w jaki Jack załatwił Gallowaya, ale przynajmniej wyjaśnił mi powód, dla którego tak postąpił. Wiem, że próbował wymierzyć sprawiedliwość za krzywdę Larry'ego, swojego brata. Nie wiem, czy sama nie zrobiłabym tego samego w podobnych okolicznościach.

Jack zerknął przez ramię, ale milczał. Hayden skrzywił się pogardliwie.

- Słyszałem, że byłaś zaręczona z Garthem Gallowayem, ale stres wywołany przejęciem jego rodzinnej firmy zniszczył wasz związek. Czy i to nic dla ciebie nie znaczy?

- Garth niezupełnie był wzorem honoru i męskich cnót. Dążył do małżeństwa ze mną, by pomóc matce przejąć Fundację Aury! - wyznała Elizabeth.

- Założę się, że to Jack wmawia ci te brednie!

- Nie! Garth sam się do tego przyznał i nie myśl, że specjalnie owijają w bawełnę!

Zapadła krótka, niezręczna cisza. Hayden zacisnął wargi. Po chwili wydusił z zażenowaniem:

- Przepraszam, wiem, jak przykro jest być w ten sposób okłamywanym. Wiem, jak się czuje ktoś, kto połknął przynętę. Przeżyłem to z Gillian... a niech to diabli! Nie chcę o tym myśleć. Teraz to już nie ma znaczenia.

- Masz rację! - przytaknęła Elizabeth. - Teraz to już nieważne. Ważniejsze, byś przestał wreszcie winić Jacka za wszystko, co ci nie wyszło, i żebyś stawił czoło rzeczywistości. Mamy przed sobą pewien problem, który może się okazać o wiele poważniejszy, niż początkowo sądziliśmy.

Hayden przypatrywał się jej z niedowierzaniem.

- Co może być poważniejszego niż zabójca, który o mały włos nie rozgniatą cię na drodze i ucieka?

Jack odwrócił się wreszcie od okna.

- Zabójca, który rzeczywiście cię rozgniatą i ucieka!

Hayden zamrugał.

- Co właściwie masz na myśli? Grozisz mi?!

Jack nie stracił opanowania.

- Nie, ja ci nie grożę. Próbuję ci uświadomić, że istnieje realna możliwość, że sytuacja stanie się naprawdę niebezpieczna. Elizabeth i ja sądzimy, że Dawson Holland także przyjechał tu, by wziąć udział w aukcji. Jeśli mamy rację, powinniśmy uważać na siebie. Są ludzie przekonani, że ten facet zaaranżował morderstwa poprzednich dwóch żon, by zgarnąć majątek jednej, a ubezpieczenie drugiej!

- Dawson Holland? - Hayden wpatrywał się w brata w osłupieniu. - Tutejsza szycha producencka? Kto ci wciska taki kit, do diabła ciężkiego?!

- Jego własna żona - wtrąciła Elizabeth.

Hayden zmarszczył czoło.

- Powiedziała ci, że chodzi mu o Soczewkę i licytację?

- No nie, ale zrobiła dość przejrzystą aluzję, że dla mojego zdrowia lepiej byłoby wynieść się z tej okolicy, a bandziorzy, którzy napadli nas wczoraj w nocy, przyznali, że wynajęto ich, by. cytuję: „przekazali polecenie”.

- Bzdura! Pieprzona bzdura, wyszana z palca! - Hayden poderwał się na równe nogi.

- W związku z tymi ostrzeżeniami - ciągnął z całym spokojem Jack - pozostaje fakt, że włamanie do laboratorium

w Excaliburze mogło stanowić element planu kradzieży kryształu.

- Nie widzę związku...

- Straż Przednia Jutra nie przyjęła odpowiedzialności za ten wybryk, choć przy innych okazjach nie wykazywali powściągliwości i ochoczo przyznawali się do swoich wandaliskich wyczynów. Należy więc rozważyć, czy istnieje inne wytłumaczenie. Pamiętaj, że włamanie dokonano kilka godzin po zniknięciu Soczewki, można więc przyjąć, że mogło być próbą odciągnięcia uwagi od właściwych sprawców.

Hayden skrzywił się.

- Zaczynasz zachowywać się jak amator teorii spiskowej albo paranoik! - Ale wbrew tym słowom na jego twarzy pojawił się wyraz zamyślenia.

Elizabeth postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

- Jest jeszcze jedna zagadka, która nie znalazła satysfakcjonującego nas rozwiązania, mianowicie morderstwo.

Tym razem nie było wątpliwości, że udało jej się przyciągnąć uwagę Haydena.

- O czym ty mówisz?

- Tej samej nocy, gdy zniszczono laboratorium, ktoś zamordował technika nazwiskiem Ryan Kendle. Policja podejrzewa, że chodziło o porachunki narkotykowe, ale przy okazji wyszło na jaw, że zatrudnił się w Excaliburze pod przybranym nazwiskiem.

- Pewnie dlatego, że był notowany za narkotyki - mruknął Hayden. - Może miał wcześniej zatargi z prawem. Ludzie fabrykują sobie życiorysy.

- To dotyczy przeważnie kilku szczegółów, nie wszystkich danych osobowych...

- Ale nie zawsze!

Jack wzruszył ramionami.

- Przyznam też, że nie zdołaliśmy dowieść bezpośredniego związku między Kendle'em i Tylerem Page'em. Kendle nie pracował nawet w tym samym laboratorium, ale w tym wszystkim jest, jak na mój gust, zbyt dużo zbiegów okoliczności!

Elizabeth stanęła za oparciem najbliższego fotela. Obie dłonie położyła na wzorzystym pokrowcu i mocno zacisnęła palce.

- Chodzi nam o to, by ci wykazać, że wydarzenia zaczynają wyłamywać się z typowego schematu przestępstwa w białych rękawiczkach, a przemoc ulega stopniowej eskalacji. W takich okolicznościach lepiej byłoby trzymać się razem.

Hayden spojrzał kwaśno na Jacka.

- Nie ma mowy! Tobie, Elizabeth, zaproponowałem pewien układ, ale prędzej zdechnę, niż się zgodzę, żeby przystąpił do niego Jack!

- I mnie nie interesuje spółka z tobą, ale skoro tu przyjechałeś, jesteś zamieszany w cały ten bałagan. Powiedz, co wiesz.

Hayden zawahał się, w końcu wzruszył ramionami:

- Nie potrafiłbym wam pomóc, nawet gdybym miał na to ochotę, od czego, nawiasem mówiąc, jestem jak najdalszy. Ale i tak nie mogę wam powiedzieć nic użytecznego. Przyjechałem, bo dostałem telefoniczne zaproszenie na licytację. To wszystko.

- Czy od chwili przybycia tutaj ktoś się z tobą kontaktował? - nie ustępowała Elizabeth.

- Raz, zaraz po przyjeździe. Powiedziano mi, że następną wiadomość otrzymam tuż przed aukcją, nic więcej. - Hayden znowu zacisnął wargi w cienką kreskę. - To znaczy, aż do chwili, gdy próbowano mnie przejechać!

- To nie byłem ja, ale skoro już o tym mowa, posłuchaj mojego ostrzeżenia - przerwał mu Jack. - Tknij tylko kryształu, a zawlekę cię do sądu i będę tam trzymał całymi latami, nawet gdybym musiał opłacać śledztwo i proces z własnej kieszeni! Nigdy nie zdołasz użyć mojej technologii we własnych badaniach i wdrożeniach!

Hayden uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Jack, skarbie, nic nie chwytasz. Wisi mi ta wasza Soczewka. Zależy mi tylko na tym, byście nie położyli na niej łap, aż minie ustalony termin prezentacji dla Veltrana!

Elizabeth ściągnęła brwi.

- Skąd wiesz o Veltranie? - spytała.

Jack ruszył ze złowróżbną miną w stronę brata.

- Kto ci powiedział?!

- Ta sama osoba, która zadzwoniła z informacją o aukcji. Chciała widocznie dostarczyć mi silnej motywacji do udziału w licytacji. Waszym problemem jest czas, prawda? Jeśli nie

odzyskanie Soczewki przed dniem prezentacji, cały projekt legnie w gruzach!

- Tyler Page! - Jack spojrział porozumiewawczo na Elizabeth. - Tylko on orientował się dokładnie, kiedy mamy przedstawić nasz produkt ludziom Veltrana!

- Od samego początku zakładamy, że to on jest złodziejem, więc nie powinniśmy być zaskoczeni - zauważyła Elizabeth. - Powiedz mi, Hayden, czy kiedykolwiek umawiałeś się z Tylerem Page'em w pokoju hotelowym?

- Nawet nie znam gościa! Nie wiedziałem o jego istnieniu aż do tamtego telefonu, kiedy ktoś mi powiedział o kradzieży kryształu, stanowiącego jakoby podstawę rewelacyjnego projektu wdrożeniowego Excalibura!

Elizabeth i Jack wymienili spojrzenia. On wzruszył ramionami, ale nic nie powiedział, ona zwróciła się do Haydena:

- Pomyśl, w co się dałeś wmanewrować. Jeśli położymy prezentację dla Veltrana, nie tylko Jack poniesie klęskę. Excalibura czeka ruina, wielu ludzi straci posady i pieniądze włożone w projekt. Dorobek całej rodziny Ingersollów pójdzie na marne!

- Znasz to powiedzenie, że gdzie drwa rąbią...?

- To niesmaczne i godne pogardy! - Elizabeth chwyciła torebkę. - Jack miał rację co do ciebie, jesteś opętany wizją zemsty do tego stopnia, że posuniesz się do każdej podłości i głupoty. W dodatku masz czelność oskarżać brata o okrucieństwo!

- Jak możesz go bronić po tym, jak nie raz, ale dwa razy wystawił cię do wiatru?! - spytał szczerze zdziwiony Hayden.

- Między mną i Jackiem istnieje różnica zdań dotycząca przejęcia Gallowaya - wyjaśniła chłodno. - Nie aprobuję tego, co zrobił dwa lata temu, i nie pochwalam sposobu, w jaki to załatwił. Ale jego motyw potrafię zrozumieć!

- Aha, zbijanie kasy - zakpił Hayden.

Elizabeth uniosła ręce w geście rezygnacji.

- Już ci mówiłam, że chodziło o waszego brata, Larry'ego! Rysy Haydena stwardniały.

- Ty dałaś się nabrać na tę bajeczkę, ale ja nie!

- Czemu po prostu nie zadzwonisz do Larry'ego i nie

spytasz go, czy to prawda? - zaproponowała Elizabeth, ledwie panując nad sobą. Odwróciła się do Jacka. - Mam tego dość Chodźmy stąd!

- Jak sobie życzysz! - Żadne nie poświęciło nawet spojrzeniu Haydenowi. W milczeniu czekali na windę i milcząc, weszli do kabiny.

Elizabeth wbiła wzrok w zasuwające się drzwi i wykrztusiła:

- To moja wina.

- Wina?

- Ta kłótnia z Haydenem. Przykro mi, że do tego doszło. Naprawdę sądziłam, że zdołamy przemówić mu do rozsądku. Nie wyobrażałam sobie, że może się okazać taki... nieelastyczny.

- Uprzedzałem.

- Owszem, raz czy dwa wspomniałeś coś w tym rodzaju.

Jack odetchnął głęboko.

- On naprawdę mnie nienawidzi.

- Ja to widzę tak: coś go dręczy, zjada od środka i wpływa na jego całe zachowanie, a on wszystko to przelewa na ciebie. Ale w gruncie rzeczy nie sądzę, by cię nienawidził.

- Czy ktoś ci już powiedział, że twoja święta naiwność dodaje ci uroku... czasami?

- Vicky napomknęła o tym dziś po południu. W jej oczach ta cecha mojego charakteru nie była zaletą.

Twarz Jacka stopniowo rozjaśniał uśmiech. Podniósł podbródek Elizabeth, pochylił się i pocałował ją krótko, lecz żarliwie. Kiedy oderwali się od siebie, nie mogła złapać tchu.

- Co to było? - wyjąkała z trudem.

- To za stawanie w obronie mojego honoru i uczciwości.

Elizabeth zarumieniła się.

- Nie bądź śmieszny! Oboje doskonale wiemy, że to nie ty próbowałeś napędzić stracha Haydenowi, udając, że chcesz go przejechać.

Oczy Jacka zabłyśły.

- Ja mogę być tego pewien, ale ty? Co daje ci tę pewność? Przecież o tej porze nie było cię ze mną!

- Wiem, że to nie jest w twoim stylu - ucięła Elizabeth szorstkim tonem. - Ty wolałbyś otwartą konfrontację. Przecież tak właśnie niedawno postąpiłeś. Nie posłużyłbyś się podstępem,

żeby wystraszyć brata, a już na pewno nie ryzykowałbyś niczego, co mogłoby się zakończyć jego śmiercią.

- Nie w moim stylu, co?

- Co cię tak bawi?

- Nic. Podobnie wyraziłem się o tobie po obejrzeniu tamtej taśmy wideo.

Ponownie zapadła cisza. Przecięli hall i wyszli na parking hotelowy. Elizabeth milczała, dopóki nie znaleźli się w samochodzie. Gdy Jack zasiadł za kierownicą, odezwała się cichym głosem:

- Wracając do Gartha...

Znieruchomiał z dłonią na kluczyku tkwiącym w stacyjce. Elizabeth nie mogła odczytać wyrazu jego oczu ukrytych za przyciemnionymi szklami okularów słonecznych.

- Co chcesz mi powiedzieć?

Nie odrywała wzroku od samochodów zaparkowanych przed nimi.

- Dla wyjaśnienia: między mną i Garthem zaczęło się coś psuć jakiś czas przedtem, zanim przypuściłeś atak na ich firmę. Podejrzewałam, że... że on... to już nieważne.

- Że spotyka się z kimś innym?

- Owszem. - Odchrząknęła z zażenowaniem. - Chcę przez to powiedzieć, że myślę, iż nasz związek rozleciałby się tak czy inaczej, nawet gdybyś nie rzucił firmy Morganowi na pożarcie. Ociagałam się z decydującą konfrontacją, bo nie chciałam opuszczać Camille i Gartha w trudnych chwilach. Jakoś nie wypadało! Mimo wszystko byh przyjaciółmi rodziny i znałam oboje od niepamiętnych czasów.

Jack położył dłonie na kierownicy i wbił wzrok w maskę samochodu.

- Nie odpowiedziałas na moje pytanie. Czy kochałaś Gartha?

- Cokolwiek do niego czułam, było to oparte na kłamstwie i błędnej ocenie... mojej ocenie rzeczywistości! Jak to kiedyś ujęła Vicky Bellamy: w życiu, jak i w filmie, wszystko jest pozorem.

Jack nagle odwrócił się do niej, schwycił za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Nie wciskaj mi kitu! Odpowiedz: kochałaś go?

Elizabeth wstrzymała oddech.

- Zaraz na początku... tak, kochałam go. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć?

Zacisnęła zęby. Wpatrywała się w swoje odbicie w przedniej szybie pojazdu.

- Nie, nie to chciałem usłyszeć, ale musiałem poznać prawdę.

- Przestań - poprosiła.

- Przestań co?

Dotknęła opuszką palca napiętych mięśni jego twarzy.

- Garth zniszczył moją miłość do niego na długo przed tym, zanim ty pojawiłeś się na scenie, Jack. Ponosisz odpowiedzialność za los Gallowaya, ale nie za to, że nasz związek się rozpadł. Nie musisz więc obwiniać się za to, że zrujnowałaś największą miłość mojego życia.

- Czy to była największa miłość twojego życia?

- Nie. - Elizabeth zamilkła na chwilę. - Póki trwała, sprawiała mi przyjemność. Ale kiedy spoglądałam wstecz, widzę, że nigdy mnie nie porwała!

Przez długi czas Jack siedział nieruchomo i wpatrywał się w nią badawczo zza przyciemnionych szkieł. Wreszcie się odezwał:

- Kiedyś ci powiedziałem, że gdybym jeszcze raz stanął przed tym wyborem, nie zmieniłbym decyzji co do przejścia Gallowaya.

- Wiem, ze względu na Larry'ego.

Otworzył usta, lecz zmienił zdanie i pochylił głowę do pocałunku. Ten różnił się od wszystkich poprzednich; Elizabeth wyczuła w nim skrywaną głęboko tęsknotę, pragnienie nie seksu, lecz czegoś innego. Czegoś większego. Przebaczenia? Odpuszczenia win?

Nie umiała tego określić, ale wyczuła palącą potrzebę i nie potrafiła się oprzeć niemej prośbie. Położyła dłonie na ramionach Jacka i oddała pocałunek. Nie z ogniem i namiętnością, jaką dotychczas budziły w niej jego pieśczęty, lecz łagodnie, serdecznie, oferując mu przebaczenie, którego szukał w jej objęciach. Przyciągnął ją do siebie i bardzo mocno przycisnął do piersi. Minęły minuty, zanim wypuścił ją z ramion, odwrócił się do kierownicy, uruchomił silnik i wyjechał z parkingu. Milczał, lecz Elizabeth, widząc wciąż zacięty wyraz jego twarzy, zro-



zumiała, że poniosła klęskę. Nie umiała dać mu tego, czego potrzebował.

Jeśli nie chodziło mu o przebaczenie, to co próbował odnaleźć w tym rozpaczliwym pocałunku?

Nazajutrz, tuż przed ósmą, Elizabeth zajęła miejsce w pierwszym rzędzie foteli na balkonie i przyglądała się, jak reszta uczestników festiwalu przybywa na ceremonię rozdania nagród. To ona obstawała za pójściem na tę uroczystość, przekonana, że Tyler Page nie oprze się pokusie, by osobiście oglądać moment, w którym, być może, jego film albo Vicky Bellamy zdobędą wyróżnienie. Jack uzna! słuszność tego rozumowania. Jeśli Page kiedykolwiek zdecydowałby się wyjść z ukrycia, to na pewno tego wieczoru miał ku temu ważne powody!

Elizabeth zerknęła na swojego towarzysza, gdy siadał w sąsiednim fotelu. Miał na sobie wytworną, skrojoną ze zwodniczą prostotą marynarkę. Stroju dopełniały czarny pulower i również czarne spodnie; w ten sposób Jack upodobił się do większości mężczyzn w teatrze, choć wyróżniała go aura - prawdziwej, nie wymagowanej - pozycji i władzy. Elizabeth zdała sobie sprawę, że ani jedno, ani drugie nie wynika z zasobności konta bankowego czy zasięgu wpływów. Jack po prostu miał to w sobie. I właśnie dlatego był tak groźnym, a jednocześnie pociągającym przeciwnikiem.

Wciąż głowiła się nad pytaniem, co się stało w czasie wczorajszego pocałunku na hotelowym parkingu. Jednego była pewna - nie powinna prosić o wyjaśnienia. Jack całym zachowaniem dawał do zrozumienia, że zależy mu jedynie na odnalezieniu Tylera Page'a.

Goście ceremonii nadal napływali szerokim strumieniem, tłocząc się w przejściach między rzędami foteli. Elizabeth utkwiała wzrok w profilu milczącego sąsiada. Gdy jechali do teatru, nie odezwał się ani razu, koncentrując całą uwagę na wąskiej, krętej drodze. Jak zwykle doskonale panował nad kierownicą i precyzyjnie pokonywał dziesiątki ostrych zakrętów, ale wyczuwała w jego skupieniu zimną determinację. Wiedziała, że incydent z Haydenem wstrząsnął nim głęboko, ale była

zaskoczona, że znów wróciła chłodna rezerwa Jacka. Postanowiła jednak nie dać za wygraną.

- Czy zamierzasz przez cały wieczór utrzymać ten iście czarujący nastrój?

- To zależy.

- Od czego?

- Od Tylera Page'a. Jeśli się pokaże...

- To nie ta niepewność wprawiła cię w czarny humor - wytknęła mu Elizabeth. - To wczorajsza scena z Haydenem. Nie chcesz o tym porozmawiać?

Ściągnął brwi i odwrócił się do niej twarzą. Ze zdziwieniem ujrzała w jego oczach błysk zaskoczenia.

- Nie!

- Jakież to typowe...

Odpowiedział wyzywającym spojrzeniem.

- Mówisz ogólnie o płci męskiej?

- Nie, o jednym szczególnym jej przedstawicielu, o tobie. Zawsze się tak zachowujesz, gdy sprawy nie idą po twojej myśli.

- Jak się zachowuję?

- Tak! - Elizabeth ujrzała przed oczami szkarłatne plamki własnych paznokci. Znowu wymachuje łapami! Natychmiast poskromiła zdradzieckie ręce i splótła palce na kolanach. - Stajesz się taki odległy i chłodny, wyglądasz na świat ze skorupy podejrzliwości i cynizmu. Trudno w takich chwilach prowadzić z tobą sensowną rozmowę!

- Naprawdę? Nie wiedziałem, że to, co teraz ma miejsce, to sensowna rozmowa!

Elizabeth wysiłkiem woli opanowała irytację i zamaskowała wzburzenie twardym uśmiechem.

- Wiesz co? Dla psychoanalityka byłbyś prawdziwym skarbem. Cóż za wspaniały obiekt doświadczalny! Na analizie relacji między tobą i Haydenem można by oprzeć całą pracę naukową!

- Wątpię, czy jakiś analityk podjąłby się studiowania tego przypadku.

- Czemu?

Jack uśmiechnął się niewesoło.

- Ani ja, ani Hayden nie wydalibyśmy nawet centa na psycho-

analizę, a żaden terapeuta z prawdziwego zdarzenia nie zajmuje się działalnością charytatywną. Chyba przyznasz mi rację?

- Nie! Niekoniecznie. Gdyby wiedział, że pacjent jest zainteresowany wynikiem terapii...

P publiczność została poinformowana, że fragment filmu, który ukazał się na ekranie, pochodzi z *Zakazanej ferajny*. Dramatyzm oświetlenia podkreślał cechy postaci kobiety modliszki, w którą wcieliła się Vicky Bellamy, skąpiana w chłodnej poświacie lamp. Elizabeth oceniła, że aktorka nie dorasta wprawdzie do pięt ani Ricie Hayworth w roli Gildy, ani Lauren Bacall występującej w *Wielkim śnie*, lecz staje na wysokości zadania. Niestety, scenarzysta włożył w jej usta kwestie, które również nie umywały się do dialogów z *Casablanki*:

- *Ależ ja go nie zabiłem! Eden, na miłość boską, musisz powiedzieć glinom, jak było naprawdę!*

- *Mam taką zasadę: nigdy nie mówić prawdy. Widzisz, Harry, życie powinno być proste, a prawda zawsze szalenie je komplikuje!*

Korzystając z wrzawy oklasków, Jack zwrócił się do Elizabeth pełnym głosem:

- Tracimy tylko czas! Jego tu nie ma. Sprawdziłem każdy rząd foteli.

- Nie rozumiem, jakim cudem udało mu się powstrzymać - odparła nieco ciszej. - Jasne, mógł się spodziewać, że *Zakazana ferajna* nie zdobędzie głównej nagrody festiwalu, ale Vicky...

- Mówiłem, że zbytnio wierzysz w teorię o zaślepiającej namiętności, której ofiarą padł Page!

- Musi gdzieś tu być - nie ustępowała Elizabeth-

- Ceremonia dobiega końca. Zostało jeszcze tylko wręczenie wyróżnień dla najlepszej aktorki i najlepszego filmu. Jeśli Page rzeczywiście jest gdzieś na sali, będzie próbował się ulotnić tuż przed zapaleniem świateł.

- Wobec tego nadszedł czas na mój rezerwowy plan - zadecydowała Elizabeth. - Jesteś gotów?

Jack zawahał się, lecz w ktrńcu z ociąganiem wstał z fotela

i zaczekał w ciemnym przejściu między rzędami, aż jego towarzysza zbierze swoje rzeczy i go dogoni. Po chwili wynurzyli się z mroku sali w rozświetloną złoceniami przestrzeń hallu. Wystrój foyer obfitował w pluszowe kotary i obicia. Poza garstką obsługi nie było tu nikogo. Barman leniwie opierał się o ladę bufetu.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - upewnił się Jack.

- A mamy wybór? - odpowiedziała pytaniem.

- Dobra, ja biorę to wyjście, ty stań tam.

Skręcił w lewo, kierując się pozornie do męskiej toalety. Elizabeth pospieszyła w przeciwnym kierunku, gdzie napis informował o przybytku przeznaczonym dla dam.

Znalazłszy się w półmroku korytarza, minęła drzwi oznaczone tabliczką „Dla pań” i dotarła do zapasowego wyjścia. Z ulgą stwierdziła, że nie ma przy nim żadnych urządzeń alarmowych. Zerknęła przez ramię, chcąc się upewnić, że nikt jej nie śledzi, i otworzyła drzwi. Boczna klatka schodowa kontrastowała z wiktoriańskim przepychem hallu ściśle utylitarnym charakterem: ostre światło jarzeniówek odbijało się od nagich ścian i padało na schody z szarego betonu. Oparła dłoń na żelaznej poręczy i prędko zbiegła do drzwi na najniższym podeście, na których widniał napis: „Wyjście”. Pchnęła je i wciągnęła w płuca orzeźwiający powiew nocy. Zapięła płaszcz i pomaszerowała alejką prowadzącą na tyły teatru. Niebawem dotarła do niewielkiego placu przeznaczony na parking i ujrzała Jacka, który na chwilę wszedł w krąg żółtawego światła jedynej lampy ulicznej, rozświetlającej mrok na tyłach budynku. Podniósł dłoń, by nie miała wątpliwości, że to on, i szybko zanurzył się z powrotem w głęboki cień po drugiej stronie placu. Elizabeth podniosła kołnierz i przygotowała się na długie oczekiwanie. Pocięszyła się, że plan nie jest skomplikowany: zakładał, iż ona będzie obserwować wyjścia awaryjne z jednej strony budynku, a Jack całą drugą stronę. W ten sposób będą w stanie dostrzec każdego, kto opuści teatr tą drogą, a nie głównym wyjściem. Jack nie wyraził wielkiego entuzjazmu, ale zgodził się na plan Elizabeth, choć dopiero wtedy, gdy zauważyła, że przez cały czas będą w zasięgu głosu.

Czas włókł się nieznośnie. Zmarznięta Elizabeth skuliła się

w sobie i wcisnęła dłonie głęboko w kieszenie płaszcza. Wreszcie usłyszeli głuchy grzmot oklasków, sygnalizujący wręczenie wyróżnienia dla najlepszej aktorki festiwalu. Elizabeth zaciekało, czy Vicky Bellamy udało się zdobyć ten laur.

Potem przyszła kolej na najlepszy film.

W żółtym tempie upłynęło kilka kolejnych minut ciszy i wi-downia wybuchnęła aplauzem dla najlepszej produkcji tegorocznego festiwalu. Elizabeth wyprostowała się czujnie, wiedząc, że niedługo goście zaczną wychodzić z teatru. Wbiła wzrok w półmrok wąskiej alejki. Jeśli Tyler Page przyszedł na rozdanie nagród, z pewnością teraz, gdy było po wszystkim, spróbuje wyjść jak najszybciej, unikając tłumów. Jeśli dopisze im szczęście, wybierze jedno z wyjść awaryjnych. Nie spuszczała wzroku z drzwi.

Na widowni rozległ się ostatni huragan oklasków; ceremonia dobiegła końca. Boczne drzwi pozostawały zamknięte. Elizabeth poczuła rosnące rozdrażnienie zmieszane z obawą: czyżby się przeliczyła? Była tak pewna, że przeniknęła motywy kierujące Page'em! Uznała, że to, co uczynił, zrobił z miłości do Vicky Bellamy, jego *femme fatale*. Jakżeby więc zdołał się powstrzymać od obecności w chwili największego triumfu ukochanej?

Pierwsi goście zaczęli opuszczać teatr. Elizabeth słyszała śmiech i strzępki rozmów. W okolicy głównego wejścia pęczniał tłum festiwalowych gości, lecz boczne drzwi nawet nie drgnęły. Szóstym zmysłem wyczuła, że podchodzi do niej Jack. Jego twarz skrywał wysoko postawiony kołnierz. Przypominał jej teraz Humphreya Bogarta z *Sokoła Maltańskiego*.

- Poddajesz się? - spytał.

- Jeszcze nie. Może wolał zaczekać, aż teatr zupełnie opustoszeje. Mógł się ukryć w męskiej toalecie albo jakimś schowku na szczytki. - Elizabeth wyjęła jedną rękę z kieszeni i machnęła nagłąco. - Wracaj na posterunek!

- Elizabeth, pogódź się z rzeczywistością. Facet nie przyszedł!

- Wciąż myślę, że... - Urwała, słysząc tuż za sobą ryk motocykla. Oboje odwrócili się w stronę źródła hałasu; snop światła z reflektora rozdarł ciemność. Uświadomiła sobie, że pojazd pędzi alejką dojazdową na zaplecze teatru. Motocykl wjechał na parking.

- Co to znaczy, do diabła? - Jack wziął ją pod ramię i pociągnął w cień przy murze. - Stój spokojnie! - syknął jej do uchu,

Usłuchała, nieruchomiejąc w kleszczach jego objęć. Pojazd przeciął strefę cienia, w której się skryli, ale motocyklista najwyraźniej ich nie zauważył. Skręcił w alejkę biegnącą po prawej stronie budynku i zbliżał się do głównego wejścia. Nic jechał zbyt szybko, lecz potężny silnik wył chrapliwie na najwyższych obrotach.

Gdy tylko pojazd ich wyminął, Jack puścił Elizabeth i razem pobiegli w ślad za nim wąską alejką. Motocyklista przeciął płamę żółtawego światła żarówki nad bocznymi drzwiami. Elizabeth wstrzymała oddech na widok odbijającego złowróbnę błyski czarnego hełmu, w którego cieniu kryła się twarz, czarnej skórzanej kurtki nabijanej metalowymi nitami i dziwnie znajomych butów z czarnej skóry ozdobionej blaszkami.

- Jack! - Złapała go za ramię i pociągnęła za motocyklem. - To ten sam facet, który napadł na ciebie na szosie! Ollie, wiesz, ten, który uciekł furgonetką!

- Skąd wiesz?

- Buty! Rozpoznałam jego buty! Chodź! Zaraz stanie się coś okropnego i załóżę się, że ofiarą padnie Vicky!

Jack nie próbował się spierać. Razem rzucili się w pościg za motocyklem. Elizabeth przeklinała w duchu wysokie obcasy. Tymczasem pojazd dotarł do rzeźbiście oświetlonego wejścia i zwolnił, a Elizabeth ujrzała, jak kierowca unosi rękę. Palce w skórzanej rękawicy zaciskały się na jakimś przedmiocie w kształcie cylindra. Dokładnie w tej chwili w drzwiach pojawiła się Vicky Bellamy w srebrnobiałej sukni, migoczącej w jaskrawych światłach neonu. Kilka kroków za nią szedł Dawson z dumnym uśmiechem na twarzy. Zatrzymał się, by powiedzieć coś mężczyźnie w ciemnym płaszczu. Tymczasem motocyklista zamachnął się ręką i powietrze przecięła płynna struga.

- Ty nierządnicco! Kurwo! Ty rozpustnicco!

Vicky krzyknęła przenikliwie. W jej głosie wibrował gniew zmieszany z lękiem. Srebro sukni splamiła czerwień farby. Dawson podbiegł, wrzeszcząc do gapiów:

- Na miłość boską, niech go ktoś zatrzyma!

Elizabeth nie sądziła, by ktokolwiek mógł coś pomóc. Wszysl-

ko potoczyło się błyskawicznie: motocyklista zniknął w ciemnościach nocy. Zaskoczony tłum rozstępował się przed nim. Elizabeth, kulejąc, zatrzymała się jak wryta, obok niej ciężko dyszał Jack. Nad wrzawę oszołomionych gapiów wybiło się przeraźliwe zawrodożenie Vicky:

- Dawsonie, spójrz, co mi zrobił! Dlaczego on mnie tak nienawidzi?! Dlaczego obrzuca mnie tymi szkaradnymi wyzwiskami?!

Mąż objął ją pocieszycielskim, opiekuńczym gestem i zapewnił:

- Jeszcze raz porozmawiam z policją, skarbie. Muszą znaleźć jakiś sposób, by go złapać! Kimkolwiek jest, to człowiek chory i niebezpieczny. Obawiam się, że dotychczasowa bezkarność tylko go ośmieli!

Jack wyjął z kredensu butelkę koniaku. Bez słowa obserwował Elizabeth, która zrzuciła z nóg doszczętnie zniszczone pantofelki i z westchnieniem ulgi wyciągnęła się na kanapie przed kominkiem. Wąska spódnica czarnej wieczorowej sukni zadarła się wysoko, odsłaniając uda. Jack zerknął z podziwem na zgrabne stopy o wysokim podbiciu i pomyślał, że są wyjątkowo seksowne, szczególnie w czarnej cieniutkiej pończosze. I pomyśleć, że dotychczas nie uważał się za fetyszystę tej części kobiecej anatomii!

Usłyszał brzęk i drgnął, gdy uświadomił sobie, że stuknął butelką o brzeg kieliszka. Cóż za niezdara ze mnie!

Z kłębowiska niezrozumiałych emocji, które w ostatnim okresie przeszkadzały mu jasno myśleć, wyłoniła się jedna na tyle prosta, że bez trudu ją rozszyfrował: świeciła nad zamętym duchowych rozterek jak latarnia morska prowadząca żeglarzy ku bezpiecznej przystani, jasna, oczywista, nieodparta: pociąg seksualny! Jakie to miłe, nieskomplikowane uczucie!

Jego oczarowane oko powędrowało wzdłuż długich nóg do granicy, którą w połowie ud wyznaczał czarny brzeg sukni. Poczul uderzenie gorąca.

Elizabeth ze zmarszczonym czołem patrzyła, jak nalewa trunku do pękatych kieliszków. Jack przypomniał sobie, że kilka

godzin wcześniej skrytykowała go za ponury nastrój, i nadzieja na nieskomplikowaną przygodę zmysłów prysła. W towarzystwie Elizabeth nic nie było proste.

- W tym incydencie przed teatrem było coś dziwnego - odezwała się nagle.

- Cała ta sytuacja jest dziwna. Sam zaczynam się czuć jak postać z filmu grozy, w którym wszystko dzieje się na opak, a przekleństwo losu wsysa głównego bohatera w otchłań nieszczęść!

- Wiem, co masz na myśli. - Elizabeth zerknęła na oprawną księgę scenariusza, porzuconą na stoliku. - Coś w rodzaju akcji *Zakazanej ferajny*. Ale mówiąc o czymś dziwnym, miałam konkretnie na myśli dzisiejszą reakcję Vicky.

Jack zatrzymał się obok kanapy i podał jej kieliszek.

- Według mnie to była dość prymitywna sztuczka reklamowa. Piękna gwiazda pada ofiarą obłąkanego widza...

- Na samym początku wrzeszczała z autentycznym przerażeniem w głosie.

- Jest przecież nie najgorszą aktorką.

Elizabeth obracała kieliszek w palcach, przyglądając się grze bursztynowych refleksów.

- Pierwszy krzyk był naturalny. Owszem, później zaczęła grać: „Dlaczego mnie tak nienawidzi?! Dlaczego obrzuca mnie tymi szkaradnymi wyzwiskami?!” To raczej teatralny dobór słów, niewiarygodny w ustach naprawdę przerażonej kobiety. Jeszcze sztuczniej brzmiał tekst Dawsona o tym, że pogada z policją, bo prześladowca staje się coraz śmielszy!

Jack prychnął pogardliwie.

- Założę się, że Holland w ogóle nie powiadomił policji o tym tak zwanym prześladowcy. Gdyby pisał choć słówko, nasz milutki Ollie byłby już dawno bez pracy... i za kratkami! Jest tak niewydarzony, że od razu dałby się złapać.

- Mnie chodzi o coś innego.

Jack zauważył brwi ściągnięte w wyrazie prawdziwego zafroskania.

- Uważasz, że „dręczyciel” może stanowić część planu Dawsona, by pozbyć się trzeciej żony, tak?

Elizabeth poruszyła się nerwowo.

- Po prostu odniosłam wrażenie, że Vicky nie spodziewała się dziś wieczorem czerwonego potopu. I zastanawiam się, czemu napaść Olliego tak ją zaskoczyła. Przecież jeśli jego występy są ukartowane, Vicky doskonale wie, kiedy się pojawi! Zapewne obmyślają wszystko starannie na kilka dni naprzód.

- Niewątpliwie tak musi być, jeśli chcą osiągnąć maksymalny efekt reklamowy.

- Wiesz co? - Spojrzała Jackowi w oczy znad kieliszka z koniakiem. - Dziś wieczorem coś się poplątało. Vicky szybko wzięła się w garść, ale załóż się, że nie spodziewała się napaści!

Jack wrócił myślą do sceny przed teatrem: Holland obejmuje żonę troskliwie i opiekuńczo, rozgłasza wszem i wobec, że dręczyciel staje się coraz śmielszy...

- Dla Dawsona ten atak nie był zaskoczeniem!

- Zgadzam się...

Przez długą chwilę patrzyli na siebie bez słowa. Jack wciągnął powietrze i powoli je wypuścił.

- Cóż... ostrzegłaś Vicky. Nic więcej nie możemy zrobić. A może niesłusznie posadzamy Hollanda?

- Ta możliwość też wchodzi w grę. - Elizabeth opuściła nogi na podłogę i postawiła kieliszek na stole. - Ale jeszcze coś mnie niepokoi. Nie opuszcza mnie przekonanie, że Tyler Page jest do szaleństwa zakochany w swojej *femme fatale*. Co zrobi, gdy się przekona, że Vicky nie ma zamiaru uciec z nim po licytacji Soczewki? Jakoś nie potrafię sobie wyobrazić, by porzuciła swoje dotychczasowe życie dla naszego żalosego szczura laboratoryjnego!

Jack jęknął z udawaną rozpaczą.

- Błagam, nie zaczynaj litować się jeszcze i nad tym nędznym łachudrą! To on wpakował nas w to wszystko, nie pamiętasz?

Twarz Elizabeth zachmurzyła się jeszcze bardziej.

- To człowiek, którym rządzi namiętności. Coś mi mówi, że trudno mu będzie znieść zdradę Vicky, skoro tyle dla niej poświęcił. Może zacząć robić... trudności.

- Pójdzie na policję? Nie ma mowy! Jak wszyscy zamieszani w tę aferę, wystrzega się glin jak diabeł święconej wody. Jeśli cokolwiek wyjdzie na jaw, Page może wylądować w kiciu.

- Mimo wszystko żal mi go. To ofiara namiętności.

- Ofiara? Daj spokój! Ten śmierdziel ukradł Soczewkę! - Jack delikatnie odstawił kieliszek na gzyms kominka i ruszył ku Elizabeth. - Jeśli chcesz ronić łzy nad czymś losem, zlituj się lepiej nad nami. Jeżeli nie zdołamy odszukać Page'a i kryształu, Excalibur przestanie się liczyć na rynku, moja reputacja zawodowa nie będzie funta kłaków warta, a Fundacja Aurory straci ogromne pieniądze!

- Zdaję sobie sprawę z naszego położenia - odparowała Elizabeth formalnym tonem. - Sedno sprawy leży gdzie indziej!

- Jeszcze czego! - Jack schylił się, ujął ją pod ramiona i pociągnął, aż musiała wstać. - Nie możemy tracić z oczu naszego głównego celu!

- Wiem...

Z oczu Elizabeth nie zniknął lęk.

- Zrób coś dla mnie, dobrze? - rzekł zirytowany Jack. - Nie użalaj się nad Tylerem Page'em ani nad Vicky Bellamy. Oni umieją zadbać o siebie i naprawdę nie zasługują na twoją sympatię. A w ogóle...

- Co?

- Masz denerwujące przyzwyczajenie litowania się nad ludźmi. Popatrz tylko: Page, Vicky, twój szwagier, Camille Galloway, Hayden... a wczoraj wieczorem na parkingu czułaś litość nade mną. Nie widać końca listy.

Podniosła wojowniczo podbródek.

- Na końcu listy stoisz ty! - Szarpnęła się ze złością i odwróciła plecami do niego. - Teraz wszystko rozumiem! Wiem, dlaczego uważasz mnie za łatwowierną idiotkę, za wycieraczkę, na której wszyscy czyszczą sobie buty! Dlatego, że poszłam z tobą do łóżka, prawda?

Jack zeszytniał.

- To nie ma tu nic do rzeczy!

- Ależ ma, i to wiele. - Elizabeth okręciła się na pięcie i wbiła w niego roziskrzony gniewem oczy. - Kim jestem według ciebie: idiotką, oferma czy jednym i drugim?

- Do diabła, dziewczyno, wcale tak o tobie nie myślę i ty dobrze o tym wiesz! Po prostu nie chcę figurować na liście nieudaczników, nad którymi się litujesz!

Elizabeth zamrugała i przez chwilę wyglądało na to, że ma

ochotę cisnąć w niego czymś ciężkim. Nieoczekiwanie całe wzburzenie wyparowało z niej bez śladu, a jego miejsce zajęła podejrzliwa czujność. Nie był pewien, czy woli mieć do czynienia z tą zamkniętą w sobie, kalkulującą Elizabeth. Potrafił zrozumieć jej gniewne uniesienie i zapal wojenny, natomiast zwodniczy spokój zdradzał przeciwnika wyrafinowanego i przez to nieporównanie groźniejszego. Skrzyżowała ręce na piersiach.

- Skoro nie uważasz mnie ani za idiotkę, ani za oferwę, to jakie masz o mnie zdanie?

Jack zmartwił. Co się stało? Znowu stracił kontrolę nad rozwojem wydarzeń! Czemu zawsze tak było, kiedy poruszali tematy spoza kręgu interesów? Rozpaczliwie szukał sposobu, by skierować rozmowę na dawne tory.

- Kiedyś pytałaś, co zamierzam zrobić, jeśli nie uda mi się uratować Excalibura - zaczął.

- Powiedziałeś wtedy, że przeprowadzisz w imieniu Ingersollów likwidację firmy, po czym podążysz śladem Tylera Page'a, dopóki go nie odnajdziesz.

- Właśnie. Tych dwóch punktów programu jestem pewien. Ale co będzie z nami?

Elizabeth stała w blasku ognia bez najmniejszego ruchu, jak posąg.

- Pytasz, czy będę zainteresowana kontynuowaniem naszej znajomości niezależnie od... - machnęła dłonią, szukając właściwych słów - zewnętrznych wydarzeń?

- Tak! - Obserwował ją z napięciem. - O to właśnie pytam! Nie odrywała oczu od tańczących płomieni.

- Nie sądzisz, że trochę za wcześnie podejmować decyzje wybiegające tak daleko w przyszłość?

Cholera jasna! No i co miał teraz powiedzieć? Brnął dalej, pełen obaw, że z każdym krokiem pograża się coraz bardziej:

- Sądzę, że czujemy wzajemny pociąg, któremu daremnie przeciwstawialiśmy się przez pół roku.

Pełne usta Elizabeth drgnęły mimowolnie.

- Przez ostatni tydzień nie przeciwstawialiśmy się mu tak bardzo.

- Musisz przyznać, że minione dni przyniosły nader przeko-

nujące dowody, iż dotychczas w godny pożałowania sposób marnowaliśmy czas!

Oparła dłoń na gzymsie kominka. Polakierowane czerwona emalią paznokcie zabłyśły jak rubiny.

- Wiesz co? Dużo myślałam o tym, co zaszło między minii od dnia zniknięcia Soczewki.

Jack poczuł cień nadziei, zrobił krok do przodu... lecz zatrzymał się przeczornie.

- Ja też.

Spoglądała na niego w zamyśleniu.

- Zostaliśmy skazani na swoje towarzystwo w nader specyficznej sytuacji. Oboje działamy pod wielkim stresem; w dodatku oboje jesteśmy zdrowymi, czynnymi seksualnie ludźmi, zmuszonymi dzielić tę samą kwaterę. No i łączy nas ten sam cel.

- Mam przeczucie, że sam siebie znienawidzę za to pytanie, ale dokąd ty właściwie zmierzasz?

Elizabeth zabębniła paznokciami po gładkiej powierzchni gzymsu.

- Do tego, że biorąc pod uwagę wszystkie wydarzenia minionego tygodnia, nie jest wykluczone, iż oboje wmówiliśmy sobie, że coś nas łączy.

- Naprawdę tak uważasz?

Zacisnęła wargi.

- Nie myślę się chyba, stawiając tezę, że angażując się w seks, twój i mój organizm poszukiwał po prostu sposobu na naturalne odreagowanie w sytuacji, która ma wszelkie cechy nienaturalnej!

- Nie ma w niej nic nienaturalnego!

- Sądzę, że powinniśmy przestać doszukiwać się zbyt wielu znaczeń w tym, co zaszło między nami w ciągu tego tygodnia.

- Ach, więc to ma być nowa wersja przelotnej przygody? Jednotygodniowy skok?

- Jak inaczej mamy to potraktować? - Elizabeth wreszcie odwróciła się do niego twarzą. - Nie rozumiesz? Aż do chwili, gdy znajdziemy się z powrotem w Seattle, żadne z nas nie będzie znało swoich prawdziwych uczuć! Zanim określimy sens tego, co zaszło między nami tutaj, musimy zacząć żyć w normalnym otoczeniu. Niewykluczone, że epizod z Mirror Springs okaże się mimo wszystko jedynie epizodem.

Powściągane przez cały wieczór emocje Jacka osiągnęły punkt bliski wrzenia. Zrobił kolejny krok do przodu.

- Ja już wiem, że chciałyby, byśmy sypiali ze sobą po powrocie do Seattle!

- Sądzę, że musimy zachować najdalej posunięty umiar. Żadne nie powinno naciskać na drugie.

- Czemu nie, do diabła?!

Jack nie umiał rozszyfrować wyrazu oczu Elizabeth.

~ Po pierwsze nie jestem mistrzynią w wybieraniu właściwych mężczyzn.

- Wiedziałem! Nie jesteś pewna swoich uczuć!- Bardzo powoli rozchylił usta w wyzywającym uśmiechu. - Któż by pomyślał, że jesteś takim tchórzem?

Oczy Elizabeth rozbłysły gniewem.

- Nie waż się nazywać mnie tchórzem tylko dlatego, że wolę się upewnić, czy to, co zdarzyło się między nami, nie jest tylko tygodniowym romanssem!

Jack chwycił ją w ramiona.

- Czego się boisz, Elizabeth?

- Nie boję się niczego! - Wparła dłonie w jego ramiona, aby nie mógł przyciągnąć jej bliżej. - Po prostu nie zamierzam w stosunkach z tobą popełniać więcej błędów!

- Przez całe pół roku nie możemy się od siebie odczepić... jak dwie zszywki w zepsutym zszywaczu.

- Cóż za romantyczna wizja!

Jack nie dał się zbić z tropu.

- Teraz sypiamy ze sobą, co według mnie jest o wiele miłsze... i wygodniejsze. Czemu szukać dziury w całym?

- Jeśli idzie o miniony tydzień, zgadzam się! - odparowała Elizabeth. - Było miło i wygodnie. Ale nie zamierzam poddać się twoim naciskom i w tej chwili podejmować zasadniczych decyzji. Nie chcę pakować się za daleko!

- Kiedy wreszcie zdasz sobie sprawę, że wpakowaliśmy się już tak daleko, że nie mamy odwrotu? Ani ty, ani ja!

Kiedy otworzyła usta, Jack z przerażeniem zrozumiał, że nie wyczerpała jeszcze wszystkich argumentów, podczas gdy on wystrzelał całą swoją amunicję. Szybko więc stłumił jej słowa długim pocałunkiem. Wydała z siebie zduszony dźwięk oburzenia.

- Wiem, wiem - mruknął, całując dalej. - Żadnych /obuwia zań wybiegających poza ten tydzień. Dobra, wiem, kiedy odpuścić! Nie będę ci dłużej wiercił dziury w brzuchu!

Elizabeth oparła głowę na jego ramieniu.

- Naprawdę to zrobisz? Przeszaniez nalegać?

- Może i nie będziemy ze sobą dłużej niż tydzień, ale to i tak najlepszy tydzień, jak przeżyłem od sześciu miesięcy. Nawet jeśli przegrałem los mojego klienta i własną karierę! - Płynnym ruchem rozpiął suwak sukni. - Z tego jasno wynika, jak parszywe musiały to być miesiące!

Dwie zszywki w zepsutym zszywaczu? - wymamrotała. Ale było to dużo, dużo później...

- Jestem menedżerem, nie scenarzystą!

## *Rozdział dwudziesty trzeci*

Wciąż mu nie ufała, a może po prostu nie ufała sobie? Rezultat był ten sam - problem, z którym Jack musiał się jakoś uporać.

Poprawił poduszkę pod głową, usiadł wygodniej i zaczął się przyglądać, jak pochmurny świt wydobywa z mroku zarysy gór. Koło niego leżała Elizabeth, pogrążona w głębokim śnie. Czuł słodki ciężar i kragłość pośladka, który wtulał się w jego biodro. Oskarżył ją o tchórzostwo, ale wiedział, że to niesłuszny zarzut. To on był winien. Coraz wyraźniej pojmował, jak fatalnie się zachował sześć miesięcy temu.

Elizabeth przyznawała się do ochoty na mały flirt, jedynogodniowy romans, ale nie zamierzała łączyć się dalej idącymi obietnicami. W każdym razie jeszcze nie teraz. Ujrzał oczami wyobraźni upiorną wizję: wróciwszy do Seattle, dowiaduje się, że ona chce się spotykać z innymi mężczyznami, dopóki się nie upewni, jak naprawdę wyglądają jej

uczucia wobec Jacka.

Poczuł pierwsze oznaki obezwładniającego przygnębienia, jakie w ciągu minionych sześciu miesięcy dopadało go w rzadkich chwilach wolnych od pracy. Tym razem nie mógł, niestety, uciec do dojo i wyczerpujących umysł i ciało ćwiczeń. Jego problem leżał tuż obok niego! Musiał ją przekonać, że warto popracować nad tym, co ich łączy, warto starać się, by przelotny romans zamienił się w trwałą związek.

Spróbował spojrzeć na sytuację tak, jak to robił zawsze, gdy stawał przed jakimś problemem w interesach. Stwierdził, że brakuje mu jednolitej strategii; na szczęście nie miewał zazwyczaj trudności z określeniem odpowiedniego planu postępowania.

W chaotyczny tok myśli wdarł się świrdujący dźwięk telefonu. Sięgnął po słuchawkę, czując, że Elizabeth się budzi.

- Mówi Fairfax!

- Chcę rozmawiać z Elizabeth Cabot.

W pierwszej chwili nie rozpoznał niskiego, zmysłowego głosu. Nagle wyprostował się i zapytał zaskoczony.

- Pani Vicky Bellamy?

Po niemal nieuchwytnej chwili wahania usłyszał:

- Czy mogłabym mówić z Elizabeth Cabot?

- Oczywiście, już ją wołam! - Łagodnie potrząsała na wprost rozbudzoną Elizabeth. - To do ciebie!

- Kto dzwoni? - Ziewnęła leniwie i otworzyła oczy. Jack zakrył dłonią mikrofon.

- Vicky Bellamy!

Usiadła i wyrwała mu słuchawkę z ręki.

- Mówi Elizabeth!

Daremnie wyęczał słuch, by pochwycić znaczenie stłumionych słów aktorki. Patrzył, jak na twarzy Elizabeth wyraz zaskoczenia ustępuje miejsca chłodnej determinacji, i mimowolnie zadrzał. Elizabeth odezwała się rzeczowo:

- Dam sobie z tym radę. Naprawdę nie jestem tak naiwna, jak sądzicie. Po co pani dzwoni?

Nastąpiła długa chwila milczenia.

- Rozumiem. - Elizabeth odwróciła się do Jacka. - Chyba mogę obiecać, że tego unikniemy!

Znów na jakiś czas zamilkła.



- Oczywiście, będę tam! - powiedziała i oddała słuchawkę Jackowi.

Rzucił ją na stolik przy wezłowi.

- Czego chciała?

Elizabeth przykucnęła pośród skłębionej pościeli, obejmując ramionami kolana.

- Pogadać w cztery oczy. Nie chce, żeby Dawson dowiedział się o naszym spotkaniu.

Jack poczuł dreszcz podniecenia.

- Jak to sobie wyobraża? Spotkanie w tajemnicy?

- Ma cały plan. Odniosłam wrażenie, że spędziła wiele godzin na jego dopracowaniu, zanim do mnie zadzwoniła. Ciekawe dlaczego.

- To może być interesujące! - Zelektryzowany rozwojem wydarzeń, odrzucił koce i wyskoczył z łóżka. Nagle przypomniał sobie coś i odwrócił się do Elizabeth.

- Co powiedziała, kiedy wzięłaś słuchawkę?

- Mhm? - mruknęła Elizabeth w roztargnieniu, sięgając po szlafrok.

- Kiedy jej odpowiedziałas, że dasz sobie z tym radę! Jakie było pytanie?

- Nic ważnego. - Zacisnęła pasek w talii i nie oglądając się na Jacka, powędrowała do łazienki. - Spytała po prostu, czy na pewno wiem, co robię, idąc z tobą do łóżka.

Zniknęła za drzwiami, a Jack przez długą chwilę nie odrywał zamysłonego wzroku od pomalowanej na biało tafl. Dam sobie z tym radę...?

Mrok pustego wnętrza sali Silver Empire Theatre ledwie rozraszały światła zainstalowane nad przejściami między rzędami foteli. Ozdobne detale stiuków i fresków na wysokim sklepieniu ginęły w ciemności. Aksamitne oparcia foteli wyglądały jak szeregi armii bezgłowych, zastygłych w bezruchu robotów, maszerujących równo jak na musztrze po pochyłej podłodze. Ciężkie pluszowe kotary o barwie szkarłatu w cieniu przybrały odcień pogrzebowej czerni. Między ciasno przylegającymi do siebie fałdami kiutyny nie widać było ani skrawka ukrytego za nimi podestu sceny.

- To inny świat, kiedy zabraknie publiczności i obrazu na ekranie, co? - Głos Vicky dobiegł nie wiadomo skąd, jakby zawieszony w ogromnej pustce.

Czekająca u szczytu przejścia Elizabeth drgnęła lekko i wbiła wzrok w ciemność sali, próbując dostosować oczy do słabego oświetlenia.

- Bez zapachu prażonej kukurydzy rzeczywiście jest tu jakoś inaczej! - zgodziła się.

- I to dałoby się upozorować, jak wszystko inne w świecie filmu! - Vicky podniosła się sennym ruchem z jednego z foteli w przednim rzędzie. Pastelowy kostium nadawał jej wygląd widma. - Pamięta pani, co kiedyś powiedziałam? W życiu, jak i w filmie, wszystko jest pozorem.

- W interesach bywa podobnie. - Elizabeth powoli ruszyła ku scenie. - Sądzę jednak, że nie przyjechała pani na wymianę filozoficznych przemyśleń, jakie każda z nas poczyniła w swojej karierze zawodowej?

Vicky uśmiechnęła się blado.

- Rzeczywiście nie po to. Słyszałam, że Fundacja Aurory od dawna wspiera przedsięwzięcia inicjowane i prowadzone przez kobiety?

- W ostatnich czasach działania Fundacji poszły w kilku kierunkach, ale ma pani rację: właściwie powstała ona, by wspierać inicjatywę i przedsiębiorczość kobiet. Moja ciotka Sybil chciała zapewnić finansowe wsparcie tym, które nie mogły go uzyskać z innych źródeł. Czy dlatego skontaktowała się pani ze mną? Żeby prosić o fundusze na jakiś interes? - Elizabeth zatrzymała się, gdy od Vicky dzieliły ją jeszcze dwa rzędy foteli.

- Owszem, coś w tym rodzaju. Postanowiłam zmienić zawód, rzucam film.

- Przyznam, że to dla mnie wielkie zaskoczenie!

- Czas pójść do przodu. Sama wiem to lepiej niż ktokolwiek inny. Miałam pewne szanse na wielki sukces, ale to było dawno i minęło... bezpowrotnie. Teraz jestem za stara, by atakować Hollywood, a niezależnego przemysłu filmowego mam już po dziurki w nosie!

- Rzuci pani aktorstwo ot tak, po prostu?

- Nigdy w życiu! - Vicky zaśmiała się urywaniem, szorstkim

głosem. - Całe życie byłam aktorką i to jedyne, co umiem robić, ale już nie chcę występować przed obiektywem kamery. *Zakazana ferajna* to mój ostatni film.

- Rozumiem. Chce pani, by Fundacja Aurory pomogła pani rozpocząć nową karierę?

- Niezupełnie. Potrzebuję tylko niewielkiej sumy na początkowe wydatki. Zawsze przewidywałam, że nadejdzie ten dzień, choć nie spodziewałam się, że stanie się to tak szybko. Sądziłam, że mam trochę więcej czasu.

Elizabeth poczuła chłodny dreszcz na plecach. Przyjrzała się twarzy Vicky, ale w ciemności trudno było odczytać jej wyraz.

- Co zamierza pani zrobić?

- Zniknąć!

Elizabeth otworzyła usta ze zdziwienia.

- Zniknąć? Dlaczego, na litość boską?!

- Bo przyszła na to pora! - Vicky potoczyła spojrzeniem po milczących rzędach foteli. - W dawnych czasach kobiety podobne do mnie nazywano awanturkami...

- Słyszałam to określenie.

- Oczywiście to był eufemizm. Według powszechnej opinii awanturknie wykorzystywały swoje ciało, by zdobyć to, czego chciały. Powiadano, że uwodzą mężczyzn, zarzucają na nich się zmysłowych uroków i manipulują nimi jak bezmózgimi marionetkami, które myślą wyłącznie jajami!

- Tak zwane kobiety fatalne.

- Tak. Kiedy się o tym słucho, człowiek myśli: łatwy kawałek chleba. Co? Ale powiem pani z własnego doświadczenia: w rzeczywistości jest to trudniejsze, niż się powszechnie sądzi. Pierwszym warunkiem są zdolności aktorskie, i to nie byle jakie. Wielkie. Rangi Oscara.

- Chyba to rozumiem. Trzeba przecież grać bez przerwy, dwadzieścia cztery godziny na dobę!

- Najtrudniejsza część roli to ta, kiedy nie można dać odczuć swojej ofierze, że za każdym razem, gdy idzie się z nim do łóżka, ma się ochotę wymiotować!

- Owszem, to utrudnia życie w takim związku. Wspomniała pani coś o zniknięciu...

- Mam wyczulony instynkt przetrwania, który już od kilku

miesiący podpowiada mi, że czas na zmiany. Powinnam była właściwie mieć to już za sobą i tak by było, gdyby nie *Zakazana ferajna*. Wiedziałam, że to mój ostatni występ przed kamerą i chciałam zobaczyć, jak zostanie przyjęty w kręgach niezależnego filmu. Wczoraj wieczorem zrozumiałam jednak, że nie mogę czekać dłużej. I tak zbyt długo igrałam z losem.

- Wczoraj wieczorem? Ma pani na myśli ten incydent z dwakiem, który oblał panią czerwoną farbą po ceremonii wręczenia nagród? Myślałam, że to sztuczka obliczona na przyciągnięcie uwagi publiczki! Chce pani powiedzieć, że ten facet naprawdę panią śledzi i napastuje?

- To był od początku pomysł Dawsona. Mój mąż sądził, że w ten sposób uda nam się zyskać rozgłos w czasie festiwalu. Ale tego ostatniego ataku nie było na mojej rozpisce i zaczęłam podejrzewać, że może nie być ostatnim, który mnie zaskoczy, a w którymś z przyszłych incydentów gość posunie się za daleko.

- Mój Boże! - Elizabeth patrzyła na nią ze szczerym przerażeniem w oczach. - Myśli pani, że jakiś obłąkaniec naprawdę zdecydował się panią prześladować?

- Obłąkaniec? - Vicky wzruszyła ramionami. - Zastanawiam się, czy... - Urwała. - To chyba nie ma znaczenia.

- Vicky, o co w tym wszystkim chodzi?

Elizabeth widziała, jak aktorka odzyskuje panowanie nad sobą, i słyszała, że jej głos obojętnieje, gdy wróciła do rozmowy o interesach.

- To Dawson zajmuje się reklamą. Jak mówiłam, wymyślił tego dręczyciela i zaplanował wszystkie ataki. Wynajął do tej roli kaskadera chwilowo bez zajęcia.

- Wiem, osiłka imieniem Ollie. Nosi czarne buty z metalowymi ozdobami na obcasach, prawda?

- Skąd pani go zna? - Oczy Vicky związały się w szparki.

- Przedwczoraj w nocy nadzialiśmy się na niego i jego kumpla na drodze do domu. Powiedzieli, że mieli nam przekazać ostrzeżenie. Domyśliliśmy się, że nadawcą był pani mąż.

- I postanowiliście je zignorować! - Vicky zachichotała. - Ollie powiedział Dawsonowi tylko tyle, że ostrzeżenie dotarło

do właściwej osoby. Widzę jednak, że to niecała historia! Skoro zdołaliście dowiedzieć się jego imienia... Dawson byłby bardzo niezadowolony, gdyby odkrył, że facet spieprzył sprawę!

- Mówiła pani, że tego wczorajszego incydentu nie było w planach?

Vicky zacisnęła wargi.

- Jestem przekonana, że mój mąż to wyreżyserował, jak wszystkie poprzednie, ale nie był łaskawy mnie uprzedzić. Powiedział mi o wszystkim dopiero później.

- Wyjaśnił dlaczego?

- Owszem. Tłumaczył, że moja reakcja na wyczyny prześladowcy stawała się coraz bardziej niedbała i niewiarygodna i że chciała osiągnąć większą autentyczność. Zakładał, że skoro napaść mnie zaskoczy...

Elizabeth skrzywiła się.

- Ładne mi zaskoczenie! Mogę sobie wyobrazić, jak się pani czuła, kiedy ten czubek panią oblał!

- Pochlebiam sobie, że odegrałam moją rolę bez zarzutu - skwitowała Vicky sucho. - Ale byłam wściekła na Dawsona, że mnie nie uprzedził. Obiecał, że już nie będzie podobnych niespodzianek. Dopiero później pomyślałam o tym, co mi pani opowiedziała w kąpielisku. Po naszej rozmowie sprawdziłam to i owo i rzeczywiście zaczynam się zastanawiać, czy Dawson nie zmienił trochę scenariusza! Może dopisał inne zakończenie?

Elizabeth wzięła głęboki oddech.

- Holland wykupił polisę ubezpieczeniową na pani życie, prawda?

- Owszem - potwierdziła aktorka rzeczowo i zwięźle. - To tak zwane ubezpieczenie pracownicze, polisa na osobę zatrudnioną przez korporację Holland Group. Ale Holland Group to Dawson. Po naszej rozmowie skorzystałam z dobrodziejstw Internetu i trochę poszperałam. - Odkryłam, że miała pani rację co do śmierci jego dwóch poprzednich żon. W obu przypadkach krążyły plotki i pozostały wątpliwości, choć oficjalnie przeciwko Dawsonowi nie można było wysunąć oskarżenia.

- Po zeszłej nocy przestała mu pani ufać, prawda?

Vicky roześmiała się cicho.

- Żadnemu mężczyźnie nie ufam! W zawodzie awanturnicy ufność to samobójstwo.

- Domyślam się.

- Podjęłam więc ostateczną decyzję. Wsiadam z tego pociągu. Ale to nie będzie łatwe. Dawson zrobił się ostatnio okropnie zaborczy i podejrzliwy, nie spuszcza mnie z oka, rzadko daje mi się wyrwać gdzieś samej. Na przykład teraz sądzi, że pojechałam do uzdrowiska na masaż. Nie zdołałam wymyślić innej wymówki, żeby się od niego odczepić na te kilka godzin potrzebne na rozmowę z panią na osobności.

- Czego więc pani ode mnie oczekuje?

- Mam dla pani pewną propozycję. Proszę to traktować ściśle jako interes, tak jakbym składała oficjalne podanie do Fundacji Aurory.

- Słucham.

- Mam na sprzedaż pewne informacje.

Elizabeth wstrzymała oddech.

- Jakiego rodzaju?

- Dotyczą pewnego przedmiotu, który niebawem zostanie wystawiony na licytacji.

Elizabeth zmusiła się do zaczerpnięcia powietrza.

- Proszę kontynuować!

Vicky rzuciła jej chłodne, uważne spojrzenie.

- Powiem pani wszystko, co wiem o tej innej sferze działalności, którą zajmuje się Dawson w Mirror Springs. Przyznaję, że to niezbyt wiele, ale dla pani i pani przyjaciela, pana Fairfaksa, moje informacje na pewno w ten czy inny sposób okażą się pomocne. W najgorszym przypadku nie przystąpię do licytacji bez przygotowania.

- Sądzi pani, że powinniśmy się przygotować?

- Jeżeli chcecie się zmierzyć z Dawsonem Hollandem... Owszem, uważam, że przygotowania są niezbędne. Nie wiem, co będzie przedmiotem licytacji, ale mogę panią uprzedzić, że mój mąż za wszelką cenę chce położyć na tym łapę!

- Czy to dlatego, że potrzebuje pieniędzy?

- Tu nie chodzi o pieniądze, ale o sam przedmiot. Czymkolwiek jest ta rzecz, zamierza jej użyć, żeby się wygrzebać z kłopotów, w które wpadł po same uszy.

Elizabeth napomniała się, że to podstawowa reguła biznesu: nigdy nie dość informacji o konkurentach na licytacji czy przeciwnikach w negocjacjach!

- Ile pani oczekuje od Fundacji Aurory na sfinansowanie zmiany kwalifikacji zawodowych?

- Bez obaw, nie mam wygórowanych żądań. - Vicky wygięła usta w sardonicznym grymasie. - Mam przy sobie wystarczającą sumę na podróż na Florydę, ale potem będę potrzebować trochę pomocy.

- Zamierza pani wyjechać z kraju?

- Dotychczasowe doświadczenia awanturnicy wiele mnie nauczyły. Doskonale wiem, kiedy przychodzi czas na zmianę tożsamości, ale to trochę kosztuje.

- Musi się pani ubić pod przybranym nazwiskiem?

Vicky opuściła powieki. Po chwili podniosła je i spojrzała prosto w oczy Elizabeth.

- Powiedzmy, że dopóki polisa ubezpieczeniowa na moje nazwisko nie straci ważności, wolałabym, by Dawson nie mógł mnie odnaleźć.

- Rozumiem, co ma pani na myśli. Więc zwraca się pani do Fundacji o pomoc w sfinansowaniu nowej tożsamości, tak?

- Proszę to uważać za inwestycję.

Elizabeth potrzebowała zaledwie dwóch sekund na rozważenie osobliwej oferty. Ten interes rzeczywiście był prosty i przejrzysty.

- Dobrze, zgadzam się na pani warunki. Proszę mi powiedzieć, co pani wie o interesach pani męża w Mirror Springs.

- Przede wszystkim wiem, że znalazł się w rozpaczliwej sytuacji i to go czyni tym groźniejszym przeciwnikiem. Kilka miesięcy temu próbował wykiwać dość podejrzanych inwestorów, a ci faceci potrafią być bardzo nieprzyjemni, kiedy chcą odzyskać forszę. Raczej nie zwracają się z tym do adwokata.

Elizabeth zadrzała.

- Rozumiem.

- Dawson nigdy niczego mi nie mówił na ten temat, a ja nie zdradziłam się, że wiem cokolwiek o jego problemach. Ale podejrzewam, że kupił trochę czasu obietnicą, że dostarczy im jakiś bezcenny produkt zaawansowanej technologii. Jestem pra-

wie pewna, że jego starania, by to coś zdobyć, znajdą finał tutaj, w Mirror Springs, jeszcze przed końcem tego tygodnia.

- Wracając do kwestii ostrzeżeń...- wtrąciła Elizabeth. - Domyślam się, że wiadomość, którą Ollie miał przekazać Jackowi i Haydenowi, pochodziła od Dawsona, nie od pani?

- Nie dawałam Olliemu żadnych poleceń tego rodzaju.

- A taśma wideo w pokoju Leonarda Ledgera?

Na twarzy Vicky odmalowało się zaciekawienie.

- Jaka taśma?

- Nie, to nieważne. - Elizabeth pomyślała, że nagranie podłożył im Dawson, próbując zasiać niezgodę w szeregach rywali. - Co pani wie o Tylerze Page'u?

- Poza tym, że jest zakochany w filmie? Niewiele. - Aktorka spojrzała prosto w oczy Elizabeth. - Ale Dawson szukał go od chwili naszego przyjazdu na festiwal!

Elizabeth znieruchomiała.

- Czy udało mu się go znaleźć?

- Nie. Rozumiem, że to Page ukradł tę rewelację technologiczną, o którą wszyscy się biją?

- Tak. - Elizabeth zmarszczyła czoło. - Więc mąż nie poprosił pani, żeby uwiodła pani Page'a i skłoniła go do kradzieży tego przedmiotu?

Vicky wybuchnęła śmiechem, w którym po raz pierwszy zabrzmiały nutki szczerego rozbawienia.

- Nie! Już pani mówiłam, że nie wciągnął mnie w tę sferę swojej działalności! Spotkałam Page'a kilka razy na planie zdjęciowym, ale rozmawialiśmy wyłącznie o *Zakazanej ferajnie*. Cała moja znajomość z facetem ograniczyła się do tych kilku okazji.

- Czy istnieje jakakolwiek możliwość, by sądził, że kradnie Soczewkę, by zaskarbić sobie pani względy?

- Jeśli pyta pani, czy jest we mnie zakochany, to odpowiedź brzmi nie!

- Jest pani pewna?

Vicky zachichotała figlarnie.

- Droga Elizabeth, niech mi pani wierzy, wiem, który mężczyzna jest mną zainteresowany, a który nie. Page należał do tej drugiej kategorii.

- Cholera! - Więc tyle była warta jej teoria o ślepej miłości Page'a do Vicky! - Czy mówi pani coś nazwisko Ryan Kendle?

- Nie... a powinno?

- Sama nie wiem - przyznała Elizabeth. - Czy słyszała pani coś o zniszczeniu laboratorium Excalibura?

- Nie.

- To chyba byłoby wszystko. Kiedy i w jakiej formie chciałyby pani otrzymać pieniądze?

- Zapisałam pani numer konta w banku na Florydzie i kwotę, która będzie mi potrzebna. Proszę przesłać pieniądze drogą telegraficzną, gdy tylko dowie się pani o moim zniknięciu.

Elizabeth wzięła od aktorki złożoną kartę.

- Czy ta wiadomość zostanie ogłoszona publicznie?

- Mam nadzieję, że tak! - Vicky zachichotała. - Proszę uważnie śledzić serwisy informacyjne. Kiedy następny raz pani o mnie usłyszysz, proszę sobie przypomnieć, co pani kiedyś powiedziałam: w życiu, jak i w filmie, wszystko jest pozorem.

- Dobrze. - Elizabeth urwała i zastanawiała się nad czymś przez chwilę. - Mam jeszcze ostatnie pytanie.

- Proszę się streszczać, muszę wracać do zdrowia.

- Dlaczego wtedy na zapleczu klubu próbowała mnie pani ostrzec?

- Raz na dziesięć lat nachodzi mnie obezwładniający impuls, który nakazuje mi popełnić dobry uczynek. Ot tak, dla czystej frajdy.

- Jakże to uprzejme z pani strony!

- Tym razem jednak mogłam sobie zaoszczędzić trudu. Nie posłuchała pani mojej dość przejrzyściej aluzji, by pakować manatki i spływać do Seattle. Może następnym razem, gdy mnie najdzie chęćka na dobre uczynki, po prostu ją powściągnę?

Elizabeth, ona jest aktorką! Co cię skłania do wiary w szczerść jej słów? Może Holland podyktował jej wszystkie kwestie?

Rzuciła Jackowi ostrzegawcze spojrzenie, przypominając o potrzebie zachowania ciszy. Co prawda szansa, że ktoś ich podsłucha, była niewielka, bo w galerii wystawiającej fotosy z klasyków czarnego kryminału przebywała zaledwie garstka

! zwiedzających. Większość z nich oglądała eksponaty wywieszone w drugim końcu długiego pomieszczenia.

Elizabeth powróciła do studiowania oprawionego w ramy plakatu, który wisiał tuż przed nią. Na błyszczącym papierze wciąż odznaczały się zagniecenia w miejscach, gdzie kiedyś był złożony. Pod zdjęciem Edwarda G. Robinsona i Joan Bennet, aktorów odgrywających główne postaci, rzucał się w oczy tytuł wydrukowany przeraźliwie żółtą czcionką: *Kobieta w oknie*.

Jeden rzut oka wystarczyło, by się przekonać, że krzykliwa żółć to ulubiony kolor artystów, którzy ongiś projektowali plakaty i ulotki reklamowe do filmów gangsterskich. Drugie miejsce zajmował odcień krwistej czerwieni na równi z atramentowym granatem i czernią. Zdecydowane barwy i ziarnista faktura składały się na charakterystyczny styl tych perełek archiwalnej sztuki graficznej. Do najczęściej spotykanych motywów należały postacie uśmiechniętych uwodzicielsko kobiet i mężczyzn w kapeluszach zsuniętych na czoło, by rondo zasłaniało chłodne oczy. Niemal nieodłącznym rekwizytem była broń palna. Obok plakatów wisiały dyskretne tabliczki z cenami, zdradzające, że eksponaty nie należą do najtańszych obiektów kolekcjonerskich.

Dziesięć minut po pożegnaniu z Vicky Elizabeth spotkała Jacka, który czekał na nią w pobliskim barku kawowym. Pospiesznie wciągnęła go do galerii, szukając miejsca, gdzie mogła zdać dokładną relację z rozmowy z aktorką. Słuchał pilnie, lecz nie wydawał się przekonany.

- Czemu Dawson miałyby zdradzać Vicky tyle szczegółów o interesach, które prowadzi? - spytała zirytowana Elizabeth. - Sądząc po tym, co usłyszałam, nieraz przekracza w nich granicę prawa.

- Kolejny wybieg, by nas odstraszyć. Nie widzisz tego? Cała ta gadanina o zagranicznych podejrzanych inwestorach, którzy nastają na jego życie i tak dalej. Brzmi to zbyt dramatycznie i nie jest strawne.

- A planowane zniknięcie Vicky?

- Próba wyłudzenia od ciebie szmalu, i tyle!

- Mówiła prawdę, Jack! Czułam to!

Zmarszczył czoło.

- Próbuję ci tylko wytłumaczyć, że Vicky Bellamy możemy ufać również małżonkowi, co Dawsonowi Hollandowi. Ta kobieta ma niewyczerpane zasoby pomysłów. Z tego, co mi opowiedziałas, jedno nie da się podważyć: próbuje zrobić interes na boku.

Elizabeth zagryzła wargę.

- Naprawdę sądzisz, że chciała mnie nabrać?

- Aha! - Jack zaczął się przyglądać z zainteresowaniem zdjęciu znużonej twarzy światowca, którego odtwarzał Robert Mitchum w filmie *Poza przeszłością*. - Dokładnie to miałem na myśli.

- Sama nie wiem. - Elizabeth zrobiła kilka kroków i stanęła przed podobizną Rity Hayworth, upozowanej na kusicielkę na żółtym tle ulotki reklamowej *Damy z Szanghaju*. - Chyba naprawdę ma zamiar się zmyć.

- Ma zamiar wydoić z ciebie trochę szmalu.

- Nie bądź takim niedowiarkiem! Ostatecznie wszystko, co mi opowiedziała o domniemanym prześladowcy i ostrzeżeniach, które Ollie serwował tobie i Haydenowi, pasuje do siebie jak fragmenty jednej układanki!

- I co z tego? Ona i Dawson mogli się zorientować, że domyślamy się większości prawdy. A nawet, jeżeli nie kłamała, bądź łaskawa przeanalizować wartość tych ochłapów, które ci rzuciła. Nie pomogą nam w żaden sposób odnaleźć Page'a ani kryształu!

- Bo ona sama nie ma pojęcia, gdzie ich szukać. - Elizabeth szarpała palcami pasek torebki. - Tylko jedno w jej historii jakoś mnie nie przekonało.

- Zaprzeczenie, jakoby była *femme fatale* Page'a?

- Zgadłeś! - Elizabeth z podziwem oglądała oprawiony plakat *Wielkiego snu*. Kunszt aktorski Humphreya Bogarta i Lauren Bacall sprawił, że nawet na fotosie reklamowym łączyła ich niemal namacalna alchemia zmysłów. - Byłam tak pewna...

- Spójrz na to z jaśniejszej strony! - doradził jej Jack. - Jeżeli mam rację, a Vicky kłamie, to twoja teoria o uwiedzeniu Page'a dla kryształu pozostaje aktualna!

- Ale ja jej wierzę, a to znaczy, że mimo wszystko myliłam się i żadna kobieta nie jest zamieszana w tę aferę. - Wróciła myślą do fragmentu policyjnego raportu: zeznań świadka, który

podszuchał rozmowę Kendle'a z jakąś kobietą na chwilę przed jego śmiercią. - Wątek Kendle'a okazuje się fałszywy.

- Nigdy nie stawiałem zbyt wiele na ten wariant - przypomniał jej Jack. - Policja od początku twierdziła stanowczo, że Kendle był zamieszany w narkotyki. Z kolei przecucie mówi mi, że włamanie do laboratorium to nieodłączna część spisku. Page chciał w ten sposób wprowadzić zamieszanie i skierować na fałszywy trop policję, na wypadek gdybyśmy zdecydowali się ją wezwać.

- O tym Vicky też nic nie wiedziała.

- Jakoś mnie to nie dziwi.

Elizabeth patrzyła zamyślona na oczy Veroniki Lakę z filmu *Pistolet do wynajęcia*. Niepokój, jaki czuła od chwili wyjścia z teatru, z każdą minutą przybierał na sile.

- Cóż, jedno jest pewne, niedługo przekonamy się, jak naprawdę sprawy stoją.

- Nie rozumiem.

- Jeśli rozejdzie się wieść o nieoczekiwanym zniknięciu Vicky, to znaczy, że mówiła prawdę, przynajmniej w tej części, gdy zdradziła mi plan opuszczenia Dawsona i rozpoczęciu nowego życia.

- Finansowanego przez Fundację Aurory - przypomniał jej beznamytnie Jack. - Owszem, w to potrafię uwierzyć!

- Czemu kupujesz ten fragment jej historii?

- Według informacji od Larry'ego, Holland rzeczywiście tkwi po uszy w długach. Nawet jeśli się odrzuci hipotezę o niebezpieczeństwie grożącym jej w związku z tą polisą na życie, to trzeba sobie uświadomić, że Vicky wie, że trzeba szukać ziężeńskich pastwisk.

Odle gły, głuchy łoskot grzmotu wyrwał Elizabeth ze snu lak raptownie, że poczuła mrowienie na całym ciele. Usiadła i zaspanymi oczami wpatrzyła się w szarość za oknem. Dopiero po jakimś czasie otrzeźwiała na tyle, by się zorientować, że to nie burza. Jack już szedł w stronę okna.

- Co to było? - spytała.

- Jakby jakiś wybuch. Nic stąd nie widzę. - Włożył pospiesznie spodnie i zbiegł po schodach.

Elizabeth wygramoliła się z ciepłego pośłania, chwyciła szlaf-

rok i podążyła za nim. Razem wyszli na taras. Drgnęła, gdy jej stopy przeniknął chłód wilgotnych desek.

- Tam! - Wyciągnęła rękę w kierunku odległego słupa dymu.

Wyteżyła wzrok.

- Co to może być?

- Nie jestem pewien, ale wygląda na to, że jakiś samochód stoczył się z szosy do kanionu i stanął w płomieniach. Pożar rozszerzył się na zarośla.

- O, Boże - szepnęła Elizabeth. W oddali zawyły syreny.

Jack objął ją. Stali w porannej mgle, wpatrując się w coraz większy pióropusz dymu na horyzoncie. Elizabeth poczuła gęsią skórę na ramionach. Skrzyżowała je na piersi w obronie przed porannym chłodem, ale nic nie pomagało. Jack patrzył na nią kątem oka.

- Nic ci nie jest?

- Nie. - Ale mrowienie nie ustawało.

Po chwili odwrócili się i bez słowa weszli do domu. W salonie panował taki chłód, że Jack włączył ogrzewanie.

Godzinę później Elizabeth, wykąpana i ubrana, kroїła plasterki banana na śniadaniową sałatkę. Radio podawało właśnie poranne wiadomości. Miejscowy komentator, który najprawdopodobniej przyzwyczajony był raczej do podawania prognozy pogody dla narciarzy, mówił głosem zdławionym przez szok:

„...pożar poszycia, wywołany eksplozją, ugaszono niemal natychmiast. Komendant policji, pan Gresham, oświadczył, że ofiara musiała wypaść z samochodu i popłynąć z biegiem rzeki. Wszczęto poszukiwania ciała, aczkolwiek odpowiedzialne organa przyznają, że ze względu na wyjątkowo silny nurt na tym odcinku kanionu będą one nadzwyczaj utrudnione. Pojazd został zidentyfikowany jako biały porsche, zarejestrowany na nazwisko pani Vicky Bellamy. Jak podają wiarygodne źródła, pani Bellamy była w ostatnich tygodniach kilkakrotnie napastowana przez...

Elizabeth wyłączyła radio i przysiadła na barowym stołku, wpatrzona tępo w stalowe ostrze kuchennego noża.

- Jack - wykrztusiła słabym głosem.

- Już idę! - Zapinał koszulę, schodząc z sypialni. Miał włosy jeszcze wilgotne po porannej kąpieli. - Co się stało?

- Właśnie słyszałam... ten samochód, który wpadł do kanionu... to porsche Vicky. Szukają teraz jej ciała. Sądzą, że zostało wrzucone do wody siłą wybuchu.

Zastygł na ostatnim stopniu schodów.

- Nie przesłyszałaś się?

- Coś ty!

- Ciekawe. - Przeciął salon i przysiadł na sąsiednim stołku. - Sądysz, że naprawdę to zrobiła? Ukartowała swoje zniknięcie?

- Albo to, albo Holland ją sprzątnął. Może czekała zbyt długo. Sama mówiła, że przeciągnęła strunę.

- Nie sądzę, by ją zabił - powiedział Jack w zamyśleniu.

- Czemu nie? Taki sam wypadek spotkał jego poprzednie żony.

- Właśnie dlatego uważam tę wersję za mało prawdopodobną. Pomyśl: Holland nie jest głupi. Musi sobie zdawać sprawę, że skoro ostatnim razem firma ubezpieczeniowa miała pewne wątpliwości, tym razem jego osoba znajdzie się w centrum zainteresowania. Trzecia żona ginąca w takich samych okolicznościach? I to w dodatku właśnie teraz, kiedy dobiega rozwiązania sprawa Soczewki, śledztwo policyjne jest ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył.

Elizabeth poczuła ulgę.

- Masz rację! Wścibscy detektywi mogliby mu przeszkodzić w przejściu kryształu.

- I jeszcze jedno: gdyby to on ją zamordował, postarałby się, żeby to wyglądało jak atak tego maniaka. Przecież tak starannie przygotował pod to grunt. Wystarczyło oblać płonący samochód czerwoną farbą!

- O farbie nie było wzmianki. - Elizabeth była bliska zawrotu głowy z radosnej euforii. - Jack, jesteś... jesteś taki mądry!

Uśmiechnął się bladeo.

- Twoja kumpelka Vicky oddała nam na pożegnanie wielką przysługę.

- Co masz na myśli?

- Jeśli to ona upozorowała wypadek, wybrała stuprocentowo

gwarantowany sposób, by Holland natychmiast stał się głównym podejrzanym. A skoro ma teraz na głowie policję, trudno mu będzie znaleźć sposobność, by uczestniczyć w sekretnej, nielegalnej licytacji!

- Powiedziała, żebym nie zapomniała, że w życiu, jak i w filmie, wszystko jest pozorem. - Elizabeth uśmiechnęła się, skoczyła na równe nogi i złapała słuchawkę telefonu. - Przepraszam, muszę zadzwonić do Louise.

Jack okręcił się na obrotowym stołku.

- Przekażesz pieniądze na konto w Miami?

- Jasne!

- Cholera, tego się obawiałem. Elizabeth, to był zwykły szwindel!

- To był interes. Zawarliśmy umowę, a umów należy zawsze dotrzymywać! - Czekając na połączenie z Seattle, Elizabeth spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała: - Ty ze wszystkich znanych mi ludzi najlepiej potrafisz to zrozumieć. To ty nie pozwoliłeś mi wycofać się z kontraktu o finansowanie prac Excalibura, pamiętasz? Nawet gdy publicznie oblałam cię zimną wodą.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Jedno jest pewne: umiała zadbać o wygląd! - Masażystka ugniatała plecy Elizabeth wprawnymi silnymi dłońmi. - Większość gości przychodzi tu z nadzieją, że kąpiel w gorących źródłach i masaż rozluźnionych ciepłem wody mięśni przywróci im sprężystość i energię, ale kiedy stąd wychodzą, wracają do poprzedniego stylu życia, na leżaki i kanapy. Parni Bellamy była inna. Codzienna zaprawa, gimnastyka i rygorystyczna dieta.

Masażystka przerwała i chlusnęła na dłonie więcej ciepłego olejku, po czym spadła jak jastrząb na dolne partie pleców ofiary. Elizabeth ledwie stłumiła jęk, czując serię energicznych szczygnięć. Zamówiła tę wizytę w nadziei, że złowi nieco plotek, ale po kilku minutach wylegiwania się w ciepłych wodach stwierdziła, że naprawdę przyda jej się masaż. Ostatnio niewiele robiła dla zachowania kondycji.

- Czy to pani była jej masażystka?

- Tak. Zawsze prosiła specjalnie o mnie. - Ko-



bieta westchnęła sentymentalnie. - Aż się nie chce wierzyć, że nie żyje!

- A może wcale tak nie jest? - zasugerowała Elizabeth. - Słyszałam, że wciąż nie mogą znaleźć jej ciała.

- Jeśli popłynęło z prądem, może upłynąć wiele dni, zanim je odnajdą.

- Straszny wypadek.

- Ach, wie pani, moja przyjaciółka Ethel jest dyspozytorką na posterunku policji. Mówiła mi, że komendant Gresham ma wątpliwości, czy to aby na pewno wypadek! - szepnęła masażystka, pochylając się poufnie nad plecami klientki. Zaczęła ugniatać mięśnie jak ciasto.

- Co pani powie?! - Ucisk nielitościwych palców zdawał się dosłownie wyduszać powietrze z płuc Elizabeth. - Czy uważa, że to robota tego maniaka, który za nią łąził?

- Między nami mówiąc, nie było żadnego maniaka. Pani Bellamy zdradziła mi w zaufaniu, że to tylko taka sztuczka reklamowa. Pan Gresham nie jest głupi. Ethel powiada, że już dawno zorientował się, co w trawie piszczy. Przecież Holland nigdy nie zgłaszał tych napaści na policję!

- Więc co podejrzewa ten pan Gresham?

- Tego nie wiem dokładnie. - Masażystka wybębniła na posładkach Elizabeth triumfalny werbel. - Ethel mówiła, że wszczął poszukiwania Dawsona Hollanda, żeby go przesłuchać. Podobno dwie pierwsze żony tego gościa zginęły w identycznych okolicznościach.

Elizabeth rozpłaszczyła się pod gradem uderzeń, wcisnęła twarz w szczelinę stołu i z trudem usiłowała złapać oddech.

- Jak to „wszczał poszukiwania”? Przecież pan Holland mieszka tutaj, w Mirror Springs!

- To pani nie wie? Gospościa pana Hollanda, Mary Beth, mówiła, że komendant Gresham przyjechał do nich o świcie, żeby powiadomić Hollanda o prawdopodobnej śmierci żony, a kiedy po dwóch godzinach wrócił, by zadać mu kilka pytań, zastał pusty dom. Wygląda na to, że spakował manatki i wyjechał z miasta!

Trzy kwadranse później Elizabeth osunęła się wdzięcznie na kanapę w niewielkim barku kawowym i rzuciła laikowi promienny uśmiech. Postawiła przed sobą filiżankę i d/bairtk ziołowej herbaty, które wzięła z bufetu.

- Co ci się stało? - spytał Jack podejrzliwie. - Świecisz się jak różowa żarówka!

- Zafundowałam sobie masaż i wymoczyłam się w gorących mineralnych źródłach w kąpielisku. Wiesz co? Powinam lo robić częściej! To wspaniale odpręża, a kąpielisko jest prawdziwą kopalnią informacji.

Zerknęła na bladozłotą strugę płynu, który spływał z dzióbka dzbanuszka do filiżanki.

- W tym nie ma kofeiny.

- No i dobrze! Wcale mi na niej nie zależy.

Jack rozsiadł się wygodniej na skórzanej kanapie.

- A czego się dowiedziałas?

- Po pierwsze: Dawson Holland wyparował! Komendant Gresham zawiadomił wszystkie posterunki stąd aż do Denver, żeby wypatrywały na drogach jego auta.

- Aha. Tyle to i ja się dowiedziałem, siedząc tu i czekając na ciebie! Właściwie wiem nawet więcej, bo tutejszy biuletyn informacyjny wyprzedza o krok tamten z kąpieliska. Ten chłopak przy barze powiedział, że według ostatnich komunikatów policyjnych widziano mężczyznę odpowiadającego opisowi Hollanda, jak wsiadał do samolotu w Denver.

- Czemu miejscowa policja tak gwałtownie zainteresowała się całą aferą? Gresham zabrał się do dochodzenia z kopyta!

Jack uśmiechnął się blade.

- Powiadają, że kilka minut po tym, jak porsche Vicky stoczył się w przepaść, anonimowy informator zadzwonił na policję i zasugerował, by Holland wyjaśnił, gdzie był w czasie wypadku, po czym dorzucił kilka faktów o okolicznościach śmierci jego poprzednich żon.

- Idę o zakład, że to robota Vicky!

- Idę o zakład, że masz rację.

Elizabeth spróbowała ziołowego naparu

- Czy Larry'emu udało się sprawdzić to konto w Miami?

- Rozmawiałem z nim chwilę przed twoim przyjściem. Jak dotychczas nikt nie podjął pieniędzy.

- Prawdopodobnie jedzie tam okrężną drogą, żeby zatrzeć ślady, albo ma wiele przesiadek na trasie. A może loty się opóźniają ze względu na pogodę? Widzisz, może być kilka powodów, dla których jeszcze nie podjęła forsy,

Jack zawahał się, czy przekłuć balonik radosnej ufności Elizabeth.

- Wiesz, jest jeszcze jedna możliwość: że Vicky naprawdę nie żyje.

Promienny blask odnowy spełzył z jej twarzy.

- Jeśli to prawda, będziemy musieli pójść na policję i przekazać im wszystko, co wiemy.

Przez chwilę Jack rozważał jej sugestie. W końcu potrząsnął głową.

- Może, ale wstrzymajmy się jeszcze przez jakiś czas. Komendant Gresham już szuka Hollanda. Dajmy Vicky kilka godzin, żeby mogła podjąć pieniądze i opuścić kraj!

Elizabeth spojrzała na niego znad krawędzi filizanki.

- Cokolwiek wyniknie, jedno jest pewne: skoro Holland zwiął, licytacja straciła bardzo ważnego uczestnika. Jeśli nie pojawi się ktoś, o kim jeszcze nie wiemy, będzie to mała imprezka, bo Tylerowi pozostało zaledwie dwóch potencjalnych kupców: ty i Hayden!

Telefon zadzwonił o siódmej piętnaście wieczorem. Hayden podskoczył nerwowo i rozejrzał się, zaskoczony, że za oknem zapadła już ciemność. Od kilku godzin, od chwili, gdy skończył rozmowę z Larrym, siedział samotnie, pogrążony w rozmyśleniach.

- Halo?

- Aukcja odbędzie się dziś wieczór o dziewiątej. Dam panu adres. Spóźnialscy nie mają wstępu!

Trzask przerwane połączenia odbijał się w uchu Haydena bolesnym echem. Powoli odłożył słuchawkę. Jeszcze przez kilka minut siedział zamyślony w gęstniejącym mroku, po czym ponownie podniósł słuchawkę i wykręcił pewien numer.

Jack skręcał właśnie na parking po przeciwnej stronie ulicy od Silver Empire Theatre, kiedy zadzwonił telefon komórkowy. Elizabeth z oczami błyszczącymi z podniecenia okręciła się na siedzeniu.

- Jack!

- Spokojnie. - Wyłączył silnik i sięgnął po aparat. - To może być ktokolwiek. Mnóstwo ludzi zna ten numer. - Mówi Fairfax!

Usłyszał głos Haydena:

- Właśnie dostałem wezwanie na aukcję.

Dłoń Jacka spoczywająca na kierownicy zbiałała, tak mocno zacisnął palce. Wbił wzrok w rozjarzony fronton teatru, w którym o ósmej trzydzieści miała się rozpocząć światowa premiera filmu *Zakazana ferajna*. Elizabeth nalegała na wcześniejszy przyjazd w nadziei, że uda im się wyśledzić Page'a.

- Czemu mi o tym mówisz? - odezwał się Jack po długim milczeniu.

Hayden zignorował pytanie.

- A ty dostałeś wezwanie?

- Nie.

- Na Loop Road, za okrężnicą, jakieś pół godziny jazdy od miasta. O dziewiątej!

- Pytam jeszcze raz: czemu mi o tym mówisz?

- Nie chciałbym, żebyś przegapił licytację. Niecodziennie ma się szansę odkupić swoją własność!

Hayden przerwał połączenie. Jack powoli opuścił aparat na kolana. Elizabeth patrzyła na niego z napięciem.

- Co się dzieje?

- Dzwonił Hayden z wiadomością, że Page się z nim skontaktował. Początek aukcji wyznaczono na dziewiątą wieczorem, na Loop Road, pół godziny jazdy stąd, jak mówi Hayden.

- Dlaczego do nas nikt nie zadzwonił?

- Sam się dziwię. Cóż to za aukcja, na której nie ma rywali podnoszących cenę? - W rozragnieniu postukał aparatem w oparcie, wpatrując się w neonowe litery u wejścia do kina. - Za pół godziny zaczyna się projekcja *Zakazanej ferajny*.

- Wiem! Słuchaj, dajmy sobie spokój z moim planem. Jak widać, Page'a nie będzie na widowni, bo w tym samym czasie będzie kierował aukcją.

Jack odwrócił się na siedzeniu.

- Nie uderza cię jakiś brak logiki? Tyle włożył serca i forsę w ten film, a teraz nawet nie będzie obecny na jego premierze?

Elizabeth milczała przez kilka sekund. Nagle szeroko otworzyła oczy.

- Masz jakiś pomysł? - zapytała, patrząc na zamyśloną twarz towarzysza.

- Niewykluczone, że przez cały czas to ty miałaś rację i w tym scenariuszu jest *femme fatale*

Utworzywszy drzwi na korytarz, Hayden ujrzał Jacka i Elizabeth.

- Co to ma znaczyć, do diabła?

- Zatrzymaliśmy się po drodze. Pomyśleliśmy, że możemy razem pojechać na licytację. Jeden samochód wystarczy. Potraktuj to jako braterski gest pojednania po tylu latach.

- Pieprz się!

- W gruncie rzeczy mam wrażenie, że nas obu ktoś tu chce wypieprzyć na medal - mruknął Jack. - Chcesz pogadać o alternatywnym rozwiązaniu sytuacji?

Hayden odwrócił się, lecz Elizabeth nie umknął błysk bólu w znużonych oczach.

- Nie!

- Wielkie operacje nie są twoją mocną stroną, prawda? - drażzył Jack. - Jak ci się w ogóle udało dochrapać się stanowiska dyrektora?

- Ta rozmowa zmierza donikąd, a ja mam własne plany na dzisiejszy wieczór.

- Owszem, wiem: chcesz wziąć udział w licytacji.

- Właściwie pomyślałem, że zamiast tego pójde do kina.

- Jak to? - zapytała zdumiona Elizabeth.

- Postanowiłem wycofać się z licytacji Soczewki! - Hayden rzucił się na fotel i zerknął na Jacka spod oka. - Kryształ jest twój, braciszku. Życzę ci szczęścia, choć zdaje się, że nie będziesz musiał zadawać sobie wiele trudu, by go odzyskać. Skoro Holland i ja wypadliśmy z obiegu, wątpię, czy będziesz miał innych konkurentów.

Jack stanowczym gestem zamknął drzwi pokoju.

- Dlaczego zdecydowałaś wycofać się z licytacji?

Na twarzy Elizabeth pojawił się domyślny uśmiech.

- Jednak zadzwoniłeś do Larry'ego, prawda? I on ci opowiedział, jak było.

Hayden wzruszył demonstracyjnie ramionami.

- Istnieje ryzyko, że kryształ nie spełni pokładanych w nim nadziei. Nie będę się wpuszczał w maliny.

Jack rzucił zaciekawione spojrzenie Elizabeth i odwrócił się do Haydena:

- Co to w końcu znaczy?

- Twój brat we właściwy sobie sposób usiłuje dać ci do zrozumienia, że zmienił zdanie i nie zamierza zdobywać Soczewki dla osobistej zemsty! - wyjaśniła cierpliwie Elizabeth.

Jack wlepił w Haydena niedowierzające oczy, jakby miał przed sobą niespotykaną dotychczas formę istoty żyjącej, która właśnie zeszała z pokładu statku kosmicznego. Hayden zareagował kolejnym wzruszeniem ramion.

- Jak już mówiłem, kryształ może nie być wart forsę, jaką musiałbym zapłacić tylko po to, byście wy nie mogli położyć na nim łapy, bo sam nie mógłbym go przecież użyć. Nawet nie bardzo wiem, jakie ma właściwości i jaki jest jego potencjał użytkowy. Page... czy ktokolwiek do mnie dzwonił, nie ujawnił żadnych technicznych szczegółów!

Elizabeth uśmiechnęła się do niego z sympatią:

- Wszystko w porządku, Hayden, nie musisz dłużej odgrywać twardego. Wiemy, dlaczego wychodzisz z gry. Doszedłeś do wniosku, że odwet na Jacku nie zmieni przeszłości i że nie możesz go winić za to, co zaszło między waszymi rodzicami. Wreszcie zrozumiałeś, że jest niewinny.

- To ostatnia rzecz, jaką można by o nim powiedzieć! Ale właściwie masz rację. Niszczenie jego reputacji nie przywróci mi niczego. Rano wracam do domu. Już i tak zbyt wiele czasu straciłem na objanie się po tej mieścinie!

Jack spojrzał na niego zamyślony.

- Mam wrażenie, że twoja nieobecność na aukcji przysporzy komuś wielkiego rozczarowania.

- Tylerowi Page'owi? - Hayden parsknął wymuszonym śmiechem. - Dam ci radę: nie płąć ani centa, tylko wyrwij mu z gardła swoją własność, bo to przecież on ci ją ukradł!

- To chyba nie Tyler Page czeka w tym domu na Loop Road. - Jack wyjął z kieszeni telefon komórkowy i spojrzał na Elizabeth. - Czas zawiadomić policję!

Lokum na Loop Road okazało się parterową budą składającą się z jednego zaledwie pokoiku, wzniesioną w środku pustkowia. Z zewnątrz robiła wrażenie zapuszczonej, jakby od lat nikt tu nie mieszkał. W świetle reflektorów Jack dojrzał połamaną balustradę na ganku i podwórko zarośnięte chwastami. Jedną ze ścian chaty stanowił masywny kamienny komin, ale przez pojedyncze okienko nie dobiegał charakterystyczny migotliwy blask płonącego w środku ognia.

- To stara chałupa Kramerów - poinformował komendat Gresham, wysiadając z samochodu. - Od lat nikt tu nie wchodził. - Włączył latarkę i rzucił kwaśne spojrzenie obu towarzyszącym mu mężczyznom. - Nie widzę śladów, by ktoś tu był. Jesteście panowie pewni, że to nie jakiś żart?

- Pewni nie jesteśmy - przyznał Jack i wsunął dłonie do kieszeni marynarki, spoglądając na tonącą w ciemnościach chatę. - Ale nie przychodziło mi do głowy żadne inne wyjaśnienie, które pasowałoby do pozostałych faktów.

- Trzeba było zaraz na początku całej afery powiadomić władze! - mruknął policjant pod nosem i ruszył w stronę wejścia. - Panowie w garniturkach! Zawsze myślą, że potrafią załatwić sprawę lepiej niż policja!

Jack rzucił spojrzenie bratu i Elizabeth, która właśnie wysiadała z samochodu. Wzruszyła ramionami, Hayden podniósł brwi, ale żadne nie odezwało się ani słowem. Ruszyli gęsiego za Greshamem. Komendant był mężczyzną niewielkiego wzrostu, ale roztaczał aurę pewności siebie i profesjonalizmu. Zdecydowaną postawą narzucał otoczeniu bezwzględny posłuch. Jack uświadomił sobie, że ten małomiasteczkowy glina jest mimo wszystko człowiekiem kompetentnym i znającym swój fach. Nie okazał przesadnego entuzjazmu, kiedy wyciągnęli go z domowych

pieleszy i zmusili do wysłuchania swojej wersji wydarzeń, ale nie tracąc ani chwili, przejął kontrolę nad sytuacją.

Gresham zastukał latarką w drzwi chaty. Nikt nie odpowiedział. Jack zatrzymał się koło Elizabeth i Haydena. Patrzyli, jak policjant stuka po raz drugi.

- Wciąż mam przeczucie, że się mylisz - szepnęła Hayden.

- Bardzo bym się cieszył! - oświadczył Jack.

Gresham podszedł do okna i skierował promień latarki do ciemnego wnętrza.

- Diabli nadali - rzucił. - Tego mi akurat potrzeba!

Podszedł zdecydowanym krokiem do drzwi i przekreślił gałkę. Otworzyły się do wewnątrz. Snop światła z policyjnej latarki prześlizgnął się po zakurzonej podłodze, aż natrafił na dłoń leżącą bezwładnie grzbietem w dół, po czym powędrował nieco wyżej na jasne włosy splamione szkarłatem krwi. W powi ^trzu unosił się zaduch śmierci. Czoło kobiety roztrzaskała kula z pistoletu, ale jej tożsamość nie budziła wątpliwości.

Elizabeth wykrzyknęła omdlewającym głosem, przytknęła rękę do ust i odwróciła się od przerażającej sceny. Jack objął ją pomocnym ramieniem.

- Boże - wydusił Hayden. - To Gillian! Miałaś rację, Jack!

- Niezupełnie! - Jack próbował zapanować nad oddechem, nie odrywając oczu od ciała rozciągniętego na brudnej podłodze. - Ona miała być żywa.

## Rozdział dwudziesty piąty

Hayden ze szklaneczką mocnego trunku z ulgą osunął się na kanapę w tylnej łoży hotelowego barku.

- Najprawdopodobniej to Page do mnie dzwonił. Ukartował to tak, byś ty przyjechał później i znalazł mnie nad ciałem. Obmyślił wszystko do ostatniego szczegółu! Rozwścieczony mąż zabija żonę, nie mogąc uzyskać zgody na rozwód. Jego nikt by się nie czepiał.

- Ale... - zaczął Jack wahajaco.

Hayden przerwał mu obcesowo:

- Do diabła, Jack! Gdybyś nie przyjechał do mnie do hotelu i zmusił do wysłuchania twoich wariackich teorii, o tej porze siedziałbym na policji, próbując uzyskać się z zarzutu morderstwa!

Jack pokręcił głową.

- Przecież zdecydowałeś się zrezygnować z aukcji, jeszcze zanim przyjechalіśmy...

Hayden skrzywił się z powątpiewaniem.

- Taak, ale to była decyzja podjęta w ostatniej chwili. Kto mógł ją przewidzieć?

Elizabeth stwierdziła, że teraz na nią kolej wtrącić swoje trzy grosze.

- Tak czy inaczej, nie sądzę, by Tyler Page świadomie zaplanował to morderstwo i skierował na ciebie podejrzenie. Jeżeli to on ją zabił, jak sądzi Gresham i wy obaj, zrobił to raczej w napadzie emocji. Najpewniej wtedy, gdy się zorientował, że Gillian nie ma i nigdy nie miała zamiaru uciekać razem z nim po zakończonej licytacji.

Jack zerknął na nią z podziwem.

- Uparta romantyczka, nie ma co!

- Powtarzam, że Page to człowiek, którym rządzi namiętność, a nie zimnokrwisty strateg.

- Kimkolwiek jest, pewnie znajduje się w tej chwili setki mil od Mirror Springs. Ale założę się, że w odróżnieniu od Hollanda, który też dał nogę, naszego naukowca policja przyskrzyni bez większego trudu. Nie wie, jak się ukrywać, i nie ma odpowiednich kontaktów.

Hayden zwrócił się wprost do brata:

- Jak się domyśliłeś, że to Gillian opracowała plan kradzieży kryształu i zorganizowała aukcję?

- To Elizabeth. Od samego początku upierała się, że we wszystko jest zamieszana jakaś kobieta.

- Najpierw podejrzewałam Vicky Bellamy - podjęła Elizabeth. - Potem zmieniłam zdanie, właściwie całkowicie zarzuciłam teorię o *femme fatale*, kiedy Jack dzisiaj wieczorem wyskoczył ze swoją wersją tego wątku!

Jack wpadł jej w słowo:

- Tyler Page nie należy do ludzi, którzy zdolni są działać w sposób uporządkowany, a kradzież i jego zniknięcie zostały starannie zaplanowane. Osoba, która urządziła ten zjazd w Mirror Springs i zapewniła kryjówkę Page'owi, ma prawdziwy talent organizacyjny. Przez jakiś czas sądziłem, że Dawson Holland nie występuje w tej grze jedynie jako uczestnik licytacji.

- Myślałeś, że wykorzystał Vicky, by uwiodła Page'a i namówiła go do kradzieży?

Jack skinął głową.

- Jak powiedziałem Greshamowi, w ciągu ostatnich miesięcy Holland miał mnóstwo okazji do kontaktów z Page'em przy

zdjęciach do *Zakazanej ferajny*. A zgodnie z informacjami od Larry'ego miał też motyw. Ale nie wszystkie elementy pasowały do tej układanki. Na przykład Holland miał zbyt dobre powiązania i orientację na rynku, by próbować doprowadzić do sprzedaży Soczewki na terenie Stanów. Wykombinowałem sobie, że gdyby kryształ znajdował się w jego posiadaniu, zabrałby go do Europy, gdzie mógł wywindować cenę do niebotycznej wysokości.

- A potem Vicky potwierdziła nasze podejrzenia, że Dawson Holland przyjechał do Mirror Springs nie tyle na festiwal, co w interesach - uzupełniła Elizabeth. - Powiedziała mi, że według tego, co podsłuchiwała, chodzi o produkt zaawansowanej technologii, który jej mąż miał przekazać jakimś inwestorom zagranicznym.

- Co automatycznie stawiało go w rzędzie uczestników licytacji! - podkreślił Jack. - Krąg osób, które były zdolne zorganizować całą aferę i pokierować Page'em, malał. Gdy dzisiaj wieczorem zadzwoniłeś do mnie z informacją, że zostałeś powiadomiony o miejscu i terminie licytacji, która miała się odbyć w czasie premiery *Zakazanej ferajny*, zacząłem wreszcie jasno myśleć.

- Wtedy pomyślałeś o Gillian?

Jack skinął głową.

- Pasuje do obu teorii, mojej i Elizabeth: *femme fatale*, która poprzez swojego ojca ma kontakty w kręgach inwestorów, jest dostatecznie inteligentna i sprytna, by podchwyciwszy pogłoski o projekcie Soczewka zrozumieć pełen potencjał tego odkrycia... I jeszcze jedno: umiałyby umieścić wtyczkę wśród pracowników Excalibura.

- Ryan Kendle? - domyślił się Hayden. - Słyszałem, jak wymieniałeś to nazwisko w rozmowie z Greshamem!

- Prawdopodobnie to on wytypował Page'a jako osobę, która ma największy dostęp do kryształu. Gillian zebrała informacje o naukowcu, odkryła jego słabość do czarnych kryminałów i zapoLOWAŁA na niego.

- Ale czemu w ogóle postanowiła wykraść Soczewkę? To było działanie skierowane przeciw tobie, a nie mnie!

- Jeszcze nie rozumiesz? - zdziwiła się Elizabeth.

- Czego, na litość boską?!

- Teraz już nikt nie będzie w stanie tego dowieść - tłumaczył Jack - ale oboje z Elizabeth jesteście przekonani, że znamy powód, dla którego ty pierwszy zostałeś dziś powiadomiony o aukcji: Gillian zamierzała cię zamordować!

- Boże, nie! -W oczach Haydena coś zabłysło; najwyraźniej zaczynał pojmnawać.

- Jack dostałby telefon jakiś czas później. Według jej planu miał w chwili przybycia policji stać nad twoimi zwłokami z dymiącym pistoletem w dłoni.

Hayden popatrzył na Elizabeth osłupiały.

- Wiedziałem, że mnie nienawidziła, bo chciałem wyrwać się z tego beznadziejnego małżeństwa, a jej tatusiowi się to nie podobało.

- Mnie zaś nienawidziła, bo nieco wcześniej i ja odmówiłem roli tatusiowego zięcia - uzupełnił Jack.

Hayden przetarł skronie.

- Zamierzała więc zabić mnie i obwinie ciebie.

- Widzisz te nagłówki w gazetach? „Długoletnia wojna między braćmi znajduje krwawe zakończenie”. - Elizabeth strzeliła palcami. - W ten sposób mści się na was obu: jeden kończy jako trup, a drugi jako więzień z wyrokiem za morderstwo.

Hayden zadrżał na całym ciele i przełknął potężny haust szkockiej.

- Niedługo po ślubie zrozumiałem, że Gillian ma poważne problemy. Prawdę mówiąc, nieraz sprawy posuwały się tak daleko, że czułem autentyczny lęk. W końcu zacząłem starać się o rozwód. Ale nawet wtedy nie zdawałem sobie sprawy, że byłaby w stanie posunąć się mordestwa!

- To była prawdziwa, nie farbowana *femme fatale* - skwitowała Elizabeth.

Hayden wzdrygnął się z widoczną odrazą.

- Wiesz, Jack, trudno mi to przyznać, ale teraz widzę, że dawno temu usiłowałeś mnie przed nią ostrzec.

Jack milczał. Elizabeth szepnęła:

- Wykorzystała Tylera Page'a, użyła go jak pionka, jak martwą rzecz pozbawioną uczuć!

- Doprowadziła do tego, że ją zabił - zakończył Hayden.

W chodząc do domu, odruchowo obejrzała się przez ramię.  
- Czy już dawniej zdawałeś sobie sprawę, że Giłlian jest obłąkana?

- Nie. - Jack podszedł do kominka i nacisnął włącznik instalacji gazowej. Za ochronną szybą zapłonął wesoły ogień. - To znaczy... owszem, wiedziałem, że coś jest z nią nie tak. Jakaś obluźwana śrubka, wiesz? I że to ma coś wspólnego z tatulkim Ringsteadem.

Elizabeth odwiesiła płaszcz do szafy.

- W jaki sposób zakończyłeś wasz związek?

- Wtedy sądziłem, że całkiem zrećcznie udało mi się wykręcić: wyjaśniłem, że nigdy nie potrafiłbym godnie przejąć pałeczki po jej ojcu i stanąć na czele Ring Incorporated. Podkreśliłem, że działam na małą skalę, nie mam większych zdolności i tak dalej. Myślałem, że sama doszła do wniosku, iż stać ją na lepszego i błyskotliwszego męża. W tym samym czasie zaczął się do niej dobierać Hayden, robiąc wszystko, by wzmocnić przekonanie o mojej głupocie i ograniczonych ambicjach.

- Wreszcie zdecydowała, że on będzie się bardziej podobał tatulkowi jako kandydat na męża i przyszłego prezesa?

- Właśnie. - Jack rozsiadł się w fotelu przed kominkiem i wyciągnął wygodnie nogi. - Kiedy się połapałem, że sprawy między nią i Haydenem zaszły tak daleko, że kroi się małżeństwo, poradziłem mu, by się trochę zastanowił, ale to go tylko zachęciło do większego pośpiechu w wędrowce do ołtarza.

- Ludzka natura! Dziwne... i smutne.

- Taak, weź choćby nas dwoje. Co tu mówić o dziwactwach ludzkiej natury? Popatrz na nasz pokrętny związek!

Elizabeth usiadła w fotelu naprzeciwko Jacka.

- Ale w żadnym przypadku nudny!

- Nie. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Nuda nam nie grozi.

Zapadło milczenie. Elizabeth wsłuchiwała się w trzask płomieni. Wreszcie leniwym ruchem wyciągnęła spinkę z włosów.

- Oboje potrzebujemy snu, powinniśmy iść do łóżka - szepnęła.

Jack spojrział na lśniące fale spływające z jej ramion i przytaknął:

- Wiem.

Odwróciła się twarzą do tańczących płomieni.

- To już skończone, prawda?

- Sprawę wzięła w ręce policja. - Jack znużonym gestem przetaił twarz dłonią. - Gresham miał rację, powinniśmy byli zawiadomić ich na samym początku.

- Myślisz, że uda im się złapać Page'a przed terminem prezentacji dla Veltrana?

- Może. - Urwał i skrzywił się z rezygnacją. - Ale nawet w tym przypadku Excahbur nie zdoła na czas odzyskać kryształu. Prokurator zatrzyma go prawdopodobnie na okres śledztwa i przewodu sądowego jako dowód rzeczowy. Może minąć wiele miesięcy, zanim Ingersollowie zdołają go odzyskać... długo po upadku firmy.

Elizabeth zawahała się, ale po chwili postanowiła wziąć byka za rogi.

- Wiele myślałam o twojej przyszłości.

Na zmęczonej twarzy Jacka pojawił się smętny uśmiech.

- Nie martw się, nie umrę z głodu.

- Wiem, że umiesz o siebie zadbać, ale może zastanowiłbyś się nad objęciem stanowiska dyrektora w Fundacji Aurory?

- Proponujesz mi pracę?

- No cóż, można to tak ująć.

- Fundacja Aurory to dwuosobowa impreza. Wystarczy ty i twoja asystentka Louise. Gdzie znalazłabyś miejsce dla mnie?

- Masz wielkie doświadczenie w analizowaniu działalności małych początkujących firm czy niewielkich przedsiębiorstw, które popadły w kłopoty - zaczęła Elizabeth nieśmiało, ale szybko nabierała rozpędu. - Umiałbyś doskonale oszacować klientów, wybrać tych, którzy mają potencjał rozwojowy, możemy nawet rozwinąć naszą działalność, utworzyć odrębny dział. Obok sponsoringu istniejących projektów oferowalibyśmy usługi konsultanckie dla początkujących firm i ekspertyzę menedżerską.

- A ja miałbym przyjmować polecenia od ciebie jako szefa... - Jack zamyślił się. - Interesująca koncepcja!

Poczuła pierwsze ukłucie rozdrażnienia.

- Co w tym złego? Nie umiałbyś sobie poradzić z przyjmowaniem ode mnie poleceń?

- Hmm...  
- Jeśli nie jesteś zainteresowany, powiedz wprost!  
Jack oparł łokcie na poręczach fotela i złożył palce w kunsztowną wieżyczkę.  
- Jestem zainteresowany nieco bardziej trwałym układem.  
Patrzyła na niego z gniewem.  
- Fundacja Aurory jest trwała! To stabilna firma, obecnie o wiele bardziej niż wtedy, kiedy ją przejmowałam. Nawet po wpadce z Soczewką będzie miała w tym kwartale dodatnie saldo!  
- Szczęściara z ciebie.  
- Jack...  
Spojrzał jej w oczy.  
- Nie mówiłem o firmie, mówiłem o małżeństwie.  
Wstrzymała oddech.  
- Małżeństwo...?  
- Interesuje mnie o wiele bardziej niż praca dla ciebie.  
Elizabeth przełknęła ślinę. Wciąż nie mogła złapać tchu.  
- Sądziłam, że już postanowiliśmy dać sobie więcej czasu - wydusiła wreszcie. - Uzgodniliśmy wspólnie, że sprawy muszą toczyć się swoim tempem.  
- Ty tak powiedziałaś. Ja myślę inaczej. Wiem, czego chcę. Od dawna tego chciałem, ściśle mówiąc od pół roku.  
Popatrzyła w jego rozmarzone oczy.  
- Chciałeś?  
Wstał z fotela, podszedł do niej i ją objął.  
- Tak.  
- Ale...  
- Posłuchaj! - Nie wypuszczając Elizabeth z ramion, ruszył w stronę schodów. - Kiedy zbierzesz odwagę, żeby zaryzykować małżeństwo ze mną, ja ci powiem, czy pójdę na ryzyko pracy dla ciebie!  
- To idiotyczny układ, sam wiesz najlepiej! - Kurczowo trzymała się jego ramion. - Na litość boską, postaw mnie na podłodze. Dziś wieczorem oboje przeżyliśmy potężny wstrząs. Pewnie jesteście wykończony. Nie dasz rady dźwigać mnie po tych schodach!  
- Założymy się?  
- Przestań odgrywać takiego twardziela.

- Nie mam nic lepszego do roboty. - Dotarł na podest i skreślił w prawo, do swojej sypialni. - Oboje postanowiliśmy położyć się do łóżka!  
- Seks niczego nie rozwiąże, nie rozumiesz?  
- Pewnie masz rację, ale musisz przyznać, że pomoże nam miło spędzić czas oczekiwania na twoją decyzję.  
- Ja tu próbuję poważnie z tobą porozmawiać...  
- Seks jest zabawniejszy!

Upłynął długi czas, zanim Jack przetoczył się na plecy i podłożył pod głowę Elizabeth zgięte w łokciu ramię.  
- Pozostał nam do omówienia jeszcze jeden punkt programu: wymogi szczerości między partnerami każą mi wyznaczyć ci coś ważnego, zanim zdecydujesz się wziąć mnie za męża.  
- Mam usiąść, żeby nie upaść? - jęknęła z udawanym przestraszeniem.  
- Kto wie? Pomyślałem sobie, że powinienem wyjaśnić małe nieporozumienie, pod wrażeniem którego pozostawałaś przez cały ubiegły tydzień.  
Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.  
- Nie mów, niech zgadnę. Chcesz mi wyznaczyć, że dysponujesz osobistą fortuną i nawet niepowodzenie w odzyskaniu Soczewki i ruina twojej zawodowej reputacji nie zdołają cię pognać, bo i tak pozostaniesz nieprzyzwoicie bogaty!  
- W tym punkcie nie zaistniało żadne nieporozumienie - sprostował bez emocji. - Nie jestem nieprzyzwoicie bogaty.  
- Aha... Cóż, w jaki sposób mnie okłamałeś tej pierwszej nocy w Mirror Springs?  
- Wolałbym nie nazywać tego kłamstwem, raczej głęboko przemyślanym przemilczeniem pewnego nieistotnego szczegółu.  
- Dotyczącego?  
- Problemów z rezerwacją, które rzekomo miałem w pensjonacie w Minor Springs, Elizabeth oparła dłoń na jego piersi.  
- Dobra, jestem przygotowana na najgorsze. Strzelaj!  
Usadowił się wygodniej i spoglądał na nią spod zmrużonych powiek.



- Powiedziałem ci, że załatwiłem pokój przez pewne znajomości, które na miejscu okazały się niezbyt pomocne. Cóż, rzeczywistość wyglądała trochę inaczej. Kiedy przyjechałem, dostałem pokój, ale oznajmiłem recepcjonistce, że z niego rezygnuję, wobec czego oddał klucz osobie oczekującej za mną, która była mi niewymownie wdzięczna, gdyż sama przyjechała bez rezerwacji.

Elizabeth zabębniła palcami po żebrach Jacka.

- Potem przywlokłeś się na mój próg, skomląc, że nie masz się gdzie podziąć, i błagając, bym cię przyjęła do siebie!

Zmarszczył czoło.

- Nie przypominam sobie skomlenia...

- Niewiele brakowało!

- Niewiele - zgodził się. - Patrząc wstecz, przyznaję, że ryzyko było ogromne. Nie powinienem był odwoływać rezerwacji, póki się nie przekonam, czy uda mi się przemówić ci do serca!

Zacisnęła wargi w udawanym namyśle.

- Zatrzymać rezerwację do chwili, gdy wiedziałeś na pewno, że dam się nabrać, byłoby postępowaniem ze wszech miar godnym obrotnego, bystrego menedżera!

- Sam nie wiem. czemu nie przyszło mi to na myśl - wymamrotał.

Palce Elizabeth przestały wygrywać rytm na żebrach Jacka, a na jej twarzy pojawił się uśmiezek wyższości.

- Ja za to wiem doskonale!

- Ach, tak? - Wsunął jej pod głowę stuloną dłoń. - Zdradzisz mi ten sekret?

Odchrząknęła znacząco.

- W ostatnich miesiącach nie omieszkiałam zauważyć, że w głębi duszy jest pan, panie Jacku Fairfaksie, staromodnym romantykiem. Prawdziwy Don Kichot!

Dłoń gładząca jej włosy znieruchomiała. Jack patrzył na nią oniemiały ze zdziwienia. Po chwili otrząsnął się i wybuchnął śmiechem. Dawał upust wesołości tak swobodnie, że o mało nie wypadł z łóżka. Kiedy wreszcie odzyskał panowanie nad sobą, wykrztusił zwięzłą ocenę opinii, jaką mu wystawiła:

- Gówno prawda!

- Nie, to szczerą prawdą! - upierała się Elizabeth niewzruszenie. - Jesteś rycerzem, tyle że w nieco pogiętej i przy rdze wi alej zbroi. Dlatego dawno temu postanowiłeś swoimi uczynkami odpokutować za zło, które wyrządził twój ojciec. Dlatego podejmujesz się konsultacji w małych, podupadających firmach, których prawdę mówiąc nie stać na usługi specjalisty twojej miary. Dlatego podpisując umowę ze spółką, która chybocze się na krawędzi przepaści, nigdy nie obwarowujesz jej tak, żeby samemu nie tracić. Dlatego wolisz pracować dla małych przedsiębiorstw z niewielką grupką udziałowców i rodzinną tradycją niż dla olbrzymich, bezdusznych korporacji.

Jack wyszczerzył zęby.

- Zaraz, zaraz. Muszę to przemyśleć... Twierdzisz, że właśnie ten nieujarzmiony pierwiastek romantyzmu w mojej naturze kazał mi spróbować szczęścia z tobą owej pierwszej nocy w Mirror Springs?

- Bez wątplenia! Tylko tak można wytłumaczyć, dlaczego zdecydowałeś się pójść na tak niewiarygodne, szaleńcze ryzyko.

- Hm...

- I dlatego właśnie - podjęła Elizabeth namaszczonego tonem - zdecydowałam ostatecznie przyjąć twoją ofertę małżeńską.

Uniosła go fala nieznanego dotychczas, cudownie ożywiającej energii. Przemknęło mu przez myśl, że gdyby mógł uchwycić to radosne zauroczenie, uwięzić je w jakimś pojemniku, stałby się najbogatszym człowiekiem na ziemi. Z drugiej strony wolał mieć je w sobie, czuć energię płynącą w żyłach, uderzającą do głowy, wznecającą nowe bezcenne doznania. Wiedział, że nie musi tęsknić za bogactwem, bo i tak stał się właśnie największym bogaczem świata. Elizabeth pochyliła głowę i musnęła ustami jego wargi.

- Zdradzę ci mały sekret. Myślę, że i ja okazałam się nieprawą romantyczką i właśnie dlatego przyjęłam cię pod ten dach!

- Czemu tak myślisz?

- Otworzyłam ci drzwi i stałam w progu, słuchając grzecznie twoich tłumaczeń, a przecież już wtedy byłam prawie pewna, że kłamiesz jak pies!

Krew w nim zawrzała, nie pożądaniem - choć pewnie i ono kryło się gdzieś na dnie owej wybuchowej mieszanki - ale uczucia, które dominowały, były o wiele głębsze i nieskończenie

bardziej satysfakcjonujące. A więc przyjęła go do siebie, chociaż podejrzewała, że zmyślił historyjkę o nieskutecznej rezerwacji! Wsunął drugą dłoń w splecione włosy Elizabeth i łagodnie zacisnął palce.

- Rzeczywiście nie tylko ja jestem sekretnym romantykiem. Kocham cię bardzo, wiesz?

- I ja cię kocham! - Rozchyliła usta do pocałunku, lecz nagle znieruchomiała, a jej oczy przybrały zamyślony wyraz. - To znaczy, że znowu staje przed nami stary problem.

- Coś staje na pewno, ale nie jest takie stare i polemizowałbym z określeniem tego jako „problem”!

- Przestań żartować, próbuję myśleć! - Elizabeth powoli usiadła w pomiętej pościeli. - To chyba jest poważne...

Jack podłożył sobie ręce pod głowę.

- Zamieniam się w słuch!

- Twoje opowiadanie o szwindlu z rezerwacją przypomniało mi, że nadal nie wiemy, gdzie ukrywał się Tyler Page w czasie pobytu w Mirror Springs. Jeśli dobrze pamiętam, Gresham wspominał, że wszystko wskazuje na to, iż Gillian przyjechała z Denver dopiero dzisiaj, tak?

- Zgadza się. Mów dalej!

- Przez cały czas zakładaliśmy, że Page zaszył się gdzieś w miasteczku. Myśleliśmy, że chce być jak najbliżej festiwalu.

- Być może to założenie było błędne.

Oczy Elizabeth błysnęły podnieceniem.

- A może wcale się nie myliliśmy?

Jack usiadł przy niej.

- Do czego zmierzasz?

- Wszyscy zgodnie opisują Tylera Page'a jako człowieka niezaradnego w załatwianiu codziennych drobiazgów, więc chyba nie myślę się, twierdząc, że za żadne skarby nie zdołałby załatwić sobie sfałszowanych papierów. Racja?

- Pewnie Gillian o to zadbała w je  $\emptyset$  imieniu.

Elizabeth zacisnęła dłoń na fałdach prześcieradła.

- Pierwszego dnia, kiedy spotkałam Haydena, pytałam, jak udało mu się znaleźć tu pokój. Powiedział, że zna menedżera hotelu i wykorzystał jego kontakty. Rzucił to mimochodem. Oczywiście możliwe, że tego mi niedzera poznał gdzieś wcześniej.

- Personel hotelowy podróżuje z miejsca na miejsce - przyznał Jack.

- Z drugiej strony niewykuczone, że Hayden poznał go tu na miejscu. Może to nie jest jego pierwsza wizyta w uzdrowisku?

- Mirror Springs to popularna miejscowość narciarska, a Hadyen jest zapalonym narciarzem. - Jack podniósł głowę. - Gillian też!

- Jack! A jeśli...

- Poczekaj chwilę! - Złapał telefon i zaczął grzebać w szufladzie, gdzie schował książkę telefoniczną miasteczka. Nie była zbyt opasła. - Jednym telefonem możemy położyć kres naszym niepewnościom.

Znalazł numer hotelu i poprosił o połączenie z pokojem Haydena. Brat odpowiedział dopiero po kilku dzwonekach głosem zaspanym i niezupełnie trzeźwym:

- Halo?

- Ile drinków wysuszyłeś, kiedy pojechaliśmy? - zażartował Jack.

- Niech ci się nie wydaje, że po tylu latach zaczniesz odgrywać rolę starszego braciszka! Poza tym miałem prawo. To była ciężka noc.

- Nie będę się z tobą spierał - ustąpił Jack. - Zaraz pozwolę ci znowu zasnąć, odpowiesz tylko na jedno pytanie.

Hadyen jęknął.

- To, że uratowałeś mi życie, nie daje ci prawa do zrywania mnie ze snu w środku nocy, jeśli poczujesz ochotę! Moja świeża odnaleziona braterska wdzięczność tak dalece nie sięga, więc uważaj!

- Hayden, skup się, bo to ważne. Mówiłeś Elizabeth, że dostałeś pokój dzięki znajomości z menedżerem hotelu.

- Tak, gość nazywa się Douglas Finley. Miły facet. Ale co z tego?

- Czy bywałeś tu wcześniej?

- Ja? Nie.

- Cholera! - Jack poczuł, że podniecenie go opuszcza, a entuzjazm flaceje jak przekłuty balonik. Mimo to postanowił spróbować raz jeszcze: - Skąd znasz lego Finleya?

- Właściwie osobiście nigdy go nie spotkałem. Wykorzystałem nazwisko eksteścia, żeby zdobyć jego przychyłność.

- Więc Finley zna Gillian?

- Jasne. Tyle że nie dotarła do niego wiadomość o naszym rozwodzie, bo inaczej pewnie nie dałby mi pokoju. Czy pozwolisz, że spytam, do czego zmierzasz? Naprawdę muszę się przespać. Dzwonił do mnie tatusiek Ringstead i zawiadomił, że leci tu prosto z Zurychu. Uruchomił rodzinnych prawników, którzy wyruszyli już w drogę. Jutro czeka mnie konferencja z tą bandą.

- Wytrzymaj jeszcze chwilę - poprosił Jack. - Czy to znaczy, że rodzina Gillian spędza w tej okolicy wakacje?

- Nie bezpośrednio rodzina, ale jeden z kuzynów ma chatę kilka mil za miastem. Kiedy byliśmy małżeństwem, korzystaliśmy z niej kilka razy.

Jack zdziwił się, że słuchawka nie rozleciała się w kurczowym uchwycie jego zbiegających palców.

- Jej kuzyn ma tu dom?

- No, tak. Ale biorąc pod uwagę nasze perypetie rozwodowe, wykombinowałem sobie, że rodzinka Ringsteadów ogłosiła mnie pewnie persona non grata i nie zechce mieć ze mną żadnych stosunków, więc nawet nie próbowałem zdobyć od niego klucza do chaty, tylko postanowiłem poszukać szczęścia w hotelu.

## Rozdział dwudziesty szósty

Dom stał z dala od drogi. Zobaczyli go dopiero, gdy dotarli do samego końca długiej i krętej alejki dojazdowej. Jack prowadził, a Elizabeth wychylała się do przodu, próbując ogarnąć jednym spojrzeniem niską, lecz rozległą budowlę. Wszystkie okna były ciemne, na podjeździe nie stał żaden samochód.

- Jeśli nawet Page tu mieszkał, to już dawno musiał się ulotnić! - Jack zgasił silnik i wyjął latarkę z podręcznego schowka. - Może znajdziemy jakąś wskazówkę, dokąd zwiął!

Elizabeth rzuciła mu niespokojne spojrzenie.

- Komendant Gresham nie będzie zadowolony, kiedy się dowie, że przyjechaliśmy tutaj bez porozumienia z policją!

- I tak ma już dość roboty: wypadek białego porsche, poszukiwania ciała Vicky i do tego jeszcze morderstwo Gillian. Poza tym prawdopodobnie odjedziemy stąd z kwitkiem, a jeśli coś jednak znajdziemy, w każdej chwili możemy dać mu znać!

- Jasne. -Elizabeth zapięła płaszcz w obronie przed mroźnym wiatrem i wysiadając, rzuciła mu spojrzenie konspiratora współwinowajcy. - Ale najpierw sami ruszymy w pościg!

- Jeśli Page zwiął do Europy, Gresham i tak nie mógłby nic zdziałać, natomiast my mielibyśmy szanse dorwać go, zanim się zorientuje, jak wejść w kontakt z zagranicznym kontrahentem.

Potrząsnęła głową, ale poszła za Jackiem.

- Podziwiam tę twoją cechę, Jack... nigdy się nie poddajesz!

- Rezygnacja rzadko popłaca! -Naciągnął skórzane rękawiczki. - Spójrzmy prawdzie w oczy. Odnalezienie jakiegś tam próbki laboratoryjnej nie jest zadaniem, któremu komendant Gresham przypisałby wiele wagi, natomiast dla nas jest najważniejsze. Policja jest zainteresowana złapaniem morderców, nie będą sobie zawracać głowy skradzioną własnością Excalibura. My jako jedyni mamy coś do zyskania, jeśli odnajdziemy kryształ przed terminem prezentacji dla Veltrana!

- Nie musisz mi o tym przypominać. - Elizabeth również wyjęła z kieszeni rękawiczki. Weszła za Jackiem na ganek i przypatrywała się, jak sprawdza, jedno po drugim, drzwi i frontowe okna.

- Na to, co teraz robisz, jest pewne określenie.

- Włamanie i bezprawne wejście na teren cudzej nieruchomości. - Niewzruszenie naciskał klamki i sprawdzał framugi. - To nie byłby nasz pierwszy raz, powinnaś się do tego przyzwyczaić!

- Ale kiedy wchodziliśmy do domu Page'a w Seattle, miałaś przynajmniej klucz i wymówkę, która jako tako trzymała się kupy. Teraz miałbyś trochę więcej kłopotu, by się z tego wywinąć, gdyby nas przyłapali!

- Jakoś bym sobie poradził.

- Przemówił urodzony menedżer!

- Dobry menedżer znajdzie język w każdej sytuacji!

- Język albo co innego - dodała Elizabeth ledwie dosłyszalnie. Szła posłusznie za Jackiem, usiłując nie zwracać uwagi na nerwowe drżenie rąk. Byli już w połowie długości szerokiej werandy, która okalała całe domostwo. Skręcili za kolejny róg i zorientowali się, że cała tylna ściana to właściwie rząd okien - wielka szklana płaszczyzna poprzecinana wąskimi framugami. Z domu musiał się roztaczać porywający widok na masyw górski

po drugiej stronie doliny. Przyciemnione szyby stanowiły natomiast nieprzeniknioną barierę dla intruzów usiłujących zajrzeć do środka.

Jack bez wahania podszedł do najbliższych przesuwanych drzwi, podczas gdy Elizabeth rozglądała się po tarasie, przyświecając sobie niewielką latarką. Wąski promień światła padł na okazały grill z nierdzewnej stali, dwie eleganckie kanapy ogrodowe, stół i jacuzzi.

- Goście Mirror Springs kochają się w gorących kąpieliach - zauważyła Elizabeth. - Nieodłączny element wyposażenia wszystkich letniskowych posiadłości!

- Po ostatnich doświadczeniach sam uznałem to urządzenie za interesujący dodatek do wygodnego życia - wyznał Jack ze śmiechem. - Zaraz po powrocie do domu zainstaluję taką wannę u siebie.

- Przecież mieszkasz w bloku.

- No to zbudujemy sobie jacuzzi u ciebie. Może na tym wielkim balkonie przed twoją sypialnią?

- Skąd wiesz, że moja sypialnia ma balkon?

- Widzę go z okien mojego mieszkania!

- Nie zdołałbyś dojrzeć tego gołym okiem. Używasz lornetki? Nie odpowiedział.

- Jack, szpiegowałeś mnie przez te pół roku?

- Nie bój się, i tak nic nie widziałem wyraźnie - uspokoił ją. - Zastaniały mi krzaki. Masz tam okropnie dużo zielska! Powinnaś chyba przypilnować ogrodnika, żeby regularnie przycinał te zarośla, bo haniebnie je zapuścił, nie sądzisz?

Jęknęła, niepewna, czy się obrazić, czy potraktować śmiałe wyznanie jako pochlebstwo. Już miała mu powiedzieć, gdzie może sobie wsadzić zapuszczone zielsko, gdy zauważyła, że pokrywa grilla jest odsunięta, a na zatłuszczonym blacie przy-mocowanym z boku walają się rozmaite przyrządy kuchenne.

- Słuchaj, ktoś chyba niedawno używał tego grilla! Patrz, zostawił porozrucane sztuce i straszny bałagan! Ciekawe, czy... - Urwała, wpatrzona w bryłę cienia nad brzegiem wanny. W pierwszej chwili wzięła ją za porzucony czy zapomniany męski but, potem spostrzegła, że plama cienia ma ciąg dalszy w postaci nogawki spodni.

- Och, Boże, Jack! - Elizabeth stała na skraju tarasu, przyciskając dłoń do ust.

Jack skierował promień swojej latarki na wannę.

- O, cholera!

Podszedł bliżej miniaturowego basenu, pilnując, by snop światła ani na chwilę nie zbłądził gdzieś w bok. Elizabeth szepnęła zdławionym głosem:

- Boże, błagam, nie pozwól... Jeszcze jeden?

Ruszyła za Jackiem z oczami wbrew własnej woli utkwionymi w wystający but, jak gdyby zniewoliła ją groza tego widoku. Zatrzymała się obok masywnego grilla, wysunęła dłoń i uczepliła się metalowej konstrukcji, by nie upaść. Końcami palców dotknęła się chłodnej rączki długiego, usmarowanego tłuszczem szpikulca.

Z wanny zdjęto pokrywę, lecz silnik urządzenia nie pracował i nie świeciły się podwodne żarówki, wbudowane w ścianki basenu. Powierzchnia wody stała w absolutnym bezruchu.

Jack okrzyknął basen i wycelował światło latarki w coś, co przypominało kupkę niedbale rzuconej odzieży. Najpierw Elizabeth ujrzała chudą rękę i dłoń o niezwykle długich palcach, potem spostrzegła krew wciąż kapiącą z rany na głowie. Wdzięczna była losowi, że nie pozwolił jej widzieć twarzy mężczyzny leżącego na tarasie tuż przy brzegu jacuzzi. W mroku koło ciała ujrzała mętny błysk promienia, odbitego od metalowego przedmiotu leżącego tuż koło nogi szezlonga. Był to elegancki, wyszukany w stylu mikser koktajlowy. Pokrywka potoczyła się nieco dalej. Elizabeth domyśliła się, że mężczyzna został napadnięty, gdy przygotowywał sobie martini. Przeniosła światło latarki na ciemny metalowy przedmiot.

- Boże litościwy! Jack...?

Zerknął na pistolet, który musiał wypaść z dłoni zabitego.

- Widzę!

Zmusiła się, by jeszcze raz spojrzeć na ciało. Wbiła wzrok w ciemną plamę krwi wypływającej spod głowy leżącego. Wyglądała jak kałuża wody z odkrytej wanny, lecz Elizabeth nie łudziła się. Wiedziała, że patrzy na krew. Poczowała mdłości. Stała jak zahipnotyzowana, nie mogąc oderwać wzroku, podczas gdy Jack przykłęknął i dotknął palcami szyi leżącego, szukając pulsu.

- To Page, prawda? - szepnęła.

- Tak. - Wstał i sięgnął do kieszeni. Wiedziała, że chce zadzwonić na policję. - Jednak nie opuścił miasta.

- Musiał się zastrzelić w szoku po zamordowaniu Gillian. Akt skruchy zrozpaczonego kochanka. Biedaczysko! Ona naprawdę była wcieloną kobietą fatalną!

Z cienia pod ogrodową markizą wychynęła czyjaś sylwetka i zapłonęło trzecie światło latarki. Elizabeth chciała krzyknąć, lecz zabrakło jej tchu i nie zdołała wydać dźwięku.

- Obawiam się, że to nie samobójstwo - oznajmił Dawson Holland, podchodząc do Jacka i jego towarzyski. - Ten nieszczęsny idiota nie chciał mi oddać Soczewki. Powtarzał jak nakręcony, że Gillian go zdradziła i że za żadną cenę nie pozwoli, by kryształ dostał się w moje ręce! Posunął się do tego, że zagroził mi pistoletem, więc nie miałem innego wyjścia; musiałem go zabić.

- Czemu wciąż się pan tu kręci? - zapytał Jack zdumiewająco opanowanym głosem, nie podnosząc się nawet z kłeczek. - Trudno będzie panu oczyścić się z kolejnego zarzutu... po śmierci Gillian i zniknięciu trzeciej żony.

- Nie mam zamiaru sterczeć tu tak długo, by mnie przyłapali i zaczęli maglować!

- To pan zabił Gillian. - Elizabeth patrzyła na niego jak na jadowitego węża. - Tyler Page tego nie zrobił!

- Ta suka do cna zwariowała. W kółko bredziła tylko coś o zemście! - Holland skierował światło latarki prosto w oczy Elizabeth.

Zachwiała się, jakby smagnął ją promień lasera, potknęła o krawędź grilla i wysunęła dłoń na oślep, chcąc się uratować przed upadkiem na płyty tarasu. Zabrzęczały potracone sprzęty na kuchennym blacie; masywna patelnia stoczyła się na ziemię, odbiła dwa razy z niesamowitym hukiem i wszystko ucichło. Jack obserwował Elizabeth przez cały czas, ale nie odezwał się ani słowem. Dawson Holland z uśmiechem skierował latarkę w prawo, aż snop światła zalał twarz Jacka.

- Pana towarzyszka strasznie coś nerwowa - zakpił.

- Każdy inteligentny człowiek byłby nerwowy w pana obecności! - wybuchnęła Elizabeth.

- A pani zalicza się oczywiście do tych inteligentnych? Powiem pani, że mądre kobiety mają jakiś specyficzny urok. Zawsze mnie fascynowały, szczególnie gdy łączą bystrość umysłu z urodą. Kobieta inteligentna ma własne poglądy i cele, co ją czyni interesująco niebezpieczną.

- A skoro o niebezpieczeństwie mowa... - wtrącił gładko Jack. - Ostatnio szczęście panu jakoś nie sprzyjało, prawda? Najpierw Vicky zwiewa spod pana kurateli, zanim zdążył ją pan sprzątnąć i zainkasować polisę, a zaraz potem obsesja zemsty bierze w Gillian górę nad chęcią zyskową sprzedaży kryształu zagranicznym kontrahentom.

- Ta idiotka zaprzepaściła cały interes! - Rysy twarzy Dawsona Hollanda wykrzywiła wściekłość. - Nie obchodziły jej pieniądze, tylko osobiste porachunki. Wykorzystała mnie!

Elizabeth patrzyła na niego zafascynowana, jak na jadovitą kobrę w ogrodzie zoologicznym.

- W jaki sposób się poznaliście?

- Na festiwalu filmowym w Sedonie kilka miesięcy temu. Sama mnie znalazła, przedstawiła się i zaproponowała interes. Była niezłe zorientowana, z kim ma do czynienia. Wiedziała, że mam kontakty na rynkach zagranicznych.

- Potrzebowała kogoś, kto mógł zaferować Tylerowi Page'owi ten rodzaj przynęty, któremu nie potrafił się oprzeć: możliwość zaistnienia jako producent filmowy - domyśliła się Elizabeth.

Usta Dawsona zacisnęły się w cienką kreskę.

- Już wam mówiłem, że mnie wykorzystała. Chociaż z początku wydawała mi się idealną partnerką w interesach. Potrzebowałem Soczewki, żeby pozbyć się pewnych ludzi, którzy deptali mi po piętach. Wiedziałem, że tak czy inaczej będę potrzebował forsy z polisy ubezpieczeniowej Vicky, i wykombinowałem sobie, że w Mirror Springs ustrzelę oba ptaszki za jednym zamachem.

- Pod koniec jednak Gillian odmówiła współpracy?

- Wariatka! Ukryła siebie i Page'a. Nie mogłem ich dorwać! - Holland uniósł głos; zabrzmiały w nim nutki hysterii. - Potem pojawiliście się wy, pan i ten Shaw. Próbowałem was odstraszyć, ale zaparliście się przy swoim. Potem pan nastął Ledgera na

przeszpiegi. Kręcił się po całym mieście i wypytywał o Page'a. Musiałem go przekupić!

- Skąd miał pan tę taśmę wideo?

Dawson wyszczerzył zęby.

- Gillian przygotowała ją już dawno temu. Mówiła, że to zabezpieczenie, gdyby cokolwiek poszło nie tak. Że ten materiał skieruje podejrzenia w inną stronę. Ofiarowała mi kopię, więc wzięłem ją i trzymałem na wszelki wypadek.

- Policja sądzi, że zwiął pan z kraju do Amsterdamu - zaczęła Elizabeth.

- Po zniknięciu Vicky musiałem zainscenizować ucieczkę, więc tego samego ranka pojechałem na lotnisko i wykupiłem bilet na samolot do Holandii. Zaraz potem wypożyczyłem auto i wróciłem. Od samego początku miałem założony podsłuch w pokoju Shawa, więc kiedy zadzwoniła do niego Gillian, dowiedziałem się, gdzie ją znajdę. Przyjechałem przed wami i próbowałem przemówić jej do rozsądku.

- Powiedziała panu dobrowolnie, gdzie ukryła Page'a?

- Wariowała na myśl, że jej plan zemsty za chwilę się spełni, i to ją wprawiło w takie podniecenie, że zaśmiała mi się w twarz i powiedziała, że mogę sobie wziąć Soczewkę, a potem wyjaśniła dokładnie, gdzie jest Page.

- Wtedy ją pan zastrzelił i przyjechał tutaj! - krzyknęła Elizabeth.

- Page szykował się do wyjazdu. Następny wariat: chciał się wślizgnąć na dzisiejszą premierę, żeby napawać się pięknem swojego „dzieła”. Możecie w to uwierzyć? Gość ma w ręku fortunę, a wszystko, o czym jest w stanie myśleć, to nędzne filmidło!

- Pan chciał go zmusić do oddania Soczewki, a on odmówił, bo podejrzewał, że Gillian go zdradziła i wydała w pana ręce. Zresztą słusznie, jak się okazuje.

Twarcz Dawsona Hollanda w drżącym świetle latarki przypominała zastygłe w maskę furii oblicze demona.

- Powtarzał w kółko, że mam Soczewkę przed oczami, ale nigdy jej nie znaję!

- Ale pan był pewien, że odnajdzie kryształ bez jego pomocy, he? - Jack uśmiechnął się ponuro. - No i co... jak długo już pan szuka?

W głosie finansisty zabrzmiało bezsilnym rozdrażnieniem.

- Przez ostatnie kilka godzin przewracałem ten dom do góry nogami. Przeszukałem nawet jacuzzi! Page zadrwił sobie ze mnie. Uwierzyłem, kiedy mi powiedział, że trzyma kryształ na widoku!

- A pana czas się kończy. Nawet jeśli wymknie się pan policji, rozczarowani kontrahenci na pewno pana znajdą. Jak daleko zdoła pan uciec?

- Muszę tylko wydostać się z tych przeklętych gór! - Nerwowo tik wykrzywił policzek Hollanda. - Kiedy tylko wyjadę z Mirror Springs, będę bezpieczny. Mam dokumenty na nowe nazwisko. Ukryję się i przeczekam.

- Policjapano dopadnie, zanim pan opuści góry! - stwierdziła z przekonaniem Elizabeth.

- Nie sądzę. - Holland uśmiechnął się chłodno. - Mimo to lepiej się zabezpieczyć. Może wezmę sobie zakładnika, jak pani myśli? Zawsze wyznawałem motto, że przezorność popłaca!

Elizabeth wstrzymała oddech.

- Jeśli się panu wydaje, że zgodzę się z panem pojechać...

- Mnie się nie wydaje. Ja to wiem! - Machnął przynaglająco dłonią, w której trzymał latarkę. - Proszę tu podejść, i to natychmiast!

- A Soczewka? - przypomniał Jack. - Stracił pan nadzieję?

- Doświadczony gracz wie, kiedy wycofać się z licytacji. - Znowu dał znak ręką. - Elizabeth, niech pani nie pogarsza sytuacji. Proszę tu podejść albo zabiję Fairfaksa!

Wiedziała, że mówi poważnie. Holland bez wahania zabiłby ponownie. Z ociąganiem ruszyła w jego stronę.

- Prędej, moja droga, Fairfax słusznie się domyśla, że nie mam zbyt wiele czasu. - Kiedy podeszła na odległość kroku, skierował wylot lufy prosto na nią. - Doskonale! Rozumie pan powagę sytuacji, panie Fairfax? Jeden ruch, a zastrzelę gołąbcezkę. Zapewniam pana, że nie będę miał najmniejszych skrępułów! W mojej sytuacji to ryzyko jest bez zn zienia. Czy to jasne?

- Najzupełniej - mruknął Jack.

- Moje auto stoi na bocznej drodze, n edaleko stąd. - Holland nie przestawał mierzyć w Elizabeth, ale wydając kolejne polecenia, nie spuszczał oczu z Jacki, -Naprzód... powoli, Elizabeth.

Nie ruszyła się z miejsca.

- Zabije go pan, gdy tylko się odwrócę!

Jego uśmiech był pełen uznania.

- Jest pani domyślna, moja droga. Bylibyśmy niezłą parą, gdyby sprawy potoczyły się inaczej!

- Może pan być pewien, że niedługo trwałaby ta spółka! - warknęła.

- Nic nie trwa wiecznie. Proszę się ruszyć albo będzie pani miała przyjemność patrzeć na jego śmierć... A jakoś nie wierzę, by to mogło sprawić pani radość.

Spojrzała na Jacka, który wciąż klęczał przy ciele Page'a. Od pistoletu niefortunnego naukowca dzieliły go dobre dwa metry.

- Jack? - wykrztusiła z rozpaczą.

- Wszystko będzie dobrze, Elizabeth! Rób, co musisz. - Na ułamek sekundy zawiesił głos. - Tylko szybko, dobrze?

- Dobrze. - Odwróciła się, jak gdyby zamierzając wycofać się werandą wokół domu. Holland wciąż celował prosto w jej głowę, ale całą uwagę skupił na Jacku. Elizabeth wymacała w rękawie rączkę kuchennego szpikulca, który zsunęła kilka chwil wcześniej z grilla. Z pozornym ociąganiem zbliżała się do finansity wciąż zapatrzonego w Jacka. Wyczuła raczej, niż spostrzegła, moment, kiedy przerzucił ciężar ciała z nogi na nogę i poruszył ręką, kierując pistolet na Jacka. Nie tracąc czasu na dokładny wybór celu, dźgnęła na oślep. Czubek narzędzia rozdarł tkaninę spodni i natrafił na opór warstwy tłuszczu i mięśni. Elizabeth poczuła falę mdłości, podchodzącą do gardła, ale naciskała dalej. Holland zwinął się w kłębek z bólu.

- Ty suko!

Pistolet wystrzelił z ogłuszającym hukiem. Poczują prąd powietrza, kiedy ciało Jacka wyciągnięte w skoku śmignęło koło niej i całym ciężarem uderzyło w przeszkodę, która stała mu na drodze, skomląc z bólu. Latarka wypadła z dłoni Hollanda i potoczyła się po tarasie, a w ślad za nią dwaj przeciwnicy upadli z taką siłą, że zatrzęsły się drewniane podpory werandy. Elizabeth w panicznym pośpiechu usunęła się na bok, ale potknęła się i zatoczyła na balustradę. Nagle zastygła na widok zakrwawionego widma, które wyłoniło się z cienia jacuzzi. Tyler Page usiadł, macając wokół siebie po omacku, aż jego palce

zaczisnęły się na spuście rewolweru. Podniósł broń i wycelował w kierunku walczących. Jego ramię dygotało spazmatycznie, lufa kołysała się jak w porywach wichury. Wykrztusił głosem zdyszczanym z wysiłku:

- Wykradłeś mi ją... ona mnie zdradziła! Z tobą...!

- Jack! - wrzasnęła Elizabeth. - Odsuń się!!

Jack błyskawicznie ocenił sytuację, wyrwał się z ramion Hollanda i rzucił na płyty tarasu, krzycząc:

- Nierób tego! Page, posłuchaj, nie musisz! On...

Za późno! Rozległ się huk wystrzału. Zwiotczałe ciało Hollanda osunęło się na ziemię.

- Moja Anielska Buzia- wyszeptał Tyller. - Moja jedyna, śliczna...

Upadł na plecy i zamilkł. Zapadła głucha cisza.

- Elizabeth...?

- Nic mi nie jest. - Nie odrywała oczu od nieruchomej sylwetki Page'a. - Myślałam, że nie żyje.

- Był ogłuszony. - Jack przykląkł przy Hollandzie, szukając pulsu. - On też jeszcze dycha. Masz swoją komórkę?

- Tak. - Elizabeth sięgnęła do kieszeni płaszcza, wdzięczna za możliwość jakiegoś działania, które odwróciłoby jej uwagę od makabrycznej sceny przed oczami. Ze skupieniem wybierała numer. Wydawało jej się, że minęły wieki, zanim zgłosiła się dyspozytorka pogotowia. Podała jej wszystkie potrzebne dane i wskazówki, jak dojechać na miejsce. Kiedy skończyła, ujrzała, że Jack rozgląda się po tarasie w sąsiedztwie wanny. Nagle schylił się i podniósł srebrzysty pojemnik, który w zamieszaniu potoczył się pod szezlong. Powoli, jakby brnęła przez gęstą mgłę, podeszła bliżej. W oddali zajęczała syrena pogotowia.

- Co tam wyrabiasz z tym mikserem?

- To nie mikser. - Oświetlił latarką trzymany w ręku przedmiot. - To rodzaj termosu, pojemnik stosowany w laboratoriach technik próżniowych. Ten został zaprojektowany przez zespół naukowy Excalibura specjalnie do transportu Soczewki.

Wpatrywała się w metaliczny blask cylindra jak w magiczne zwierciadło.

- Jest pusty. Myślisz, że Page wyrzucił kryształ, żeby zrobić na złość Hollandowi?

- Stworzenie Soczewki było oprócz *Zakazanej ferajny* jedynym prawdziwym osiągnięciem tego człowieka. Nie sądzę, by potrafił się zdobyć na zniszczenie dzieła swego życia. -W zamyśleniu Jack wpatrywał się w jacuzzi.

Elizabeth zerknęła na niego zdumiona, potem przeniosła spojrzenie na ciemną powierzchnię wody.

- Sądzisz, że wrzucił go do wanny? Ale Holland mówił, że tam też szukał!

- Holland był finansistą, ale nie praktykiem obeznanym z produktami zaawansowanej technologii. Gillian powiedziała mu pewnie, że przedmiotem kradzieży jest kryształ, więc wyobraził sobie kawałek substancji podobnej do kwarcytu. - Jack przewrócił termos do góry nogami i odkręcił segment dna. - Oczywiście to całkiem trafny obraz, ale nie wtedy, gdy próbka pozostaje w stanie przejściowym!

Nagle Elizabeth zrozumiała.

- Oczywiście! To nowy typ kryształu koloidalnego, prawda? Page przewiózł go w termosie, bo cząsteczki substancji są rozproszone pod postacią zawiesiny!

- W pewnych określonych warunkach. Soczewka ma unikalne właściwości.

Zawodzenie syren zbliżało się z zatrważającą szybkością. Elizabeth podniosła wzrok i ujrzała rozbłyski światła reflektorów po drugiej stronie doliny.

- Masz najwyżej dziesięć minut - powiedziała. - Kiedy tu dotrą, otoczą wszystko taśmą i wygonią nas precz, bo to miejsce zbrodni. Nie pozwolą ci szwendać się po tarasie i szukać kryształu!

- Jeśli się nie mylę, nie potrzebuję dziesięciu minut.

Dno termosu oddzieliło się od korpusu, a na dłoń Jacka wypadła niewielka koperta z celuloиду. Otworzył ją i wysypał zawartość do gorącej wody w basenie.

- Co to takiego?

- Katalizator. Soczewka, w odróżnieniu od powszechnie znanych koloidalnych kryształów, ma taką strukturę, że jej cząsteczki zespala się wyłącznie w obecności tego związku.



Przybierają wtedy formę stałą. To nie potrwa długo. Jeśli Page cisnął kryształ do tej wanny, za chwilę go zobaczymy!

Elizabeth wpatrywała się z takim napięciem, że oczy zaczęły jej zachodzić łzami. Nagle dojrzała na jednej z ławeczek lśnienie czegoś, co wyglądało jak zielonkawe szkiełko.

- Tam! - usłyszała w tej samej chwili zadowolony głos Jacka. Podwinął rękaw koszuli. - Jeszcze kilka minut i ten przeklęty kryształ będzie nasz!

Szklany odłamek powiększał się w oczach. Katalizator przyciągał coraz to nowe niewidzialne cząsteczki, zawieszane w ciepłej wodzie. Syreny wyły coraz głośniej. Pierwsze auto skręcało już w alejkę dojazdową.

- To byłoby chyba wszystko. - Jack zanurzył ramię i wziął kryształ z podwodnej ławeczki. Wyciągnął rękę z wody, rozwarł pięść i skierował światło latarki prosto w serce kryształu. Elizabeth wstrzymała oddech. Powietrze zamigotało miriadami iskerek, jakby patrzyli w głęb nieskazitelnego diamentu. Soczewka płonęła szmaragdowym ogniem, pulsowała falami gwiazdznego pyłu.

- Bajeczne! - wyszeptała oczarowana Elizabeth.

- Nasze - uzupełnił Jack z satysfakcją.

Wycie syren umilkło jak ucięte nożem. Usłyszeli trzaśnięcia drzwi i kroki na werandzie. Jack zamknął palce na świetlistym cudzie i zręcznym ruchem wsunął go do kieszeni.

- Gdyby pytali o kryształ - rzucił zdawkowo - Page wykradł falsyfikat, dokładną kopię podstawioną na miejsce prawdziwej substancji w laboratorium. Autentyczny egzemplarz przez cały czas spoczywa bezpiecznie w sejfie Excalibura.

- Myślisz, że się nabiorą?

- Jak ci tłumaczyłem, dobry menedżer znajdzie język w każdej sytuacji!

## Rozdział dwudziesty siódmy

Cały spowity bandażami, z podłączoną kropłówką, Tyler w szpitalnym łóżku robił wrażenie tragicznej postaci. Spoglądał na Jacka zrezygnowanym, smutnym wzrokiem zza przekrzywionych okularów.

- Wiem, że za późno na jakiegokolwiek przeprosiny, panie Fairfax, ale mimo to chcę panu powiedzieć, że strasznie mi przykro z powodu tej całej afery. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło!

Widząc, że Jack szykuje się do pogardliwej repliki, Elizabeth przysunęła się bliżej leżącego.

- Jack to rozumie, doktorze Page. Był pan ofiarą namiętności. Na jakiś czas po prostu stracił pan z oczu wszystko inne i kompletnie się zagubił. To się zdarza wielu ludziom, proszę mi wierzyć.

Jack podniósł oczy do sufitu, ale zmilczał. Tyler utkwiał tragiczne oczy w Elizabeth.

- Była taka piękna, taka... niewypowiedzianie piękna. Nigdy przedtem żadna piękna kobieta nie

zwróciła na mnie uwagi, a ona... przy niej czułem się mądry, doświadczony, szarmancki... i miałem wrażenie, że świat się ze mną liczy. Stawałem się Bogartem, Mitchumem i Grantem jednocześnie!

- Gillian pana wykorzystała! - wypalił Jack prosto z mostu. Elizabeth spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie musisz jątrzyć tej rany!

- Wiem, że byłem marionetką, że mną manipulowała, ale zanim zrozumiałem, że namówiła mnie do kradzieży nie po to, by wyjechać ze mną na tropikalną wyspę, ale dla własnych korzyści, było już za późno. Ugrzęzłem w koszmarze, z którego nie widziałem ucieczki.

- A nie przyszło panu na myśl najprostsze rozwiązanie: wykręcić mój numer i wszystko mi wyjaśnić? - zapytał Jack bez śladu współczucia.

Elizabeth spróbowała go ostrzec, że posuwa się za daleko.

- Jack... - szepnęła

Miała wrażenie, że żaden z nich jej nie słucha. Tyler poruszył się niespokojnie.

- Czułem się bezsilny, jakbym tkwił w sieci, którą mnie omotała. Wie pan co? Kiedy komendant Gresham powiedział mi, że Gillian nie żyje, poczułem ulgę! Jakby łuski spadły mi z oczu, jakbym nareszcie wydostał się z matni. Kiedy teraz spoglądam wstecz, rozumiem, jakim byłem straszliwym tchórzem, ale proszę mi wierzyć, sam nie potrafiłem wypłatać się z jej macek.

- Nie uważam pana za tchórze! - zaprzeczyła Elizabeth. - Stawił pan czoło Dawsonowi Hollandowi, chociaż próbował pana zamordować. To był czyn odważnego człowieka... bardzo odważnego.

Jack uniósł brwi, ale powstrzymał się od komentarza. Tyler zwrócił na Elizabeth wzrok, w którym pojawiły się nieśmiałe oznaki nadziei.

- Naprawdę pani tak sądzi, panno Cabot?

- Owszem, i nie tylko ja! - Jej spojrzenie omal nie przewierciło Jacka na wylot. - Prawda, Jack?

- Jasne, jasne - wymamrotał, zastanowił się i nagle na jego twarz wypłynął błady uśmiech. - Naprawdę! Ma pan jaja, Tyler, skoro tak mu się pan postawił!

Niefortunny naukowiec spłonał rumieńcem.

- Dziękuję panu, panie Fairfax. Czy pan Holland...?

Jack skinął głową potakująco.

- Nie żyje, Zmarł godzinę temu... na sali operacyjnej.

- Rozumiem. - Tyler poruszył ramionami spoczywającymi bezwładnie na poduszce, jakby próbował dodać sobie otuchy. - Domyślam się, że w takim razie czeka mnie dodatkowy proces o zabójstwo?

- Niekoniecznie - uspokoił go Jack. - Gresham wydawał się przekonany, że w tym przypadku pana czyn stanowi działanie w obronie własnej. Proszę nie zapominać, że Holland próbował nas wszystkich pozabijać!

Oczy Jacka i Elizabeth spotkały się nad białą szpitalnego łóżka. Żadne z nich nie pofatygowało się, by wyjaśnić Greshamowi tego, że kiedy Tyler ocknął się z omdlenia, Holland nie przedstawiał już właściwie niebezpieczeństwa, gdyż Jack zdążył go obezwładnić. Tylko oni wiedzieli, że fatalny strzał uśmiercił finansistę przygwożdżonego bezradnie do ziemi. Jak powiedział Jack, to był nieważny szczegół.

- Komendant nie był zachwycony naszą akcją, ale nikogo z nas nie posłał do paki.

Tyler zamrugał.

- Ale ja... muszę zapłacić za przestępstwo, które...

- Excalibur nie zgłosił tego na policję, więc o jakim przestępstwie pan mówi? - wpadła mu w słowo Elizabeth.

Jack dodał bez zająknięcia:

- Dyrekcja Excalibura postanowiła puścić w niepamięć ten niefortunny... incydent, zwłaszcza że obiekt wykradzony przez pana z laboratorium stanowił jedynie kopię oryginału, który przez cały czas spoczywał bezpiecznie w sejfie Excalibura.

Tyler rozdziawił usta:

- Ależ...

- W zeszłym miesiącu wprowadziliśmy dodatkowe zabezpieczenia. Milo i ja byliśmy jedynymi, którzy o tym wiedzieli! - skłamał Jack z całym spokojem.

- Ale... - nie dawał za wygraną Tyler.

- Ja chyba wiem najlepiej, nie sądzi pan? - Jack posłał mu chłodne, wymowne spojrzenie. - Jestem w końcu dyrektorem tego interesu!

Oblicze naukowca pojaśniało.

- Cieszę się bardzo, słysząc to... panie dyrektorze. Postąpił pan bardzo przezornie. Niesłychanie dalekowzrocznie.

- Też jestem tego zdania, doktorze Page.

- Nie potrafię wyrazić swojej radości, że Excalibur nie uciepi na moim zaślepieniu i głupocie. To wspaniała firma, a państwo Ingersollowie zawsze traktowali mnie jak najlepiej. Będzie mi tego brakowało.

- Nie na długo! - wtrącił Jack. - Oczekujemy pana z powrotem przy laboratoryjnym stole, gdy tylko lekarze wypuszczą pana ze szpitala.

Naukowiec utkwiał w niego niedowierzający wzrok.

- Chcecie mnie tam z powrotem?

Elizabeth posłała mu uśmiech otuchy.

- Firma pana potrzebuje, doktorze Page. Jest pan jedyną osobą, która w pełni rozumie teoretyczne założenia, stanowiące punkt wyjścia w pracy Patrycji Ingersoll nad kryształami koloidalnymi. Bez pana firma długo nie pociągnie!

- Nie pociągnie? - powtórzył oszołomiony naukowiec. - Beze mnie...?

- Jak najpoważniej! - Elizabeth spojrzała prosząco na Jacka. - Chyba się nie mylę, panie dyrektorze?

- W żadnym wypadku! - dobitnie podkreślił Jack. - Bez pana bylibyśmy absolutnie zagubieni.

- Nie wiedziałem, nie miałem pojęcia... - Tyler urwał pod naporem wzruszenia. - Nigdy dotąd nie byłem niezbędny, rozumiecie?

.Atmosfera w sali konferencyjnej Excalibura była tak gęsta od napięcia, że można by zawiesić w powietrzu siekierę i nie obawiać się, że spadnie i zarysuje połyskliwe tafle podłogi. Elizabeth przesunęła spojrzeniem po niespokojnych twarzach pozostałych członków rady nadzorczej. W rozmaitych zakątkach pomieszczenia członkowie rodziny Ingersollów różnie radzili sobie ze stresem oczekiwania: jedni popijali kawę, jak gdyby była to ostatnia w ich życiu filiżanka, drudzy kulili się w głębokich fotelach, jeszcze inni nerwowo przemieszczali się od drzwi do

okien. Wszyscy cierpieli takie same męczarnie oczekiwania. Ich nastrój przechodził kolejne fazy, od euforii po całkowitą rezygnację. Elizabeth nie winała ich za ten stan sceptycznej rozpacz, bo prezentacja dla Grady'ego Veltrana i jego doradców trwała już ponad trzy godziny. Przez sto osiemdziesiąt długich minut, od kiedy zamknęły się biało pomalowane drzwi, nikt nie wytknął nosa z laboratorium, by poinformować dyrektorów o przebiegu sesji. Z każdą sekundą ich twarze wydłużały się coraz bardziej.

- Nie udało się! - Angela zatrzymała się przy oknie, odwróciła do zebranych i potoczyła po ich twarzach rozwścieczonym spojrzeniem. - Gdyby kryształ działał tak, jak to nam obiecywał Page, do tej pory ktoś by nam już coś powiedział! Lepiej spojrzmy prawdzie w oczy, jesteśmy zrujnowani!

- Tyle lat, tyle pracy, którą Patrycja włożyła w projekt - wymamrotał wuj Ivo. - Wszystko na nic!

Postawa Angeli wyrażała rozpacz.

- Wiedziałam, że nie powinniśmy byli pozwolić Jackowi postawić wszystkiego na jedną kartę! Wpakowaliśmy w ten projekt wszystkie środki. Ile razy wam tłumaczyłam, że to błąd? Przekonywałam! Pamiętacie?

Ciotka Miła, Dolores, rzuciła jej niechętnie spojrzenie.

- Nie mieliśmy wyboru! Firma stała na krawędzi bankructwa, a Jack był naszą ostatnią nadzieją.

Elizabeth odwróciła się od okna.

- Proszę wszystkich o spokój. Gdyby pokaz nie wypalił, ludzie Veltrana z pewnością już dawno opuściliby laboratorium, a my zostalibyśmy o tym poinformowani. A przecież nikt jeszcze stamtąd nie wyszedł. Widzę ich samochody na parkingu. Mówię wam, że nie powinniście tracić nadziei. Kryształ nie zawiedzie!

- Nic z tego, wszystko skończone - jęczał Ivo, głuchy na logikę jej rozumowania. - Nic nam nie pozostaje poza ogłoszeniem upadłości. Powinniśmy to zrobić wiele miesięcy temu!

Zanim Elizabeth zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi sali. Zebrani zwrócili spojrzenia ku wchodzącym. Miło szedł powolnym, odmierzonym krokiem. Metr za nim podążał Jack. Obaj mężczyźni zwracali ku zebranym kamienne oblicza, całkowicie wyprane z wyrazu.

Miło zatrzymał się pośrodku pomieszczenia i przesunął mar-

twym wzrokiem po twarzach krewnych. Nadal nie zdradzał żadnych emocji.

Nagle bez ostrzeżenia wybuchnął beztroskim, chłopięcym śmiechem. Wydał indiański okrzyk triumfu, aż szyby w wysokich oknach zatrzęsły się i zabrzęczały w odpowiedzi; poskoczył i zadał kilka zwycięskich ciosów niewidzialnemu przeciwnikowi.

- Tak jest, panowie i panie! Wszystko działało bez zarzutu! Jak zapowiadał Tyler Page. Opowiedz im, Jack!

Oczy Jacka i Elizabeth spotkały się w niemym porozumieniu. Uśmiechał się szeroko, z głęboką satysfakcją. Pomyślała, że kiedy się kochają, ma podobnie promienną twarz.

- Gadaj! - przynagliła.

- Trochę się przedłużyło, bo Grady Veltran nalegał, żeby od razu uzgodnić wstępne warunki umowy licencyjnej, zanim jeszcze ktokolwiek opuści Laboratorium! - wyjaśnił. - Musieliśmy czekać, aż prawnicy zaakceptują tekst i złożą swoje podpisy.

- Niech cię! Niech to wszyscy diabli! - Ivo podskakiwał z radości. - Udało ci się! Udało!

- Tak, to zasługa Jacka - przyznał Milo i dzielił go w łopatki, aż zadudniło. - Postawił na swoim!

- My obaj postawiliśmy na swoim! - poprawił go Jack. - W czasie pokazu zachowywałeś się wspaniale, Milo. Zimny jak lód i rozluźniony, jakbyś znał wszystkie odpowiedzi. Okazałeś nerwy ze stali!

Promienny uśmiech nie schodził z twarzy Mila.

- Nie mogę uwierzyć - wyszeptała Angela z oczami rozjaśnionymi nadzieją i ulgą. - To naprawdę zadziało?

- Bez zarzutu! - Milo zerknął na Jacka, który z ramionami skrzyżowanymi swobodnie na piersi opierał się na krawędzi stołu. Odchrząknął, przyciągając uwagę zebranych.

Elizabeth obserwowała, jak młodzieniec porzuca pozę rozbawionego chłopca i na jego twarzy pojawia się wyraz autorytetu, zaskakująco podobny do opanowanej, stanowczej miny Jacka. Ukryła uśmiech, myśląc, że Milo okazał się pojętym uczniem... ale z drugiej strony miał doskonałego nauczyciela!

- Teoria cioci Patrycji, oparta na znanych właściwościach dotychczas istniejących kryształów koloidalnych, okazała się słuszna w całej rozciągłości - oznajmił młody następca tronu. -

Tyler Page przełożył jej podstawowe założenia na praktyczne zastosowanie. Mieli rację, do licha, wszyscy mieliśmy rację! - Skłonił głowę przed Jackiem. - Dzięki tobie i Fundacji Aurory Excalibur stanie się wiodącym potentatem w dziedzinie produkcji nowej generacji technologii komputerowych, opartych na łączności światłowodowej.

Elizabeth podeszła do bufetu, otworzyła szafkę i wyjęła z niej dwa posrebrzane kubeczki, które własnoręcznie ukryła tam trzy godziny temu. Lód zdążył już dawno stopnieć wokół smukłych zielonkawych szyjek dwóch butelek szampana.

- Sądzę, że trzeba oblać ten sukces! - zaintonowała i spojrzała na Jacka i Mila. - Czy panowie zgodzą się czynić honory domu?

- Aj, jaj! - Milo nie wytrzymał dyrektorskiej pozy. - Szampan, patrzcie no tylko!

- Doskonały pomysł. - Jack oderwał się od stołu, podszedł do bufetu i wyjął jedną z butelek z kubeczka. Zmagając się z korkiem, nie spuszczał wzroku z Elizabeth. - Widzę, że ty przynajmniej nie miałaś żadnych wątpliwości?

Odpowiedziała szerokim uśmiechem.

- Ani śladu!

- Co za zbieg okoliczności - powiedział głosem tak cichym, że nikt inny nie dosłyszał. - Ja też nie!

Spojrzała mu w oczy i dojrzała w nich bezgraniczne szczęście. Wiedziała, że wyraz jej oczu jest taki sam. Oboje wiedzieli ponadto, że ich radość nie ma nic wspólnego z Soczewką.

Korek wyskoczył z butelki z triumfalnym pyknięciem i uderzył w sufit. Zebrani odpowiedzieli beztroskim śmiechem. Milo podniósł kieliszek w toaście:

- Pijmy za Soczewkę! A skoro już wygłaszamy toasty, chciałbym zapowiedzieć kolejny, za Jacka i Elizabeth! Niech żyją szczęśliwie!

## Rozdział dwudziesty ósmy

Była spóźniona.

Ujrzała go od progu sali restauracyjnej klubu Pacific Rim. Siedział przy tym samym stoliku, przy którym czekał na nią tamtego dnia po ich pierwszej, niefortunnej nocy. Zrozumiała, że zrobił to celowo, i uśmiechnęła się pod nosem. Kierownik sali, Hugo, pospieszył na jej spotkanie.

- Ach, jest pani, panno Cabot. Pan Fairfax już czeka.

- Widzę.

Zaprowadził ją do stolika. Czuła, że tu i ówdzie odwracają się w ślad za nią głowy zainteresowanych gości. Kącikiem oka łapała ich uśmiechy i wiedziała, że nie ona jedna doznaje dreszczyku, jaki towarzyszy zazwyczaj przeżyciom *deja vu*. Po raz pierwszy od czasu sławetnej sprzeczki spotykała się tu z Jackiem na lunchu.

W jego oczach migotały isierki rozbawienia. Wiedziała, że bawi go obserwowanie, jak dumnie

wyprostowana kroczy pod pręgierzem ukradkowych, lecz czytelnych spojrzeń. Kiedy dotarła do stołu, poderwał się szarmancko i zaborczym ruchem musnął jej wyciągniętą na powitanie dłoń, jakby ogłaszając wszem i wobec, iż oto bierze ją w posiadanie.

- Spóźniłaś się - zauważył.

Zignorowała naganę w jego słowach, uśmiechem dziękując Hugonowi. Kelner rozpromienił się.

- Panno Cabot, czy pozwoli mi pani złożyć moje najszczerze gratulacje z okazji zaręczyn? Cieszymy się niebywale, że to nam przypadł zaszczyt organizacji przyjęcia dla uczczenia tej chwili. Nie mogę doczekać się piątku!

- My też niecierpliwie czekamy na ten dzień - odwzajemniła się. Hugo jeszcze bardziej rozjaśnił oblicze, skłonił się nisko i wycofał dyskretnie, zostawiając gości samych. Elizabeth stanowczo oparła się pokusie, by odpowiedzieć na ukradkowe spojrzenia z sąsiednich stolików. Odłożyła torebkę i sama usiadła za stołem.

Jack zajął miejsce naprzeciw niej.

- Pewnie się zastanawiasz, dlaczego się z tobą tutaj umówiłem - zaczął.

Potoczyła znaczącym spojrzeniem po sali.

- Mniemam, że chciałeś czegoś dowieść nam obojgu...

Wyszczерzył zęby.

- Cóż, przyznaję! Nie mogłem się oprzeć, by nie spróbować odegrać powtórki w obliczu tych samych widzów. Ale tym razem pragnę zrobić to jak należy.

- Jak na razie nie mam zastrzeżeń, przynajmniej nie oblałam cię wodą z lodem!

- Zdecydowanie idzie mi coraz lepiej - zgodził się Jack.

Elizabeth sięgnęła po bułeczkę.

- Nawiasem mówiąc, dostałam prezent zaręczynowy od Vicky.

- Żartujesz! Co ci przysłała?

- Plakat *Zakazanej ferajny* z własnoręcznym autografem gwiazdy. Każę go oprawić i powieszę w gabinecie.

- Dziś rano widziałem się z Page'em. Jest strasznie przejęty, bo jak się okazuje, filmem zainteresowali się zagraniczni dystrybutorzy, a sieć wypożyczalni wideo przysłała kolejną ofertę. Oczywiście nigdy nie przyniesie zysków, ale dla producenta to miła świadomość, że jego dzieło pojawi się na ekranach! -

Jack usiadł wygodnie i spojrzał na ukochaną poważnym wzrokiem. - Co wolisz: najpierw zamawiamy lunch czy od razu przystępujemy do interesów?

- Zaczynam się bać. - Elizabeth sięgnęła po kartę dań. - O co chodzi?

- W Mirror Springs złożyłaś mi pewną ofertę.

- I o ile dobrze pamiętam, jeszcze na nią nie odpowiedziałeś.

- Zastanawiałem się bardzo poważnie.

Opuściła kartę.

- Mówisz serio? Chciałbyś pracować dla Fundacji?

- Niezupełnie, ale powiedziałaś wtedy coś, co utkwiło mi w pamięci.

- Mianowicie?

- Zauważyłaś, że właściwie cele Fundacji i mojej agencji konsultingowej są zbieżne. Ty zajmujesz się wyszukiwaniem niewielkich spółek potrzebujących wsparcia kapitałowego, ja specjalizuję się w reorganizacji małych przedsiębiorstw tonących po uszy w kłopotach. Czemu więc nie połączyć sił, oferując klientom cały pakiet usług?

Elizabeth uśmiechnęła się.

- To brzmi zachęcająco, choć przyznam, że mnie zaskoczyłaś. Myślałam, że perspektywa przyjmowania ode mnie poleceń jest dla ciebie całkowicie niestrawna!

- Nie pomyliłaś się. - Pochylił się do przodu i nie spuszczać z niej wzroku, złożył dłonie nad stołem. - Kocham cię bardziej niż kogokolwiek w całym moim dotychczasowym życiu, ale nie zamierzam zatrudniać się u panny Cabot. Nie bierz tego do siebie. Po prostu nie potrafię służyć pod niczymi rozkazami. Proponuję ci inny układ.

- Aha! Wiedziałam, że gdzieś tu kryje się haczyk!

- Żaden haczyk, tylko wariant. Doszedłem do wniosku, że mamy szansę wypracować praktyczną koncepcję współpracy na partnerskich zasadach. Fairfax Consulting i Fundacja Aurory zachowają odrębność prawną, wchodząc w spółkę w określonych wypadkach, gdy wymagać tego będzie dobro klienta.

- Hmm... - Rozmyślenia przerwał Elizabeth stłumiony dźwięk telefonu komórkowego. Wyjęła aparat z torebki. - Tu Elizabeth!

- Lizzie! - W słuchawce zadudnił głos Merricka. Choć zniekształcony w miniaturowym mikrofonie, nie stracił charakterystycznej dla niego nuty gorliwego entuzjazmu. - Od tygodnia próbuję się z tobą skontaktować! Czy zdążyłaś już przejrzeć mój biznesplan?

Stłumiła jęk.

- Owszem, pobieżnie. Wybacz mi, ale wiesz, jaka jestem strasznie zajęta. Mnóstwo czasu pochłaniają mi przygotowania do przyjęcia zaręczynowego, nawet nie zdołałam...

- Wiem, wiem. Przy okazji: nasze serdeczne gratulacje! Ale wracając do mojego planu, to będzie prawdziwa bomba, Lizzie, czuję to w kościach!

- Już ci mówiłam, że nie zdążyłam zapoznać się z nim szczegółowo. - Uchwyciła błysk w oku Jacka. Ani słówkiem nie zająknęła się w rozmowach z nim na temat przedsięwzięcia szwagra i była pewna, że z łatwością odgadł przyczynę tej wstrzemięźliwości. Poirytowana dezaprobatą, której nawet nie starał się ukryć, pospiesznie rzuciła do słuchawki: Merricku, cokolwiek się wydarzy, wierzę w twoją intuicję. Niezwłocznie zarządzę transfer odpowiednich funduszy na twoje konto.

- Lizzie droga... to wspaniale! - Jak zwykle Merrickowi udało się do pewnego stopnia zarazić ją swym entuzjazmem. - Fantastycznie! Zobaczysz, że tym razem nie pożałujesz. Wszystko będzie bez pudła! Zobaczysz.

- Daj mi telefon. - Jack sięgnął przez stolik i wyjął jej aparat z dłoni.

Spiorunowała go wzrokiem.

- Co ty sobie wyobrażasz?

Zignorował jej protest.

- Merrick? Mówi Jack Fairfax. Tak, tak... wiem, jestem szczęściarz, nie zasługuję... Posłuchaj, chciałbym nawiązać do twojego biznesplanu. Fundacja Aurory i agencja Fairfax Consulting rozpoczynają ścisłą współpracę, więc biorąc pieniądze, zobowiążesz się jednocześnie do przyjęcia usług w zakresie doradztwa przemysłowego, rozumiesz?

Elizabeth otworzyła szeroko usta. Próbowała odebrać mu telefon.

- Jack, poczekaj, jeszcze nic nie omówiliśmy!

Cofnął rękę z aparatem poza zasięg jej dłoni, nie przerywając rozmowy z Merrickiem.

- Nie pracuję dla Elizabeth, ale razem z nią. Nie, jeszcze nie podpisaliśmy ostatecznego kontraktu.

- Nawet nie przedyskutowaliśmy jego podstaw! - Elizabeth wstała i przechyliła się nad stołem, ponawiając próbę wyrwania mu telefonu. - Skąd wiesz, że się po drodze nie rozmyśliłam?

Jack przekrzywił głowę, sygnalizując jej obecność trzech biznesmenów przy stoliku po drugiej stronie przejścia. Zerknęła przez ramię i ujrzała wbity w nią i Jacka zaciekawiony wzrok wszystkich panów. Mieli miny myśliwych na polowaniu, którzy czyhają na zwierzynę. Tymczasem Jack słuchał uważnie komentarza Merricka.

- Zgadzam się, rzeczywiście uzupełniamy się doświadczeniem. To wypełnia istotną lukę na dotychczasowym rynku porad menedżerskich!

Elizabeth poczuła, że się rumieni po same uszy, i że źle skrywaną rezygnacją opadła na krzesło. Słuchając, jak Jack kończy rozmowę, postukiwała niecierpliwie paznokciem w blat stołu.

- Zgoda, jesteście umówieni, skontaktuj się z tobą!

Oddał jej aparat.

- Oto pierwszy klient naszej spółki!

- Zapręgasz powóz przed konie, mój drogi! Jeżeli w ten sposób prowadzisz interesy, coś mi mów, że działalność spółki nie potrwa długo! Nie myśl, że dam się tak łatwo zepchnąć na pasywną pozycję!

- Wycofujesz ofertę?

- W jej pierwotnym brzmieniu była to propozycja stanowiska w Fundacji - przypomniała mu Elizabeth. - Nie oferowałam ci żadnych spółek!

- Zdenerwowałaś się, bo nie zgodziłem się potulnie na proponowaną przez ciebie hierarchię zależności: z tobą na wierzchu i mną wykonującym twoje rozkazy.

Otworzyła usta, by zaprzeczyć, lecz zawahała się i zaczęła się uśmiechać - najpierw półgębkiem, potem coraz szerzej. W końcu machnęła ręką i dała upust wesołości.

- Cholera! A tak miło było pomarzyć!

Jack wyszczerzył zęby.

- Koniecznie chcesz marzyć? Zaczekaj do wieczora. Kupiłem podręcznik masażu, a jeśli to się nie sprawdzi, chyba potrafię wymyślić coś innego, co cię rozerwie. No i w dodatku nie ograniczy się do marzeń, gwarantuję!

Grzała się w ciepłe miłości promieniującej z jego oczu. To się dzieje naprawdę. Nie wszystko jest pozorem! - pomyślała. Ta miłość przetrwa do końca ich życia. Tego była tak pewna, jak faktu, że nazajutrz wjedzie słońce.

- O czym myślisz? - spytał.

- Że oboje mieliśmy fart.

- Niesamowity fart! - Uśmiechnął się do niej łagodnie. - Ten scenariusz miał szczęśliwe zakończenie.